



ROSYJSKA PROPAGANDA W AKCJI

Jak Władimir Putin uwodzi zachodnią Europę

**Katarina Barley
– następczyni Timmermansa
w pouczeniu Polaków**

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 43/396 19–25 PAŹDZIERNIKA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



**„TAK” DLA WYPOWIEDZENIA
KONWENCJI STAMBULSKIEJ
– W TYM WYDANIU
„DO RZECZY”
FORMULARZ DO ZBIERANIA
PODPISÓW ZA TĄ INICJATYWĄ**



**Czy powstanie polska
konkurencja dla YouTube’a**



CZY ZWIERZĘTA TO LUDZIE?

Dokąd nas zaprowadzą próby humanizowania czworonogów



Zbudujemy dla Ciebie instalację fotowoltaiczną

Oferta dla domu i firmy

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA
**energa.pl/
fotowoltaika**



- ✓ Od projektu do wykonania
- ✓ Bezpłatna wizja lokalna
- ✓ Dofinansowanie do 5000 zł z rządowego programu "Mój Prąd"

Usługa dedykowana jest klientom indywidualnym ENERGIA-OBROT S.A., będących właścicielami wolnostojących domów jednorodzinnych lub klientom prowadzącym działalność gospodarczą z tytułem prawnym do obiektu, na którym ma być zamontowana instalacja PV. Montaż instalacji PV realizowany jest przez certyfikowanych partnerów technologicznych ENERGIA-OBROT S.A. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.



Energa

Obrót



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W spirali strachu

Nie mam wątpliwości, że pierwszą ofiarą narastającej psychozy w związku z epidemią koronawirusa jest zdrowy rozsądek. Co gorsza, trudno wskazać, kto za to odpowiada. W trójkącie opinia publiczna, media, politycy (władza) każda ze stron ma tu swoje „zasługi”.

Opinia publiczna się boi, więc domaga się od polityków działania. Politycy muszą pokazać, że są skuteczni, więc działają. A skoro realnie i naprawdę nie mogą – bo na razie nie ma skutecznej szczepionki na wirusa i jest pytanie, czy kiedykolwiek będzie, a pora jesienią charakteryzuje się pluchą i wzrostem wszelkiego rodzaju zachorowań – muszą podejmować działania w części przynajmniej pozorowane, za to widoczne.

Klasycznym przykładem jest tu wprowadzenie w całej Polsce strefy żółtej, włączenie miast wojewódzkich do strefy czerwonej czy też obowiązek powszechnego noszenia maseczek również w przestrzeni otwartej. Wyjątkowo trafnie mówił o tym prof. Robert Flisiak, jakby nie było Prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych. Jego zdaniem wyjątkowym absurdem jest nakaz chodzenia w maskach w terenie otwartym czy też umieszczanie całego kraju w strefie żółtej. Co ciekawe, to jeden z nielicznych

przedstawicieli świata medycyny, którzy publicznie mieli odwagę przyznać rację Jackowi Sasinowi, kiedy ten wspominał o lekarzach porzucających swoje obowiązki wobec pacjentów.

Zastanawiam się jednak, czy władza może w takim systemie, jaki wytworzył się w Polsce (i nie tylko, dość popatrzeć na Wielką Brytanię czy Francję), w ogóle w takich przypadkach postępować racjonalnie? Czy możliwe jest podejście bardziej spokojne, rzeczowe? Nie wiem. Być może, gdyby od początku ktoś miał więcej wyobraźni. Ale teraz? Załóżmy, że rząd zachowałby się inaczej i zamiast omaseczkować wszystkich, wszędzie i zawsze postępowałby roztropnie: maseczki tylko w miejscach zamkniętych, zamiast gróźb i kar apele oraz przede wszystkim odejście od absurdu polityki stosowania kwarantanny jako najskuteczniejszego zabezpieczenia przed rozszerzaniem się choroby. I co wtedy? Mogę się założyć, że natychmiast opozycja ogłosiłaby, że rząd ma krew na rękach, że masowo morduje się Polaków, że władza nie dba, nie szanuje itd., a głosy te, znowu jestem przekonany, z wyjątkową życzliwością zostałyby przytoczone przez liberalne media.

W opowieści o psychozie nie można bowiem pominąć najważniejszego czynnika – właśnie

mediów. Coraz mniej tłumaczą i analizują, coraz bardziej nakręcają strach. To one od kilku miesięcy są, nie wszystkie oczywiście, ale w znacznym stopniu, głównym rozsądnikiem hysterii. Portale prześcigają się w podkreślaniu w najbardziej możliwie jaskrawy sposób zagrożenia. Im mocniejszy tytuł, tym lepiej. Nawet bezobjawowy koronawirus jest groźny – słyszę. Ba, jeśli nie ma objawów, zagrożenie jest jeszcze większe – czytam. Czekam na tytuł: nawet brak koronawirusa jest niebezpieczny.

To dzięki nowym mediom internetowym kariery robią nowi celebryci – wcześniej anonimowi lekarze, którzy obecnie co najmniej kilka razy dziennie wieszczą apokalipsę, armagedon, upadek, opowiadając o setkach tysięcy ofiar. Doskonale zrozumieli, że mają teraz swoje pięć minut, że wreszcie zdobywają sławę i uznanie. Pod jednym warunkiem – że przedstawia rzeczywistość w maksymalnie ciemnych barwach i odpowiednio mocno potępią rząd.

Koło się zamyka. Media rozkręcają atmosferę paniki (już nie ma respiratorów, już nie ma miejsc w szpitalach, już zaraz wszyscy umrzemy, już zaraz zarazki wszystkich zabiją), opinia publiczna jest przerażona i domaga się działania, rząd zatem, od tego w końcu jest, podejmuje stosowne działania. A skoro najważniejszym problemem jest przerażenie, to odwołuje się do środków, które może nie są skuteczne, za to widoczne: radykalne zakazy (cała Polska czerwona strefa) i maseczki. Być może, kto wie, będą to posunięcia jeszcze bardziej drastyczne? Godzina policyjna? Wojsko na ulicach? Zamknięcie szkół podstawowych? Zamknięcie miast? Byle tylko ludzie mieli wrażenie, że ktoś o nich dba.

Tak toczy się ten opętanczy nieco taniec, który może doprowadzić, a to niebezpieczeństwo jest coraz realniejsze, do upadku gospodarki i zatrzymania państwa.

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 ŁUKASZ WARZECHA
UCZŁOWIECZANIE ZWIERZĄT
Czworonogi równe ludziom?

21 ROZMOWA
Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
**HUMANIZACJA ZWIERZĄT
TO DEHUMANIZACJA CZŁOWIEKA**

24 TERESA STYLIŃSKA
LUDZKA TWARZ PANA

KRAJ

26 PIOTR SEMKA
KOŃCA NIE WIDAĆ
Co z miejscem pamięci
polskich ofiar wojny w Berlinie

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZAS UTRACONY

32 KAMILA BARANOWSKA
**TRZASKOWSKI
IDZIE W RUCH**

34 TOMASZ ROWIŃSKI
WREALU KONTRA YOUTUBE

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POPYT NA JASNOWIDZA

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
LISTA OFIAR
Katastrofa w kinach

46 GRZEGORZ KONDRASIUŁ
BYĆ SOBĄ

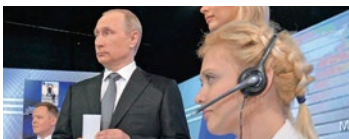
NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 KRYSZTOF KRATIUŁ **debata**
CZY NASZA WALKA MA SENS?
Chrześcijańska „realpolitik”

50 WOJCIECH GOŁONKA
PO ZŁEJ STRONIE HISTERII



52 MAŁGORZATA WOŁCZYK
MODA NA PUTINA

HISTORIA

54 JERZY DĄBROWSKI
POLAK-WĘGIER...
Wspomnienie ambasadora
Węgier o Waławie Felczaku

ŚWIAT

60 DOMINIKA ĆOŚĆ
NASTĘPCZYNI TIMMERMANS
Katarina Barley – ideolog czy cynik?

62 GRZEGORZ KUCHARCZYK
NIEMIECKA LEKCJA

66 PIOTR WŁOCZYK
STO LAT LEGALNEJ RZEZI

EKONOMIA

68 ROZMOWA Z DR. SŁAWOMIREM MENTZENEM
**NIE JESTEM ZWOLENNIKIEM
WIELKICH PAŃSTWOWYCH FIRM**
W wielu sprawach PiS poszedł
nawet bardziej na lewo
od Razem

72 JACEK PRZYBYLSKI
CHIŃSKA ROSZADA



DODATEK SPECJALNY

77
POLSKA 2030
5. edycja Kongresu 590

SPORT

88 ŁUKASZ ZBORALSKI
POTĘGA UMYSŁU
Młodzi mistrzowie: Iga Świątek
i Jan Krzysztof Duda



O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
aTTP. LICZY SIĘ KAŻDA GODZINA
Choroby rzadkie

FELIETONY: SEMKA (5), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (76), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Odruchy bezwarunkowe

W dawnych czasach schyłkowego PRL, w końcu lat 80., gdy studiowałem na KUL, w kręgach historyków opowiadano legendy o tzw. notesie Geremka. Bronisław Geremek był wówczas człowiekiem instytucją liberalnej, ale i tygodnikowo-powszechnej opozycyjnej inteligencji. Jak szeptało z przejęciem, znał doskonale wszystkich „ważnych” na Zachodzie i oni szanowali jego opinie. Także w świecie naukowym – list polecający od pana profesora otwierał drzwi doktorantom szukającym staży i stypendiów na Zachodzie. Początkowo słuchałem tych opowieści z zainteresowaniem, ale z czasem, szczególnie gdy moje ideowe drogi zaczęły rozchodzić się z miłośnikami „Więzi” czy „Znaku”, zacząłem dostrzegać w tym mechanizm kontroli profesora nad intelektualną trzódką z polskich uczelni. Tym bardziej że w przypadku tych, którzy byli jak na gust pana profesora zbyt mało oświeceniowi, nie miał ani czasu, ani ochoty na pisanie swych listów polecających.

Niekiedy z kręgów, w których pan profesor miał wiele do powiedzenia, wychodziły listy „od-

polecające”. Tak było w 1993 r., gdy po serii listów z kraju parę zachodnich autorytetów wycofało swoje nazwiska z rady patronackiej krakowskiego magazynu „Arka”. Tak ukarano „oszołomów spod Wawelu” za list wspierający lustrację i potępiający obalenie rządu Jana Olszewskiego.

Gdy na początku XXI w. zachłysnęliśmy się Internetem, pomyślałem sobie, że wreszcie nastąpi koniec władzy salonowych listów polecających lub „odpolecających”. Byłem pewny, że teraz każdy na Zachodzie będzie mógł w sieci łatwo sprawdzić, kto jakie ma naprawdę poglądy, i ideologiczny donosik nie będzie już tak skuteczny.

Od tego czasu minęły już dwie dekady i muszę gorzko uśmiechnąć się nad moją naiwnością. Oto prof. Rocco Buttiglione ogłosił parę dni przed otwarciem Kongresu Kultury Chrześcijańskiej na KUL, że w geście solidarności z ks. prof. Alfredem Wierzbickim rezygnuje z udziału w kongresie. Włoch ogłosił: „Dziś ks. Alfred Wierzbicki jest atakowany podobnie jak ja 16 lat temu – tyle że z prawicy, a nie z lewicy, i za przypomnienie innej części nauki

Katechizmu Kościoła katolickiego: o szacunku wobec osób homoseksualnych”.

Decyzja o zlekceważeniu zaproszenia do Lublina została ogłoszona w czasie, gdy prof. Buttiglione odwiedził Kraków i odebrał nagrodę im. ks. bp. Tadeusza Pieronka „In Veritate”. Nietrudno więc zaryzykować przypuszczenie, że to przyjaciele bp. Pieronka zreferowali w odpowiednio dramatyczny sposób sprawę ks. prof. Wierzbickiego, który ma stanąć przed rzecznikiem dyscyplinarnym uczelni w Lublinie.

Profesor Buttiglione wiele razy był na KUL i został nawet doktorem honoris causa tej uczelni.

Dobrym obyczajem byłoby, gdyby przed decyzją o odwołaniu przyjazdu prof. Rocco Buttiglione zainteresował się różnymi opiniami na temat sporu z ks. prof. Wierzbickim lub skonfrontował opinie obrońców kapłana z rektorem uczelni.

Jak jednak widać, uznał opinie krakowskich kustoszów pamięci o bp. Pieronku za rozstrzygające.

Jak się okazuje, sprawy nie zmieniły się zbyt wiele od czasów, gdy opinia prof. Geremka znaczyła niemal wszystko. © ©



FOT. MATELSEZ W WIDOKU FORUM

GŁOŚNA AKCJA AGENTÓW CBA

Agenci CBA zatrzymali w zeszłym tygodniu m.in. adwokata i byłego wicepremiera Romana Giertycha oraz biznesmena Ryszarda K. Roman Giertych zmarł podczas przeszukania jego domu przez CBA. Karetka zabrała go do szpitala. „Materiał zgromadzony przez CBA wskazuje, że zatrzymani brali udział w zorganizowanym procederze polegającym na wyprowadzeniu pieniędzy ze spółki, przywłaszczeniu i praniu pieniędzy. Szkoda w mieniu przekracza 90 mln zł” – podało CBA w komunikacie. (jap) © ©

Droży Czytelnicy!

Zapraszamy do dyskusji na łamach tygodnika „Do Rzeczy”. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Pokazaliśmy naszą skuteczność”,
Paweł Lisicki, „DRz” 39/2020

Szanowny Panie Redaktorze, dziękuję za trafne spostrzeżenia i obronę polskiej racji stanu przed atakami ze strony unijnych notabli zarzucających nam homofobię, powołując się na rzekome „strefy wolne od LGBT” w artykule wstępnym nr. 39 zatytułowanym „Pokazaliśmy naszą skuteczność”. Niestety niedługo po burzliwej dyskusji w PE nad rzekomą polską nietolerancją 27 września światło dzienne ujrzał list otwarty wyrażający poparcie dla polskiej społeczności LGBTI, pod którym podpisało się 50 ambasadorów rezydujących w naszym kraju. O dokumencie poinformowała jedna z jego sygnatariuszek i zarazem ambasador Stanów

Nabieramy doświadczenia.
usuwanie każdej kolejnej
zawari „czajki” będzie nam
zajmowało coraz
mniej lat...



u + y j z t o p a & e g u s t a w t e t w e e t d

Zjednoczonych w Polsce Georgette Mosbacher, która zamieściła do niego link w jednym ze swoich twitterowych postów, dodając komentarz: „Prawa człowieka to nie ideologia – są one uniwersalne [...]”. Najwyraźniej oficjele podpisani pod listem zapomnieli, że zgodnie z art. 41 konwencji wiedeńskiej ambasadorowie nie powinni mieszać się do wewnętrznych spraw kraju, w którym się znajdują. Jednak kto by się przejmował przepisami i konwencjami? [...]

Narzuca się pytanie: Dlaczego to akurat w stosunku do Polski został wystosowany taki list i dlaczego akurat w takim momencie? Czyżby coś wspólnego miały z nim potajanki wobec Polski

w Parlamencie Europejskim, kiedy to przedstawiano nas jako kraj wyjątkowo homofobiczny i nietolerancyjny? Odpowiedź może być tylko jedna: wszystko na to wskazuje. Co prawda w liście nie powołano się na tzw. happening jednego z aktywistów społeczności LGBT – Barta Staszewskiego, jednak naiwny jest ten, kto by tych dwóch kwestii nie łączył. Po całkowicie zakłamujących rzeczywistość zdjęciach, na których pod nazwami miejscowości widniała przyczepiona, nielegalnie zresztą, tabliczka z informacją w różnych językach „Strefa wolna od LGBT”, akcja przykręcania śruby wobec Polski ewidentnie przybiera na sile. Gdy zdjęcia te obiegły praktycznie cały świat, przewodnicząca KE Ursula von der Leyen raczyła była stwierdzić, że dla stref wolnych od LGBT nie ma miejsca w Unii. Do inscenizacji Staszewskiego odniósł się także kandydat na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych z ramienia demokratów Joe Biden, który potępił Polskę za rzekome strefy „wolne od...”.

Wydaje się więc, że opisywany list otwarty, pod którym podpisało się 50 ambasadorów, jest swojego rodzaju odpowiedzią na wymaginowaną dyskryminację i prześladowania, jakie spotykają społeczność LGBT w Polsce, jednak jak zawsze w tego typu przypadkach nie należy wykluczyć istnienia drugiego dna. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo, że chodzi o pieniądze [...]. W PE otwarcie mówi się, że przyznawanie funduszy powinno być uzależnione od przestrzegania tzw. praworządności, do której łamania zaliczać się mają m.in. wspomniane „strefy wolne od LGBT”, które rzeczywiście istnieją, jednak tylko na zdjęciach autorstwa Barta Staszewskiego.

Takie listy otwarte wydają się zatem doskonałą podstawą do wskazania, że w Polsce „źle się dzieje” (skoro tematem zajmują się nawet ambasadorzy tak wielu państw). Szkoda tylko, że powstał on w oparciu o fałszywe przesłanki ze strony osób, które albo źle życzą Polsce, albo po prostu są pożytecznymi idiotami. Na groteskę jednak zakrawa fakt, że do przestrzegania praw społeczności LGBT namawia również jeden z sygnatariuszy listu, ambasador Wenezueli w Polsce – Luis Gómez Urdaneta. Wiadomo przecież powszechnie, że prawa człowieka w Wenezueli rządzonej przez Nicolása Maduro są przestrzegane w sposób wzorowy...

Adam Wąsikowski



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyr, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięcki

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanicz, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenkowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Małowski, Monika Małowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkos, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (szef studia), **Jakub Tański,**

Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotorekty: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**

Rysowniki: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**

Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. PEGAZ/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**; tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 58 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Tak dla wypowiedzenia Konwencji stambulskiej. Rusza oficjalna zbiórka podpisów

Marszałek Sejmu Elżbieta Witek przyjął zawiadomienie o utworzeniu Komitetu Inicjatywy Ustawodawczej „Tak dla rodziny, nie dla gender”. Jego celem jest wypowiedzenie przez Polskę genderowej Konwencji stambulskiej i rozpoczęcie prac nad Konwencją o prawach rodziny. Rejestracja Komitetu oznacza rozpoczęcie oficjalnej zbiórki podpisów pod projektem ustawy

Konwencja stambulska to dokument, który, pomimo upływu pięciu lat od jego przyjęcia, wciąż budzi istotne kontrowersje. Zbudowany on został na ideologii gender, która kobiecość i męskość postrzega wyłącznie jako społeczne konstrukty, niezależne od obiektywnych uwarunkowań wynikających z biologii, i upatruje w istnieniu ról płciowych źródła przemocy i dyskryminacji. Wprowadzenie tego kontrowersyjnego paradygmatu walki z przemocą jest niezgodne z wieloma przepisami polskiej konstytucji. Przede wszystkim poprzez wprowadzenie niejednoznacznej definicji płci jest sprzeczne

z art. 18, który chroni rodzinę i tożsamość małżeństwa, oraz z zasadą demokratycznego państwa prawnego (art. 2). Narzucając obowiązkową edukację o tzw. niestereotypowych rolach płciowych, Konwencja godzi również w prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami, gwarantowane przez art. 48 Konstytucji RP. Konwencja godzi także w zasady wolności sumienia (art. 53 Konstytucji) i ochrony praw dziecka (art. 72 Konstytucji).

Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „Tak dla rodziny, nie dla gender” został zainicjowany przez Instytut Ordo Iuris, Chrześcijański Kongres Społeczny i wiele

innych organizacji prorodzinnych. Oprócz wypowiedzenia Konwencji stambulskiej jego celem jest rozpoczęcie prac nad międzynarodową Konwencją o prawach rodziny. Celem tego dokumentu ma być ochrona praw rodziny oraz jej autonomii oraz wprowadzenie skutecznych, opartych na wiedzy naukowej rozwiązań, mających na celu przeciwdziałanie przemocy i pomoc jej ofiarom. „Zaczynamy zbierać podpisy pod inicjatywą obywatelską, której celem jest wypowiedzenie wadliwej Konwencji stambulskiej i zastąpienie jej wolną od ideologii i opartą na skutecznych, bazujących na wiedzy naukowej rozwiązaniach, Konwencji o prawach rodziny. Ma ona za zadanie ochronę rodziny i jej autonomii oraz wprowadzenie realnych i skutecznych rozwiązań antyprzemocowych” – zaznaczyła Karolina Pawłowska, dyrektor Centrum Prawa Międzynarodowego Ordo Iuris.

Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „Tak dla rodziny, nie dla gender” na rzecz ustawy Tak dla rodziny, nie dla gender
ul. Wspólna 61/105, 00-687 Warszawa

Wykaz obywateli, którzy udzielają poparcia projektowi ustawy Tak dla rodziny, nie dla gender

L.p.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis	Adres e-mail*
1					
2					
3					
4					
5					
6					
7					
8					
9					
10					

* nieobowiązkowe

Podpisy zebrał/a [imię, nazwisko, adres]:

[telefon, e-mail]:

Administratorem danych osobowych jest Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „Tak dla rodziny, nie dla gender”, ul. Wspólna 61/105, 00-687 Warszawa. Dane osobowe przetwarzane są na podstawie ustawy z dnia 24 czerwca 1999 r. o wykonywaniu inicjatywy ustawodawczej przez obywateli w celu wniesienia obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej do Marszałka Sejmu RP, a także w celu prowadzenia kampanii informacyjnej, informowania o przebiegu zbierania podpisów, o dalszych losach inicjatywy ustawodawczej. Więcej informacji o przetwarzaniu Pani/Pana danych osobowych jest dostępnych na Karcie Klauzuli Informacyjnej lub na stronie www.chronmyrodziny.pl/RODO

Zbrane podpisy prosimy odesłać pod adres komitetu: Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „Tak dla rodziny, nie dla gender”, 00-687 Warszawa, ul. Wspólna 61/105
Kontakt: kom: 791015566, 535005566, 535225566, 531005566, 531025566, 690070140, e-mail: info@chronmyrodziny.pl, strona www.chronmyrodziny.pl



VI Kongres Energetyczny: Rola gazu ziemnego jako paliwa przejściowego w transformacji energetycznej

Jaką rolę w transformacji w kierunku neutralności klimatycznej będzie odgrywał gaz ziemny? Jakie otoczenie regulacyjne jest do tego potrzebne? I jaki potencjał mają ewentualne zamienniki, takie jak: biogaz, biometan i zielony wodór? O tym wszystkim dyskutowali uczestnicy debaty „Rola gazu ziemnego jako paliwa przejściowego w transformacji energetycznej” podczas VI Kongresu Energetycznego, który odbył się w dniach 7–8 października we Wrocławiu

Debatę poprzedziło wystąpienie Jerzego Kwiecińskiego, prezesa PGNiG, który omówił m.in. źródła dostaw dla gazu wykorzystywanego w Polsce i naszym regionie, a także perspektywy tzw. zielonych gazów.

– Udział gazu w miksie energetycznym będzie rósł ze względu na to, że został uznany za paliwo przejściowe w Europejskim Zielonym Ładzie. Czekamy na zapisy w poszczególnych aktach prawnych, które



Jerzy Kwieciński – Prezes PGNiG

– mówił Jerzy Kwieciński, prezes PGNiG. Jak dodał, strategią kierowanego przez niego koncernu jest, aby specjalizować się w różnych gazach, nie tylko w ziemnym, szczególnie że w tym sektorze będzie coraz więcej gazu z biometanu.

– Ten trend widać już w krajach północnej Europy, gdzie biometan miesza się w sieciach z gazem ziemnym. Zobaczymy też, jak potoczą się losy wodoru. Jeśli będzie taniał, to pozostanie tylko dostosować do niego sieci – mówił.

Warto tu dodać, że według prognoz w 2050 r. wódór może zaspokoić nawet jedną czwartą światowego zapotrzebowania na energię. Jak podkreślała dr Opolska, technologie wykorzystujące wódór są najbardziej obiecujące, ponieważ gaz ten można wykorzystać jako surowiec do produkcji amoniaku, metanu, w procesach rafineryjnych, do ogrzewania czy akumulacji energii.

PRZYSZŁOŚĆ GAZU ZIEMNEGO

Czy gaz ziemny to paliwo schyłkowe, przejściowe czy przyszłości? Zdaniem dr Iwety Opolskiej z biura handlu gazem w PKN Orlen każde z tych stwierdzeń jest prawdziwe. Dlaczego? Wystarczy spojrzeć na statystyki zapotrzebowania na gaz w Unii Europejskiej, aby przekonać się, że jeszcze do 2005 r. zużycie gazu na Starym Kontynencie rośnie. W latach 2005–2010 ustabilizowało się na stałym poziomie, a od 2011 r. jest zmienne, z tendencją do zmniejszania się. W Polsce i w skali świata zapotrzebowanie na gaz wciąż jednak rośnie. Używa się go tu nie tylko w energetyce, lecz także w przemyśle: do produkcji nawozów, w hutnictwie (stal i szkło), a także do ogrzewania gospodarstw domowych. Stąd – jak podkreślała dr Opolska – mówiąc o transformacji w kierunku zeroemisyjności, trzeba pamiętać, że wyeliminowanie gazu ziemnego z energetyki nie oznacza tego samego dla gospodarki. Dlatego potrzebujemy innowacji, które stworzą nowe technologie i zmniejszą koszty. Potrzebujemy też odpowiednich regulacji i zachęt dla inwestorów, którzy zechcą wyłożyć na nie pieniądze.

– W najbliższej dekadzie gaz raczej będzie przeżywał złotą erę ze wskazaniami na paliwo przejściowe. Dlaczego? Ponieważ jest bardzo dobrą alternatywą dla węgla, mimo że jest kopalniany. W Polsce w ostatnich 30 latach zużycie gazu systematycznie wzrastało i w naszym kraju znaczenie gazu będzie raczej rosnąć, a do 2040 r. możemy

się spodziewać mniej więcej trzykrotnego wzrostu – mówiła dr Opolska.

Jaką więc rolę w transformacji UE w kierunku neutralności klimatycznej będzie odgrywał gaz ziemny? I jakie są prognozy dla tego paliwa w Polsce i Europie?

– Zauważamy bardzo duży wzrost zapotrzebowania na transport gazu w najbliższych latach. W perspektywie pięcioletniej to skok o prawie 4 mld m sześciu gazu, z czego trzy to elektrownie, bloki energetyczne i kogeneracja, ciepło wraz z prądem. Oczywiście wyraźny trend w kierunku zielonej energii jest widoczny i będzie trwał, ale trzeba też patrzeć na ekonomiczną opłacalność. Jeśli Unia wyłożyła duże pieniądze na transformację w kierunku gazu, to gazowa infrastruktura musi przez jakiś czas nam służyć. Trudno sobie bowiem wyobrazić, że bloki na gaz, które dziś powstają, za 10 lat „pójdą do kosza” i zastąpią je inne turbiny. Byłoby to nieekonomiczne i zdecydowanie mało zielone – mówił Artur Zawartko, wiceprezes spółki GAZ-SYSTEM.

POTRZEBNE ZACHĘTY

W trakcie dyskusji Ireneusz Krupa, prezes spółki PSG, wyraził obawy co do ekonomicznej opłacalności traktowania gazu wyłącznie jako paliwa przejściowego, bo przecież – jak mówił – ludzie, którzy dziś przechodzą z kotłów na węgiel na gaz ziemny, kupują je na przynajmniej 20 lat. Co więcej, przejście na biogaz wymaga wielkich inwestycji w infrastrukturę, bo takich biogazowni potrzebne będą tysiące.

Zdaniem Jerzego Kwiecińskiego z PGNiG to naturalne, że nowe technologie wymagają wysokich kosztów kapitałowych, stąd konieczne będą odpowiednie zachęty i regulacje, tak jak to było w przypadku OZE.

– Chcemy wypracować warunki, system wsparcia, model biznesowy i dać inwestorom umowę długoterminową na odbiór biogazu, bo każdy biznes, jaki powstaje, potrzebuje odbiorcy dla swoich produktów – mówił prezes PGNiG.

Jakie konkretnie otoczenie regulacyjne potrzebne jest do wprowadzenia „zielonych gazów” w ciepłownictwie i energetyce? Zdaniem mec. Adama Wawrzynowicza branża gazowa powinna skoncentrować się na planach władz unijnych wobec tzw. strategii metanowej i wypracować z nimi terminy oraz narzędzia jej wdrażania. A następnie zadbać o to, aby gaz ziemny mógł być paliwem przejściowym skutecznie, a branża mogła pokonać bariery zarówno techniczne i technologiczne, jak i ekonomiczne.

zdefiniują realizację nowej perspektywy finansowej – mówił prezes PGNiG.

Prędzej czy później przyjdzie jednak moment, gdy będziemy odchodzić także od tego paliwa. Przyczynami zmniejszającego się zużycia gazu będą najprawdopodobniej: planowana do 2050 r. całkowita dekarbonizacja w związku z Europejskim Zielonym Ładem, spadek zapotrzebowania na gaz do celów grzewczych z powodu rosnącej efektywności energetycznej budynków i ocieplania się klimatu, a także gazy zastępujące ziemny.

– Będziemy chcieli się specjalizować w nowych paliwach gazowych. Już mamy zaplanowane pierwsze projekty wodorowe – stację tankowania czy budowę własnej instalacji do produkcji wodoru metodą elektrolizy. Gaz można też produkować z odpadów komunalnych, interesuje nas także energia geotermalna. Będziemy szukali synergii z innymi spółkami, np. z Orlenem realizujemy program biogazowy, na gazie oparta jest też inwestycja w Ostrołęce



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dziwna obrona

Brak mi niezbędnej wiedzy, by rozstrzygać o zasadności korupcyjnych zarzutów, które prokuratura postawiła krakowskiej sędzi Beacie Morawiec. Ale przecież cała – śmiem użyć tego słowa – histeria, jaką liberalne media i salony rozpętały w jej obronie, w ogóle nie odnosi się do sedna sprawy. Prawniczy establishment kładzie się Rejtanem przeciwko decyzji o uchyleniu jej sędziowskiego immunitetu, co umożliwi rozpatrzenie owych zarzutów przez sąd.

Oczywiście szermują przy tym gestami, oskarżeniami i insynuacjami, które znamy od pięciu lat. Skoro oskarżona została osoba bardzo zaangażowana w walkę z obecną władzą i zmianami w wymiarze sprawiedliwości,

to niejako samo z siebie ma dowodzić, że zarzuty muszą być fałszywe, świadkowie podstawieni, a dowody spreparowane. Jeśli jednak tak uważają, to powinni obrońcy sędzi Morawiec życzyć jej, by proces odbył się jak najszybciej, z maksymalną jawnością i nagłośnieniem, by niećność reżimu wykazano jak najszybciej. Przecież jeżeli, tak jak o to walczą, uda się jej schować za immunitetem, to będzie to oczywistym przyznaniem, że coś tam na rzeczy musiało być, i odium łapówkary będzie się za sędzią ciągnęło już zawsze.

Skoro chcą właśnie, aby sprawy nie rozstrzygano, to są dwie możliwości: jedna, że obrońcy sędzi wiedzą, że nie tylko zarzuty są fałszywe, ale także sąd, który będzie je rozstrzygał,

jest nieuczciwy – co odbiera sens całej ich zjadłej obronie sądowego status quo. Druga, że obawiają się właśnie tego, że sąd wyda wyrok uczciwy.

Na dodatek liderzy propagandowej kampanii na rzecz sędzi posuwają się do grubego kłamstwa, twierdząc, że Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego nie ma prawa orzekać na mocy wyroku TSUE. Pomijając już fałszywość założenia, że TSUE ma moc wydać taki nakaz – jego sporne orzeczenie na temat ID SN tej akurat jej kompetencji, jaką jest uchylenie immunitetów sędziowskich w sprawach karnych, nie zakwestionowało. Kolejne kreowane przez „totalną opozycję” męczeństwo wygląda więc równie słabo jak poprzednie. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Ci wspaniali Polacy z PO

Ten tytuł nie ma prowokować prawicowych czytelników, ale ma zachęcić do myślenia. Myślenia, więc bynajmniej nie podważania prawd ustalonych, ale do odważnego wyciągnięcia z nich wniosków.

Dominujące partie polityczne mają o sobie jak najgorsze zdanie, nie tylko zresztą partie, również elektoraty. Tymczasem w obozie Prawa i Sprawiedliwości politycy wywodzący się z Platformy Obywatelskiej odegrali i odgrywają wybitną rolę. Wicepremier Zyta Gilowska kierowała polityką ekonomiczną gabinetu Jarosława Kaczyńskiego, Jacek Saryusz-Wolski był kandydatem PiS na przewodniczącego Komisji Europejskiej, Jarosławowi Gowinowi (i jego

partii) PiS od pięciu lat zawdzięcza większość bezwzględna w Sejmie.

Co łączy tych polityków? Wszyscy od początku lokowali się gdzieś na prawym centrum. Zyta Gilowska była profesorem KUL, Jarosław Gowin – redaktorem „Znaku”, Saryusz-Wolski przeciwnikiem ideologizacji polityki UE. Wszyscy reprezentowali postawy, dzięki którym latami utrzymywał się w Polsce consensus wojtyłiański. Gdy mówię o odbudowie tego consensusu, nie postuluję żadnego symetryzmu. Nigdy nie byłam sierotą po PO-PiS. Między tymi partiami w najważniejszych kwestiach ustrojowych nie będzie symetrii. PiS jest uzależniony od poparcia elektoratu katolickiego, PO jest uzależniona od elektoratu

antyprawicowego. Consensus narodowy nie polega na tym, że wszyscy się na coś zgadzają, ale że wszędzie (w wystarczającym stopniu) są ludzie, którzy się na coś zgadzają.

Czy jednak są jeszcze w PO? Z pozoru wygląda na to, że nie. Po pogromie, w trakcie którego wyrzucono Marka Bieńackiego i kolegów, wydaje się, że problem nonkonformizmu został w tej partii ostatecznie rozwiązany. Ale i konformiści mogą odzyskać poglądy, nasz naród jak lawa... Za przewodnictwem Jarosława Gowina w PO głosował siedem lat temu co piąty członek partii. Większość z nich nadal tam jest, więc temat będziemy drążyć. ©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Z frontu walki o jedynie słuszny język

Wszak już wielki językoznawca Józef Stalin spostrzegł, że „nie można zniszczyć istniejącego języka i zbudować zamiast niego języka nowego w ciągu kilku lat, nie wprowadzając anarchii i groźby rozpadu społeczeństwa”.

Niestety, zacządzieni ideologią postępowcy nadal majstrują przy języku i kulturze. Stworzyli pracowicie uzupełniany, przebogaty indeks ksiąg i słów zakazanych, poczynając od literatury antyku. Teraz, po policyjnych mordach na Afroamerykanach w USA, doznali wyjątkowego wzmocnienia.

Musiwy przemąglić paradygmat
ochrony mniejszości, skoro mniejszości
mają być katolicy...



W Berlinie władze miejskie wydały instrukcję wszystkim podległym im urządowi. Intencją publikacji jest oczyszczenie języka ze słów i z terminów rasistowskich. Niewinno, wydawałoby się, słowo „obcokrajowiec” trafiło na indeks. Ma być „rezydent nieposiadający

obywatelstwa niemieckiego”. „Migrantów” zastąpiono „osobami o międzynarodowej przeszłości”, a „migrantów ekonomicznych” – „przybyszami poszukującymi pracy”. Na cztery wiatry przegoniono „azyłanta” i „starającego się o azyl”. Dla jakichś powodów trzeba teraz mówić: „poszukujący ochrony międzynarodowej”. Chyba nietrudno się domyśleć, że „zniknięto” określenia „kolorowy” i „o ciemnym kolorze skóry”.

Jednak najwięcej kłopotów nastręcza berlińskim władzom słowo „czarny” (Schwarz), szczególnie w zbitkach. O podróżujących na gapę, jak chce język niemiecki „na czarno” (Schwarzfahrer), można mówić wyłącznie „podróżny bez biletu”. Ten sam los spotkał pracujących na czarno (Schwarzarbeiter). Przepoczwaryli się w „wykonujących prace bez zezwolenia”. A w akcie idiotyzmu piramidalnego z języka berlińskich urzędników wykluczono „oczernianie”. Trzeba mówić „dyfamacja”.

Swoją drogą zastanawiam się, co władze Berlina robią z Arnoldem Schwarzeneggerem. Jeśli mu wykreślić „Schwarze”, to i tak zostanie absolutnie niedopuszczalny „Negger”. A jeśli te ideologiczno-leksykalne miazmaty zaczną naszych postępowców, to się możemy dowiedzieć, że Jan Kochanowski urodził się w lesie. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Dyskretny urok sierpa i młota

Wydawać by się mogło, że gdzie jak gdzie, ale nad Wisłą ludzie pamiętają jeszcze, co oznaczała symbolika totalitarnego Związku Sowieckiego. Nic bardziej mylnego. „Znika w Polsce konsensus ws. odrzucenia totalitarnych ideologii. Oto feministka, należąca do parlamentarnej partii lewicowej. Swoją biogram na profilu twitterowym wzbogaciła znakiem sierpa i młota, tuż obok wspomnienia praw człowieka. Z Zachodu idzie moda na komunizm” – napisał Krzysztof Bosak.

Zamiast zamilknąć ze wstydu, działaczka ruszyła jednak z kontratakami. „Do tych wszystkich osób, które tak bardzo martwią się o moją wiedzę historyczną, spokojnie, byłam na rozszerzonej historii w liceum. Co więcej, symbol sierpa i młota oznacza władzę plorariatu [pisownia oryginalna – przyp. red.], a nie ludobójstwo, którego absolutnie nie bronię, nigdy nie będę bronić” – stwierdziła Angelika Krawczyk. Na tym jednak – niestety – nie skończyła. „Warto dodać, że co roku jest więcej ofiar kapitalizmu, tak bardzo uwielbianego przez zwolenników K. Bosaka, niż kiedykolwiek było komunizmu” – dzielnie argumentowała.

Na szczęście w partii znalazły się jeszcze osoby z odrobiną rozsądku. „W sprawie obrony sierpa i młota przez członkinię RAZEM napisałem wniosek do partyjnego sądu koleżeńkiego, ponieważ jest to jawne naruszenie statutu partii. Nie ma i nie będzie zgody na bronienie totalitarnych symbolów w demokratycznej lewicowej partii” – poinformował Krystian Głuch. Natychmiast został jednak upomniany przez koleżankę z ugrupowania. „Bohaterowie, na których nie zasługujemy. Ludzie, typiara wsadziła emotkę. Wiesz się o to tylko faszysta. Faszysta to wyboldował, a Wy temu faszystyście robicie robotę, pokazując, jakimi to obrońcami prawicowej moralności jesteście” – burzała się Hanna Zagulska.

W obronie Angeliki ruszył również wykładowca UW. „Symbolika polityczna swastyki jest jednoznaczna – jest to wyłącznie symbol niemieckiego nazizmu, ideologii odpowiedzialnej za Holocaust i zbrodnie wojenne. Stąd symetria swastyki oraz sierpa i młota wydaje mi się nieuprawnioną” – przekonywał Michał Bilewicz, zawodowo badacz antysemityzmu i języka nienawiści. ©©



FOT. ANNA GROMADA

SPECJALISTA OD PANDEMII

Aktor Tomasz Karolak, który zasłynął ostatnio tym, że wyproszono go z Ikei za brak maseczki i głośno skarżył się na ten fakt w Internetach, znów postanowił zabrać głos na temat pandemii. Został o to zapytany w kontekście mądrości, które głosi jego partnerka Viola Kołakowska, która ciągle opowiada o tym, że pandemii nie ma, a my wszyscy padamy ofiarą wielkiego spisku. – Viola jest dorosłą osobą, która ma swoje poglądy. Ja nie jestem ani jej adwokatem, ani nie będę się za nią wypowiadał – stwierdził w rozmowie z portalem JastrzębPost Karolak. – Ja uważam, że jest to groźna choroba, jest to wirus. Natomiast, patrząc na statystyki i słuchając innych specjalistów, nie wiem, czy jest to powód do zamykania świata, kraju – dodał. Ciekawe, jakich specjalistów ma na myśli. Oby jednak nie Violę.

SPISEK RZĄDU ŚWIATOWEGO

Tymczasem Viola, okrzyknięta już w mediach „naczelną polską koronasceptyczką”, rozwija wciąż swoje spiskowe teorie. Tym razem stwierdziła, że polski rząd działa na zlecenie tajemniczego rządu światowego.

– Coś wam powiem, nie używając nazwisk. Jeden z najważniejszych polityków w tym kraju w rozmowie prywatnej powiedział jasno i wprost, że nie ma żadnej pandemii. Gdyby polski rząd nie stosował się do wytycznych, które zostały mu z góry narzucone, gdyby nie stosował się do wytycznych rządu światowego, mielibyśmy tutaj już Białoruś albo Syrię. Byłaby wojna.

Mówiłam, że chodzi o grubszą sprawę. Mówiłam, że nie chodzi o żadnego wirusa, że to jest przykrywką do czegoś, do grubej sprawy, która się odbywa. Do tzw. światowego resetu finansowego – przekonuje. Kto by pomyślał, że akurat Viola z Polski rozwikła i zdemaskuje ten światowy spisek rządu światowego! Nie zasługujemy na tak tęgą umysł.

ZNIKAJĄCA VIOLA

Niestety, ktoś chyba przemówił Violi do rozsądku (a może do czegoś innego, bo rozsądkiem chyba nie grzeszy). Parę dni temu celebrytka oznajmiła, że na jakiś czas znika z sieci i nie będzie demaskować kolejnych spisków. – Ja się na jakiś czas wycofuję z infor-



FOT. ROKSTEF JAROSZ/EPRA

macji... Potrzebuję spokoju, co i wam proponuję [...]. Do niebawem, mam nadzieję. Trzymajcie się – pożegnała się. A co, jeśli wcale nie chciała zniknąć z Internetu i zrobiła to pod przymusem? Na przykład rządu światowego?

HELIKOPTEREM DO LUMPEKSU

Tymczasem Małgorzata Rozenek-Majdan postanowiła pozachęcać swoje fanki do kupowania w second-handach. Zrobiła to w dość osobliwy sposób, bo przy okazji zamieszczając swoje zdjęcie w helikopterze.

– W obiegu jest już tak dużo rzeczy, że można ubrać naszą populację kilka razy! Staraj się nie kupować nowych rzeczy. Jeśli przyczyny ekologiczne do Ciebie nie przemawiają – to powiem Ci inaczej, to się po prostu nie opłaca. Zanim wejdziesz do sklepu np. po markową torebkę, sprawdź, o ile taniej możesz ją kupić z drugiej ręki! Dla swojego bezpieczeństwa i spokoju kupuj markowe rzeczy w miejscach, które weryfikują autentyczność sprzedawanych produktów! – zaapelowała Lady Rozenek. Nie spotkała się jednak ze zrozumieniem, bo część fanek wytknęła jej hipokryzję. „Czyli Wy, tzw. celebrytki, możecie mieć nowe, a my, plebs, mamy nosić po Was” – napisała jedna z nich. Podobnych komentarzy pojawiło się więcej, więc Gosia się zdenerwowała. – Już rozkręćcie dramę i jakieś gwnoburzę w komentarzach pod ostatnim postem. Kochane, no spokojnie naprawdę, bo mi się tu Henio biedny traumatyzuje – apelowała. – Zaczynacie robić zarzuty o hipokryzję. Tak, nieraz zdarzało mi się kupić rzeczy używane, zdarzało mi się też sprzedawać rzeczy – tłumaczyła. Zupełnie nie rozumiemy, jak można zarzucać Lady Rozenek jakąkolwiek hipokryzję i jeszcze czepiać się helikoptera. No przecież czymś do tego second-handu trzeba się dostać!

O CZYM PISAĆ?

Prezenter telewizyjny Tomasz Kammel ma ochotę na napisanie książki. Kolejnej, bo trzy już napisał. W tym celu postanowił poradzić się swoich fanów, co tym razem chcieliby przeczytać, bo on sam za bardzo nie ma pomysłu.

– Słuchajcie, jest sprawa. Potrzebuję waszej opinii, bo nie wiem, co robić. Być może nie wiecie, ale jestem autorem trzech książek – zaczął. – Rzec w tym, że każda z tych książek dotyczy wystąpień publicznych. W związku z tym pytanie do was brzmi: O czym powinienem napisać czwartą książkę? – zapytał. – Skoro wszyscy „naumieliliśmy” się już wystąpień publicznych, to może warto pójść o krok dalej? Tylko dokąd? – zastanawiał się. Do szuflady! Tam będzie jej najlepiej. I nam z tym faktem też. ©©

50th
Anniversary of
Titanium
Technology
SUPER TITANIUM



Eco-Drive®



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH ŌŚRODKÓW

Kochani, jak pewnie wiecie, 10 października 2020 Iga Świątek zwyciężyła w wielkoszlemowym turnieju Roland Garros.

Mateusz Morawiecki zapowiada Narodowy Plan Gry w Tenisa. Zenek Martyniuk i Maryla Rodowicz nagrywają piosenkę o Idze.

Pamiętajcie dzieci, jeśli tatusiowi zabiorą immunitet, to w skrytce pod podłogą są małe immuniteczki...



c e z e x y e t y j s t o o ?

Następnie:

Jacek Sasin podkreśla rolę państwowych spółek w rozwoju tenisa w Polsce.

Andrzej Saramonowicz przypomina, iż to sukces Igi, a nie Polski.

Randomowe feministki z Twittera ironizują, iż Iga mogła przecież zostać w domu i rodzić dzieci.

A co nas czeka dalej?

Kraków twierdzi, iż Iga mówi „na pole”, Warszawa twierdzi, iż Iga mówi „na dwór”.

Janusz Korwin-Mikke zauważa, iż Iga serwuje prawą ręką.

Partia Razem zauważa, iż Iga zagrywa też na lewo.

Piosenka staje się dżinglem reklamy sklepu z elektroniką.

Twitter żyje dyskusją, czy Iga woli kielecki czy winiary.

Naród apeluje do Igi o stanowisko w sprawie aborcji, eutanazji, kary śmierci, 5G, COVID-19, maseczek w lasach i religii w szkołach.

Robert Lewandowski wicesportowcem roku w Polsce.

Podzielamy wzburzenie wszystkich, którzy negatywnie odnosili się do słynnego tweeta Andrzeja Dudy o treści „opos”. Nakreśliśmy tło dla osób niezających kontekstu. Jedna z użyt-

kowniczek Twittera wrzuciła zdjęcie zwierzęcia z prośbą o jego identyfikację. I wtedy osoboprezydent zawyrokował, iż mamy do czynienia z „oposem”. A przecież w tym czasie, kiedy sobie bez troski tweetuje, prezydent powinien zwalczać COVID, ustawiać do pionu Putina, sypać wały przeciwpowodziowe, wspierać przedsiębiorców i wziąć udział przynajmniej w jednej paradzie równości.

A już zupełnie niedopuszczalne jest, aby prezydent, przemocowo wykorzystując swoją pozycję w państwie, identyfikował zwierzę, nie mając wrażliwości na to, jaką tożsamość ono samo dla siebie wybrało. Nie wszystko, co wygląda na oposa, musi być oposem.

Widzieliśmy info, iż rząd planuje restrykcję, iżby sklepy monopolowe były zamykane o godz. 19.

Pomijając już epidemiologiczny sens takiego ruchu, chcemy zapytać: Co to, do cholery, ma być? Co wówczas mamy zrobić, kiedy najdzie nas ochota na wieczorne prosecco? Gdzie dokupimy chianti na wieczór typu „Netflix & wine & chil”? Albo jak nam zabraknie piwarka do sprite’a? Dlaczego nikt o nas nie myśli?!

Rząd zaczyna poważnie sobie z nami igrać, a ostrzegamy, mamy swoje granice cierpliwości i nie są one już daleko! @@



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:

FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Szura

Borys, mamy hit! Mamy punkt zacementowania! Możemy nareszcie w pisiorów uderzyć, sami się podłożyli!

Czekaj, Czarek, spokojnie. Co się stało?

Maszty będą stawiać!

Rany boskie! I teraz mi to dopiero mówisz?! Gdzie?!

Przed szkołami.

Powariowali! Przed każdą szkołą?! U Lenki pewnie też!

Mówią, że przed każdą. Morawiecki zapowiedział.

Zresztą niedaleko nas też jest szkoła. Czyli nas też będą truć! Słuchaj, trzeba to jakoś umiejętnie opakować. Bo przecież te biedne dzieci raka będą dostawać! Ale trzeba to jakoś tak... Żeby nie wyszło, że jesteśmy kompletnymi szurami.

Wiesz, o tym raku to w tym kontekście nie możemy... Jakoś tak mało patriotycznie wyjdzie.

Co tu ma patriotyzm?! Ktoś się przecież po prostu chce dorobić.

Na flagach?

Na jakich flagach?

No, na tych masztach będą flagi.

A, to tak sobie wymyślili sprytnie: postawić maszty 5G, a na nich flagi, żeby się nie dało skrytykować! @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Przy ośmiu tysiącach zatrzymują Giertycha. Ciekawe, czy mają już grafik i wyznaczonych do zatrzymania przy 10 000, 12 000 i 20 000...”

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Przemoc w domu ma nie tylko wymiar fizyczny

Przemoc w rodzinie to nie tylko fizyczne znęcanie się nad członkami rodziny, lecz także dręczenie psychiczne, przemoc seksualna i ekonomiczna. Przemocą może być też zaniedbanie, a więc niewywiązywanie się z obowiązku opieki nad bliskimi. Ofiary już dziś nie są pozbawione pomocy, a nowa ustawa antyprzemocowa jeszcze wzmocni ich pozycję.

Czy to, co się dzieje u mnie w domu, to już przemoc czy jeszcze „norma”? A może sama/sam sobie jestem winna/winien? Czy mogę coś z tym zrobić? – takie pytania codziennie zadają sobie tysiące osób, ofiar przemocy domowej. Ich cierpienia nieraz widzą osoby trzecie lub podejrzewają, że coś jest nie tak, ale bywa, że mają wątpliwości, nie chcą się wtrącać. Czym jest przemoc? Może objawiać się na wiele sposobów – nie tylko wiązać się z bezpośrednim krzywdzeniem fizycznym ofiary, co wydaje się najbardziej oczywiste i najczęściej występujące. Chociaż wcale tak nie jest.

PRZEMOC FIZYCZNA

To najbardziej oczywista i najbardziej jaskrawa forma przemocy – naruszenie nietykalności fizycznej. Sprawcy przemocy fizycznej celowo zachowują się tak, aby uszkodzić ciało ofiary, lub biorą pod uwagę ryzyko, że mogą spowodować bezpośrednie uszkodzenie ciała lub doprowadzić do wielu różnych chorób powstających w wyniku powikłań oraz stresu (od zaburzeń psychosomatycznych do zespołu stresu pourazowego). Wśród zachowań będących przejawem przemocy fizycznej można wymienić m.in. obezwładnianie, popychanie, szarpanie, odpychanie, ciągnięcie, szturchanie, klepanie, klapsy, ciągnięcie za uszy, włosy, szczypanie, kopanie, bicie ręką, pięścią, policzkowanie, przypalanie papierosami, duszenie, krępowanie rąk i nóg, a także polewanie substancjami żrącymi.

PRZEMOC PSYCHICZNA

Niezwykle groźna jest nie tylko przemoc fizyczna, lecz także psychiczna. Jest ona też najczęstszą formą przemocy domowej i jest bardzo trudna do udowodnienia. Jej sprawca – wykorzystując swoją przewagę – narusza godność osobistą ofiar, z którymi mieszka pod jednym dachem. Do zachowań uznawanych za przemoc psychiczną zaliczane są nie tylko wulgarne wyzwiska, zastraszanie, szantażowanie, zawstydzanie czy grożenie. Ta forma przemocy może również przybierać formę codziennej krytyki i upokarzania, wyśmiewania opinii,



przekonań czy religii, narzucania własnego zdania jako jedynego właściwego, a także zdradzanie sekretów ofiary czy krzywdzenie należących do niej zwierząt. Sprawcy tej formy przemocy niekiedy próbują wmawiać swym ofiarom chorobę psychiczną. Posuwają się także do formułowania kolejnych zakazów (np. zakazują kontaktu z rodziną i przyjaciółmi lub wręcz wychodzenia z domu), a także śledzą swe ofiary, pozbawiają je snu i pożywienia.

Skutkiem przemocy psychicznej może być zniszczenie poczucia własnej wartości ofiary oraz pozbawienie jej poczucia jakiegokolwiek mocy sprawczej, co utrudnia poszkodowanym próby podjęcia jakichkolwiek działań niezgodnych z wolą sprawcy.

PRZEMOC SEKSUALNA

Do działań naruszających intymność ofiary zalicza się nie tylko gwałt, wymuszenie pożycia seksualnego, zmuszanie do seksu z osobami trzecimi czy sadyzm podczas uprawiania seksu. Przemoc seksualna polega na zmuszaniu osoby do jakiegokolwiek aktywności seksualnej wbrew jej woli, a także na kontynuowaniu aktywności seksualnej bez pytania o zgodę partnerki lub partnera lub gdy ofiara działań sprawcy obawia się mu odmówić. Formą przemocy seksualnej jest także obmacywanie, zmuszanie do niechcianych praktyk seksualnych, nieliczenie się z oczekiwaniami partnerki lub partnera, wyśmiewanie wyglądu lub też krytyczne ocenianie sprawności seksualnej partnerki lub partnera. Ta forma przemocy, poza fizycznym cierpieniem ofiary, prowadzi również do obniżenia poczucia własnej jej wartości i godności, zaburzeń seksualnych, oziębłości etc.

PRZEMOC EKONOMICZNA

W tym przypadku sprawca przemocy domowej narusza prawo własności ofiary lub celowo ją zaniedbuje. Chodzi o takie zachowania jak np. okradanie, celowe niszczenie własności czy uniemożliwianie podjęcia pracy zarobkowej. Może to też być zmuszanie do zaciągania kolejnych kredytów i pożyczek, zaciąganie długów bez zgody współmałżonka czy też odmawianie dostępu do takich niezbędnych do życia pomieszczeń jak kuchnia, łazienka czy sypialnia. Formą przemocy ekonomicznej jest także zaniedbanie, czyli niewywiązywanie się z obowiązku opieki nad bliskimi. Chodzi m.in. o pozbawianie jedzenia, ubrania czy dachu nad głową, brak pomocy w chorobie czy też zaniedbania emocjonalne polegające na braku fizycznego wyrażania uczuć i braku wsparcia emocjonalnego.

GDZIE SIĘ ZGŁOSIĆ?

Po latach życia ze sprawcą przemocy wiele ofiar zaczyna uznawać takie obrazy samej siebie, które wmawiają im ich oprawcy. Zdominowane, poniżone i zastraszone nie szukają pomocy i nie potrafią uwolnić się od sprawcy przemocy. W Polsce – według policyjnych statystyk – każdego roku doświadcza jej aż ćwierć miliona osób. Rzeczywistych ofiar może być jeszcze więcej, ponieważ przestępstwa tego typu często nigdy nie są zgłaszane m.in. ze względu na strach przed sprawcami przemocy.

Warto pamiętać, że przemoc w każdej postaci jest karalna. W Polsce działa zaś wiele profesjonalnych instytucji, które mogą pomóc ofiarom przemocy domowej, w tym prawie 260 punktów pomocy pokrzywdzonym finansowanych ze środków Funduszu Sprawiedliwości. Aby otrzymać pomoc, wystarczy się do nich zgłosić – przyjść, napisać e-mail lub zadzwonić. Adresy i kontakty do wszystkich ośrodków dla pokrzywdzonych w całej Polsce są dostępne na stronie internetowej Funduszu Sprawiedliwości: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl. Lista punktów pomocy jest też dostępna na interaktywnej mapie: www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/. Można również zadzwonić i uzyskać wstępną poradę oraz adres najbliższego ośrodka (Linia Pomocy Pokrzywdzonym 222 309 900). W listopadzie w życie wchodzi także opracowana przez ekspertów z Ministerstwa Sprawiedliwości tzw. ustawa antyprzemocowa, która znacząco poprawia sytuację prawną ofiar przemocy domowej.

Mecenas Roman G. zwany Koniem i Ryszard K. zwany Grubym Rychem w szponach CBA, nowe wątki w sprawie Lolo Pindolo, czyli Sławka N., zabór mienia Leszka Czarneckiego, zabór dokumentów SB u ważnego byłego esbeka i kilka drobniejszych akcji. A mimo to byli tacy, którzy nie wierzyli w naszą zapowiedź z poprzedniego numeru, że szykuje się bardzo ciekawy tydzień.

Przyszłość też szykuje się ciekawa, bo popularne Abecadło, jak niektórzy zwa CBA, pilnie patrzy na ręce również przedstawicielom dobrej zmiany. Wiecie, tyłu już było od 2015 r. różnych ministrów i wiceministrów, że niemożliwe, żeby wszyscy byli czyści.

Roman całe życie dobrze się zapowiadał, aż się zaczął zapowiadać źle – takim epitafium żegnaliśmy mecenasa zwanego Koniem już tydzień temu. To co, panie i panowie z PeŁo? Czas na akcję „murem za Romanem”? No i „murem za Ryszardem”? Głupia sprawa, zwłaszcza że bardziej adekwatne byłoby hasło „wszyscy za murem”.

Zły Donald z Brukseli przegapił tymczasem bardzo dobrą okazję. Na zatrzymanie Giertycha zareagował nudnym i przewidywalnym jojem, że czego innego się spodziewać po wstrętnej władzy. A przecież mógł tweetnąć krótko: „CBA zatrzymało wicepremiera rządu PiS”.

Ryszard K. w odróżnieniu od Romana G. zwanego Koniem oświadczył zatrzymanym, że jest kompletnie zdrowy i nie potrzebuje lekarza oraz iż ma świadomość, że musi usiąść przed prokuratorem.

Siepacze z CBA zadbali o wszystko. Przewidując, że któryś z podejrzanych może źle się poczuć, zawczasu zabezpieczyli karetkę. Kiedy więc Roman zasłabł, na karetkę nie trzeba było w ogóle czekać. Diaboliczność dyktatury PiS przekracza kolejne granice.

Roman podobno poczuł się źle, kiedy usłyszał, że CBA wie o jego posiadłości pod Rzymem. Nic dziwnego, posiadłość bowiem nie jest jego. Właścicielką jest żona Romana, z którą ma rozdzielność majątkową. Problem polega na tym, że pani Barbarze może być ciężko

dwaj panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

wy tłumaczyć, że zarobiła na nią, zajmując się tzw. rozwodami kościelnymi, bo tym właśnie w prawie kanonicznym się pani mecenas zajmuje.

Musimy też zdradzić, że zatrzymanie Romana G. i Ryszarda K. jest właściwie dziełem przypadku. Śledczy martwili się już, że w śledztwie, jak to przed laty bywało, mogło dojść do przecieku. Panowie jakiś czas temu opuścili bowiem kraj. W pewnym momencie jednak odkryto, że na listach pasażerów lecących do kraju... No i się zaczęło. Żeby było zabawniej – Roman i Ryszard nie umawiali się na powrót do ojczyzny w tym samym terminie. Ale w sumie wyszło im bardzo efektywnie.

Apropos plotek o tym, że PeŁo chciałaby wymienić marszałkissimusa Senatu, Grodzkiego Tomasza. Prawda, choć oczywiście nie na Misia Kamińskiego, co opowiadają niektórzy. Oficjalnie, bo niby Grodzki się Budki nie słucha. Nieoficjalnie wiewiórki z PeŁo opowiadają, że trzeba uniknąć sytuacji, w której będzie głosowany immunitet niedobrego Tomasza. Bo zieloni bracia z Peezelu mają wielką ochotę na wspomnienie PiS w tym zbożnym dziele. Wszystko z zemsty za „piątkę dla zwierząt”.

Degradacja Grodzkiego miałaby sprawić, że zostanie przez peezelowców uznany za wystarczająco ukaranego. A nam w kwestii koalicji opozycji w Senacie przyszło do głowy takie określenie: bardzo płynna postnowoczesność. Oto jej

przykład: PeŁo uważa, że koalicja istnieje, a Peezel, że się zakończyła. Czysta płynna postnowoczesność. Major Bauman byłby z was dumny, chłopaki!

Jeszcze pozostając na chwilę w Senacie. „A wiecie, że niedługo Konfederacja będzie miała swojego pierwszego senatora?” – żartują młode gładkie chłopaki przy Wiejskiej. Komentują tak rozchodzące się drogi PiS oraz senatora Jana Marii Jackowskiego. Nie żebyśmy od razu wierzyli, ale na wszelki wypadek powtarzamy.

Tymczasem w rządzie. Najważniejszym pionem w kancelarii premiera stał się chwilowo pion przeprowadzek. Już wyjaśniamy. Jak wiadomo, do KPRM wprowadził się Jarosław Kaczyński, szeregowy wicepremier (SWP). Otóż prezes PiS zajął gabinet wicepremiera Jacka Sasina, który chwilowo jest bezdomny. Najbliżej SWP Kaczyńskiego urządza aktualnie Jan Dziedziczak – bo naprzeciwnko. Ale niedługo to on będzie bezdomny, gdyż jego gabinet zajmie docelowo Jacek Sasin. Gdy tylko ustalimy miejsce nowego pobytu biurka Dziedziczaka, od razu damy znać. Albo nie damy.

Apropos zmian w rządzie. Różne prawnicowe portale drą sobie łacha z odejścia wiceministra kultury Pawła Lewandowskiego, nazywając go „panem Springerkiem” i oskarżając o blokowanie przez lata dekoncentracji mediów. Nas interesuje co innego – czy wróci teraz na tapetę ustawa o stałej cenie książek. Był już moment parę lat temu, kiedy Kaczyński SWP mówił wydawcom, że ustawa będzie. Ale potem gdzieś zaginęła u Lewandowskiego – tak przynajmniej mówili źli ludzie.

Mamy pewien problem z gratulacjami noblistki Tokarczuk dla zwyciężczyni French Open, Igi Świątek. Brzmiały tak: „Niech każdy 10 października będzie świętem polskich kobiet i dziewczyn. Żebyśmy zdobywały najwyższe szczyty. Ściskamy cię, kobiety górą!”. Chcielibyśmy nieśmiało zwrócić uwagę pani noblistki Tokarczuk, że Iga Świątek brała udział w turnieju kobiet. W związku z tym możliwość, by zatriumfował w nim ktoś inny niż kobieta albo dziewczyna, była raczej nikła. Sensacją, pani Olgo, nie jest to, że turniej kobiet wygrała kobieta, tylko że wygrała go Iga.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



POMAGAMY
SPRAWIEDLIWIE



SZYBCIEJ, SKUTECZNIEJ, BEZPIECZNIEJ

DZIĘKI NOWEJ USTAWIE ANTYPRZEMOCOWEJ

**Nie będziesz musiała uciekać z mieszkania,
w którym jesteś narażona na przemoc domową!**

Do tej pory, jak wiele kobiet, mogłaś ratować się przed przemocą tylko ucieczką z mieszkania. Teraz się to zmienia! Zgodnie z nową ustawą to sprawca przemocy będzie musiał natychmiast opuścić mieszkanie i zostanie zakaz zbliżania się do Was. Policja tego dopilnuje, a sąd w błyskawicznym trybie zajmie się sprawą.

Nowa ustawa antyprzemocowa, przygotowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości, to przełomowe rozwiązanie prawne, które gwarantuje Ci szybką, skuteczną pomoc i zapewnia realne poczucie bezpieczeństwa.

Więcej informacji na www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



Uczłowieczanie zwierząt



Łukasz Warzecha

Pytanie o granicę rozszerzania ludzkich praw na zwierzęta nie jest jedynie retoryczne. Bojownicy o „prawa zwierząt” nigdy nie wyjaśnili, gdzie jest limit i dlaczego krowa ma mieć tak szerokie prawa, a już szczur niekoniecznie. Chociaż może po prostu nie wszystko nam jeszcze powiedzieli

Chcę bardzo jasno podkreślić – nie mamy zamiaru nikogo krzywdzić, zachowywać się nie fair wobec jakichś grup rolników, ale też nie ustąpimy z działań mających na celu wzmocnienie troski o dobrostan zwierząt, humanitarne ich traktowanie – powiedział w wywiadzie dla „Gazety Polskiej Codziennie” Jarosław Kaczyński, komentując sytuację wokół „piątki dla zwierząt”. Trudno podejrzewać prezesa PiS o nieświadome używanie konkretnych słów, warto zatem zwrócić uwagę na sformułowanie „humanitarne traktowanie zwierząt”. Stosowane zresztą przez wiele osób.

Synonimem przymiotnika „humanitarny” jest „ludzki”, mówilibyśmy zatem

o „ludzkim traktowaniu zwierząt”. Czyli – ni mniej, ni więcej – o traktowaniu zwierząt jak ludzi, tyle bowiem oznacza „ludzkie traktowanie”. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic niezwykłego: cała filozofia „piątki dla zwierząt” opiera się na pójściu w kierunku uczłowieczenia zwierząt.

Spójrzmy na polską awangardę prozwierzęcości, czyli europoseł Sylwię Spurek (w PE od niedawna we frakcji Zielonych). Na Twitterze napisała ona niedawno: „UE musi zrewidować przepisy dot. dobrostanu zwierząt i sprostać oczekiwaniom obywateli/li Europy. Musimy wykluczyć hodowlę klatkową i przemysłową, ze względu na środowisko, prawa człowieka i prawa



Marsz w obronie „praw zwierząt”, Warszawa, 24 sierpnia 2019 r. FOT. PAWEŁ H. GŁOGOWSKI/REPORTER

zwierząt. Najpierw utrudnić, a potem zakazać – to mój cel. Dyskusja o tym, czy trzymać zwierzęta w klatkach i w jakich warunkach, jest zbędna. Musimy dążyć do takiej przyszłości, w której prawa zwierząt są bezdyskusyjne, a gatunkowizm to przeszłość”.

GDZIE SĄ GRANICE?

Mamy tu dwa ciekawe pojęcia. Pierwsze to „gatunkowizm”. Jeśli dobrze rozumiem ten neologizm, to Spurek ma na myśli to, że przynależność do tego czy innego gatunku nie może definiować praw danej istoty. To prowadzi do ciekawych wniosków, bo łatwe do przewidzenia jest, że w takim razie świnka czy piesek powinny mieć takie same prawa

jak człowiek. Co jednak z wszą, karpiem, szerszeniem? Gdzie towarzyszka Spurek stawia granicę poszerzenia praw ludzkich na inne gatunki i dlaczego? Ba, można iść dalej i zapytać, dlaczego natchniona bojowniczką o prawa zwierząt chce walczyć tylko przeciwko hodowli klatkowej i przemysłowej? W czym hodowla „zwykła” jest lepsza? Przecież zwierzęta hoduje się w gospodarstwie niemal zawsze w tym samym celu – skorzystania z ich mięsa, ewentualnie innych produktów, takich jak mleko u krów czy wełna u owiec.

O owczej wełnie pani Spurek jeszcze się nie wypowiadała, ale mówiła już o gwałceniu krów w celu uzyskania mleka. Tym samym tropem poszła tak hołubiona przez Grzegorza Pude, nowego ministra rolnictwa, prozwierzęca organizacja Viva!, ponad dwa lata temu uruchamiając kampanię billboardową, która miała nam obrzydzić picie mleka (nie udało się). Na tablicach widać było zamkniętego w zagrodzie cielaka, a obok widniał napis: „Mleko, które pijesz, przeznaczone było dla niego”. Pod zdjęciem cielaka widniał zaś mniejszy napis: „Wybierz roślinne, nie płac za okrucieństwo” (w tym momencie pojawia się pytanie, kto zarabia na produkcji „mleka” roślinnego). Jak widać, zdaniem radykalnych działaczy prozwierzęcych okrucieństwem jest nie tylko zabijanie zwierząt na mięso, lecz także korzystanie z tych wytwarzanych przez nie produktów, które nie powodują ich śmierci.

Pytanie o granicę rozszerzania ludzkich praw na zwierzęta nie jest jedynie retoryczne. Po prostu ani towarzyszka Spurek, ani inni bojownicy o „prawa zwierząt” nigdy nie wyjaśnili, gdzie jest limit i dlaczego krowa ma mieć tak szerokie prawa, a już szczur niekoniecznie. Chociaż może po prostu nie wszystko nam jeszcze powiedzieli.

Drugie ciekawe i zarazem kluczowe pojęcie, które pojawia się w wypowiedziach zarówno pani Spurek i innych zwolenników antyrolniczej ustawy, to „prawa zwierząt”. To kwestia fundamentalna, bo pojęcie to jest oksymoronem: zwierzęta nie mogą mieć praw, przynajmniej w ramach tradycyjnego, przedświeceniowego do nich podejścia, do którego przecież teoretycznie PiS się przyznaje. Nie mogą zaś ich mieć, ponieważ istnieją dwa warunki bycia podmiotem praw: po pierwsze –

zdolność rozróżniania dobra i zła; po drugie – powiązana z tym zdolność do dokonywania świadomego wyboru i ponoszenia za niego odpowiedzialności. Zwierzęta nie spełniają ani jednego, ani drugiego warunku. Ludzie – tak. Dodać trzeba, że nie mówimy tutaj o indywidualnych przypadkach, ale o zdolności gatunkowej. Skoro jednak zdaniem Sylwii Spurek „gatunkowizm” jest przeżytkiem...

Na tych założeniach zbudowany jest cały zachodni system prawny w cywilizowanych krajach, który w przypadku czynów zabronionych każe zbadać zdolność sprawcy do rozumienia ich natury i jeśli sąd zostanie przekonany, że nie była ona pełna, wówczas kara wygląda inaczej lub w ogóle jej nie ma. Osoby zaś, które trwale są takiej zdolności pozbawione albo mają ją poważnie upośledzoną, nie cieszą się pełnią praw. Zwolennicy „praw zwierząt” chcieliby ten porządek rzeczy obalić, przy czym albo nie zdają sobie sprawy z porażających konsekwencji takiego kroku, albo chcą po prostu rozważenia zachodniej cywilizacji.

Prawa człowieka w ich pierwotnym, fundamentalnym znaczeniu (a nie tym rozbudowanym do absurdu w epoce postświeceniowej) są w gruncie rzeczy tym samym co prawa naturalne. Człowiek posiada je z samej swojej natury, odmiennej od natury zwierzęcia. Fundamentem jest tutaj przekonanie, że człowiek jest istotą moralną, czyli z założenia posiadającą świadomość ewentualnie czynionego zła – bo tylko wówczas można go za to zło karać. Nie trzeba tłumaczyć, że nie jest to przypadek zwierząt, których świat jest całkowicie wyjęty z kategorii moralności. Nie sposób przecież powiedzieć, że lew napadający pożywiającą się spokojnie antylopę, żeby ją zabić i zeżreć, popełnia „przestępstwo” lub czyni coś złego. Podobnie jak nikt rozsądny nie potępi jastrzębia, który porwie z gniazda świeżo wyklute pisklęta innego ptaka, choć z ludzkiego punktu widzenia byłby to czyn obrzydliwy.

Gdyby przyjąć rozumowanie Spurek i uznać, że istnieją „prawa zwierząt”, trzeba by odpowiedzieć na kilka wynikających z tego pytań. Po pierwsze: Czy wszystkim, ale to absolutnie wszystkim zwierzętom przyznajemy takie same prawa? A jeśli nie, to gdzie stawiamy granicę i dlaczego? Po drugie: Czy przyznajemy zwierzętom identyczne prawa, jakie mają ludzie, a jeśli nie,

to dlaczego? Przecież skoro rezygnujemy z „gatunkowizmu”, to w zasadzie nie ma powodu, żeby czynić tu rozróżnienie. Po trzecie: Skoro zwierzęta mają mieć prawa, to czy będą mieć również obowiązki? To naturalna druga strona tego równania. Po czwarte: Jak ma wyglądać odpowiedzialność zwierząt za złamanie prawa? Skoro uważamy, że zwierzęta mogą mieć prawa, to naturalną konsekwencją jest potraktowanie ich jak ludzi również w innych sprawach. Zaczniemy zamykać w więzieniu wilki za zbrodnie przeciwko sarnom?

MIEDZY LISEM A KURCZAKIEM

Nie wydaje się, żeby Sylwia Spurek i inni zwolennicy koncepcji „praw zwierząt” mieli na te pytania odpowiedź. Nie ma natomiast wątpliwości, że swoją aktywność widzą w kategoriach długiego marszu, który ma się zakończyć głębokim przewartościowaniem relacji ludzi i zwierząt. Spurek nie ukrywa przecież, że chodzi jej ostatecznie o to, aby zakazać jedzenia mięsa. W Polsce wciąż może się wydawać, że to nierealny absurd – choć w kontekście „piątki dla zwierząt” może już nie tak abstrakcyjny jak wcześniej – ale na Zachodzie już niekoniecznie. Kilka lat temu Spurek cytowała na Twitterze fragment książki Tobiasza Leenaerta „Jak stworzyć wegański świat”: „Musimy doprowadzić do zmian instytucjonalnych, na przykład poprzez tworzenie nowych praw [...]. Musimy sprawić, by produkcja wyrobów odzwierzęcych była trudniejsza i droższa”. Wyroby odzwierzęce to przecież nie tylko mięso czy futro, lecz także wspomniane mleko, wełna, skóra.

Książkę, którą cytowała Sylwia Spurek, opublikowało w Polsce wydawnictwo Krytyki Politycznej. Jej autor, Belg, jest współzałożycielem organizacji ProVeg. Podstawą jej działania jest ideologiczny sprzeciw wobec konsumpcji i hodowli zwierząt. Oficjalnym celem jest redukcja takiej hodowli o połowę do 2040 r., ale – jak zaznaczają przedstawiciele ProVeg – ma to być tylko pierwszy krok, bo oczywiście celem ostatecznym jest całkowita rezygnacja z mięsa. ProVeg działa również w Polsce jako oddział międzynarodowej struktury, podobnie jak inne ekologiczne organizacje w rodzaju Vivy!, PETA czy Greenpeace. Leenaert działa również jako mówca w ramach Center for Effective Vegan Advocacy (Centrum Skutecznego Oddziaływania Wegańskiego). Weganizm jest logiczną

konsekwencją uczłowieczania zwierząt – wszak nie sposób zjadać „zwierzoosób”.

Jednak traktowanie zwierząt jak ludzi prowadzi do groteskowych dylematów. Leenaert prowadzi blog, na którym dzieli się swoimi przemyśleniami. W kwietniu tego roku opisywał na przykład, przed jakimi problemami stanął, przeniosłszy się z 250-tysięcznej Gandawy na wieś. (Nawiasem mówiąc, całkowicie rozbrajające jest wyznanie Leenaerta, że od kilku lat czytał o dzikich zwierzętach, ale dopiero teraz bliżej poznał ich problemy. Taka jest na ogół świadomość walczących prozwierzęcych aktywistów, w tym tych walczących z myśliwymi).

Nie wiem, czy Leenaert nie naraża się towarzysze Spurek, bo wraz ze swoją partnerką, jak się okazuje, hodzi w gospodarstwie kurczaki (z pewnością nie na mięso). Pojawił się jednak problem, bo do kurczaków zaczęły się zakradać lisy. Leenaert rozpiął sobie możliwe skutki tej sytuacji: a) lisy zjedzą niektóre nasze kurczaki, b) ochronimy nasze kurczaki, ale wtedy lisy zakradną się do kogoś innego albo upolują jakieś dzikie zwierzęta, c) lisy nie zdołają zdobyć jedzenia i wtedy ich małe („niesamowite słodziaki” – jak to określa Leenaert) umrą z głodu. „Wówczas pomyślałem, że ten system jest do bani” – wyznaje aktywista.

To znakomity przykład, do jakich absurdów prowadzi dostrzeganie w zwierzętach czegoś więcej niż własne zwierząt. Ostatecznie Leenaert i jego dziewczyna wybrali chyba jednak mało „humanitarne” rozwiązanie, otaczając teren ogrodzeniem pod napięciem.

Zrównywanie ludzi i zwierząt prowadzi do porównań momentami skrajnie drastycznych i oburzających. Na przykład działająca również w Polsce PETA (People for the Ethical Treatment of Animals – Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt) prowadziła na Zachodzie pod hasłem „Holokaust na twoim talerzu” kampanię billboardową, porównując zwierzęta hodowlane do więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych. Na plakacie był wizerunek przypominającego szkielet więźnia obozu oraz wychudzonej krowy. Napis głosił: „W ciągu siedmiu lat między 1938 a 1945 rokiem 12 milionów ludzi zginęło w Holokauście. Taka sama liczba zwierząt jest zabijana co godzina na jedzenie tylko w samej Europie”. PETA nie odpaliła swojej kampanii w Polsce, prawdopodobnie licząc się z tym, że nawet mocno zaangażowani animalści nie byłiby

jej w stanie bronić. Pokazuje to jednak znakomicie sposób myślenia.

WARTOŚĆ ŻYCIA

Problemem ludzi, którzy nie widzą nic paradoksalnego w mówieniu o „prawach zwierząt”, jest to, że cały świat zwierzęcy postrzegają przez pryzmat swoich ukończonych zwierzątek domowych – kotków, piesków, chomiczków – które uznają niemal za domowników, a inne zwierzęta znają jedynie z zoo i filmów przyrodniczych. Ponieważ zaś większość ludności Zachodu mieszka w miastach, większość tak właśnie widzi problem.

W jednym ze swoich krótkich filmów Dennis Prager, założyciel amerykańskiego konserwatywnego think tanku Prager University, tłumaczy, że w judeochrześcijańskiej tradycji wartość życia ludzkiego – i tylko ludzkiego – jest nieskończenie duża, podczas gdy w tradycji pogańskiej można ją porównywać do wartości życia innych istot. Dodać można, że ma to swoje uzasadnienie choćby w jednoznacznym uznaniu przez chrześcijańską teologię, że jedynie człowiek posiada nieśmiertelną duszę. Święty Franciszek, na którego powołują się często po dyletancku obrońcy zwierząt, nie twierdził nigdy niczego innego, natomiast jego szczególny stosunek do zwierząt wynikał z szacunku dla Boskiego stworzenia w ogóle. Nie mogło zresztą być inaczej, bo przecież to człowiek – nie piesek, kotek czy rybka – został stworzony „na obraz i podobieństwo Boże”.

W swoim filmie Prager przywołuje prowadzone na przestrzeni 30 lat badania, w których studentów pytano, czy ratowaliby tonącego własnego psa czy raczej obcego człowieka. Niezmiennie dwie trzecie respondentów wskazywało na psa lub w najlepszym razie stwierdzało, że nie wie, co by zrobił.

W 2004 r. w Tuscon w stanie Arizona zapalił się dom. Gdy na miejsce przyjechali strażacy, kobieta, która zdołała uciec z palącego się budynku, zaczęła lamentować, że w środku zostało troje jej dzieci. Strażacy bez namysłu ruszyli w płomienie, żeby ratować potomstwo. Okazało się, że nie chodziło o dzieci, ale o koty. „Rozumiemy, jak ważne są dla ludzi ich zwierzęta – mówił potem lokalnej prasie Randy Ogden, zastępca dowódcy miejscowej straży – ale pamiętamy też o wartości ludzkiego życia i nie wysyłalibyśmy strażaków w środek tak intensywnego pożaru po koty”. Dziś za takie postawienie sprawy Ogdena spotkałaby zapewne anatema. © Wszelkie prawa zastrzeżone

MACIEJ PIECZYŃSKI: Senat ostatecznie przegłosował „piątkę dla zwierząt” z licznymi poprawkami. Vacatio legis przedłużono do 31 lipca 2023 r.

w przypadku zakazu hodowli zwierząt na futra i do 31 grudnia 2025 r. w przypadku zakazu uboju rytualnego, z którego wyłączono ubój drobiu. To dłużej niż w przypadku wcześniejszych propozycji premiera Morawieckiego, który chciał wygaszenia tych form działalności do 1 stycznia 2022 r. To dobre zmiany?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Senat naniósł wiele bardzo istotnych poprawek. Nie odważył się odrzucić w całości ustawy, co byłoby najlepszym rozwiązaniem i pozwoliłoby rozpocząć prace nad nową kompleksową ustawą o ochronie zwierząt. Vacatio legis im dłuższe, tym lepsze. Wcześniejsza propozycja premiera była kuriozalna, ponieważ, uwzględniając cały proces legislacyjny, okazałoby się, że ustawa wejdzie w życie niedługo później, niż wcześniej proponowano. Termin 2023 r. jest krokiem w dobrym kierunku, ale w dalszym ciągu niewystarczającym. To jednak będzie można przedłużyć stosownym moratorium. Sprawa pięcioletniego vacatio legis na ubój rytualny – z zakazu uboju należy abso-lutnie zrezygnować, bo to jest uderzenie w polskie rolnictwo. Kuriozalne jest to, że właściciel Cedrobu załatwił swoje interesy, natomiast ponad 300 tys. gospodarstw hodujących bydło mięsne w dalszym ciągu drży o swoje przetrwanie. Cieszę się, że nastąpiła jakaś refleksja. Do tej pory mieliśmy do czynienia jedynie z butą i arogancją. Szkoda tylko, że obóz rządzący zaczął szukać wyjścia z sytuacji dopiero po tym, jak już mleko się rozlało, a rozgoryczeni rolnicy wyszli na ulicę. Szanuję premiera Morawieckiego i współczuję mu, bo bierze udział w sztuce, w której chyba nie chciałby występować. Mówi rzeczy, w które nie do końca wierzy...

Kto tę sztukę wyreżyserował?

Nie wiadomo. Problem w tym, że nikt nie chce się przyznać do autorstwa tej ustawy. Niejaki pan Moskal jest raczej tylko figurantem. Jego wystąpienia pokazują, że nie ma żadnej wiedzy na tematy, na które się wypowiada.

On z kolei zarzuca panu, że to pan „nie odrobił lekcji” i nie zapoznał się odpowiednio z ustawą.

Skoro ta ustawa jest taka dobra, to dlaczego premier zgłasza do niej poprawki?! Dlaczego Senat tak mocno ją zmienił?! Czy była dobra, panie Moskal?! Szkoda mi czasu, by polemizować z kimś, kto nie ma pojęcia o rolnictwie i kto chyba w życiu nie zarobił złotówki na normalnej pracy.

Co do samych poprawek, cieszę się, że premier chce wyeliminować szkodliwe, bolszewickie zapisy, pozwalające organizacjom prozwierzęcym wchodzić do mieszkań, domów i gospodarstw.

Wcześniej premier proponował również m.in. powstanie Państwowej Inspekcji Ochrony Zwierząt...

Mam wątpliwości, czy w dobie kryzysu finansowego państwa stać nas na utworzenie nowej służby mundurowej. Moim zdaniem lepszym rozwiązaniem byłoby rozszerzyć uprawnienia Państwowej Inspekcji Weterynaryjnej, wesprzeć ją finansowo i kadrowo.



Z Janem Krzysztofem Ardanowskim,
byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Maciej Pieczyński

Humanizacja zwierząt to dehumanizacja człowieka

Bierze pan pod uwagę weto prezydenta? Albo odesłanie do Trybunału Konstytucyjnego?

Może być jedno i drugie. Prezydent spotyka się z rolnikami, zna dobrze stanowisko organizacji rolniczych. Jestem przekonany, że podejmie w związku z tym rozsądne decyzje. A wracając do vacatio legis, to hodowcy powinni mieć co najmniej 5, jeśli nie 10 lat na przebranzowienie się. Z kolei zgoda na eksport mięsa drobiowego z uboju rytualnego to z jednej strony dobry kierunek, ale z drugiej to kpina z rolników. Do tej pory bowiem mówiło się, że zakaz to kwestia sumienia. I nagle względy etyczne straciły swoje znaczenie?! Polski sektor hodowli drobiu mięsnego jest w dużej mierze zdominowany przez potężne firmy. Dla nich zakaz oznaczałby bankructwo. Najwyraźniej naciski wielkich koncernów drobiarskich okazały się mieć większą siłę przebicia niż „sumienie” ustawodawcy. Z kolei hodowla bydła mię-

snego rozproszona jest głównie w małych gospodarstwach, które nie są w stanie tak efektywnie wpływać na proces legislacyjny, dlatego tej branży nie udało się uchronić przed zakazem uboju rytualnego. To oznacza upadek branży. Bydło mięsne mogło być szansą na rozwój polskiego rolnictwa. Przed objęciem urzędu ministra złożyłem premierowi Morawieckiemu, w ramach tzw. planu dla wsi, propozycję rozwoju hodowli bydła mięsnego. Mamy w Polsce parę milionów hektarów nieużytków, które nie nadają się do zaorania i obsiewu, za to powinny służyć jako pastwiska dla bydła. To również nieużytki w górach, które

doskonale nadają się do wypasu owiec. Polscy rolnicy doskonale radzą sobie z uprawą kukurydzy, która świetnie się sprawdza jako pasza dla bydła. Świat jest zalany mlekiem, więc nie sposób hodować krów wyłącznie na potrzeby produkcji mleczarskiej. Szczególnie że mleko dają tylko krowy. Nie słyszałem, by ktoś doił byki. Z nimi też trzeba coś zrobić... Rezygnacja z poważnej gałęzi produkcji mięsa, jakim jest ubój rytualny, oznacza skazywanie hodowli bydła na upadek.

A przecież według pomysłodawców zmian przeciwnicy „piątki dla zwierząt” to tylko grupka lobbystów, a nie żadni tam rolnicy...

Rolnictwo jest systemem naczyń połączonych. Jeśli nie będzie hodowli kurczaków, to nie będzie komu sprzedawać zboża. Jeśli nie będzie hodowli bydła, to nie wykorzystamy trwałych użytków zielonych, nie zamienimy nieużytków w pastwiska i nie

■ wykorzystamy uprawy kukurydzy na paszę dla nich. Absurdem jest przyznawanie dotacji unijnych na nieużytki, na których rośnie tylko nikomu niepotrzebne zielsko. W Bieszczadach 200 tys. ha ziemi należy do mieszkańców Warszawy, którzy w ogóle się tym nie zajmują, a tylko zarabiają na dotacjach. Te tereny, zamiast się marnować, powinny być oddane rolnikom! To najprostsze rozwiązanie, które nie wymaga żadnych wielkich inwestycji.

Nowe propozycje zakładają też odszkodowania dla rolników.

To nie jest taka prosta sprawa. Po pierwsze, odszkodowania musiałyby objąć długi okres, nawet do 10 lat. UE nie zgodzi się na rekompensatę strat przyszłych. Wsparcie byłoby możliwe jedynie w ramach krajowego limitu pomocy dla rolników „de minimis”. Po drugie, według obliczeń ekonomistów odszkodowania mogłyby wynieść od 2 do 9 mld zł. Które państwo byłoby na to stać?! Czyżby Polskę, której w dobie epidemii koronawirusa brakuje pieniędzy na wszystko?!

Był pan zaskoczony „piątką dla zwierząt”. Ale czy tego nie można było przewidzieć? Przecież poglądy Jarosława Kaczyńskiego w tej sprawie znane są od dawna. Już w 2017 r. próbował zakazać hodowli zwierząt futerkowych.

Znam poglądy prezesa Kaczyńskiego na temat zwierząt. Uważam jednak, że ustawa oparta jest na fałszywej aksjologii. Wpisuje się w postulaty ruchów neomarksiowskich, stając po ich stronie w wojnie cywilizacyjnej. Nie chcę jednak się w to zagłębiać. Zwracam uwagę na konkrety, nie na ideologię. W programie wyborczym PiS, którego byłem współautorem i który realizowałem, nigdzie nie było zapowiedzi zakazu hodowli zwierząt futerkowych i uboju rytualnego. Gdyby taki zapis się tam pojawił, gwarantuję panu, że żaden rolnik nie zagłosowałby na tę partię. Rolnicy mają prawo czuć się zawiedzeni i oszukani. Jarosław Kaczyński wielokrotnie powtarzał działaczom PiS, że polityk to jest ktoś, kto analizuje skutki i konsekwencje swoich decyzji.

Sugeruje pan, że prezes tym razem nie zachował się jak polityk?

Ja nie zauważyłem żadnej refleksji. W PiS nie powstały żadne analizy, które by określały, jakie będą ekonomiczne, społeczne i polityczne skutki wprowadzenia „piątki dla zwierząt”.



FOT. ADAM CHESTOWSKI/FORUM

Jeśli chodzi o skutki polityczne, to wielu komentatorów uważa, że PiS liczył na zdobycie poparcia młodych ludzi o lewicowych poglądach. Dlatego też twarzą projektu stał się szef młodzieżówki.

Znam ten pogląd. Przekonanie, że młodsze roczniki zagłosują na PiS, to wróżenie z fusów, pobożne życzenia. Młodzi ludzie są z zasady antysystemowi, nie popierają partii sprawującej władzę. Po drugie, mają raczej poglądy skrajne, więc w tym wypadku i tak wybiorą albo Konfederację, albo ugrupowanie Roberta Biedronia. Zwolennicy daleko posuniętej ochrony zwierząt zwykle są też zwolennikami lewackiej rewolucji obyczajowej. Nie słyszałem, żeby ludzie o tego typu poglądach kiedykolwiek deklarowali sympatię do PiS. To absurd.

„To jest, moim zdaniem, kolejna odsłona wojny o zasady na poziomie wręcz aksjologicznym – czy człowiek ma prawo czynić przyrodę sobie poddaną – jak czytamy w Księdze Rodzaju – co uznają wszystkie religie świata, czy zwierzę stanie się ważniejsze od człowieka? Dehumanizacja ludzi i wręcz tworzenie bożków ze zwierząt – jakieś nowe pogaństwo się pojawia. To jest odprysk szerszej sprawy” – stwierdził pan w rozmowie z Radiem Maryja. Do czego ta wojna może nas doprowadzić?

Ta wojna już od dawna się toczy, głównie w Europie Zachodniej. Ruchy lewicowe kwestionują tradycję europejską, opartą na greckiej filozofii, rzymskim prawie i chrześcijaństwie. Próbuja stworzyć nowego człowieka europejskiego.

Ochrona zwierząt jest jednym z frontów wojny cywilizacyjnej?

Lewica próbuje zwiększyć rolę zwierząt kosztem człowieka, który tym samym przestaje być najważniejszym podmiotem historii i życia na świecie. Traci swoje prawa. Świadczy o tym coraz większa dopuszczalność aborcji i eutanazji w różnych krajach. Zamiast prawa człowieka do życia coraz częściej mówi się o prawach zwierząt. Niedługo jeszcze otrzymają one prawa wyborcze...

To oczywiście absurd. Ale jakie mogą być realne, przewidywalne w niedalekiej przyszłości, konsekwencje tej humanizacji zwierząt? Jeśli zgodzimy się na zakaz hodowli, to co będzie następne: podatek od mięsa? Kary za jego spożywanie?

Tak na marginesie, „piątka dla zwierząt” to nie jest tylko ustawa o futerkach. Próbuje się ludziom wmówić, że chodzi jedynie o uśmierzenie cierpienia, które zadają zwierzętom bandyci poprzebie-

rani za rolników. Tymczasem hodowcy norek walczą tylko o swoje interesy, nie robią nic sprzecznego z prawem. Tylko w 13 krajach UE, a więc w mniejszości państw Wspólnoty, funkcjonuje zakaz hodowli. Duńczycy i Finowie już zacierają ręce, by zyskać na zamknięciu tej branży w Polsce i przejąć nasze rynki. Wracając do pytania... Lewica podejmuje kolejne kroki. Miesiąc temu w Brukseli był dyskutowany zakaz hodowli kur w klatkach. Coraz częściej pojawiają się poważne wypowiedzi polityków unijnych o tym, że trzeba zacząć produkować syntetyczne mięso i tym samym wprowadzić zakaz

Zamiast o prawie człowieka do życia coraz częściej mówi się o prawach zwierząt.

Niedługo otrzymają jeszcze one prawa wyborcze...

hodowli zwierząt, bo to niemoralne. Mówił o tym niedawno Frans Timmermans. Wszyscy pamiętamy wypowiedzi pani Sylwii Spurek, która twierdzi, że hodowla bydła to gwałt na krowach. Mówi się też, że hodowla bydła źle wpływa na zmiany klimatyczne. Ta głupota szerzy się po świecie. Te fanaberie lewicowych radykałów zyskują coraz szerszą popularność. Kiedyś się mówiło, że szczęśliwy kraj to kraj mlekiem i miodem płynący. Dzisiaj to byłoby stwierdzenie niepoprawne politycznie. Bo przecież dojenie krów to element ich seksualizacji, a miod pochodzi z grabieży dokonywanej na pszczołach.

Powszechnie mówi się o tym, że zwierzęta powinny być traktowane „humanitarnie”. Ale humanitaryzm, jak sama nazwa i jej pochodzenie wskazuje, odnosi się przecież z definicji do człowieka. Czy więc zwierzęta nie zostały zrównane z człowiekiem już na poziomie języka?

Zgadza się. To jest tworzenie ze zwierząt nowych bożków, powrót do pogańskiego prymitywizmu, który zakładał przecież sakralizację przyrody kosztem człowieka. A przecież człowiek nie jest wrogiem zwierząt. Powinien jedynie dążyć do tego, by zwierzęta żyły w dobrych warunkach, miały odpowiednią przestrzeń. Pamiętajmy też, że zostały one powołane do życia właśnie decyzją człowieka, który je hoduje.

Konkretnie osobniki tak. Ale już cały gatunek poradziły sobie w naturze bez ingerencji ludzkiej.

Populacje zwierząt, które w Polsce żyją w naturze, przekroczyły wszystkie dopuszczalne normy. Liczba dzików jest porażająca, wilków jest coraz więcej, łosie niszczą zasadzenia leśne, kormorany pustoszą jeziora i stawy. Bobrów, których po introdukcji miało być ok. 4 tys. w Polsce, dziś jest ok. 150 tys. i nie wiadomo, co z tym robić. Przyroda jest w dużej mierze antropogeniczna, terenów dziewiczych jest bardzo niewiele. Człowiek ma zatem nie tylko prawo, lecz także wręcz obowiązek interweniować! Skoro tak bardzo zmienił przyrodę, to bierze za nią odpowiedzialność. Pytanie: Czy PiS to rozumie, czy wciąż jest partią prawicową, czy może woli przykładać rękę do lewicowej ofensywy przeciwko cywilizacji europejskiej?

No właśnie. Jak daleko PiS skreślił w lewo?

Wydawało mi się, że to jest partia prawicowa. Wciąż wielu jej działaczy i sympatyków ma taką nadzieję. Rozmawiam z posłami, senatorami, samorządowcami, aktywistami, którzy poświęcili życie dla PiS – wielu z nich jest przerażonych tym, co się dzieje z tą partią. Mam nadzieję, że tak radykalny skręt w lewo to jedynie wypadek przy pracy, który przydarzył się wyjątkowo w przypadku tej ustawy, którą wciąż jeszcze można wyrzucić do kosza. Oby rząd przegłotał nowy projekt, zakładający naprawdę dobre rozwiązania, realnie wzmacniające ochronę zwierząt. Trzeba przede wszystkim wzmocnić odpowiedzialność człowieka za zwierzę. Ale nie przez nadawanie praw lewackim organizacjom. Dobrym pomysłem jest, przegłosowane na szczęście przez Senat, rozwiązanie pozwalające konkretnie ustalić, kto jest właścicielem zwierzęcia, kto za nie odpowiada, wprowadzenie ciępowania, żeby nie było sytuacji, w której właściciel wyrzuca np. psa do lasu, bo się już nim znudził. Propozycje tych wszystkich rozwiązań zdążyłem przygotować przed dymisją. Trzeba też wykorzystać ciężką pracę pełnomocnika ds. ochrony zwierząt. Ja tę instytucję stworzyłem, ale człowiek, którego powołałem na to stanowisko, jest samodzielnym, zna się na rzeczy. Przede wszystkim trzeba wyrzucić do kosza tę głupią ustawę, przygotowaną bez konsultacji z Ministerstwem Rolnictwa i rolnikami, którą zaczęto poprawiać dopiero pod naciskiem protestów.

Poglądy psa nie mają znaczenia. Może być republikaninem albo demokratą. Ważne, że w Białym Domu zawsze jest dla niego miejsce. Bo prezydentem Ameryki od dziesięcioleci towarzyszą czworonożni przyjaciele, którzy nie tylko umilają swym panom sprawowanie urzędu, lecz także miewają do spełnienia ważne zadania, również polityczne – gdy trzeba poprawić opinię pana, zadbać o jego popularność czy rozładować napięcie.

Z tej nieformalnej tradycji wyłamał się Donald Trump – od ponad stu lat pierwszy prezydent bez psa. Jak to możliwe? – On po prostu psów nie lubi – wyjaśniła prasie pierwsza żona Trumpa, Ivana. Ostatnim prezydentem, który również nie miał psa, był William McKinley, zmarły w 1901 r. w następstwie zamachu. Ale miał za to dwa koty, papugę i koguta.

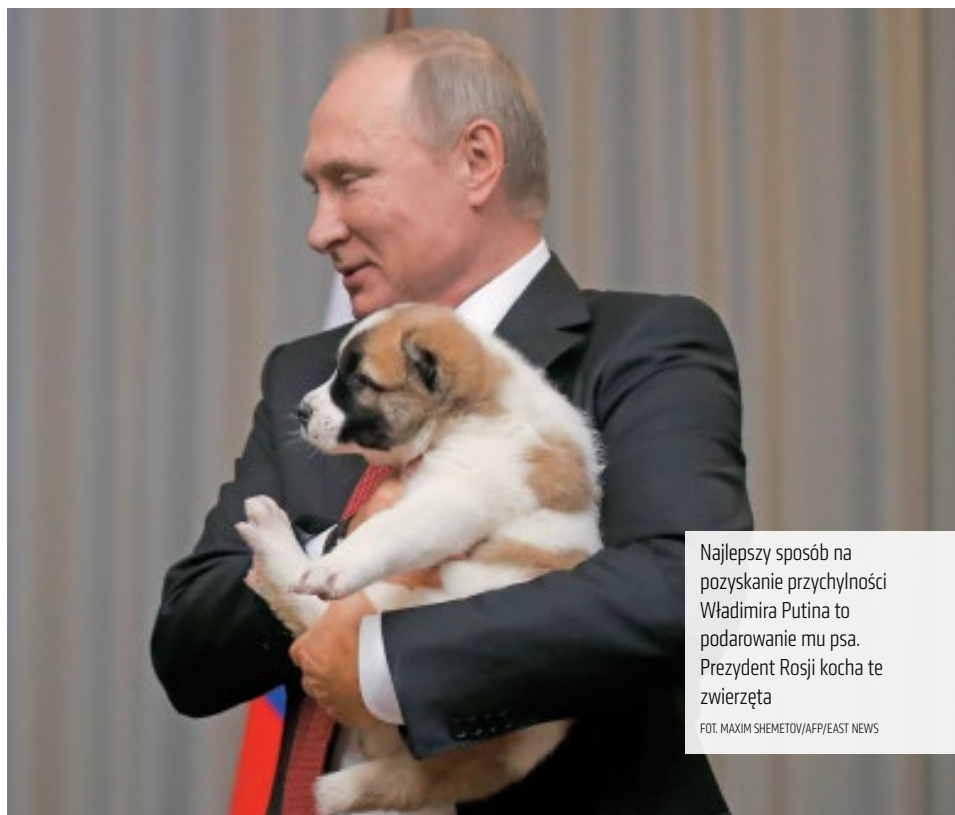
W polityce amerykańskiej psy są obecne tak bardzo, że mają nawet swój dzień – 23 września. To National Dogs in Politics Day, bardziej znany jako Checkers Day, od imienia spaniela Richarda Nixona. W 1952 r. Nixonowi, który kandydował na wiceprezydenta u boku Dwighta Eisenhowera, zarzucono przyjęcie osobistych prezentów. 23 września wystąpił więc w telewizji, solennie zapewniając, że wszystkie zwróci, poza jednym: nie odda otrzymanego szczeniaka, bo obie jego córeczki bardzo się do niego przywiązały. Republikanie wygrali.

W Białym Domu prezydentom zawsze towarzyszyły psy albo koty, a czasem jednocześnie i psy, i koty. Nie inaczej jest na Downing Street, w Pałacu Elizejskim i na Kremlu. „Jeśli chcesz mieć w Waszyngtonie przyjaciela, to spraw sobie psa” – mówił Harry Truman, gdy obejmował urząd. Lub kota – dodają ich miłośnicy.

PANDA DYPLMATYCZNA

Zwierzęta, o których piszemy w tym artykule, nie potrzebują ochrony. Mają wszystko, co zwierzęciu jest potrzebne do życia, łącznie z – a może przede wszystkim – miłością otoczenia. Gdyby więc mogły, najpewniej wyśmiałyby takie pomysły, jak przyznanie praw człowieka najpierw wielkim małpom, a później innym gatunkom – bo choć brzmi to niewiarygodnie, to istnieją organizacje, które do tego dążą.

Niektóre z tych zwierząt pracują – ale jeśli już, to w zgodzie ze swą naturą. Kot zatrudniony w urzędzie ma łowić myszy, więc jego praca to chyba przyjemność? Podczas wojen czy konfliktów zwierzęta



Najlepszy sposób na pozyskanie przychylności Władimira Putina to podarowanie mu psa. Prezydent Rosji kocha te zwierzęta

FOT. MAXIM SHEMETOV/AFP/EAST NEWS

Ludzka twarz pana



Teresa Stylińska

W Białym Domu prezydentom zawsze towarzyszyły psy albo koty, a czasem jednocześnie i psy, i koty. Nie inaczej jest na Downing Street, w Pałacu Elizejskim i na Kremlu. Obecność zwierząt w polityce jest nie do przecenienia

wypełniają zadania specjalne – jak konie dostarczające broń i amunicję na pole walki, psy wykrywające materiały wybuchowe czy gołębie przynoszące pocztę polową. Bywa, że dodają żołnierzom otuchy – co wcale nie jest bez znaczenia.

A w polityce? Tutaj obecność zwierząt jest nie do przecenienia. Przede wszystkim

kim przysparza sympatii, bo pokazuje ludzką twarz polityka. Kto nie spojrzy na niego życzliwiej, gdy ujrzy go z kotem na kolanach czy na spacerze z psem? Jednak zadania nałożone na zwierzęta wykraczają poza pozyskiwanie sympatii. Zwierzęta są doskonałym narzędziem dyplomacji – ułatwiają nawiązywanie

kontaktów i tworzą dobry grunt do współpracy.

Najbardziej znanym współczesnym tego przykładem jest praktykowana przez Chiny „diplomacja pand”. Pandy są na tym polu wyjątkowo cenne: piękne, rzadkie i niełatwe w utrzymaniu. Chiny mają na nie monopol i dlatego czarno-białe niedźwiadki zawsze doskonale sprawdzały się w roli wyjątkowych prezentów, którymi obdarowywano kraje zaprzyjaźnione albo szczególnie ważne dla Chin. W latach 50. pandy otrzymał Związek Sowiecki, a w 1972 r. Stany Zjednoczone. Para Hsing-Hsing i Ling-Ling przypieczętowała przełom w stosunkach amerykańsko-chińskich, zainicjowany przez Richarda Nixona, który w rewanżu podarował Chinom parę piżmowców.

Bardziej osobisty wymiar ma „diplomacja zwierzęca” praktykowana wobec Rosji. Jej adresatem jest bowiem nie kraj, lecz człowiek: Władimir Putin. Skoro, jak powszechnie wiadomo, Putin kocha psy, najlepszy sposób na pozyskanie jego przychylności to podarowanie mu psa. W ten sposób u boku Putina znalazły się owczarki: bałkański sarplaninac Pasza, dar prezydenta Serbii Aleksandara Vučića, bułgarski karakachan Buffy od premiera Bojko Borisowa i środkowoazjatycki Werni od prezydenta Turkmenistanu Gurbanguly Berdimuhamedowa, gdy ten zabiegał o kontrakt na dostawę gazu do Rosji.

POLITYK ŚPI CAŁY DZIEŃ

– Morris doskonale nadaje się na polityka. Śpi cały dzień i nic nie robi – tak rekomendował swego kota jego właściciel. Parę lat temu czarno-biały kocur kandydował na stanowisko burmistrza miasta Xalapa, stolicy meksykańskiego stanu Veracruz. Nie został wprawdzie wybrany, ale nie jest to wcale regułą. Przeciwnie, zwierzęta, które kandydują na urzędy, zwłaszcza w samorządach, często odnoszą sukces i z powodzeniem rządzą przez długie lata.

W tym gronie dominują psy i koty, ale są też kozy, małpy, a nawet – to akurat przypadek wyborczej porażki – nosorożec Cacareco, kandydat na radnego w São Paulo sprzed ponad półwiecza. Szczególny powód do zadowolenia ma golden retriever Max II, burmistrz miasteczka Idyllwild w południowej Kalifornii. Nie dość, że jest drugim burmistrzem w rodzinie – stąd numer przy imieniu – to jeszcze sprawuje funkcję dożywotnio. Tak postanowili mieszkańcy, zadowoleni z pracy Maxa, który promuje miasto i uświetnia swą obecnością wszelkie uroczystości, co – zdaniem

komentatorów – w pełni uzasadnia porównania z monarchią. Podobnie ambitne zadania mają inni, jak choćby beżowy kot Stubbs, który przez 10 lat był honorowym burmistrzem miasta Talkeetna na Alasce czy border collie Lucy Lou, rządzący Rabbit Hash w stanie Kentucky.

Kiedy Morris w Xalapie wstąpił w szranki wyborcze, londyński dziennik „Guardian” oddał głos Larry’emu, kotu z Downing Street 10. Główny Myszolap Urzędu Premiera, jak brzmi jego oficjalny tytuł, indagował Davida Camerona, czy sam mógłby zostać burmistrzem Londynu. Premier dał mu wolną rękę – czy też raczej łapę. Gdy po przegranym referendum brexitowym Cameron opuszczał Downing Street, Larry pozostał na miejscu. Jest przecież kotem na urzędzie, z własną stroną internetową, na której dzieli się przemyśleniami na aktualne tematy.

POLOWANIE NA ODLEGŁOŚĆ

Larry nie jest ani pierwszy, ani jedyny. Na Downing Street od lat stale rezydują koty, bo ktoś musi panować nad plagą myszy. Najślynniejszym jego poprzednikiem był Humphrey, szylkretowy ulubieniec Margaret Thatcher, która w ferworze spraw i obowiązków zawsze o nim pamiętała – czego dowodem puszka sardynek, prezent z oficjalnej wizyty w Moskwie.

Na początku sierpnia na emeryturę przeszedł Palmerston, kot z Foreign Office. Pragnie, jak poinformował w liście do podsekretarza stanu Simona McDonalda, móc jeszcze spokojnie cieszyć się życiem. Nie bez wpływu na tę decyzję była epidemia koronawirusa. Jak wszyscy, stwierdził Palmerston, musiałem pracować zdalnie, a w ten sposób nie da się łowić myszy. Natomiast bez zmian pracuje Gladstone, czarny jak smoła kocur z ministerstwa skarbu.

Czarno-biały Socks Billa Clintona zastąpił tym, że jako pierwszy kot miał własną stronę internetową. Dzisiaj nie jest to nic szczególnego, zwłaszcza tam, gdzie, tak jak w Wielkiej Brytanii, czynnikiem oficjalnym nie brakuje poczucia humoru. Jednak historia Socksa to także doskonała ilustracja, jak bardzo obecność zwierząt rzutuje na opinię ich panów. Gdy do Białego Domu wprowadził się brązowy labrador Buddy, Socks poszedł w odstawkę. I to nie podobą się Amerykanom wcale nie mniej niż romans prezydenta z Monicą Lewinsky.

Oburzeniem zapalał też Brytyjczycy, gdy rozeszły się pogłoski, że Cherie, żona premiera Tony’ego Blaira, nie lubi kotów

i chce pozbyć się Humphreya. Sprawa oparła się o parlament i w konsekwencji pani Blair po tysiącokroć musiała zapewnić, że kot pozostanie na miejscu.

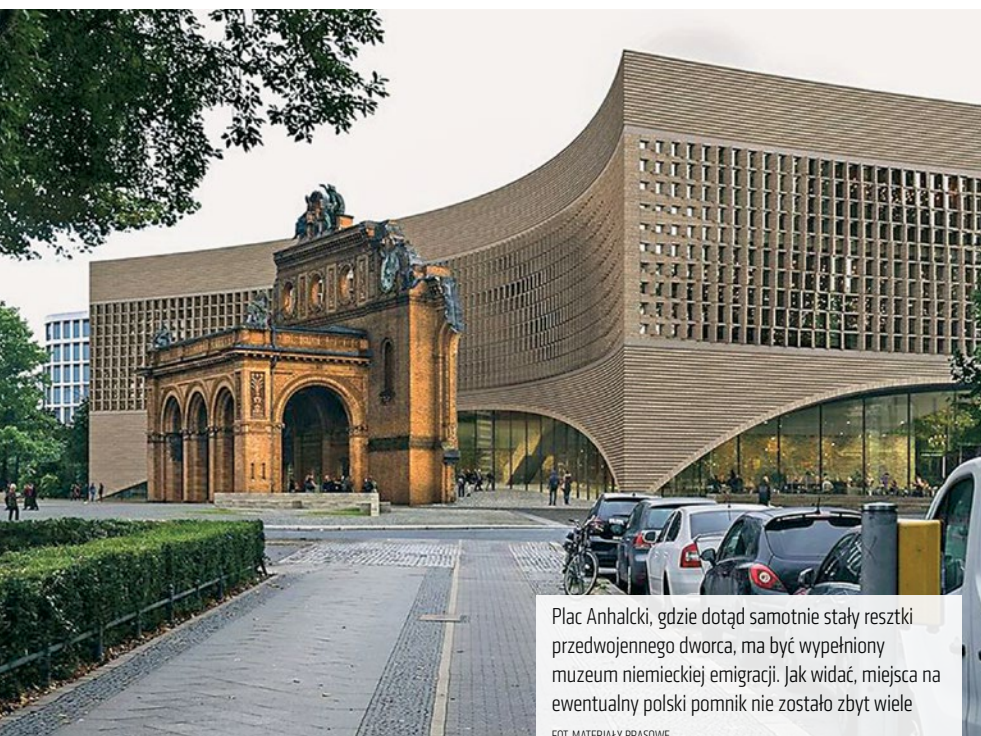
Wielka Brytania to pierwszy, choć dziś już nie jedyny kraj, gdzie doceniono i uhonorowano waleczność zwierząt podczas wojen. Od 1943 r., gdy ustanowiono Medal Dickin – odpowiednik Victoria Cross – otrzymało go 71 zwierząt: 34 psy, 32 gołębie, cztery konie i jeden kot. W listopadzie dołączy do nich Kuno, owczarek belgijski, ciężko ranny w Afganistanie.

SŁOŃ, OSIOŁ I KOT

Zwierzęta w polityce zajmują na tyle ważne miejsce, że American Political Science Association poświęciło im specjalną analizę. Nie rozstrzygnięto wprawdzie, ile prawdy jest w przekonaniu, że ludzie prawiacy wolą koty, a lewicy psy, za to oceniono, iż obecność psa znakomicie poprawia obraz polityka i podkreśla jego talenty przywódcze. Dlatego podczas wojny Franklin Delano Roosevelt stale pokazywał się z Falą, swym szkockim terierem, a Bill Clinton zdjęciami z Buddym poprawiał sobie zszarganą skandalem opinię.

Labrador to najpopularniejsza rasa wielkiej polityki. Od czasu Georges’a Pompidou każdy prezydent Francji ma labradora, czarnego lub brązowego. Baltique, suka François Mitterranda, która zgodnie z wolą prezydenta szła za jego trumną, choć do katedry Notre Dame nie została mimo wszystko wpuszczona, została nawet uwieczniona w piosence. Za to Emmanuel Macron pozwolił sobie na drobne odstępstwo od tradycji. Jego Nemo to mieszaniec labradora z gryfonem, w czym komentatorzy dopatrują się podtekstu: taki pies jest zwyczajniejszy, a więc bliższy ludziom.

W Polsce zwierzęta w polityce nie odgrywają, niestety, takiej roli, jaką mogłyby i nawet powinny. Aż dziw, że nikt do tej pory nie pomyślał, by wystąpić o Medal Dickin dla słynnego misia Wojtka, który pod Monte Cassino dzielnie dźwigał skrzynki z amunicją. Przecież Wojtek to żołnierz armii sojuszniczej, no i w gronie odznaczonych byłby jedynym niedźwiedziem. W dyplomacji obecny jest zubr. Trzy zuby otrzymała Francja w 1991 r. jako prezent podczas wizyty Lecha Wałęsy. A koty braci Kaczyńskich? Na pewno doskonale sprawdziłyby się w roli partyjnego wizerunku. Skoro w USA republikanie mają słonia, a demokraci osła, to czemuż by partii nie mógł patronować kot?



Plac Anhalcki, gdzie dotąd samotnie stały resztki przedwojennego dworca, ma być wypełniony muzeum niemieckiej emigracji. Jak widać, miejsca na ewentualny polski pomnik nie zostało zbyt wiele

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Końca nie widać



Piotr Semka

Czy przyjęta niedawno przez Bundestag ustawa o utworzeniu centrum pamięci o ofiarach niemieckiej okupacji Europy zamyka drogę do powstania w Berlinie pomnika polskich ofiar drugiej wojny światowej? Czy „polski projekt”, który 30 października rozpatrzy Bundestag, ma szanse na realizację? Niestety, niewiele na to wskazuje

Umocnić pamięć o ofiarach niemieckiej wojny na wyniszczenie”. Tak nazywa się ustawa Bundestagu przyjęta 9 października br., która zobowiązuje władze państwowe do przedstawienia propozycji muzeum, mającego upamiętnić ofiary niemieckiej okupacji Europy i północnej Afryki. Nazwa ustawy z użyciem słowa „wojna na wyniszczenie”, po niemiecku Vernichtungskrieg, używa określenia, które dotąd stosowane było głównie wobec niemieckiej okupacji terenów ZSRS z położeniem nacisku na eksterminację Żydów. Uzasadnienie ustawy mówi jednak o znacznie większej liczbie tragicznych wydarzeń. Mowa jest

o Polsce jako pierwszej ofierze „fanatycznej polityki i rasistowskiej ideologii Lebensraumu”. Wspomniane też jest powstanie warszawskie i zniszczenie Warszawy. Autorzy ustawy podkreślają, że zamiarem niemieckiego okupanta „od początku było całkowite zgładzenie państwowości Polski, a terroru, który towarzyszył realizacji tych zamierzeń, nie da się porównać z niczym innym w historii niemieckiej polityki okupacyjnej w Europie”.

Jednak obok polskiego akapitu w uzasadnieniu mowa jest też o zbrodniach na cywilach na terenie okupowanej Grecji, są wzmianki o zaplanowanym i wykonanym głodzeniu ludności w Holandii

w ostatnich miesiącach drugiej wojny światowej, o „zbrodniczym traktowaniu sowieckich jeńców wojennych, paleniu ukraińskich i białoruskich wsi”.

Jak widać, placówka ma zajmować się wszystkimi okupacjami, choć – jak można podejrzewać – narody wschodnie i ich cierpienia będą wyeksponowane bardziej niż przykłady gwałtów z okupowanych państw na zachodzie, we Włoszech i na Bałkanach. Ośrodek ma też zająć się niemiecką okupacją Afryki Północnej. Ustawa bardzo wyraźnie zaznacza, że ma być to placówka poświęcona edukacji niemieckiego społeczeństwa. Jak zapisano w ustawie: „Niemiecki Bundestag wypełnia lukę w niemieckiej kulturze pamięci”. I dalej: „Nie ma wątpliwości, że zakres zbrodni narodowych socjalistów w Europie wschodniej i południowo-wschodniej jest zbyt słabo zakorzeniony w świadomości zbiorowej Niemców”.

ZACHOWAĆ TWARZ

Ustawa zaznacza jednak, że ośrodek ma powstawać według ekspertyzy fundacji Pomnika Pomordowanych Żydów Europy. Sprawia to wrażenie, jakby wspomniana Fundacja, której dziełem był gigantyczny pomnik ofiar Holokaustu wybudowany w okolicach Bramy Brandenburskiej, miał być swego rodzaju nadzorcą nowej inicjatywy. Wynika to z samego statutu fundacji, przyjętego przez Bundestag w 1999 r., który zakłada, że fundacja ta zajmować się będzie także innymi obok Holokaustu formami zbrodni nazistowskich. Jeśli to wrażenie byłoby prawdziwe, to oznaczałoby to pośrednio uznanie przez Niemców, że to liderzy pamięci o zagładzie narodu żydowskiego powinni wyznaczać proporcje w opowieści o niemieckich niegodziwościach w czasie ostatniej wojny. Ustawa z 9 października zamknęła kwestię luki pamięci, na którą Polska zwróciła uwagę na początku drugiej dekady XXI w. Tyle że tę lukę zasypiano bez wyróżnienia zbrodni dokonanej na Polakach.

Akt prawny w sprawie ośrodka badającego wszystkie okupacje w Europie był wspólnym dziełem koalicji CDU/CSU-SPD.

Teraz, 30 października, rozpatrywany ma być projekt ustawy o miejscu pamięci (Gedenkort) poświęconemu polskim ofiarom drugiej wojny światowej. Ten projekt jest już samodzielnym dziełem posła Manuela Sarrazina, polityka Partii Zielonych i szefa polsko-niemieckiej grupy parlamentarnej. W pracę nad tym aktem zaangażowani są sekretarz generalny CDU

CO Z MIEJSCEM PAMIĘCI POLSKICH OFIAR WOJNY W BERLINIE

Paul Ziemiak oraz polityk SPD Dietmar Nietan. Nie jest jednak tak, że ich projekt ma już poparcie klubów chadekcy i socjaldemokratów. Grupa Sarrazina planowała początkowo, by powstał plac ku czci daty 1 września 1939 r. wraz z pomnikiem, który mógłby stać przed centrum pamięci o zbrodniach na narodach niemieckiej okupacji. Teraz pomysłodawcy „miejsca pamięci polskich ofiar” są zdania, że forma pomnika powinna być kwestią dyskusji. Dopuszczają możliwość formy czysto pomnikowej, ale też biorą pod uwagę pomnik „żywy”, czyli np. miejsce badań nie tylko niemieckich zbrodni na Polakach w trakcie ostatniej wojny, lecz także szerzej – skomplikowanych relacji polsko-niemieckich w ostatnim tysiącleciu.

Pytanie jednak, czy projekt Sarrazina uzyska 30 października poparcie Bundestagu?

Politycy niemieccy, z którymi rozmawiałem, nie są o tym przekonani. Wskazują, że zarówno Sarrazin jako szef grupy polsko-niemieckiej, jak i Ziemiak, który urodził się w Szczecinie w 1982 r., są niezwykle emocjonalnie zaangażowani w pojednanie polsko-niemieckie. To samo dotyczy Dietmara Nietana, który od

10 lat jest prezesem Zarządu Federalnego Związku Towarzystw Niemiecko-Polskich. Z liczących się polityków niemieckich projekt Sarrazina popiera jedynie ważny polityk CDU Wolfgang Schäuble, jeden z najstarszych deputowanych do Bundestagu (78 lat), który prezentuje jeszcze poczucie winy za niegodziwość wobec Polski typowe dla polityków chadeckich z lat 80. i 90.

„Większość posłów nie musi mieć tak osobistego stosunku do potrzeby upamiętnienia polskich ofiar” – mówi jeden z polityków CDU. I dodaje: „Dzisiejsza niemiecka kultura pamięci uznaje wiodącą rolę hołdu dla ofiar Holocaustu, a następnie sankcjonuje osobne upamiętnianie jedynie zagłady Romów i Sinti oraz unicestwiania osób psychicznie chorych i cierpień homoseksualistów. Każde wyszczególnianie cierpień konkretnego narodu jest traktowane jako ocieranie się o nacjonalizm. Skoro i tak już zrobiono wyjątek i przegłosowano tworzenie centrum pamięci o zbrodniach na narodach niemieckiej okupacji, to posłowie mogą uznać, że już zrobiono wystarczająco wiele i »polski« projekt może nie zyskać większości”.

Inny sympatyzujący z Polską niemiecki polityk, z partii Zielonych, wskazuje: „Gdyby ten projekt był uznany przez chadeków i socjaldemokratów jako ważny dla niemieckiej racji stanu, byłby projektem rządowym, tak jak ustawa przyjęta 9 października. To, że tak się nie stało, nie najlepiej wróży projektowi Sarrazina. Ale nie przesądzajmy. Jakies poczucie, że winy wobec Polaków to coś innego, jednak istnieje. Niemiecki rząd lubi pewne rzeczy zamykać raz na zawsze. Być może polscy dyplomaci mają jeszcze jakieś pole do wymyślenia razem z niemiecką stroną formuły, która pozwoli wam zachować twarz. I nam też” – dodaje po chwili nieco zawstydzony swoją szczerością.

OSIEM LAT DREPTANIA W MIEJSCU

Dzisiaj widać już wyraźnie, że idea pomnika Polskich Ofiar w Berlinie pojawiła się za późno. No ale nie byłoby jej, gdyby nie powstały w Berlinie trzy inne pomniki – wielki pomnik żydowskich ofiar, znacznie mniejszy pomnik zamordowanych Romów i Sinti i wreszcie memoriał ku czci ofiar prześladowanych homoseksualistów. Właśnie te trzy przykłady skłoniły

REKLAMA

Bezpieczny Senior



Ministerstwo Rodziny
i Polityki Społecznej

Dziś, w okresie epidemii koronawirusa, jak nigdy dotąd, los wszystkich, a w szczególności seniorów, zależy od nas samych. W ramach solidarności międzypokoleniowej wszyscy zobowiązani jesteśmy zapewnić naszym nestorom realne bezpieczeństwo. W tym celu stworzone zostały przez rząd specjalne procedury m.in. takie jak obowiązkowe zasłanianie nosa i usta w miejscach publicznych czy konieczność zachowania dystansu społecznego.

Z myślą o osobach starszych od 15 października przywrócone zostały tzw. »godziny dla seniorów«, czyli możliwość wyłącznego robienia przez nich zakupów w godz. 10–12 w sklepach spożywczych, drogeriach i aptekach. Celem jest ograniczenie konieczności przebywania przez osoby starsze w dużych skupiskach ludzkich, aby zminimalizować ryzyko ich zakażenia.

Dodatkowo w ramach programu „Posiłek w szkole i domu”, na który przeznaczyliśmy w tym roku 550 mln zł, finansowane są m.in. posiłki oraz ich dowóz osobom starszym, chorym oraz z niepełnosprawnościami. Potrzebę takiego wsparcia należy zgłaszać do lokalnego ośrodka pomocy społecznej.

Blisko 0,5 miliarda złotych przeznaczyliśmy na zapewnienie ciągłości działania domów pomocy społecznej. Środki te zostały przeznaczone na bieżącą działalność placówek, w tym: zatrudnienie dodatkowego personelu, dodatkową gratyfikację pracowników czy też środki ochrony osobistej.

Proszę, bądźmy odpowiedzialni razem w walce z koronawirusem.

Marlena Małag

Minister Rodziny i Polityki Społecznej

Seniorzy, pamiętajcie o wytycznych Głównego Inspektora Sanitarnego:

1. Często i dokładnie myć ręce



3. Zachowaniu dystansu społecznego



2. Regularnym myciu i dezynfekcji sprzętu, z którego korzystacie



4. Unikaniu skupisk ludzi i robieniu zakupów w dedykowanych dla Was godzinach (10–12)



Więcej informacji:

www.gov.pl/koronawirus

www.gov.pl/rodzina



Tak obecnie wygląda miejsce wokół ruin dawnego dworca anhalckiego w Berlinie

FOT. ADOBE STOCK

W 2012 r. Władysław Bartoszewskiego, ówczesnego szefa polskiej dyplomacji, do zaapelowania do Niemców o uczczenie Polaków, którzy zginęli z niemieckiej ręki. Już wówczas oznaką, że strona niemiecka uznaje apel Bartoszewskiego jako niestosowny, były komentarze np. w „Deutsche Welle”, które przyznawały, że Polska w nadzwyczajnym stopniu uciepiała z rąk Hitlera, ale które stanowczo zaznaczały, że jest to projekt nierealny.

Bartoszewski zmarł w 2015 r. i dopiero w 2017 r. Florian Mausbach, wieloletni prezes Federalnego Urzędu ds. Budownictwa i Planowania, oraz Stefan Troebst z Uniwersytetu w Lipsku zainicjowali apel o budowę pomnika polskich ofiar. Pod inicjatywą podpisali się m.in. ówczesny szef Bundestagu Wolfgang Thierse i dwukrotna kandydatka na prezydenta RFN Gesine Schwan, ale mimo rangi tych nazwisk nie był to projekt rządowy. Co więcej, już wtedy np. wpływowy komentator „Die Welt” Sven Felix Kellerhoff zarzucił pomysłowi, że będzie prowadzić do „nacionalizacji pamięci”. Co charakterystyczne, przeciw ustawie wypowiedział się wówczas Markus Meckel, były dysydent z czasów NRD, uważany za polityka wyjątkowo życzliwego Polsce. A jednak to właśnie Meckel uznał za „problematyczne” zapamiętywanie różnych ofiar reżimu nazistowskiego w czasie drugiej wojny światowej oddzielnie według narodowości z różnymi miejscami pamięci. Meckel pytał wtedy: „Można przewidzieć, że ukraińskie, białoruskie, rosyjskie i inne ofiary nazistowskiego reżimu będą chciały wznosić własne pomniki. Gdzie zaczynamy, a gdzie skończymy?”.

W styczniu tego roku głos zabrał przewodniczący rady naukowej Fundacji Pomnika Pomordowanych Żydów Europy historyk Wolfgang Benz. W specjalnym liście do przewodniczącego Bundestagu Wolfganga Schäublego przestrzegając on przed niebezpieczeństwem nacionalizacji pamięci, wskazując, że z podobnymi co Po-

lacy żądaniami osobnego pomnika wychodzą już dyplomaci Ukrainy. Benz zaproponował stworzenie centrum dokumentacji na temat niemieckiej okupacji w Europie w latach 1939–1945. Schäuble potwierdził poparcie dla pomnika wyłącznie polskich ofiar i wskazał wtedy jako miejsce takiego monumentu plac Askański w Berlinie tuż obok ruin dawnego dworca anhalckiego. Jednak latem tego roku zupełnie niespodziewanie niemiecki Bundestag przegłosował utworzenie w tym miejscu muzeum niemieckiej emigracji, a już wcześniej pod apelem popierającym pomysł „polskiego pomnika” podpisało się jedynie 260 deputowanych na ogólną liczbę 709 wszystkich posłów. Oba pomysły – ośrodku pamięci wszystkich niemieckich okupacji w Europie i pomnika polskich ofiar – próbował jeszcze pogodzić w propozycji dla Bundestagu Peter Oliver Loew, szef Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadtzie. Bez skutku.

Aktualny bieg spraw jest jedynie logicznym końcem sekwencji wydarzeń z ostatnich trzech lat. Spełniła się propozycja Wolfganga Benza i to Fundacja Pomnika Pomordowanych Żydów Europy stworzyła koncepcję, która przeszła i która – jak można się domyślać – będzie przez Fundację Benza nadzorowana. Czy zamyka to kwestię ostatecznie? Nie do końca, ale trzeba mieć świadomość, że nie mamy specjalnie mocnych kart. Niedawno „Gazeta Wyborcza” opublikowała list ambasadora Polski Andrzeja Przyłębskiego do ambasadora Ukrainy w Berlinie Andrieja Melnyka. List ten Przyłębski wysłał w maju i zawarł w nim krytyczną ocenę wypowiedzi reprezentanta rządu w Kijowie na temat 8 mln ukraińskich ofiar drugiej wojny światowej. List nie był zręczny, ale jego wypłynięcie zostało przez „Gazetę Wyborczą” skomentowane anonimową wypowiedzią przedstawiciela – jak napisała gazeta – niemieckich źródeł dyplomatyczno-rządowych. Ów anonimowy dyplomata

stwierdził: „Gdy przeczytałem, co ambasador Przyłębski napisał ambasadorowi Ukrainy Andriejowi Melnykowi, zdębiałem. Absolutny brak wyczucia i empatii. Bardzo szkodliwe działanie”. Te słowa, niezależnie od deklarowanego oburzenia, sprawiają wrażenie, jakby niemiecki urzędnik chciał, aby cały incydent był ilustracją niemieckich twierdzeń o groźbie „nacionalistycznej bitwy na pomniki” między narodami Europy Środkowo-Wschodniej na terenie niemieckiej stolicy.

NIKOŃCZĄCA SIĘ PSYCHODRAMA

Innym dość zastanawiającym przykładem pojawienia się w mediach tekstu dotyczącego polsko-niemieckich różnic na temat polityki pamięci była publikacja na portalu Politico. Był to komentarz Williama Echiksona, dyrektora Biura Unii Europejskiej na rzecz Postępowego Judaizmu w Brukseli. Autor wyrażał wzburzenie faktem, że Warszawa bezskutecznie sprzeciwiała się akredytacji w Warszawie nowego niemieckiego ambasadora Arndta Freytaga von Loringhove na powód służby jego ojca w Wehrmachcie. Echikson wskazywał: „Ten incydent pokazuje, jak polski rząd posługuje się historią, by zatruwać stosunki z Niemcami, ale też, że nadszedł już czas, by odsunąć przeszłość od wpływu na dzisiejszą rzeczywistość”.

Jeżeli ktoś w Politico zakładał, że publikowanie takich wezwań mogło pomóc uspokoić atmosferę wokół nowego ambasadora Niemiec, to się mylił. Publikacja wywołała bowiem w Polsce bardzo złe wrażenie. Jeszcze gorzej byłoby, gdyby list powstał przy cichej inspiracji Berlina. Oznaczałoby to, że ton pouczeń dotyczących sposobu pamiętania przeszłości przestaje być dla niemieckiej strony tabu. Z jednej strony mamy więc sytuację, w której nowy przedstawiciel Niemiec demonstruje swoje zainteresowanie poznaniem wojennej przeszłości Polski, z drugiej strony rząd niemiecki prowadzi bardzo świadomą politykę w dziedzinie sposobu rozliczania się z przeszłością, w której polskie oczekiwania są traktowane z dużą dozą stanowczości opakowywanej zazwyczaj w retorykę „cudu pojednania”.

W czwartek i piątek Berlin odwiedzi minister spraw zagranicznych Polski Zbigniew Rau. Nie byłoby niczym dziwnym, gdyby poruszono kwestię uczczenia polskich ofiar w stolicy Niemiec. Na razie jednak kresu tej polsko-niemieckiej psychodramy nie widać. © Wszelkie prawa zastrzeżone

OD 10 LAT WSPIERAMY PIŁKĘ RĘCZNĄ



GRAMY Z WAMI OD LAT

PGNiG od 2010 roku jest Sponsorem Strategicznym Polskiej Piłki Ręcznej. Nieprzerwanie już kolejny rok wspiera seniorskie Reprezentacje Polski Kobiet i Mężczyzn, Reprezentacje Młodzieżowe, a także jest sponsorem tytularnym Superligi oraz Pucharu Polski Kobiet i Mężczyzn.





Czas utracony



Rafał A. Ziemkiewicz

Czas, który kupiono za cenę wyrzeczeń i kosztów marcowego lockdownu, można dziś uznać za zmarnowany. W porównaniu z „pierwszą falą” w żaden sposób nie usprawniono procedur

Trudno w to uwierzyć, ale druga fala koronawirusa, choć od dawna zapowiadana przez wszystkich ekspertów, najwyraźniej rząd zaskoczyła. Tak jakby nie było oczywiste, że za pomocą narzędzi lockdownu można było powstrzymać rozprzestrzenianie się choroby jedynie przez pewien czas. Prędzej czy później dzieci musiały wrócić do szkół, a dorośli do czynności służbowych i życia towarzyskiego, musiały zostać odmrożone kontakty międzynarodowe – czasowo przytłumiona „transmisja” wirusa, jak nazywa się to fachowo, musiała znowu przyspieszyć.

Być może uspił obawy, zarówno rządzących, jak i rządzonych, fakt, że wyrażne odpuśczenie „dystansu społecznego” podczas wyborów nie pogorszyło sytuacji epidemiologicznej. Być może nadzieja na pierwotnie zapowiadaną jeszcze na ten rok szczepionkę albo na opracowanie skutecznej terapii, na przykład z wykorzystaniem osocza ozdrowieńców. Tak czy owak, odwieczne polskie „jakoś to

będzie” znowu zatriumfowało. Przestrogi ekspertów, że na jesieni, gdy nałożą się na siebie ochłodzenie i wilgoć, dwa czynniki szczególnie sprzyjające epidemiom wirusowym, może się zrobić niewesoło, nie skłoniły rządzących, by wykorzystując doświadczenia pierwszych miesięcy koronawirusowej paniki, zorganizować sprawniejszy niż dotychczas system radzenia sobie ze skutkami tego, czemu zapobiec się nie da.

BAŁAGAN WIDOCZNY GOŁYM OKIEM

Czas, który kupiono za cenę wyrzeczeń i kosztów marcowego lockdownu, można dziś uznać za zmarnowany. Stwierdzenie takie oburza przedstawicieli rządu, którzy zgodnie podkreślają, że dzisiaj przecież nie ma już mowy o marcowej, panicznej improwizacji. Są zapewnione maseczki, środki odkażające, wyznaczone są szpitale jednoimienne, w których (na razie – odpukać) nie brakuje łóżek ani respiratorów.

To prawda, ale tylko jej część. Ważniejsze jest to, że w porównaniu z „pierwszą falą” w żaden sposób nie usprawniono procedur ani nie dostosowano ich do tego, czego się dowiedzieliśmy w tym „kupionym” czasie. Kupionym, powtórzę, za cenę spowolnienia gospodarki i ogromnego wzrostu deficytu budżetowego.

Dzięki doświadczeniom ostatnich miesięcy nie operujemy już na ślepo. Wiemy, że śmiertelność wirusa jest, szczęśliwie, stosunkowo niska i że u większości osób infekcja przechodzi bezobjawowo, a wśród tych z objawami tylko część wymaga tak

naprawdę leczenia szpitalnego. Ta wiedza powinna zostać wykorzystana do stworzenia takich procedur, które pozwolą służbie zdrowia „obsłużyć” znacznie wyższą liczbę zakażeń niż podczas lockdownu. Procedur umożliwiających oddzielanie pacjentów zagrożonych od niezagrażonych, stosowanie wobec różnych ich grup różnych ścieżek postępowania. Tylko wtedy marzyć możemy o zapanowaniu nad sytuacją przy, powiedzmy, kilkunastu tysiącach stwierdzonych nowych zakażeń dziennie lub więcej.

Dobitnym, krzyczącym wręcz przykładem zmarnowania czasu są powtarzające się opowieści o karetkach z „pozytywnymi” pacjentami krążących od szpitala do szpitala w poszukiwaniu wolnego „COVID-owego” łóżka, względnie czekających godzinami pod SOR-em. Pojawiło się (bodajże za sprawą wojewody Radziwiłła) tłumaczenie, że współczesna karetka to już nie tylko samochód, lecz także cała obwoźna jednostka ratownicza z niezbędnym sprzętem, a więc chory jest w niej pod równie dobrą opieką jak na oddziale. To demagogia. Po pierwsze, karetka powinna być jak najszybciej w gotowości do zajęcia się kolejnym przypadkiem, po drugie, i ważniejsze, widoczny gołym okiem bałagan świadczy o tym, że przez kilka miesięcy nie pomyślano w resorcie nawet o najoczywistszych sprawach. Przecież stworzenie jakiejś, dajmy na to, strony, gdzie dyspozytor mógłby się zalogować i znaleźć od razu informacje o zajęciu miejsc we wszystkich placówkach na jego terenie, to dla informatyka zaledwie kilka godzin pracy! Musi tylko ktoś tę pracę zlecić.



Na kolejne zamknięcie gospodarki na głucho nie możemy sobie pozwolić, nie ryzykując bankructwa państwa FOT. CINEMATOPHOTO/ADOBE STOCK

Lekarze od miesiący narzekają na nieracjonalność procedury narzucającej „z automatu”, na sztywno, kwarantannę każdemu, kto zetknął się z zarażonym. Bardzo uszczupla to kadre, której szczupłość i tak jest od dawna największym problemem służby zdrowia, przeciążając pracą tych, którzy akurat na kwarantannę wysłani nie zostali. Przychodnie bronią się przed tym, spychając wszystkich pacjentów, na wszelki wypadek, na „teleporady”, których przydatność jest, delikatnie mówiąc, wątpliwa. Jednocześnie wychodzi na jaw, że sztywny, biurokratyczny sposób rozliczania „COVID-owych” łóżek skłania szpitale do zawyżania ich liczby, co – jeśli się okazuje – dzieje się kosztem chorych.

Dopiero w ostatnich dniach zniesiono zasadę, że refundowany test przysługuje jedynie tym pacjentom, u których wystąpiły jednocześnie wszystkie cztery objawy zarażenia – choć wiadomo, że wszystkie cztery naraz pojawiają się stosunkowo rzadko. Nadal nie opracowano żadnych zasad, które w czasie epidemii pozwoliłyby normalnie leczyć pacjentów z chorobami przewlekłymi. Jeśli, jak ujawnił prof. Szczylik, od marca diagnozuje się o połowę mniej nowotworów, to przecież nie dlatego, że zachorowalność na raka spadała. To samo można powiedzieć o chorobach naczyniowych i kardiologicznych. A to one właśnie są od lat, obok nowotworów, głównym zabójcą Polaków. Wynika z tego, że w przyszłym roku kilkadziesiąt tysięcy ludzi umrze przedwcześnie, ponieważ skutek takiego, a nie innego

modelu walki z COVID nie zdiagnozowano ich ani nie rozpoczęto leczenia w porę.

Bez zmiany sztywnych procedur, wynikających raczej z logiki biurokratycznej niż przesłanek merytorycznych, bez nabrania elastyczności polska służba zdrowia musi się w pewnym momencie „zatkać” – jedyną alternatywą jest próba zduszenia ogólnej liczby zakażeń przez kolejny lockdown. I, jak widać, praktycznie tylko taki scenariusz brany jest pod uwagę. Chociaż wszyscy wiedzą, że na kolejne zamknięcie gospodarki na głucho zwyczajnie nie możemy sobie pozwolić, nie ryzykując bankructwa państwa – a zresztą, nawet gdybyśmy sobie na nie pozwolić mogli, nie jest powiedziane, że tym razem nie udaremnimy postawę społeczeństwa.

O ile pół roku temu Polacy byli w większości spanikowani, samorzutnie wykupywali z pobliskich sklepów cały papier toaletowy, konserwy i makarony, by zamknąć się w domu, o tyle dziś dominują raczej zmęczenie i irytacja. Nasze społeczeństwo zawsze skłonne było do zrywów, ale źle znosiło wysiłki długotrwałe i systematyczne, więc irytacja zapewne spadłaby na rządzących, gdyby nawet nie popełniali żadnych błędów. Popełnili ich jednak sporo i to na pewno spotęgowało problemy.

PRZYKŁAD IDZIE Z GÓRY

Jest rzeczą elementarną, że władza nie może sama ignorować restrykcji, które nakłada na innych. W świetnym serialu „Czarnobyl” ściągnięty ze swymi ludźmi do pracy przy katastrofie sztygar, gdy każą mu nałożyć maseczkę, demonstracyjnie oddaje ją szefom akcji, mówiąc: „Gdyby to przed czymś chroniło, sami byście je nosili”. Dokładnie tak samo jak owi szefowie zachowali się z punktu widzenia społeczeństwa rządzący. Obchody rocznicy Smoleńska, wizyty oficjeli na cmentarzu czy w szpitalu, uroczyste premiery, wyborcze wiece – społeczeństwo dostało zbyt wiele takich sygnałów, by teraz dało się je przekonać, że bezwzględne zakrywanie twarzy i trzymanie „dystansu społecznego” naprawdę chroni, a surowe kary mają sens.

Tym bardziej że przez tyle miesięcy rząd nawet nie postarał się, aby stworzyć dla owych restrykcji podstawy prawne. Władza, która projekty,

delikatnie mówiąc, wątpliwe umiała przeprowadzać w kilka dni, epidemię najwyraźniej nie uznała za równie pilną jak „piątka dla zwierząt” i dopiero teraz zapowiada projekt odnośnej ustawy. Na razie nałożonym „w żadnym trybie” rygorom i mandatom za nienoszenie maseczek nawet w sytuacjach, gdy jawnie nie mają one sensu, poddawać się mamy, ponieważ jest to „obowiązek moralny”. Trudno to traktować poważnie.

A tymczasem, nie mając za bardzo innych pomysłów, rząd podniósł właśnie maseczki i dystans do roli fetyszu i propagandowego argumentu – wszystko przez nieodpowiedzialność ludzi, którzy odmawiają ich noszenia albo wręcz twierdzą, że wirusa nie ma.

Kreowanie wroga i zwalanie na niego winy to oczywiście jedna z podstawowych socjotechnik polityki, ale tym razem – nie tylko z uwagi na wcześniej wspomnianą sygnal, że władza sama nie wierzy w to, co mówi – może on nie zadziałać. Tym bardziej że na wrogów próbuje rząd kreować nie tylko znieważanych i atakowanych „anty-COVID-owców”, lecz także kogo popadnie, w tym część lekarzy, którzy „w sytuacji próby nie chcą wykonywać swych obowiązków wobec społeczeństwa”. Świadczyć to może o tym, że, odwrotnie niż w marcu, tym razem to rządzący są bardziej przestraszeni rozwojem sytuacji niż „zwykli Polacy”.

Można oczywiście zrozumieć odruch rządzących do odpowiadania na oskarżenia oskarżeniami, ale ani to profesjonalne, ani mądre. Przyjęcie przez PO i Lewicę postawy „walka z epidemią to wyłączna odpowiedzialność PiS” (czytaj: trzymamy się z boku i cokolwiek oni zrobią, my będziemy krzyczeć, że źle), jak również emocjonalne skupienie się przez Konfederację na walce z maseczkami jako „kagańcami” odbierającymi wolność (zamiast punktowania nielogiczności w narzuconych restrykcjach i ich nieskuteczności), i to w połączeniu z sugestią, że „nie ma żadnej epidemii, jest spisek”, to oczywiście świetne prezenty dla rządu. Prawdę mówiąc, od pięciu lat największym atutem PiS jest opozycja. Czy jednak i tym razem argument „oni są jeszcze gorsi” wystarczy – zwłaszcza jeśli liczba zachorowań będzie nadal rosła, a propagandowy argument „wszystko przez to, że nie przestrzegacie restrykcji” przestanie działać?



Kamila Baranowska

92 dni. Całe trzy miesiące. Tyle czasu minęło od pierwszej zapowiedzi powołania Ruchu Trzaskowskiego do uroczystej inauguracji. Wystarczająco dużo, by wszyscy zapomnieli, dlaczego i po co ten ruch miał powstać

Podejmuję się stworzenia ruchu obywatelskiego, dlatego że partie nie wystarczą – deklarował Rafał Trzaskowski 17 lipca na wiecu w Gdyni. – Chodźmy razem, stwórzmy ruch obywatelski, który razem z samorządami, organizacjami pozarządowymi, ośrodkami analitycznymi, ludźmi dobrej woli będzie tworzyć podstawy do tego, żeby bronić społeczeństwa obywatelskiego i wszystkich niezależnych instytucji. Zróbmy to razem – wołał do swoich sympatyków.

Wszystko to działo się zaledwie pięć dni po drugiej turze wyborów prezydenckich, które Rafał Trzaskowski co

prawda przegrał, ale w których uzyskał świetny wynik ponad 10 mln głosów. Mimo przegranej w głównej partii opozycyjnej panował entuzjazm spowodowany tak dobrym wynikiem. Otoczenie Trzaskowskiego stwierdziło, że takiej szansy nie wolno zmarnować, że energię ludzi, którzy poszli głosować na kandydata Koalicji Obywatelskiej, trzeba jakoś zagospodarować. Tak powstał pomysł powołania ruchu społecznego, który w pierwotnym założeniu miał się nie kojarzyć z żadną partią, a już zwłaszcza z Platformą Obywatelską.

NAJPIERW URLOP

Uroczystą inaugurację przesuwano kilka razy. Podczas wiecu w Gdyni sam Trzaskowski mówił, że wszystko ruszy w sierpniu. Później miał być wrzesień, ale wtedy pojawił się w Warszawie problem z oczyszczalnią Czajka i ściekami płynącymi Wisłą, więc prezydent Trzaskowski miał inne problemy na głowie. Stało się więc na październiku, choć termin ten też nie należy do najszcześniejszych. Jest apogeum epidemii i nastroje społeczne koncentrują się głównie wokół tematów zakażeń i walki z pandemią, a nie nowych politycznych bytów.

„17 października uruchamiamy wielki ruch, który pomaszeruje razem w kie-

runku poszukiwania tego, co łączy nas wszystkich. Dołączcie do ruchu i bądźcie z nami w przyszłą sobotę” – zapowiedział na Twitterze Rafał Trzaskowski. Już wcześniej zdradził też, że ruch będzie nosił nazwę „Nowa Solidarność”. Na początku października ruszyły też zapisy do ruchu za pośrednictwem strony internetowej.

Planowana inauguracja miała się odbyć (to wydanie „Do Rzeczy” zamykałmy przed 17 października) w szczycie pandemii, więc bez udziału publiczności. Miała mieć nowoczesną formę i być dostępna za pośrednictwem Internetu, mediów społecznościowych i mediów tradycyjnych.

Wydawać by się mogło, że najlepszy czas na start nowego projektu obywatelskiego pod patronatem Rafała Trzaskowskiego minął bezpowrotnie, bo był nim okres bezpośrednio po wyborach, gdy emocje związane z bardzo dobrym wynikiem kandydata opozycji były jeszcze żywe i możliwe do zagospodarowania. Wtedy jednak kandydat udał się na urlop, co do dziś jest mu przez część sympatyków wypominane jako niewybaczalny błąd.

Chociaż pojawiają się też głosy, i jest ich całkiem sporo, że potencjał ruchu Trzaskowskiego był od początku mocno



Rafał Trzaskowski kilkakrotnie przekładał inaugurację swojego ruchu FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

przeszacowany, ponieważ jego apologetycy zapominają, że głosy oddane na Rafała Trzaskowskiego nie stanowią wyłącznie jego osobistego kapitału, najczęściej były bowiem głosami sprzeciwu wobec rządów PiS.

Badanie CBOS przeprowadzone między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich pokazało, że główną motywacją wyborców Trzaskowskiego były czynniki negatywne. „Mniejsze zło, każdy będzie lepszy od aktualnego, jestem przeciwko Dudzie, jest anty-PiS” – na takie powody wskazywała większość badanych. Dopiero w dalszej kolejności wymieniano jego pozytywne cechy. W przypadku Andrzeja Dudy było inaczej – jego wyborcy najczęściej kierowali się pozytywną motywacją.

– Głos przeciw Dudzie oznaczał ograniczenie wszechwładzy jednej partii, więc na Trzaskowskiego zagłosowali nawet ludzie, którzy nie cierpią Platformy – tak wynik wyborów prezydenckich podsumował lider Lewicy Razem Adrian Zandberg. I trudno odmówić mu w tym względzie racji.

BEZPARTYJNY WICEPRZEWODNICZĄCY PARTII

Obok trudności z ustaleniem terminu inauguracji szybko pojawiły się też inne,

np. te dotyczące relacji nowo powstałego ruchu z Platformą Obywatelską czy szerzej – z Koalicją Obywatelską. Tajemnicą poliszynela jest to, że kierownictwu partii matki Trzaskowskiego zapowiedzi o budowie wielkiego ruchu niespecjalnie przypadły do gustu. Przestraszone się w Platformie, że Ruch Trzaskowskię podbierze nie tylko wyborców, lecz także działaczy w terenie i struktury. A na to ostatnie nie mogło być już zgody.

Zaczęły się więc zapewnienia polityków PO, że Ruch Trzaskowskiego absolutnie nie będzie konkurencją dla Platformy, lecz jej dopełnieniem. Doszło nawet do dość kuriozalnych deklaracji, że ruch nie będzie startował w wyborach, żeby nie stanowić konkurencji dla obecnych już po opozycyjnej stronie partii politycznych. – Do startowania w wyborach są partie polityczne. Ruch nie będzie startował w wyborach, ale może wspierać jakiś projekt, być jego częścią lub patronem. Zobaczmy, jak to będzie wyglądało. Przyszłością ruchu nie jest bycie partią i na pewno nie chcemy być konkurencją dla partii – mówił w rozmowie z Interią poseł PO Cezary Tomczyk. Zaapelował też do mediów, by... nie uwzględniać projektu Trzaskowskiego w zamawianych sondażach. – Jeszcze dziś wyślemy pisma do redakcji i sondażowni, by nie popełniać takiego błędu i nie uwzględniać ruchu w sondażach. Ruch nie jest partią i nie startuje w wyborach – mówił pod koniec sierpnia.

Wizerunkową wpadką były też rozmowy Rafała Trzaskowskiego z Borysem Budką na temat powstającego ruchu, które toczyły się w siedzibie Platformy Obywatelskiej. Zresztą sam Trzaskowski nigdy nie przestał być wiceprzewodniczącym tej partii. W takiej sytuacji dość karkołomnie wydawały i nadal wydają się przekonywania, że oto mamy do czynienia z oddolnym i pozapartyjnym ruchem społecznym. – Przede wszystkim nie zamierzam na samym początku organizować jakiejś dużej struktury, tylko chcemy się sprawniejsze przez działanie. Po wyborach prezydenckich okazało się, że jest duża energia, którą trzeba zagospodarować, i nie są w stanie tego zrobić partie polityczne. Wszyscy wiemy, że wiele osób chce się angażować, szczególnie po stronie opozycji. Ale nie chcą się oni zapisywać do partii politycznych. Ludzie, którzy chcą działać, potrzebu-

ją, żeby ich zorganizować – tłumaczył w TVN24 sam Trzaskowski. – Mój ruch nie będzie konkurencją dla partii, bo jestem nadal członkiem PO, a jedynie uzupełnieniem jej działania. Nie da się prowadzić polityki bez partii. Opieram się na samorządowcach i to oni będą kręgosłupem tego ruchu – wyjaśniał.

Nie przekonało to jednak nawet ludzi patrzących na opozycję z pewną sympatią. – Ruch społeczny jest oddolny, a nie odgórny. Jest samorządny, a nie inicjowany. Wyłania swoich liderów sam, często w przewrotny, nieoczekiwany sposób, ale to są nowi ludzie. W inicjatywie Rafała Trzaskowskiego tego wszystkiego nie ma – komentował w TOK FM Adam Leszczyński z OKO.press. – Mamy partię polityczną, która próbuje zorganizować ten ruch od góry – dodał.

TRZASKOWSKIEMU SIĘ NIE CHCE?

Sam Trzaskowski jako inicjator nowego ruchu okazał się po prostu zbyt mało zdeterminowany, by zaangażować się w jego tworzenie w 100 procentach. Nie chciał iść w konflikt z Platformą i Borysem Budką. Pytanie, czy nie czuł się na tyle silny, czy po prostu mu się nie chciało. Na to ostatnie od początku zwracali uwagę politycy, którzy dobrze znają Rafała Trzaskowskiego. Oni właśnie wskazywali, że to nie jest polityk, który będzie gryzł ziemię, jeździł po powiatach i namawiał ludzi do poparcia nowego ruchu. Wykonał część tej pracy w kampanii wyborczej i miał tego dość. Trzaskowski jest typem polityka raczej salonowego niż wiecowego. I choć w kampanii starał się ten wizerunek zmienić, to okazuje się, że nie jest to takie proste. Wybrał więc najbezpieczniejsze i najprostsze dla siebie rozwiązanie. Da twarz nowemu ruchowi, ale nie zrobi nic, by ten ruch stał się realnym bytem politycznym, który mógłby zagrozić obecnemu status quo po stronie opozycji.

Donald Tusk wielokrotnie powtarzał i w rozmowach ze swoimi współpracownikami, i publicznie w wywiadach, że przywództwo trzeba sobie wyzsarpać, samemu wziąć, że nie można go dostać na tacy. Rafał Trzaskowski najwyraźniej nie ma ochoty się zsarpać. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Pytanie, czy kiedykolwiek w przyszłości będzie miał ku temu lepszą okazję.



Tomasz Rowiński

Twórca kanału wRealu24.pl, banowany przez amerykański koncern, ogłosił tworzenie polskiej konkurencji. Czy to w ogóle może się udać?

Marcin Rola z kanału internetowego wRealu24.pl ogłosił niedawno, że czas na start niezależnej od YouTube'a platformy, na której bez cenzury, ale z poszanowaniem polskiego prawa, będzie można tworzyć obszar niezależnej opinii. Co ważne, nie tylko prawicowej i nie tylko takiej, która ma problemy z amerykańskim gigantem. Ten zaś w dość arbitralny sposób demonetyzuje filmy, zamyka kanały, a nawet – jak podaje szef wRealu24 – nie wypłaca pieniędzy, które już zostały zarobione. W tej kwestii toczy się sprawa na poziomie kancelarii prawnych obu mediów. Ktoś mógłby się zachnąć, że na YouTube nie ma arbitralności, są tylko regulaminy. W rzeczywistości jednak są one na tyle mgliste sformułowane, że zostawiają korporacji niemal całkowicie wolną rękę w karaniu nadawców, którzy jej się nie podobają. Marcin Rola uważa, że do dziś nie wie, dlaczego konkretnie został zablokowany bardzo popularny na wRealu24 wywiad z amerykańskim prof. Normanem Finkelsteinem, który – jak mówi naczelny stacji – nie zawierał żadnych treści, które można by uznać za niewłaściwe.

WYSOKO ZAWIESZONA POPRZECZKA

Reakcje innych mediów na ten pomysł są na razie sceptyczne. Na przykład Przemysław Dobrzyński ze Spiderweb.pl przytomnie zauważa, że „prawdziwy YouTube jest potęgą, nie tylko na świecie, lecz także w Polsce. Ze wszystkich serwisów wideo w typie YouTube'a (czyli nie biorąc pod uwagę platform streamingowych typu Netflix czy Player) żaden inny nawet nie zbliżył się do zasięgów giganta. Najbliższy charakterem Dailymotion miał w lipcu 2020 r. raptem trochę ponad 700 tys. realnych użytkowników, podczas gdy sam YouTube zjadał go na śniadanie jako przystawkę, mając ponad 18,5 mln

userów (oczywiście są to dane użytkowników z naszego kraju)” – wylicza. I dodaje: „Dumni nazywani »polskim YouTube'em« serwis raczej nie ma szans na sukces masowy”. Zastanówmy się jednak, ilu udanym projektom, nie tylko medialnym, lecz także szerzej – biznesowym, nie dawano na starcie żadnych szans lub nie wyobrażano sobie, że mogą osiągnąć znaczną skalę?

Z kolei „Rzeczpospolita” od razu przeszła do ataku na poziomie ideolo-

Marcina Roli: „Nie znamy jeszcze odpowiedzi na pytania o budżet, nazwiska i poziom determinacji, ale taka inicjatywa może mieć szanse na przetrwanie. Dobrym przykładem jest projekt z drugiej strony sporu ideologicznego: Radio Nowy Świat, któremu udało się skupić odbiorców myślących o świecie w określony sposób”.

Chociaż kanał Marcina Roli budzi nieraz słuszne kontrowersje, to problem z działaniami YouTube'a rzeczywiście występuje. Nie słyszy się, by blokowane były treści



gicznym, posiłkując się opiniami znanego z lewicowych poglądów prof. Rafała Pankowskiego związanego ze stowarzyszeniem Nigdy Więcej. „YouTube należy dziś do najważniejszych narzędzi skrajnie prawicowej radykalizacji” – stwierdził prof. Pankowski – „Ale co do »polskiego YouTube'a«, to chyba dość ryzykowny krok. Mogą skończyć jak Polfejs, czyli Facebook dla patriotów, o ile ktoś jeszcze pamięta o tej inicjatywie” – dodał.

Znacznie ciekawsza wydaje się opinia socjologa dr. Kuby Jakubowskiego, który wcale nie przekreśla szans inicjatywy

skrajnej lewicy czy politycznego ruchu homoseksualnego, podczas gdy prawicowe kanały opinii regularnie muszą się zmagać z aktami wykluczenia z debaty. Być może pomysł Roli – niezależnie od tego, jak zapatrujemy się na jego własną telewizję – jest zwyczajnie potrzebny?

Rzeczywiście, jeśli przypomnimy sobie niezwykle sukces sprzed kilkunastu lat portalu blogowego, jakim był – i wciąż jest – salon24.pl, to można spokojnie zadać sobie pytanie, dlaczego analogiczna formuła nie miałaby odnieść sukcesu w blogosferze wizualnej, czyli vlogosferze. Poprzeczka

na pewno jest teraz ustawiona wyżej – potrzebne są serwery, potrzebny profesjonalny layout takiego portalu, dobrze skonstruowane funkcjonalności, regulaminy przygotowane przez prawników i wreszcie system płatności. Blogi pisali entuzjaści, vlogi to dziś nurt przemysłu audiowizualnego. Wszystko to nie zadziała, jeśli projekt nie przyciągnie naprawdę wielu odbiorców. Marcin Rola szacuje, że na początek, żeby jego inicjatywa ruszyła, potrzebne jest ok. 2–3 mln zł. Potem będą potrzeb-



Marcin Rola z kanału internetowego wRealu24.pl mówi, że nigdy nie wpadłby na pomysł polskiej konkurencji dla YouTube'a, gdyby nie problemy, które nieustannie generuje współpraca z amerykańskim gigantem

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ne kolejne kwoty, ponieważ rentowność przedsięwzięcia nie nastąpi zbyt szybko nawet przy relatywnie dobrym starcie. Pamiętajmy, że wRealu24.pl, która ma być trzonem nowej platformy, to stosunkowo niewielkie medium utrzymujące się od jakiegoś czasu tylko z darowizn widzów. Od jakiego czasu? Od chwili, gdy YouTube zawiesił monetyzację kanału.

NA NASZYCH ZASADACH

Rola, pytany przeze mnie o konkrety dotyczące formuły polskiego YouTube'a, unikał jasnych odpowiedzi i powracał

do wizji, która mu przyświeca. Warto ją zresztą tu przytoczyć. – Przede wszystkim my chcemy wolności słowa w granicach polskiego prawa, chcemy zrzeszyć polską wspólnotę twórców opinii, niekoniecznie pravicową. Wyobrażam sobie, że na naszym portalu swoje konto mogłaby założyć p. Monika Jaruzelska. Z poglądami p. Moniki nie zgadzam się pewnie w 95 proc. Z drugiej strony ona robi rzeczy ciekawe i też ma przez to problemy z YouTube'em, choćby te po wywiadzie z Rafałem A. Ziemkiewiczem. Aby uniknąć takich sytuacji, chcemy to wszystko zrobić na polskich serwerach, na naszych zasadach. Chciałbym, żebyśmy to my, jako twórcy, byli odpowiedzialni za ten projekt. Zamierzamy też powołać radę etyki składającą się z ekspertów, naukowców, dziennikarzy, która będzie oceniała, co można, a czego nie można, co wypada, a czego nie. Potrzebne jest takie ciało, które będzie nam nadawać kurs – mówi Marcin Rola.

Naczelny wRealu24.pl wskazuje też na różnice między swoją inicjatywą a praktykami YouTube'a. – To, co robi YouTube, to jest łamanie polskiego prawa i łamanie polskiej konstytucji – mówi. – Nadajemy z Marszu Niepodległości czy z Marszu Powstania Warszawskiego i za to jesteśmy banowani. To jest kompletna patologia. Dlatego mówimy „dość” i chcemy stworzyć wolne medium na skalę ogólnopolską.

W przyszłości na nowej platformie oprócz publicystyki mogą się pojawić gry, filmy, bajki dla dzieci. To jednak zależy od tego, jak ta raczkująca rzeczywistość będzie się rozwijała. W naszej rozmowie daje się wyczuć, że dalsze plany nie są jeszcze sprecyzowane. Marcin Rola mówi o trwających badaniach rynku, o konsultacjach z prawnikami, o szlifowaniu technikaliów. Jednocześnie deklaracje dotyczące terminów są śmiałe, jeszcze w tym roku „ma coś ruszyć”, praca „jest wykonana w trzech czwartych”.

Nie mogłem nie zapytać Marcina Roli, czy nie obawia się, że otwarta formuła medium nie sprawi, iż zostanie ono zdominowane przez wyznawców UFO, teorii spiskowych lub inne podobne nisze. Tym bardziej że sama stacja wRealu24.tv chętnie porusza się po obszarach kontrowersji i – można powiedzieć – jest do pewnego stopnia polską odmianą alt-rightu. Co zatem, jeśli na nową platformę przyjdą nadawcy znacznie bardziej „radykalni”? Czy nie okaże się, że polski YouTube będzie tylko łatwym celem do krytyki,

a nawet po prostu śmieszkowania i memotwórstwa? – Sam jestem za otwartą platformą, ale także kategoryzacją treści, które na portal będą trafiały – odpowiada Rola. – Jeśli dla nas będzie ważna polityka czy historia, to jest jasne, że kanały płaskoziemców nie znajdą się na eksponowanych miejscach. Taki jest zresztą nasz plan dotyczący startu tej platformy, chcemy, by była kojarzona ze sprawami publicznymi czy społecznymi. Nie zamierzamy też dać się zamknąć w szufladce z napisem „skrajna prawica”, który jest krzywdzący sam w sobie. Zamierzamy wyjść do różnych środowisk o rozmaitych poglądach.

Rola deklaruje wręcz, że poglądy nadawców obecnych na jego platformie nie interesują go dopóty, dopóki nie będzie dochodziło do łamania prawa – wolność słowa ma dotyczyć zarówno konserwatystów, katolików, ateistów, jak i muzułmanów lub osób o zupełnie innych przekonaniach. Granice są jasne, jeśli ktoś będzie „epatował treściami komunistycznymi czy nazistowskimi, zapewne się z naszą platformą pożegna i jeszcze będzie miał problemy karne, ponieważ nasz dział prawny takie przypadki łamania polskiego prawa zapewne będzie zgłaszał do prokuratury”.

Marcin Rola mówił dla jednego z mediów, że nigdy nie wpadłby na pomysł polskiej konkurencji dla YouTube'a, gdyby nie problemy, jakie nieustannie generuje współpraca z amerykańskim gigantem. Rzeczywiście, z zewnątrz to wszystko może wyglądać nieco na akt desperacji i bezradności wobec walca ideologicznego, który w coraz wyraźniejszy sposób przychodzi do nas od wielkiego sojusznika zza Atlantyku (pisaliśmy o tym więcej w poprzednim numerze „Do Rzeczy”). Może jednak ten projekt, jeśli zostanie realistycznie skrojony, okaże się całkiem mocnym punktem na mapie polskiego opiniotwórczego Internetu?

Oczywiste jest jednak, że realizm z zakresu medialnej przedsiębiorczości to tylko stosunkowo niewielka składowa ostatecznego sukcesu, ponieważ najważniejsze jest, by zawartość nowego wRealu24.pl szła w coraz lepszym kierunku. Chodzi bowiem nie tylko o to, by obsługiwać zainteresowania i uczucia pewnego rodzaju – dość specyficznego alt-rightowego – widza, lecz także był włączyć udział w ogólnonarodowej dyskusji o Polsce. Zdobycie takiego statusu będzie z pewnością bardzo trudnym zadaniem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Popyt na jasnowidza



Agnieszka Niewińska

Przepowiada wojsko na ulicach, śmierć jakiegoś prezydenta i coraz więcej zachorowań na COVID-19. Krzysztof Jackowski, wizjoner z Człuchowa, nie znika ostatnio z mediów, a jego słuchacze zapełniają swoje spiżarnie. Na wszelki wypadek

Zapasy już pani zrobiła? – słyszę na ulicy rozmowę dwóch pań w wieku okołoemerytalnym. – To nie wie pani, co się dzieje? Jackowskiego pani nie słucha? – dziwi się jedna z uczestniczek rozmowy i wyłuszcza, że Krzysztof Jackowski, najbardziej znany polski jasnowidz, przewiduje, iż „wszystko zacznie się w listopadzie”. „Wszystko”, czyli wojsko na ulicach, może nawet jakiś bliżej nieokreślony konflikt. Wiarygodności Jackowskiego kobieta nie podaje w wątpliwość. Twierdzi, że pomaga on policji, w 700 sprawach poprawnie zlokalizował zaginionych lub ich zwłoki.

Takie opowieści można usłyszeć coraz częściej – mamy ostatnio eksplozję doniesień o kolejnych wizjach jasnowidza Jackowskiego. A to miał widzenie, że

wprowadzone zostaną nowe obostrzenia w związku z pandemią, a to zobaczył śmierć prezydenta i w czasie, kiedy gruchnęła wieść, że Donald Trump jest zakażony koronawirusem, spekuluje, czy to czasem nie o niego w tej wizji chodziło.

– Spróbuję się zastanowić, co mi się skojarzy na najbliższy czas – mówił podczas „wizji live” z 10 października, którą emituje na YouTube. Zamyka oczy, przykładą rękę do czoła i milczy. – Mówiłem w którejś audycji wstecz, że widzę dużo karettek w jednym miejscu – zaczyna po chwili. – Wiecie co? Widziałem takie obrazki, że jest kolejka karettek przed szpitalami zakaźnymi. Może to chodziło o to? Wzrost pandemii będzie duży w najbliższym czasie, bardzo duży – przewiduje na wizji.

Zapowiada, że uruchomione zostanie wojsko. Sugeruje, że nominacja Jarosława Kaczyńskiego na wicepremiera nadzorującego takie resorty jak MON i MSWiA to potwierdzenie jego wizji. – Wszystko jest szykowane na listopad. Listopad da namiastkę odpowiedzi, o co w tym wszystkim chodzi – przestrzega. Już w czerwcu przyjmującym leki na stałe zalecał, by zrobili ich zapasy. – Jeżeli zaczęłaby się duża wojna na świecie [...], to będą to trzy punkty naraz – mówił. – Nie ma konkretnej daty, kiedy to się wydarzy, jest czas i uważam, że czas jest ten.

„Wizje live” Jackowskiego, jego wypowiedzi, streszczenia przepowiedni na kanałach wideo licznych vlogerów

i blogerów mają nawet po 600 tys. odsłon. Piszą o nim poważniejsze media: „Krzysztof Jackowski miał straszną wizję na temat pandemii. Przepowiada nowe restrykcje” – alarmuje serwis Radia Zet. O jego przewidywaniach najszerzej piszą tabloidy i plotkarskie portale.

– Trzeba powiedzieć, że Krzysztof Jackowski ma ogromny talent medialny. Przebił się spośród wielu osób, także innych jasnowidzów, które chciałyby zaistnieć w medialnym świecie – ocenia prof. Jacek Dąbała, medioznawca i audytor jakości mediów. – W tej chwili zainteresowanie nim jest duże nie tyle ze względu na to, że potrafi funkcjonować w mediach elektronicznych, ile raczej z uwagi na trudne czasy, w jakich się znaleźliśmy. Kiedy przyszłość jest niepewna, żyjemy w chaosie, ogarnia nas strach, szukamy jakiegoś światełka w tunelu, kogoś, kto jest w stanie powiedzieć nam, co się za chwilę wydarzy. Pandemia to po prostu świetny czas dla różnej maści wróżbitów i jasnowidzów.

ZACZĘŁO SIĘ POD WIERZBĄ

Najsłynniejszy polski jasnowidz pochodzi z Człuchowa w województwie pomorskim. Z zawodu jest tokarzem. Jednak już jako dziecko fascynował się kosmosem. Jasnowidzenie, jak mówił w filmie „Jasnowidz” z 2000 r., zaczęło się pod wierzbą. Tam poprosił Boga o zmiany w życiu.

W ciągu ostatnich dekad Jackowski, podobnie jak jego imiennik detektyw Rutkowski, pojawia się przy niemal każdej głośniejszej sprawie zaginięcia. Po wizje przychodził do niego Andrzej Lepper (Jackowski został nawet honorowym członkiem Samoobrony), gazety pytały go o prognozy dotyczące wyników wyborów. Jackowski ubiegał się o mandat poselski (w 2001 r.), miejsce w sejmiku pomorskim (2006 r.). Bezsukces. Wydał kilka książek, miał własny program w telewizji Polsat – „Eksperyment jasnowidza”. Wyłynął także na wody międzynarodowe. W 2003 r. wygrał turniej jasnowidzów w japońskiej telewizji TV-Asahui.

W 2011 r. do sprawy zabójstwa 23-latkę zaangażowała go krakowska prokuratura, a w 2013 r. katowicka powołała na biegłego z dziedziny parapsychologii. Jeździ z wykładami po wyższych uczelniach. Gościły go już m.in. Uniwersytet Opolski czy Dolnośląska Szkoła Wyższa. Na Akademii Leona Koźmińskiego wziął udział w wykładzie o niekonwencjonalnych metodach śledczych. Został nawet hono-

rowym członkiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie. To właśnie jego współpraca z policją budzi najwięcej kontrowersji. Na swojej stronie zamieścił kilkadziesiąt podziękowań z różnych komend. Wydał nawet książkę pt. „Jasnowidz na policyjnym etacie”, choć Komenda Główna Policji odżegnuje się od współpracy z jasnowidzami. W 2000 r. opublikowała nawet raport, w którym wskazuje na znikomą skuteczność jasnowidzów. – Nie znam żadnego przypadku, w którym jasnowidz pomógłby policji. Wiem natomiast o wielu sytuacjach, kiedy wskazówki przekazane policji przez jasnowidza nijak miały się do rzeczywistości i wcześniejszych ustaleń śledczych – mówił przed laty ówczesny rzecznik prasowy KGP Mariusz Sokołowski. Jackowski żądał od niego przeprosin, a nawet groził procesem.

Kilka lat temu o skuteczność Jackowskiego pytany był Marek Jeleniewski, były rzecznik prasowy komendanta wojewódzkiego policji w Bydgoszczy. Stwierdził, że żadne ze wskazań Jackowskiego nie było trafne. „Zdarzały się trafienia, ale nie mają nic wspólnego z jasnowidzeniem. Radzi sobie w oczywistych sprawach typu – za-

ginał grzybiarz, był widziany w zagajniku między stawami. Rodzina przeszukała lasy, nic nie znalazła. Jasnowidz wskazał, że zwłoki mogą być w stawie” – opowiadał Jeleniewski „Gazecie Wyborczej”.

Mariusz Ciarka, rzecznik prasowy KGP, podkreśla, że działania policji związane z prowadzeniem postępowań przygotowawczych (śledztw, dochodzeń) są ściśle uregulowane m.in. przepisami KPK, wykonywane przez prokuratorów, biegłych i specjalistów. – Specjaliści KGP nie powołują do prowadzonych spraw jasnowidzów, jednakże zasadą jest, że weryfikujemy informacje podawane przez rodziny, które – co się zdarza – korzystają z usług jasnowidzów – zastrzega Ciarka.

TERAPIA I ROZRYWKA

Jasnowidz Jackowski sprawdzałność swoich wizji szacuje na 80 proc., ale w Internecie można znaleźć dziesiątki stron opisujących te niesprawdzone. Według „SE” z 10 wizji Jackowskiego na 2012 r. sprawdziły się tylko dwie. Jasnowidz potrafi się zresztą zgrabnie z pomyłek wytłumaczyć, a nawet przekuć je w sukces. Kiedy ubiegłego lata na jeziorze Kisajno zaginął producent Piotr Woźniak-Starak, Jackow-

ski wskazał na mapie miejsce, w którym należy go szukać. Spudłował, ale tłumaczył, że wysłał nurkom kolejną mapę z dwoma punktami i jeden z nich był właściwy. Nie potwierdzili tego jednak nurkowie. Mediom mówili, że druga mapa do nich nie dotarła, a ciało producenta udało się znaleźć dzięki świadkowi. Kiedy policja prowadziła poszukiwania pięcioletniego Dawida, Jackowski mówił o ciele chłopca w zbiorniku wodnym. Znalezione je w zaroślach przy autostradzie. Jasnowidz tłumaczył, że nie dostarczono mu rzeczy dziecka.

Mimo wytykanych jasnowidzowi pomyłek nie ma dnia, by o jego wizjach nie pojawił się jakiś artykuł. – I nie sądzę, by w czasie pandemii coś w tej sprawie się zmieniło. Dla jednych wizje jasnowidza odgrywają rolę terapeutyczną, dla innych rozrywkową – uważa prof. Dąbała. I dodaje: – Dla mnie ciekawszym pytaniem jest jednak to, dlaczego potężny jasnowidz w ogóle potrzebuje obecności w mediach. Tu przecież powinien zadziałać marketing szepcany.

Być może jasnowidz Jackowski przewidywał to przewrotne pytanie, bo na prośbę „Do Rzeczy” o rozmowę nie odpowiedział.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Człowiek w samym sobie doświadcza historii biblijnej i odtwarza ją.

bł. Jakub Alberione, założyciel Towarzystwa Świętego Pawła



Okrutny Herod oczami jego kochających dzieci

Kochający podwładnych i rodzinę czy raczej żądny władzy, bezwzględny, podejrzliwy i nieprzewidywalny? Poznaj wielki świat Imperium Rzymskiego i jego najważniejsze osoby: Heroda, Cezara, Kleopatę, Marka Antoniusza i Oktawiana Augusta.



Życie w kolorze purpury

Lidia wiecie spokojne życie, prowadząc wraz z ojcem sklepik z purpurą. W wyniku fałszywego oskarżenia traci wszystko, co kocha. Mając jedynie tajemne receptury ojca, wyrusza do Filipi, by tam otworzyć własny warsztat. Niestety, mroczna przeszłość po raz kolejny daje o sobie znać...



Odziani w łaskę

Przenieś się z bohaterami w czasy Imperium Rzymskiego lub średniowiecznych wypraw krzyżowych. Bądź świadkiem bitew, intryg, bezwzględnej walki o władzę. Posłuchaj wątpliwości Piłata, który chciał wolności Jezusa, a z templariuszami weź udział w ukryciu bezcennego daru Zbawiciela na wielki.

Zapraszamy na www.edycja.pl, do księgarni **Edycji Świętego Pawła** i do dobrych księgarni stacjonarnych



Lista ofiar



Piotr Gociek

Lista trafionych, zatopionych: „Mulan” czy „Misja Greyhound”. Lista jeszcze walczących o życie: najnowszy bond, nowa „Diuna”, nowy „Batman”. Kolejne filmy padają ofiarą pandemii

Ta pierwsza lista zawiera przede filmy, które już zostały pogrążone przez pandemię i lockdown. Do kin nie weszły (lub weszły w ograniczonym zakresie), stając się od razu dodatkiem do menu platform streamingowych. Niektóre zdążyłem omawiać na łamach „Do Rzeczy”. Wojenna „Misja Greyhound” z Tomem Hanksem trafiła do Apple TV+, „Artemis Fowl” do HBO, komedia kryminalna „Gołąbeczki” wprost do Netflixu. Disneyowski „Mulan” z dużym opóźnieniem wszedł do kin, ale Polska była jednym z niewielu krajów, w których tak się stało. Na najważniejszych rynkach od razu zaproponowano ten remake użytkownikom VOD za dodatkową (słoną) opłatą.

I wiemy już, że to nie koniec. W ostatnich dniach ogłoszono, że nowy animowany przebój studia Pixar (należy dziś do Disneya) „Co w duszy gra” również zamiast w kinach ma zadebiutować od razu w streamingu. Podobnie komedia z Eddiem Murphym „Książę w Nowym Jorku 2”. Wąży się losy „Wonder Woman 1984”. Na Twitterze reżyser Patty Jenkins dementuje plotki, jakoby film miał ominąć duży ekran, jednocze-



Kadr z nowego filmu o Bondzie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

śnie w wywiadach wzywa amerykański Kongres do objęcia kin finansową pomocą. A studio, jak podejrzewam, mocno się waha. Bo nic nie wskazuje na to, by w grudniu sytuacja pandemiczna była lepsza (a to planowany czas premiery filmu Jenkins).

PRZEŁOŻONE PREMIERY

Druga lista, która wydłuża się z każdym dniem, to spis kinowych premier, które zostały przesunięte na przyszły

rok, a czasem jeszcze dalej. Najgłośniejsza to 25. film o przygodach Jamesa Bonda (i ostatni z Danielem Craiggem w tej roli). Miał nas cieszyć w maju, potem w październiku, teraz wiadomo już, że najwcześniej w kwietniu przyszłego roku. Nie dostaniemy na Boże Narodzenie planowanej premiery nowej „Diuny” (reżyser Denis Villeneuve), najnowszy „Batman” (z Robertem Pattinsonem) też katapultowany został w przyszłość. Sytuacja jest płynna i niejasna. A kalen-

darz planowanych premier zmieniały co chwila. Jedno przesunięcie wywołuje drugie, a potem kolejne, konkurujące studia kalkulują, jak ominąć mocne tytuły konkurencji. Spodziewane hity najbliższego okresu świątecznego trafiają do planu na następny grudzień, co oznacza, że te planowane na następny grudzień przesuwają się o kolejny rok. Tak będzie z „Avatarem 2” Jamesa Camerona – nie grudzień 2021 r., lecz grudzień 2022 r. (zatem „Avatar 3” już podróżuje w czasie do roku 2023).

Przy każdej z ogłaszanych zmian powinniśmy tak naprawdę dodawać: Być może. Kto wie? Jak Bóg da. Jak pandemia pozwoli.

Miej nadzieję na najlepsze, szykuj się na najgorsze – w miniony poniedziałek (12 października) koncern Disneya ogłosił restrukturyzację i zmianę strategii – za tymi słowami kryją się dokonane już zwolnienia w parkach rozrywki, wycofywanie kolejnych filmów z dystrybucji kinowej i przede wszystkim inwestowanie w rozwój serwisu streamingowego Disney+. Streaming to zresztą w rozważaniach na temat przetrwania branży kinowej słowo powtarzane najczęściej. Tyle tylko, że jego zwycięstwo oznacza, iż będziemy już mówić o branży filmowej, a nie kinowej.

Gazety na całym świecie powtarzają hołbowe wieści o zamknięciu kin przez jedną z największych sieci Cineworld, wyliczają, ile miejsc pracy znika, być może bezpowrotnie, zastanawiają się nad prawdziwymi rozmiarami strat poniesionych przez hollywoodzkich gigantów. Jednak w grze jest coś ważniejszego: możliwy upadek kin to nie tylko katastrofa ekonomiczna. To katastrofa kulturowa na skalę trudną do oszacowania.

Co do streamingu – tu przyszłość też nie rysuje się w tak jasnych barwach, jak można było podejrzewać. Po pierwsze, mimo szybkiego rozwoju serwisów video-on-demand nie są one w stanie wygenerować z pojedynczej premiery filmowej superprodukcji takich zysków, by nadal opłacało się wydawać na wyprodukowanie jednego filmu 200 czy 300 mln dol. Po drugie, produkcje własne, czyli flagowe pozycje gigantów takich jak Netflix czy Hulu, także ucierpiały. Lockdown oznaczał wstrzymanie produkcji i liczne opóźnienia. Fani będą musieli dużo dłużej poczekać na nowe sezony ulubionych seriali i programów.

Niektóre już zostały nie tylko zawieszono, lecz także definitywnie zamknięte (przedwcześnie), jak choćby „GLOW” Netflixa.

Po trzecie, użytkownicy serwisów zaczynają się już zastanawiać, czy stać ich na wydawanie pieniędzy na kilka różnych abonamentów jednocześnie. W USA trzy czwarte gospodarstw domowych korzysta z przynajmniej jednego płatnego serwisu, ale najwięcej jest takich, w których wykupione są dostępy do trzech rozmaitych źródeł streamingowej rozrywki. Rywalizacja będzie więc coraz ostrzejsza. Tylko jak tu bić się o widza, kiedy sanitarne obostrzenia sprawiły, że nie da się już produkować tylu nowości co wcześniej? To może oznaczać niespodziewaną zmianę za rynku. Być może za kilka miesięcy najważniejsza okaże się nie liczba premier (których i tak nie będzie skąd wziąć), lecz zasobność archiwów. A to oznacza,

Straty poniesione w roku 2020 przez branżę filmową i kinową już są tak wielkie, że ich odrabianie zajmie wiele lat

że osłabnie pozycja Netflixu czy Hulu, wzrośnie zaś atrakcyjność nowego serwisu Disney+ oraz usługi Amazon Prime. Disney ma przecież na półkach wszystko, co wyprodukował podczas minionego stulecia. Amazon z kolei oferuje możliwość wykupienia cyfrowego dostępu do premier wszystkich dystrybutorów, którzy za pomocą tej platformy sprzedają filmy i serie na tradycyjnych nośnikach DVD i Blu-ray.

Wracając do wielkich pieniędzy – od tego nie uciekniemy – w tej chwili bardzo prawdopodobny jest jeszcze jeden efekt czasowej zapaści lub ostatecznej katastrofy aktualnego modelu dystrybucji kinowej. To powiększenie przepaści między najsilniejszymi i najmniejszymi graczami, kosztem tych dysponujących umiarkowanie sporym kapitałem. Niektóre hollywoodzkie studia dysponują kapitałem właścicieli gigantów, np. firm z branży telekomunikacyjnej czy sprzętu elektronicznego. Takich graczy stać na to, by przeczekać najgorsze, by nawet największe super-

produkcje poczekały na premierę jeszcze kilka lat. Z kolei produkcje niszowe, artystyczne, zwykle są dotowane. Są w miarę bezpieczne, tak długo, jak długo swej polityki nie zmienia państwowe fundusze filmowe czy prywatni sponsorzy. Dla tych pośrodku, dla rozrywkowego mainstreamu, odwołanie premier, które spodziewanymi zyskami miały nadrobić umiarkowany sukces (lub jego brak) innych filmów, oznacza rychłą katastrofę.

CZASY „NOWEJ NORMALNOŚCI”

Być może rację mają optymiści i wszystko wkrótce wróci do normy. Będzie to jednak i tak jedynie „nowa norma” czasów „nowej normalności”. Straty poniesione w roku 2020 przez branżę filmową i kinową już są tak wielkie, że ich odrabianie zajmie wiele lat. Jeżeli rację mają pesymiści i stoimy u progu wielkiej zmiany, to czeka nas pożegnanie z kinami na dobre. Pewnie nie całkowite, zapewne niektóre będą pełniły funkcję promocyjną jako miejsce prestiżowych premier lub przeglądów. Może stanie się z nimi to, co swego czasu dotknęło teatru – zmiana modelu z masowego na elitarny. A może wkraczamy w erę państwowego sponsoringu? Skoro dziś w Polsce zdecydowana większość teatrów i wszystkie filharmonie utrzymywane są przez państwo lub samorząd, a trwa dyskusja nad zakupieniem lokalnych prasowych tytułów przez spółki Skarbu Państwa, to czy tak trudno wyobrazić sobie sytuację, w której państwo kupi także bankrutujące sieci kin? Nie rozważam teraz, czy to źle, czy dobrze, wskazuję po prostu jeden z możliwych scenariuszy.

Paradoksalnie najbezpieczniejszą metodą kinowej dystrybucji okazuje się dziś model niegdyś bardzo popularny w USA, a dziś już niemal zapomniany: kino samochodowe. Wielki plac z olbrzymim ekranem. Oglądanie wspólne, ale osobne, bo z bezpiecznego wnętrza własnego samochodu. W końcu popcorn i napoje można zabrać z domu. Nie oszukujmy się jednak, to taka sama ułomna namiastka prawdziwego doświadczenia, jak zamiana spotkań autorskich z pisarzami w pogadanki online. Nie wiadomo, co smutniejsze: to, że udajemy, iż to prawdziwe spotkania, czy to, że udajemy, iż nam się podoba.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Które to święta?

Kto nie cierpi Adama Sandlera, ten ominie ten film z daleka. Dla pozostałych dobra wiadomość: to nie jest najgorsza komedia w dziejach Netflix'a, a wszak Sandler odgrażał się (żartem), że taką nakręci, jeśli nie dostanie Oscara za rolę w dramacie „Nieoszlifowane diamenty” (bardzo dobrą zresztą).

„Hubie ratuje Halloween” to komedia w duchu klasycznych dokonań Sandlera – jej główny bohater to fajtłapa o złotym sercu, którym wszyscy pogardzają i pomiatają. To dorosły o odruchach dzieciaka, dotknięty wadą wymowy, krótko mówiąc – ktoś, kogo większość zauważa tylko po to, żeby się z niego ponabijać lub go podręczyć. Akcja

rozgrywa się w Halloween, kiedy wszyscy w miasteczku Salem szykują się do dzikiej zabawy, a jeden tylko Hubie bierze na poważnie sygnały o tym, że ktoś chce wykorzystać zamieszanie do niecnych celów. W dodatku ze szpitala psychiatrycznego uciekł niebezpieczny pacjent, dawny mieszkaniec Salem.

Bardzo dużo w tym filmie pastiszu i wtedy bywa zabawny. Ekipa zebrana na planie też jest nielicha: małą rolę dostał Ben Stiller, trochę większą Shaquille O'Neal, a jeszcze większe Ray Liotta i kapitalny Steve Buscemi (zwróćcie uwagę zwłaszcza na niego). Za reżyserię odpowiada Steve Brill („Mały Nicky”, „Dzień z życia blondynki”). Ale jako że to „typowy Sandler”, to mamy też

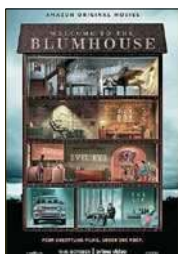
trochę ryzykownych żartów na granicy dobrego smaku. Ostatecznie jednak okazuje się, że to opowieść wielce dobroniuszna, z przesłaniem dopasowanym do współczesnych czasów, to znaczy piętnująca wszechobecność hejtu, a tak w ogóle to na koniec odkryjecie, że robiąc film o strachach, czarownicach, wilkołakach i szaleńcach, wykorzystał Sandler (także scenarzysta) formułę hollywoodzkiej komedii bożonarodzeniowej.

Najgorsza komedia w dziejach wciąż więc dopiero przed nami, a czy powstanie dla Netflix'a, trudno powiedzieć (nie byłbym zdziwiony). „Hubie ratuje Halloween” to kpina ze strony Sandlera: „Nie chcieliście mnie na poważnie? To macie mnie takiego jak zawsze!”. To także zmarnowana szansa, bo gdyby zrobić ten film z wigorem starych komedii Johna Landisa, to powstałaby złota klasyka komedii idiotycznej. A tak powstał film do bezbolesnego oglądania i szybkiego zapomnienia. ©©



★★★★★
REŻ. STEVE BRILL
„HUBIE RATUJE
HALLOWEEN”
USA 2020

wyst. Adam
Sandler, Kevin
James, Julie Bowen



NOWE SERIALE: „WELCOME TO THE BLUMHOUSE”

Nie tyle typowy serial, ile antologia niezależnych opowieści, sfinansowanych przez studio Blumhouse znane z głośnych (i kasowych) horrorów. We współpracy z Amazonem powstały i są już dostępne cztery filmy: „The Lie” (remake niemieckiego „Wir Monster”), „Black Box”, „Evil Eye” i „Nocturne”.

Cel projektu jest ciekawy i ambitny: dać szansę początkującym reżyserom na nakręcenie projektów może jeszcze zbyt niszowych dla wielkiej kinowej dystrybucji, ale wartych realizacji w skromniejszej formie. Nie są to typowe horrory, raczej thrillery z elementami horroru. ©© Piotr Gociek

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• reż. Lorene Scafaria „Ślicznotka” („Hustlers”), USA 2019

• Gjergj Xhuvani „Moje jezioro” („My Lake”), Albania 2020

• sezon 2 „Alienista: Anioł ciemności” („The Alienist”), USA 2020

Prawda w moczu

W KINACH

Do Europy? Tak, ale razem z naszymi zmarłymi. Agnieszka Holland znów stoczyła walkę z historią XX w., lecz tym razem przegrała na punkty. Z tłumu możliwych bohaterów wybrała bowiem postać wzbudzącą uczucia skrajnie ambiwalentne. Jan Mikołášek, posiadacz dyplomu „eksperta w zakresie roślin leczniczych”, uzdrawiał ludzi bez względu na ich narodowość i polityczne poglądy. Do wydania diagnozy wystarczył mu dotyk, głębokie spojrzenie w oczy i – przede wszystkim – kontemplacja buteleczki wypełnionej moczem chorego. Sukcesy zielarza wzbudzały zawiść lekarzy tudzież niepokój rządzących. Próbowali mu się dobrać do skóry Niemcy, lecz dopiero rodzimi komuniści

znaleźli sposób na „pasożyta, który bogaci się na klasie robotniczej”. Czeski kandydat do Oscara ma kilka atutów: zreżymowana narracja, dobre zdjęcia i gotowych na każde poświęcenie aktorów. Obawiam się jednak, że nawet entuzjaści medycyny naturalnej wyjdą z kin skonfundowani. Mikołášek to istny kameleon. Im więcej o nim wiemy, tym mniej go rozumiemy. Wierzy w Boga, ale jeszcze bardziej w swój dar. Silny i zarazem kruchy, prostoduszny i zakłaman, sobek i filantrop, kat i ofiara. Ciut za dużo tych sprzeczności. Holland, podobnie jak w „Trzecim cudzie”, zatrzymuje się u wrót tajemnicy i dalej iść nie chce. Szkoda. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. AGNIESZKA HOLLAND
„SZARLATAN”
(„ŠARLATÁN”)
CZECHY 2020,
GUTEK FILM

wyst. Ivan Trojan,
Juraj Loj, Josef Trojan



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

TAKIE CZASY BYŁY...

DVD VIDEO



wyst. Marcin Kowalczyk, Tomasz Włosok, Natalia Szroeder

★★★★★

REŻ. MACIEJ KAWULSKI
„JAK ZOSTAŁEM GANGSTEREM.”
HISTORIA
PRAWDZIWA”
POLSKA 2019,
NEXT FILM

Od kreszowego dresu do skórzanej kurtki i garnituru – w dobie ustrojowej transformacji zmieniała się w Polsce również przestępcza moda (choć nie tak szybko jak skład Rady Ministrów). Nadwiślańskim bandytom, na wyrost nazywanym gangsterami, odbiła szajba i wkrótce sami wylimnowali się z gry. Pozostała malownicza legenda, którą wielu próbuje zmonetyzować. Maciej Kawulski, konstruując „prawdziwy obraz polskiej mafi”, podąża ścieżką wydeptaną przez poprzedników. Oni też zaczynali od faktów, a kończyli w świecie fantazji. Historię kariery rzezimieszka z warszawskiej Pragi przedstawiono z biglem i na luzie, jednak końcówka zwala z nóg patosem. Natalia Siwiec (obsadzona w roli blachary) aż się popłakała, czytając scenariusz. Tytułowy bohater jest nazbyt inteligentki, większe wrażenie robi jego przyboczny z twarzą Tomasza Włosoka. Miło dowiedzieć się, że nasze kino ma tak obiecujące rezerwy kadrowe.

SKAZANY NA SAĞMALCILAR

HBO GO



★★★★★

REŻ. ALAN PARKER
„MIDNIGHT EXPRESS”
WIELKA
BRYTANIA 1978

wyst. Brad Davis, John Hurt, Randy Quaid

Znudzonym fabułami o współczesnych więzieniach, rządzonych przez recydywę, polecam film o konserwatywnym zakładzie karnym, w którym to klawisz pastwią się nad osadzonymi. Turcy oczywiście zakrzykną, że to było dawno i nieprawda, gdyż wspomnienia zapuszkowane go w Sağmalcılar amerykańskiego studenta, udratyzowane przez Olivera Stone'a, fatalnie zszargały reputację ich ojczyzny na Zachodzie. Straty wizerunkowe powiększyła reżyseria, będącego wówczas w znakomitej formie, Alana Parkera. „Midnight Express” zainspirował wielu. Współczesny kinoman, nawet obudzony w środku nocy, bez trudu poda z tuzin produkcji bardziej dosadnie obrazujących, czym się życie za kratami różni od pobytu w spa. Lepszego filmu o tym, co więzienia robią z ludźmi, na razie nikt jednak nie nakręcił. Bill w ostatniej chwili dostał szansę od losu, mógł przecież trefne pakunki utopić w kloziecie. Niestety, chciwość zwyciężyła. ©©

recenzuje Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „FIFA 21”

To już 28. edycja najpopularniejszej piłkarskiej gry na świecie. Trudno nie odnieść wrażenia, że przy tak wysokiej częstotliwości kolejny raz w cyklu życia hitu Electronic Arts nastąpiło zmęczenie materiału. Nowa „FIFA” wygląda jak nieco podrasowana poprzednia część, w której do

miana rewolucyjnych zmian urasta lepsza kontrola strzałów głową albo rozbudowanie systemu transferów. Jeśli ktoś oczekiwał świeżości, to tutaj jej nie znajdzie. Oczywiście istnieją inne powody, które sprawią, że miliony graczy i tak pójdą do sklepów. Nowe składki, nowy sezon,



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

pełne wirtualne stadiony. Tutaj wszystko po staremu. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: Sportowa
- Platforma: PC/PS4/XONE/Switch
- Producent, dystrybutor: Electronic Arts
- Klasyfikacja PEGI: 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

622 upadki **Lojzika Pokory**

Wberlińskim szpitalu, w listopadzie 1918 r., nieprzypadkowo 11 listopada, po trzech tygodniach niepamięci, odkąd raniono go w trakcie natarcia nad Skaldą, budzi się leutnant Alois Pokora i wychodzi na ulice niemieckiej stolicy. To, co zobaczył, nie podoba mu się niemniej niż życie w okopach: „Głód i grypa hiszpańska. Wiele przechodniów zasłania usta i nosy prowizorycznymi масечzkami i chodzą tacy, bez twarzy”. Ta uwaga to niejedyńska zastanawiająca analogia między dawnymi a nowymi laty, którą wychwycimy w najnowszej powieści Szczepana Twardocha „Pokora”. Historycznej, ale jakby nie do końca. A opowiadającej o niezliczonych upadkach swego tytułowego bohatera.

Najbardziej szczęśliwy będzie on w tymże Berlinie, gdy w czarnej skórzanej kurtce, z pistoletem w dłoni, „wcieli się” w miecz i tarczę Spartakusa. Służąc jedynej rewolucji, w którą mógł wierzyć, „ponadludzką, niewypowiedzianą siłę”. Polskę odrzuca, „bo to nie jest poważna sprawa dla poważnych ludzi” – co najwyżej jakieś państwo sezonowe. A Niemcy? „Niemcy mogli umrzeć, żebyśmy mogli żyć” – powtarzał w okopach jego zabity towarzysz broni, Kiesel, i Alois się z tym zasadniczo zgadzał, nie po to jednak opuścił dom rodzinny, wyedukował się, zamienił język wasserpolski na niemiecki, by w plebiscycie głosować za Polską. Oddałby może swój głos na autonomiczny Śląsk, ale nie było takiej możliwości. Cóż z tego więc, że słuchał chciwie o dokonaniach i zamierzeniach Aloja Pronobisa?

Abyła to mętna postać. Ten organizator ruchu autonomistów był policyjnym agentem, najpierw w Królestwie Polskim, a następnie na Górnym Śląsku,



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

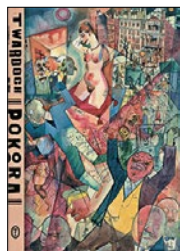
sprawcą nieszczęść wielu ludzi i to, jak się zdaje, z różnych stron politycznych barykad. Tego, czy rzeczywiście zdradził własnego ojca, donosząc, że sprzedaje polskie pocztówki, nie można być pewnym, ale że odsiadywał kary więzienia za kradzieże, to rzecz sprawdzona. Wybór jego właśnie jako patrona poczynił brata Aloisa – Wilika, do którego i Alois odnosi się z niejakim uznaniem – wydaje się mocno nietrafiony. Ale cóż, Alois chciwie słucha brata, gdy ten opowiada o tym, że Pronobis walczy o pełną śląską wolność, „bo jest to chłop odważny i godny”.

Wielkoniemieckość jest Aloisowi w gruncie rzeczy tak samo obca jak wszystko inne, nie umie się jej jednak przeciwstawić. Jest wykorzeniony, on – syn nawet nie swojego tatulka, ale jak miało się okazać, miejscowego księdza, farorza z Żernicy. Mały, biedny Lojzik Pokora z Nieborovitz. Dlatego z niechęcią słucha, co ma mu do powiedzenia Smilo von Kattwitz, który go wprowadzie przynajmniej dwukrotnie ocalił, ale i w końcu przyczynił się do jego ostatecznego, chyba definitywnego upadku. I nic tu do

rzeczy nie ma homoseksualizm tamtego, Alois bowiem choć beznadziejnie, masochistycznie zakochany w Agnes, perwersyjnej Niemce z Gliwic, nie ma nic przeciw miłosnym igraszkom z osobami, powiedzmy, transseksualnymi. Ale Smilo jest z całkiem innego świata, obojętnym pozostaje więc na jego zaklinanie, że „to kwestia naszego honoru, nas, Ślązaków, Schleissler, aby nasz haimat nie odpadł od Rzeszy”.

Powieść kończy się w roku 1921. Alois Pokora ma trzydzieści lat i na tym pewnie zakończy swój doczesny żywot, zastrzelony przez swego szkolnego jeszcze prześladowcę. Zabity przez Polaków, choć płacząc, zapewnia, że jest Polakiem. Nie uwierzą mu, a obciążającym go dowodem będzie legitymacja konserwatywnej niemieckiej partii DNVP, do której zapisał go niemiecki pracodawca Kullrich, który sam co prawda przypominał sobie, że nazywa się Kulik, ale Aloisowi partyjna legitymacja pozostała w kieszeni.

Co mu pozostaje po niezliczonych upadkach, po bezustannym wypieraniu się swojego życiorysu, poza powtórzeniem słów swego wiecznie zagniewanego nominalnego tatulka, „że Niemcy w ogóle gównio, a Polska jeszcze gorsze gównio”? Do czasu współczujemy bohaterowi, litujemy się nad jego biedą, podziwiamy jego wysiłki, by żyć godnie, doceniamy nawet jego zaradność przystosowania się do reguł obowiązujących w diametralnie różnych środowiskach, ale to wszystko do czasu. Powieść liczy sobie ponad 500 stron. I w końcu mamy dość zaptakanego, użalającego się nad sobą Lojzika. Jasne, św. Piotr zaparł się Jezusa, a ten mu wybaczył, tak że my też możemy wybaczyć Aloisowi Pokorze. Niech mu ziemia lekka będzie. ©



★★★★★
SZCZEPAN
TWARDOCH
„POKORA”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE,
KRAKÓW 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Vivat nacionalizm!

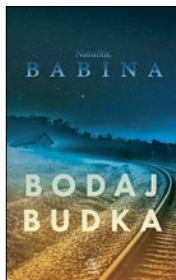
Import z Białorusi, który zawstydza, bo przypomina, jak mało wiemy o tym, co dzieje się w literaturze bliskiego sąsiada. Natałka Babina, żeby było bardziej skomplikowanie, jest zresztą Ukrainką mieszkającą na Białorusi. Pisze w lokalnej prasie, protestuje przeciw rządowi Łukaszenki, a nadziei na lepszą przyszłość upatruje w powrocie do przeszłości. W Polsce ukazała się dotąd jej jedna książka – „Miasto ryb” (2010).

„Bodaj Budka” to fantastyczna groteska, w której słychać echa pisania trochę w duchu Strugackich, trochę Bułhakowa, trochę twardego realizmu Wasilija Bykaua, znam takich, króczy dopatrują się nawet wpływów naszego Janusza A. Zajdla. Jest to jednak powieść jednocześnie bardzo mocno osadzona w białoruskim tu i teraz, dumnie zaściankowa, celowo prowincjonalna. Zarówno główna bohaterka (też pisarka), jak i reszta Białorusinów stają oko w oko z tajemniczą inwazją obcych. Kopuła odcina kraj od reszty świata, a pod nią dzieją się rzeczy ponure.

Tak, oczywiście, należy to również czytać jako mocno polityczną aluzję. Jest ich tu wiele, podobnie jak komentarzy do rozmaitych okresów w historii Białorusi, bo bohaterka wpada także w nie mniej tajemnicze „nory czasu”. W ogóle jest to książka, która uczy,

że by stawić czoła ponurej teraźniejszości i groźnej przyszłości, trzeba zwrócić się ku przeszłości. Trochę zanadto rozbuchana, ugina się pod ciężarem wątków, epizodów, językowej zabawy.

Mińsk zostaje niemal całkowicie zniszczony, najeźdźcy zaganiają ludzi do podziemnych pieczar. Gdzie szukać ratunku? Odpowiedź prowadzi nas do krainy metafory mocno niepoprawnej politycznie. Nie dość, że główne bohaterki muszą odnaleźć „prawdziwą pieśń” swej ojczystej ziemi, to jeszcze narratorka wyjaśnia, na czym należy oprzeć opór: „Na słabej ludzkości. Na miłości. Na nacjonalizmie. Nie tym agresywnym, imperialistycznym i nie tym, który wywyższa jeden naród nad innymi, nie. Na nacjonalizmie jako genetycznym programie przetrwania. Czasem zawodzi, tak jak zawodzi organizm podczas choroby. Ale w większości przypadków organizm zwalcza infekcję, wychodzi na swoje”.

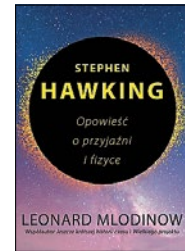


★★★★★
NATAŁKA BABINA
„BODAJ BUDKA”
REBIS 2020

Z takim przesłaniem ciężko będzie przekonać brukselskich biurokratów do zrozumienia i pomocy dla Białorusi, bo słowo „nacjonalizm” wzbudza tam albo paniczny strach albo głęboką nienawiść. Ale do Trójmorza serdecznie sąsiadów zza Bugu zapraszamy. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Moim celem jest podzielenie się z wami tym, czego się nauczyłem” – pisze we wspomnieniach o genialnym naukowcu jego współpracownik, popularyzator nauki i fizyki. To także wzruszające świadectwo zrozumienia i przyjaźni.



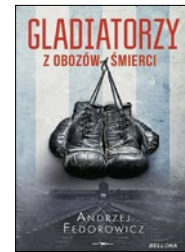
LEONARD MLODINOW
„STEPHEN HAWKING”
ZYSK I S-KA

Znacie? To posłuchajcie. Fragmenty powieści, opowiadań i wywiadów amerykańskiego skandalisty dotyczące alkoholu. Na szczęście także trochę nieznanymi drobnymi tekstami, żeby nie był to typowy recykling.



CHARLES BUKOWSKI
„O PICCIU”
NOIR SUR BLANC

Jeden wrócił po wojnie na ring, inny uciekał przed gniewem Sowietów, jeszcze inny został u kresu życia przewodnikiem w Auschwitzu. Niezwykłe losy mistrzów boksu w kacetach.



ANDRZEJ FEDOROWICZ
„GLADIATORZY Z OBOZÓW ŚMIERCI”
BELLONA

„Główne konteksty kulturowe i ideowe”, czyli rzecz o arcymistrzu animacji poklatkowej, czeskim surrealiście wielbionym przez Terry’ego Gilliana czy braci Quay. Autor to założyciel Festiwalu Etiuda&Anima, prezes DKF Rotunda. ©©

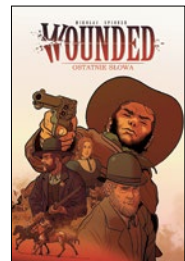
poleca Piotr Gociek



BOGUSŁAW ZMUDZIŃSKI
„TWÓRCZOŚĆ FILMOWA JANA ŠVANKMAJERA”
WYDAWNICTWA AGH

KOMIKS TYGODNIA:

„WOUNDED”
Zachwalałem trzy lata temu pierwszy tom tego komiksu („Skradzione lata”) słowami: „Polski western żyje, ale już nie w powieściach Wernica, tylko w komiksie młodego rysownika”. W tomie drugim Mikołaj Spionek rozszerzył paletę barw, nieco przyspieszył narrację, kreska jest bardziej zdecydowana. Scenariusz utkano z motywów doskonale znanych fanom



MIKOŁAJ SPIONEK
„WOUNDED. OSTATNIE SŁOWA”
EGMONT 2020

westernu, ale to nie wada, liczy się to jak emocjonująca jest opowieść (a jest!) i jak dobrze narysowana. Nie mam wątpliwości, seria „Wounded” byłaby ozdobą planu wydawniczego w dowolnym kraju świata. ©©

poleca Piotr Gociek



Cisza w bloku

FOT. MARCIN KUNIGER

Nanga to projekt, który zrodził się za sprawą dwóch muzyków Lao Che – Filipa Różańskiego i Macieja Dzierżanowskiego. „Kiedy zacząłem się zastanawiać, jak i kiedy powstała Nanga, zdałem sobie sprawę, że chyba od zawsze była, wystar-

czyło ją tylko odkryć – mówi Filip Różański. – Wszystko, co finalnie doprowadziło do powstania tej płyty, działało się spontanicznie i bez z góry narzuconego planu. Planowaliśmy wydać jedynie epkę zawierającą cztery różne stylistycznie utwory, z czte-

rema różnymi wokalistami. Kiedy pojawiła się Magda i usłyszeliśmy jej tekst i głos, wszystko stało się jasne – ta dziewczyna musi zostać z nami na dłużej...”. Maciej Dzierżanowski uzupełnia: „Razem z Filipem występujemy w zupełnie nowej dla nas roli. Nanga jest naszym dzieckiem, które rodziło się w atmosferze wzajemnych inspiracji, doświadczeń oraz pasji. Wspólnie podążamy w nieznanym kierunku pełni obaw, niepewności, ale też nadziei na genialną przygodę”.

Wspominana przez Różańskiego wokalistka i tekstarka Magda nosi nazwisko Dubrowska. Do projektu została zaproszona za pośrednictwem Facebooka. Ani Filipa, ani Macieja, którzy napisali do niej z propozycją nagrania jednej piosenki, wcześniej nie знаła, ale propozycję przyjęła. „Kawałek, który mi przysłał, od razu

mnie zainspirował. Jeszcze tego samego wieczoru zaczęłam pisać tekst. Kiedy miesiąc później przyjechałam do Włocławka na nagranie, poznaliśmy się osobiście. I zaiskrzyło” – wspomina.

Efekt tego iskrzenia w postaci singla „Prophet” zaprezentowali już jakiś czas temu. Prophet, czyli prorok, snuje ponurą opowieść. „Nastanie kiedyś cisza w bloku, i przyjdzie w końcu święty spokój / Zamilkną pralki i czajniki, telewizory, rury, zsypy / Wystygną grzanki i grzejniki, wybuchną kraty i liczniki / A w wannach niczym pelargonie, rozkwitać będą nasze zbrodnie”. „Cisza w bloku” to tytuł debiutanckiej płyty. Premiera 30 października. Gościnnie m.in. Karol Gola (Lao Che, eks-Pink Freud), Barbara Wrońska oraz Michał Sobolewski (Fisz Emade, Kim Nowak).

© © Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Świat bez złudzeń

Trzeci wspólny album trzech Waglewskich przynosi obraz niechcianego świata sportretowany oczami dwóch pokoleń. Nie tyle ojca i syna, ile 67-latką i 42-latką.

Siedem z 11 tekstów napisał Bartosz „Fisz”. W kilku z nich nie godzi się z rzeczywistością, w jednym przekonuje córkę, że „ich czas już dawno minął”, ale przede wszystkim czuje się odpowiedzialny za bliskich. „Im jestem starszy, tym wiem / Jak okrutny bywa świat” – śpiewa w otwierającej album „Ziemi”. I za chwilę dodaje: „Tajemne siły przyrody / Nauczyły pokory / Rozumu”. W finałowej piosence, „Dobre rzeczy”, konstatuje zaś: „Wracajmy do domu, tam możemy się skryć”.

Ojciec nie ma już złudzeń („Sam spotkałem ze czterech / Ludzi

dobrych i szczerych”), popada w apatię („Czasem nie chce się wcale / Nie chce chcieć”). I dodaje: „Licz na kogoś bliskiego, Najlepiej na siebie”. Uciekając od świata, skupia się na relacjach z ukochaną osobą. W tych wyznaniach jest szczerze bolesny i boleśnie liryczny.

Producentem muzycznym albumu jest Piotr „Emade”. Długie, spokojne utwory są zaaranżowane głównie na akustyczne instrumentarium. Dominuje fortepian, na którym gra Mariusz Obijalski. W tle pobrzmiwa altówka (Anna Prokopczuk), do której czasem dołącza wiolonczela (Dominik Frankiewicz). W utworze „O liczeniu” Jacek Gawłowski zagrał poruszające solo na gitarze elektrycznej. Całość spina gitara Wągla, która szlocha pięknymi barwami. © ©



★★★★★
WAGLEWSKI FISZ
EMADE
„DUCHY LUDZI
I ZWIERZĄT”
MYSTIC



★★★★★
JOHN LENNON
„GIMME SOME
TRUTH”
CAPITOL

Z okazji jubileuszu 80. urodzin Lennona ukazała się składanka z 38 utworami. Zawiera przeboje – od „Instant Karma!” do pośmiertnego „Nobody Told Me” – oraz utwory z albumów. Atrakcją wydawnictwa są nowe miksy, dzięki którym nagrania brzmią rewelacyjnie.



★★★★★
ROGER WATERS
„US+THEM”
SONY

Dźwiękowa kronika światowej

trasy 2017–2018 uwieczniona w filmie pokazanym przed rokiem na festiwalu w Wenecji. Waters wykorzystuje utwory Pink Floydów oraz solowe jako różgę do biczowania światowych przywódców. Koncert otwiera i kończy „Ciemna strona”. © ©

NA KONCERT GINTROWSKI

*A ja mam
coś po was
zostawić*

ZAPRASZA

**ME
CE
NAS**
KONCERTU



Ten niedysiejszy debiut Anny Karasińskiej, dokładnie sprzed pięciu lat, jest zastanawiająco świeży i aktualny. Żywiąc się pandemicznym poczuciem niepewności i absurdu, potęgując wrażenie przezroczystości, umowności dzisiejszego świata. Kiedy najświeższe, nadęte teatralne diagnozy pękają jak bańki mydlane, ascetyczny teatr Karasińskiej niczego nie obiecuje. Nie karmi się nadmiarem dekoracji, kostiumu, odjechanych projekcji, ambientowej przesterowanej muzyki, nie streszcza topatologicznie najmodniejszych filozofów. To teatr zrobiony z aktorów i z pełnego scenicznego światła wydobywającego każdy, najmniejszy niuans mimiki, zawieszenia głosu, spojżenia. Karasińska wyeliminowała ze sceny wszystko, co zbędne, co przeszkadza uważnie przyglądać się i myśleć nad tym, co właściwie się odbywa na tych spracowanych deskach, nieosłoniętych teatralnymi sztuczkami, mgłami i mrokami. Pod pozorami oszczędności kryje się tu jednak artystyczny i intelektualny przepych.

W centrum wydarzeń reżyserka umieściła znanych i kochanych aktorów Rozmaitości: Rafała Maćkowiaka, Marię Maj, Adama Woronowicza – udających amatorów z kółka teatralnego, marzących o aktorskiej sławie uczestników „projektu eksperymentalnego”, zaledwie pretendentów do aktorskiego rzemiosła. Nie byłoby w tym nic wielkiego, gdyby nie dodatkowe piętorko dodane przez twórców scenariusza. Pomysł polega na tym, że naturalistycznych zaproszono jako dublerów... Rafała Maćkowiaka, Marii Maj, Adama Woronowicza. Do tego grona dołączyła Ewelina Pankowska – w roli Magdaleny Cieleckiej. Aktorzy grają zatem kogoś innego, kto ich gra. Stojąc „na krzyżykach”, znacznikach z taśmy naklejonych na podłodze, bawią się



„Ewelina płacze”, TR Warszawa, reż. Anna Karasińska, premiera: 1 października 2015 r. FOT. MARTA ANKIERSTEJN

Być sobą



Grzegorz Kondrasiuk

Tego dnia teatry w całej Polsce ogłaszały odwoływanie kolejnych premier i zawieszanie repertuaru, a ja niespodziewanie odnalazłem się w TR Warszawa na spektaklu „Ewelina płacze”

konwencją. Udać nieśmiałość, sceniczne nieobycie, zeszytowanie debiutantów – lekko, znakomicie, zatrzymując się na cienkiej linii, za którą pokułają kabareciarskie zagrywki. Plotą androny, jak to czasem bywa na warsztatach teatralnych i podczas „projektów eksperymentalnych”, kiedy każe się młodzieży (a także dojrzałym aktorom) mówić „od siebie” i o „byciu sobą”. Opowiadają też inne androny: o aktorskim high lifie, o zaletach bycia „kimś” i mieszkania w Warszawie (bo gdzie by indziej). Adam Woronowicz jako marząca o sławie nasto-

latka wychwala magnetyczną osobowość „Adama Woronowicza” – takiego, jakiego może znać jedynie z filmów, seriali, Internetu itd. Wielki jest w tych gierkach potencjał komiczny. Te aktorskie wygi, już ci prawdziwi, z krwi i kości, znakomicie go wydobywają. To jednak dopiero wstęp do wielowymiarowego świata znaczeń, uruchamianych przez ten sceniczny niby-żart.

Tytułowa „Ewelina”, grana przez Ewelinę Pankowską, w pewnym momencie wybucha płaczem. „Ewelina, dlaczego płaczesz? Dlaczego nie stoisz na krzyżyku?” – pyta

kolektyw. Ewelina płacze, bo jest w kolektywie czarną owcą, tym, kto nie dźwiga. A ma naprawdę ambitne zadanie. W zasadzie jest ono niemożliwe do wykonania, ponieważ ma wcielić się nie w Ewelinę Pankowską, rzeczwiście wybraną w castingu, czy w stereotyp aktorki Pankowskiej, ale w Magdalенę Cielecką i całą towarzyszącą jej aurę. Płacze, bo jest za bardzo sobą, bo nie te „warunki”, a Cielecka unosi się na firmamencie za wysoko... Ewelina płacze, ale płacze nieprawidłowo – trzeba jej pokazać, jak należy płakać, jak płacze się teatralnie, jak robi to człowiek ucywilizowany.

I tak, pomiędzy pozornie błahymi scenkami, rozpoczyna się rzetelny namysł nad projektem autentyczności. Co to znaczy „być sobą”? Kiedy próbują tego nasi naturalistycy, okazuje się, że ich autentyczność składa się z naiwnych marzeń, ze schematów myślowych, z kompleksów. „Być sobą” to chrzanić głupoty z poczuciem, że mówi się niesłychanie głębokie rzeczy. Być pustym i swoją pustkę szybko zapełniać zlepkami zasłyszanych z mediów i od znajomych ideologii oraz zabobonów. Wtedy nadchodzi finał, „robi” go sceniczny śnieg, wypuszczony z maszyny po to, by podkreślić moment przerysowanej, teatralnej śmierci czwórki miejskich „nołnejmów”, wybranych spośród tłumu próbującego odróżnić się od siebie, od przeciętności strojem, fryzurą, tatuażem. Współczesnych Każdych z moralitetu, a więc z teatru na poważnie pytającego o śmierć.

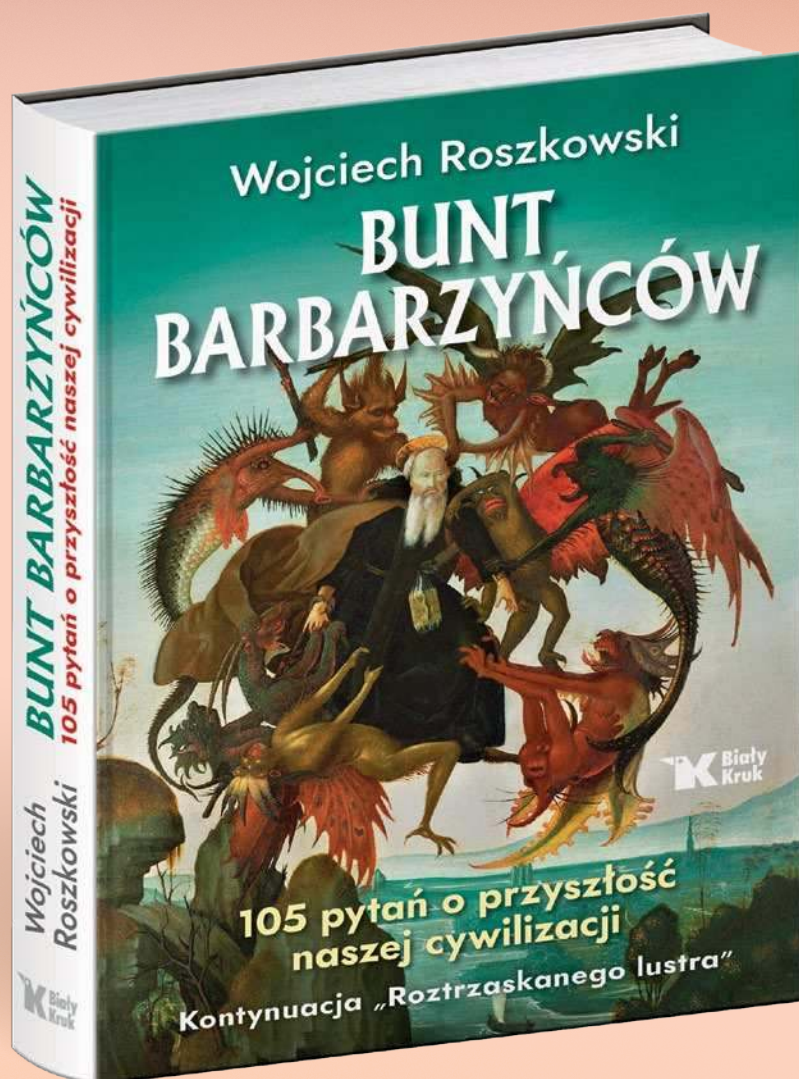
„Ewelina płacze” w 2015 r. była spektaklem, który pokazywał teatrowi polskiemu nową, ciekawą drogę intelektualnej rzetelności, unikania hochsztaplerki, dróg na skróty poprzez „autentyczność”. Ale teatr polski do dziś jakoś z tego nie skorzystał. ©©

105 PYTAŃ O PRZYSZŁOŚĆ NASZEJ CYWILIZACJI

KONTYNUACJA „ROZTRZASKANEGO LUSTRA”

Czy cywilizacja zachodnia, do której jednak należymy, już upadła? A jeśli tak, to czy będzie w stanie się podnieść i pod jakimi warunkami? Pytania te nurtują wielu ludzi, także wybitnego intelektualistę i świetnego pisarza prof. Wojciecha Roszkowskiego. Autor rozważał je już w skrzącym się imponującą erudycją dziele „Roztrzaskane lustro”, które stało się bestsellerem ubiegłego roku. „Bunt barbarzyńców” jest swoistą kontynuacją tamtej książki, choć został zupełnie inaczej skonstruowany.

Dalszy ciąg rozmyślań nad schyłkiem naszej cywilizacji ujęty został tym razem w formie 105 pytań i odpowiedzi. Odpowiedzi zwięzłych, niebawale logicznych, nieraz nawet ironicznych. Ironia to zresztą i tak łagodna forma krytyki głupoty tego świata, i to niestety głupoty dość powszechnie akceptowanej za sprawą przede wszystkim mediów tzw. głównego nurtu. Za promowaniem głupoty, albo też i dewiacji, kryje się dziś jakże często wielki biznes.



312 str., 16,5 x 24 cm,
twarda, lakierowana oprawa

Dla czytelników „Do Rzeczy” 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykrak.pl i wykorzystaj kod rabatowy **WPIS35**

Czy nasza walka ma sens?



Krystian Kratiuk

Na prawicy rozpoczęła się gorąca debata na temat strategii wobec wrogów resztek cywilizacji chrześcijańskiej. Na łamach „Do Rzeczy” w debatę tę wpisali się Mariusz Dzierżawski i Tomasz Terlikowski. Ostatni z wymienionych autorów zupełnie zaskoczył argumentami

Nie zamierzam opisywać dostrzeżalnej przez obserwatorów debaty publicznej z lewa i prawa przemiany Tomasza P. Terlikowskiego z katolickiego fightera w osobę udzielającą wywiadów chwalonych przez najzgorzalszych czytelników tygodnika „Polityka”. Chciałbym zająć się promowanym przez pana Tomasza postulatem, dość popularnym w ostatnim czasie również w środowiskach tzw. katolików otwartych, ale i wśród części środowisk prawicowych (w tym wśród przedstawicieli partii rządzącej). Chodzi o postulat zaprzestania walki kulturowej, szczególnie tego jej wydania, które Terlikowski na łamach „Rzeczpospolitej” nazywa „medialną partyzantką”.

WSPÓLNOTA PONAD WSZYSTKO?

Autor słusznie nawołuje do budowy swego rodzaju chrześcijańskiej „realpolitik”, jeszcze bardziej słusznie zauważając, że tak naprawdę na prawicy uprawia ją wyłącznie środowisko związane z Ordo Iuris. To wspaniała instytucja – i rzeczywiście szkoda, że jedyna. Terlikowski – znów

dodajmy, że jak najbardziej słusznie – postuluje też prowadzenie przez rządzących „spójnej, realistycznej polityki”, co moglibyśmy nazwać, oczywiście w dużym skrócie, prawicowym marszem przez instytucje. Bomba! Pytanie tylko, dlaczego pan Tomasz upiera się, by przy tym zakończyć „medialną partyzantkę”, którą – jak rozumiem – określa publicystyczną i „aktywistyczną” walkę z coraz bardziej agresywną lewicą podejmowaną nie tylko przez publicystów i działaczy społecznych, lecz także przez część polityków.

Podobny pogląd wyrażany jest dziś przez coraz większą liczbę konserwatystów, którzy za punkt honoru przyjęli obronę jedności wspólnoty. W tym przypadku wspólnoty narodowej albo po prostu mieszkańców Polski. Podobne echa wybrzmiewają w wielokrotnie przywoływanym przez Terlikowskiego tekście Marcina Kędzierskiego z Klubu Jagiellońskiego. Jest tylko jeden problem – wspólnoty z wrogiem zbudować się nie da. Wraz z narastającym napięciem na linii: agresywni aktywiści LGBT a polscy katolicy powinniśmy zdać sobie sprawę, że nie ma miejsca na kompromis. To spór między dwiema różnymi cywilizacjami, które nie są w stanie funkcjonować w jednym miejscu. Kto jak kto, ale człowiek, który opisowi starcia cywilizacji poświęcił tak wiele czasu co pan Tomasz, powinien to dostrzegać nadzwyczaj wyraźnie. A jednak ludzie podzielający pogląd o „niepotrzebnych wojnach kulturowych” uznali, że ważniejsze są spokój i wspólnota. Tyle że mieszkańcy Polski są dziś wspólnotą wyłącznie języka i krwi, niemal niczego więcej. Powoli stajemy się wspólnotą urojoną, w idei wspólnoty dla wspólnoty nie ma już bowiem czego ratować. Dlatego właśnie walka konserwatystów może sensu nie mieć – oni bowiem chcą ratować nie tyle prawdę i resztki cywilizacji chre-

ścijańskiej, ile właśnie jedność. A tej rzeczywiście być już nie może.

KONTRREWOLUCJA!

Co innego kontrrewolucyjniści. Oni wiedzą, że to nie wspólnota sama w sobie jest wartością. Wartością jest bowiem świat prawdy, dobra i piękna oparty na zasadach cywilizacji chrześcijańskiej, przeciwko któremu to porządkowi (utrzymanemu do dziś w bardzo niewielu segmentach) występują liczni przedstawiciele rewolucji. Mniej i bardziej świadomi słudzy antycywilizacji robią to samo w różnych krajach, w tym również niektórzy Polacy w Polsce (choć za pieniądze z różnych stron świata), tworząc przy tym swoistą nihilistyczną międzynarodową dewiacyjno-aborcyjną. I trzeba się im przeciwstawić.

To, co Terlikowski zdaje się nazywać „medialną partyzantką”, nie jest wyłącznie strzelaniem mocnymi słowami dla samego strzelania. To walka o opinię publiczną, która w demokracji wciąż jest suwerenem. A więc nawet wtedy, kiedy ostrych słów i innych metod dyskusji przeciwko argumentom lewackiego przeciwnika używają politycy – a mamy świadomość, że w większości robią to w czysto koniunkturalnych celach – jest to zjawisko jak najbardziej pożądane.

Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie już padła – dlatego że rządy sprawuje suweren. I dlatego że PiS – co również zauważa pan Tomasz – może za jakiś czas pójść drogą brytyjskich czy innych zachodnich konserwatystów i zalegalizować nam tu małżeństwa homoseksualne, adopcję dla każdego czy aborcję na życzenie. Będzie to jednak możliwe tylko wtedy, kiedy PiS – partia działająca w systemie demokratycznym – zauważy, że większość Polaków już popiera takie postulaty. A jak dopro-





CHRZEŚCİJAŃSKA „REALPOLITIK”

też musimy walczyć, by opinia publiczna w jak największej części pozostała po naszej stronie.

KOŚCIÓŁ TEŻ WINIEN BYĆ WALCZĄCY

Pan Tomasz odnosi się również do spraw Kościoła i działających w jego ramach (choć raczej na jego uboczu) świeckich aktywistów. Napisał na przykład: „Kiedys pewien ksiądz w jednym z krajów postwosewskich wyjaśnił mi, dlaczego nie powiesiłby na terenie parafii bannerów »Stop Aborcji«. – Wie pan, panie Tomku, tu do mnie bardzo często przychodzą kobiety, które spowiadają się z aborcji. I jeśli tylko jedna z nich odezłaby od parafii, zasmucona, zgorszona, uderzona treścią tych bannerów, to byłaby to największa strata – mówił. A ja dodam, jeśli tylko jeden homoseksualista odchodzi z Kościoła zgorszony bannerami, które uważa on za uderzające w jego godność, to jest to realna strata i nasza za to odpowiedzialność. Od zwycięstwa w wojnie kultur istotniejsze jest zbawienie. Pluralizmu świata, różnorodności światopoglądowej nie zmienimy. Musimy nauczyć się z nią żyć, w niej funkcjonować, w niej głosić Jezusa, a także wartości moralne związane z prawem naturalnym i Ewangelią”.

Tak, od zwycięstwa w wojnie kultur nieporównywalnie ważniejsze jest zbawienie. Ale przecież nie tylko nasze. Co bowiem, jeśli jeden homoseksualista odchodzi z Kościoła zgorszony bannerami, ale 10 innych rodziców, widząc ten sam banner, zainteresuje się sprawą do tej pory ich nieobchodzącą i zacznie chronić swoje dzieci przed potencjalnym wejściem na drogę grzechu?

Jako chrześcijanie wcale nie musimy uczyć się funkcjonować w „różnorodności światopoglądowej”, bo funkcjonujemy w niej od zarania Kościoła. Mamy ową rzeczywistość zmieniać i jak największą część zapraszać na Drogę, która jednocześnie jest Prawdą i Życiem. Tak jak niegdyś przeciw całemu światu, przeciwko pluralistycznemu przecież imperium wystąpiła niewielka grupka dzielnych ludzi, którzy „oblekli pełną zbroję Bożą” i stanęli „do walki nie przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym portalu PCh24.pl.

wadzić do tego, by większość takich postulatów nie popierała? Walcząc o opinię publiczną i stale przesuwając słynne „okno Overtona” w stronę wartości konserwatywnych. Jeśli następuje przy tym radykalna polaryzacja społeczeństwa, to tym lepiej, bo dzięki tej polaryzacji konserwatywna większość może dłużej wytrzymać napór ideologicznych przeciwników. Do tego właśnie służą coraz liczniejsze prawicowe organizacje społeczne, do tego też posłużyć mogą słowa polityków. Gdyby nie prawicowa walka z pomysłami lewicy, już dziś mielibyśmy w Polsce aborcyjną rzekę niewiniątek na skalę amerykańską, już dziś małżeństwo byłoby związkiem kogokolwiek z kimkolwiek, a dzieci wychowywane byłyby w „jednopłciowych rodzinach”. A jednak, szczęśliwie, wciąż tego nad Wisłą w takim wymiarze jak Zachód nie doświadczamy.

PRAWO DO SAMOOBRONY

Polscy katolicy czy Polacy przywiązani do swych tradycji są dziś unikatową grupą społeczną. Bardzo lubię metaforę porównującą nas do Indian żyjących w lasach Amazonii – zachowując przy tym wszelkie proporcje. Otóż zwróćmy uwagę, że żyjemy dziś w świecie, w którym na potęgę promowana jest różnorodność. Pod ochroną ONZ i innych organizacji międzynarodowych znajduje się wszystko, co unikalne, wyjątkowe, inne niż wszystkie, chciałoby się rzec „queerowe” wobec dzisiejszej rzeczywistości. I my, Polacy, rządzący się w swoim kraju, mówiący w swoim trudnym do zrozumienia dla innych języku, pragniemy tego samego co Indianie w Amazonii – pragniemy zachować swoje tradycje, swoje wierzenia, swoje pojmo-

wanie świata, swoje święte figury, swoje rozumienie rodziny, swoje metody wychowania dzieci. Oto jednak na naszych oczach nadjeżdżają kolonizatorzy – chcą nam odebrać wszystko, co dla nas drogie. Pompują w nasze dzieci swoje ideologie, za garść koralików (a to funduszy europejskich, a to norweskich, a to od Sorosa) kupują co niektórych członków naszej społeczności, by rozsadzali naszą plemienną kulturę od środka.

Czy wiedzą państwo, co w tej metaforze różni nas od owych amazońskich Indian? Otóż za Indianami wstawiłby się każdy pracownik ONZ, organizacje międzynarodowe organizowałyby zbiórki na rzecz obrony ich kultury, papież poświęciłby im adhortację, Hollywood nakręciłoby o ich plemieniu kilka wyciskających łzy filmów, a National Geographic i Discovery przygotowałyby koprodukcję drogiego serialu dokumentalnego – wszystko, by obronić tę umierającą kulturę. Żeby mogła trwać. Gdyby któryś Indianin chciał głośno krzyczeć, że oto przybysze i ich poplecznicy niszczą to, co budowali jego ojciec, dziadek i przodkowie, do których duchów się modli, wszyscy uznaliby jego walkę za uzasadnioną, słuszną i moralną.

Inaczej z walką Polaka, ona zdaje się zakazana – tak patrzy na to lewica, ale można odnieść wrażenie, że właśnie ku temu zmierzają też argumenty Tomasza P. Terlikowskiego. Że Polak powinien poddać się i czekać na to, co robi rząd, złożony przecież z polityków wystruganych z banana, patrzących w wyniki badań publicznych jak w święty obrazek. Dlatego

Po złej stronie histerii



Wojciech Golonka

Dwóch sędziów Sądu Najwyższego USA w oficjalnym orzeczeniu zaatakowało wyrok tego sądu legalizujący pięć lat temu „małżeństwa” jedнопłciowe jako uderzający w swobodę religijną. Czy czeka nas rewizja tego wyroku?

Chociaż nie zostało to wyrażone wprost, to sztorcujący Polskę list otwarty 50 ambasadorów odnośnie do przestrzegania w Polsce praw tzw. osób LGBT stanowił wyraźny nacisk w kierunku legalizacji w naszym kraju „małżeństw” gejowskich. Skoro bowiem wszyscy Polacy – niezależnie od swych przekonań, wierzeń czy upodobań seksualnych – cieszą się tymi samymi prawami konstytucyjnymi, to skrajnie naganny nacisk dyplomatów należy rozumieć jako wymuszanie wprowadzenia w Polsce czegoś dotąd nieistniejącego, a mianowicie rozpowszechnionych już na Zachodzie tzw. małżeństw jedнопłciowych. Inicjator listu, ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher, dołała przy tym oliwy do ognia, grożąc naszej ojczyźnie konsekwencjami ekonomicznymi oraz puentując, że Polska stawia się po złej stronie historii w kwestii LGBT.

GENDER W USA

Propagowanie przez USA „rewolucji genderowej” nie jest niczym nowym. Prezydent Barack Obama już 6 grudnia 2011 r. wydał amerykańskim placówkom dyplomatycznym rozkaz promowania i działania na rzecz praw „osób LGBT” na świecie. Zaskakuje wszakże coraz bardziej nachalny i agresywny charakter tych „dyplomatycznych” poczynąń, nabierający obecnie wręcz odcienia szantażu, choć trzeba przyznać – częściowo komicznego. Gdy bowiem ambasador Mosbacher grozi nam wycofaniem amerykańskich inwestycji z Polski, można sobie zadać pytanie, czy ma na myśli zamknięcie wszystkich rozsianych po Polsce fabryk Coca-Coli, likwidację franczyzy McDonald’s i innych amerykańskich fast foodów, ograniczenie sprzedaży iPhone’ów tylko dla „osób LGBT”, czy



może wyrzucenie TVN z amerykańskiego koncernu medialnego Discovery?

Żądanie zmiany społecznej instytucji małżeństwa z powodu czyichś intymnych preferencji można by porównać np. do żądania obsadzania szturmowych jednostek specjalnych zagorzałymi pacyfistami w ramach rozszerzania instytucji sił zbrojnych o preferencje militarne pewnej kategorii społeczeństwa. Przede wszystkim można ubolewać, że naszym sojusznikiem pozwala się na tak bezpośrednią ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski, podczas gdy trudno sobie wyobrazić, aby podobne upokorzenie spotkało innych partnerów USA, np. Izrael czy Arabię Saudyjską. Wystarczy przypomnieć sobie, jak przy bierności Zachodu w Arabii Saudyjskiej zamieciono pod dywan polityczne zabójstwo Dżamala Chaszukdiego, nie mówiąc już o podejsciu do praw człowieka w tym kraju, co nie przeszkadza większości naszych moralizatorów handlować w najlepsze z Saudyjczykami z niewzruszonym sumieniem.

SYGNAŁ ZZA OCEANU

I oto w tej sytuacji niemocy, narzucanej nam przez kolejne pokolenia wyznawców imposybilizmu w polityce międzynarodowej, sygnał nadziei i poparcia dla Polski, wybrzmiewający wręcz jak „odwalcie się od polskiej demokracji”, popłynął nagle z samego Sądu Najwyższego USA.

Otóż rozpoznając skargę pewnej urzędniczki ze stanu Kentucky, Kim Davies, która z powodów religijnych nie chciała udzielać „małżeństw” jedнопłciowych, a w konsekwencji przestała udzielać jakichkolwiek małżeństw cywilnych, czarnoskóry sędzia Clarence Thomas wypowiedział się w ostrych, pełnych sarkazmu słowach o orzeczeniu Sądu Najwyższego z 2015 r., znanego jako sprawa Obergefell vs. Hodges, które zalegalizowało małżeństwa gejowskie w całych Stanach.

Zarówno Clarence Thomas, jak i sędzia Samuel Alito, który przyłączył się do jego orzeczenia, byli wśród czterech z dziewięciu członków Sądu Najwyższego, którzy głosowali wówczas przeciw uznaniu konstytucyjnego prawa do „małżeństw” jedнопłciowych. Podtrzymując swe ówczesne stanowisko, wskazują oni obecnie na pilną potrzebę rewizji tamtego wyroku.

Swe orzeczenie z 5 października sędzia Thomas rozpoczął tak: „Trybunał uznał prawo do małżeństw jedнопłciowych w czternastej poprawce do

Konstytucji, choć prawa tego nie można znaleźć w [jej] tekście. Kilku członków Trybunału zauważyło, że jego decyzja będzie zagrażała wolności religijnej wielu Amerykanów, którzy wierzą, że małżeństwo jest świętą instytucją między jednym mężczyzną a jedną kobietą. Jeśliby pozwolono, aby poszczególne stany rozwiązały tę kwestię we [własnym] procesie legislacyjnym, mogłyby one wprowadzić udogodnienia dla tych, którzy taką wiarę wyznają. Jednakże Trybunał pominął ten demokratyczny proces legislacyjny. Co gorsza, chociaż pokrótce uznał on, że ci, którzy mają obiekcje odnośnie do małżeństw jedнопłciowych, są często »przyswoici i godni poszanowania«, Trybunał zasugerował jednak, że te poglądy stanowią bigoterijny światopogląd. [...] Sędziowie z odmiennym stanowiskiem przewidzieli, że »te [...] ataki na postronnych ludzi odbijają się skutkami w społeczeństwie i w sądach«, umożliwiając »rządom, pracodawcom i szkołom oczerniać« przejawiających te przekonania jako »bigotów«. Nie trzeba było dużo czasu, aby te przewidywania stały się rzeczywistością. [...] Z powodu [sprawy] Obergefell ci, którzy szczerze wyznają przekonania religijne odnośnie do małżeństwa, będą mieli coraz większe trudności, aby uczestniczyć w społeczeństwie, nie podważając jednocześnie [wyroku] Obergefell i wywieranych przez tę sprawę skutków na inne antydyskryminacyjne prawa. Inną rzeczą byłoby, gdyby uznanie małżeństw jedнопłciowych zostało poddane debacie i przyjęte w ramach demokratycznego procesu [legislacyjnego], w którym lud decyduje, aby nie zapewniać statutowej ochrony wolności religijnej w ramach prawa stanowego. Ale jest zupełnie czymś innym, gdy Trybunał wymusza ten wybór na społeczeństwie poprzez własną kreację niespisanych praw konstytucyjnych i własną małostkową interpretację klauzuli swobodnej praktyki religijnej, pozostawiając w tarapatkach tych, którzy mają obiekcje natury religijnej. Co więcej, Obergefell upoważnia sądy i rządy do piętnowania wierzących, którzy uważają, że małżeństwo dotyczy się jednego mężczyzny i jednej kobiety, jako bigotów, tym bardziej ułatwiając odrzucenie ich starań o wolność religijną. Na przykład w oparciu o Obergefell jeden z członków szóstego obwodu [apelacyjnego] opisał w tej sprawie wyznawane szczerze przez Davies przekonania religijne jako »anty-

homoseksualną wrogość«. Innymi słowy, [sprawa] Obergefell dała do zrozumienia, że bycie publicznym urzędnikiem wyznającym chrześcijańskie wartości jest prawnie równoznaczne z nienawistną dyskryminacją wobec homoseksualistów. Ocena ta wypływa bezpośrednio z języka [sprawy] Obergefell, który określa takie przekonania jako »ubliżające« homoseksualistom i »umniejszające ich osobowość« poprzez »godnościowe rany«. Od czasów Obergefell strony nieustannie próbowały przypisywać ludzium dobrej woli etykietkę bigotów tylko za to, że odmawiają zmiany swych przekonań religijnych w myśl przeważającej ortodoksji”.

Chociaż sędzia Thomas ostatecznie odrzucił apelację Davies z powodu „niejasnego” przedstawienia stanowiska, zaznaczył jednak w mocnej konkluzji, że jej „wniosek stanowi twarde przypomnienie skutków sprawy Obergefell. Zdecydowawszy się na uprzywilejowanie nowego prawa konstytucyjnego ponad dobrami wolności religijnej explicite chronionymi w pierwszej poprawce i czyniąc to w sposób niedemokratyczny, Trybunał stworzył problem, który tylko on sam może naprawić. Do tego czasu Obergefell wciąż będzie przejawiał »złębne konsekwencje dla swobody religijnej«”.

W kontekście nominacji konserwatystki Amy Coney Barrett przez prezydenta Donalda Trumpa do Sądu Najwyższego w USA mówi się otwarcie o możliwości zrewidowania stanowiska tegoż Trybunału w sprawie konstytucyjnego prawa do aborcji, znanego pod nazwą sprawy Roe vs. Wade z 1973 r. Trzeba przy tym pamiętać, że Barrett za swego mistrza uznaje sędziego Scalie, który głosował przeciw „małżeństwom” jedнопłciowym, dlatego jej możliwe zatwierdzenie jeszcze w tym miesiącu przez Senat USA rzeczywiście wzmocniłoby frakcję sędziów dążących do posprzątania na poziomie federalnym po rewolucji antymażeńskiejskiej spod znaku LGBT. Można sobie wyobrazić, jaką psychozę w niektórych środowiskach wywołałyby podobne rewizje wyroków. Czas pokaże, czy przyjdzie nam odnotować fakt, że ambasador Mosbacher w zasadzie opowiedziała się po stronie tej potencjalnej hysterii. Tymczasem warto zauważyć, że z Waszyngtonu wieje czasem inny wiatr niż ten z ambasady przy Al. Ujazdowskich, pozbawiający list Georgette Mosbacher powagi, gdy chodzi o rozumienie praw człowieka.



Małgorzata Wołczyk

Hiszpanie zalewani są rosyjską propagandą. Jest wymierzona w NATO, UE, a także wprost w Polskę. Nie umiemy sprostać tej wojnie informacyjnej

Rosja nie potrzebuje sprawnej reprezentacji w piłkę, bo i tak od lat ogrywa europejską „champions league”. I rzadko kiedy słysząc jakiegoś arbitra, który wspomniałby, że zagranie Kremla było nieczyste.

Najlepiej widać to w przypadku Hiszpanii, która wedle wielu analityków jest najbardziej antyamerykańskim, antyatlanetyckim krajem w Europie. Trudno się dziwić, historia konfliktów z USA, a przede wszystkim z Wielką Brytanią, sprawiła, że Hiszpanie spozierają na Anglosasów trochę jak my na Rosję. A skoro – jak wiadomo – wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, to Rosjanie mają tam ułatwione pole manewru. Poza tym Hiszpania to wrota do Ameryki Łacińskiej, w której Putin poczyni sobie coraz śmielej. Gdzie nikną wpływy USA, tam zjawia się Rosja. Poparcie Kremla dla Maduro było aż nadto widoczne, dzienniki hiszpańskie pisały o wenezuelskich kopalniach diamentów i złota, które nagle zmieniły właściciela. Chcąc zrozumieć tę dość nietypową postawę Hiszpanów, powracam do nich wciąż z pytaniami.

„Nie przeszkadza Wam to, że Rosja drenuje bogactwa z zagłodzonej Wenezueli, z którą tyle Was łączy?” „Ale przecież Amerykanie też tam są!” – odpowiada znajomy historyk.

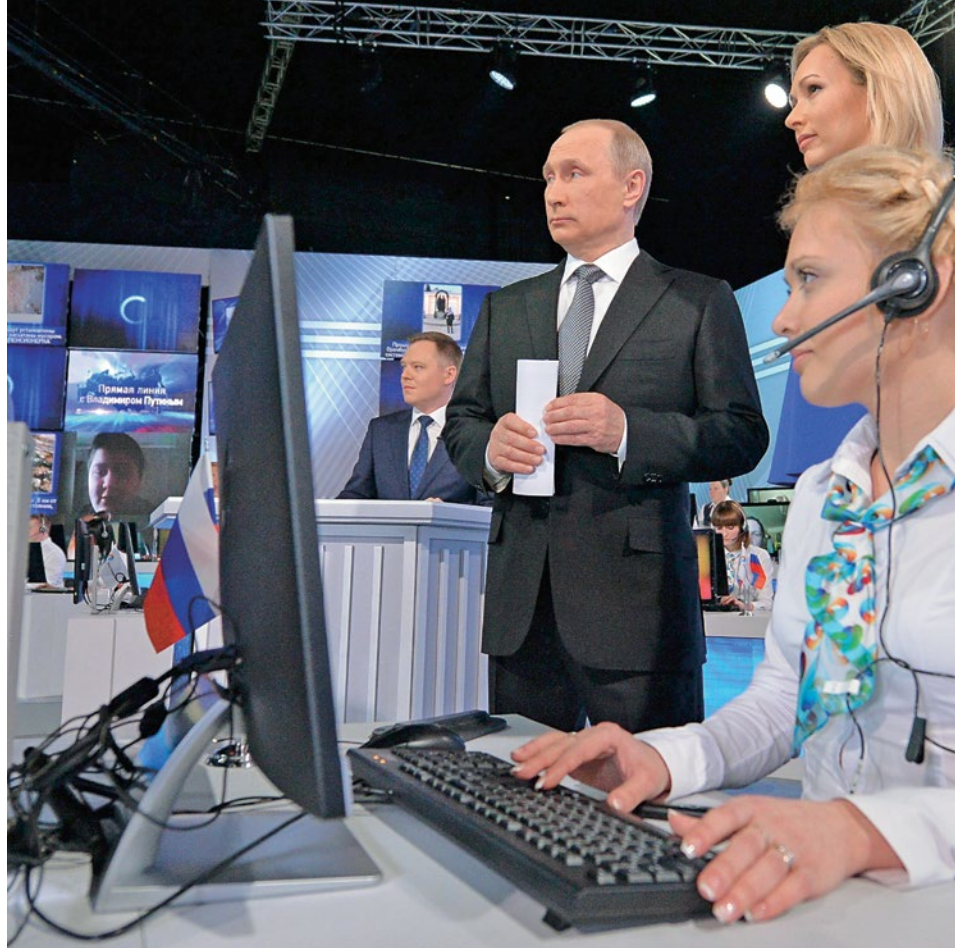
„A nie boli Was, że miesza się i wznieca agresywny separatyzm kataloński?”

„No i co z tego, Amerykanie ze swoim CIA też mają wiele na sumieniu względem Hiszpanii” – odpowiada kolejny zapytany.

„A wojna domowa? Republikanie sterowani z Moskwy? Ponad 2 tys. agentów sowieckich, 500 ton złota Banku Hiszpańskiego wywiezionych do Moskwy, którego nigdy nie odzyskaliście?!”. Mogę wymieniać jeszcze długo, ale rozmówcy machają ręką i mówią: „To Wasi wrogowie. Nie mieszkajcie nas w Wasze wojny”.

CZUJNE UCHO MOSKWY

To dlatego Hiszpanie coraz częściej wspominają o potrzebie wystąpienia



Moda na Putina

z NATO. Nie chcą, aby kontyngent hiszpański ochraniał odległe kraje bałtyckie i Polskę, podczas gdy oni sami nie mogą liczyć na pomoc NATO w konfliktach o wody terytorialne z Marokiem. Doskonale wyczuł te nastroje Kreml, który rozwija swój euroazjatycki projekt od Lizbony do Władywostoku i w mistrzowski sposób podsyła najróżniejsze wrzutki: a to wypuścił zmanipulowane wideo o faszystowskich inklinacjach Polaków w języku hiszpańskim, a to filmik z Putinem współczującym zmęczonym mieszkańcom Zachodu indoktrynacji w duchu gender. Rośnie więc moda na Putina, uosobienie silnego władcy, który stawia opór szaleństwu LGBT, dzielnie ochrania rodzinę, fotografuje się bez kompleksów ze świeczką w cerkwi i jeszcze dołącza nowe ziemie, podczas gdy nieudolny premier Sánchez cały czas ustępuje separatystom gotowym rozerwać Hiszpanię na strzępy. Dawne imperium hiszpańskie, pogrążone w coraz większych problemach wewnętrznych, spoziera z nutą zazdrości na imperium rosyjskie, tym bardziej że kojarzy się

z egzotyką duszy słowiańskiej i dziełami Dostojewskiego.

Taktyka Rosjan zmieniła się po wojnie w Gruzji. To wtedy uznano, że przegrano konflikt na poziomie informacji (propagandy), i Putin postanowił zalać Europę kontrolowanym przekazem. Tak narodziło się imperium Russia Today, które nie tylko operuje w paru językach, lecz także dostosowuje wiadomości do mentalności danego kraju. Niemiecka wersja RT promuje się głównie wśród ksenofobicznej prawicy i nacjonalistów niemieckich, hiszpańska zaś jest bardziej lewicowa, a przede wszystkim antykapitalistyczna i antyamerykańska. Wszystkie kanały RT, niezależnie od języka, specjalizują się zaś w jednym: generowaniu silnych napięć na Zachodzie i sianiu chaosu. Dezinformacja rosyjska sięga jednak mackami znacznie głębiej, bo oto – jak informują hiszpańskie dzienniki – oligarcha Konstantin Małofiejew stoi za sponsorowaniem portali dla skrajnej prawicy hiszpańskiej: El Espía Digital, Katehon.com, Página Transversal i Geopolitica.ru, które zrzeszają czytelników o takim właśnie profilu – wro-



FOT. SPUTNIK / KREMLIN POOL / AN / EAST NEWS

gów UE, USA, paktu północnoatlantyckiego i globalizmu. Wielu z autorów tamtejszych artykułów czy analiz współpracuje z hiszpańskojęzycznym Sputnikiem, RT i irańskim Hispan TV. Jednym z ich naczelnych zadań jest próba dowiedzenia, że wojska Hiszpanii rozmieszczoną w ramach postanowień NATO w krajach bałtyckich należy jak najszybciej wycofać, bo o żadnym zagrożeniu ze strony Rosji mowy nie ma. Oczywiście propaguje się wizję, na mocy której sankcje wobec Rosji uderzają przede wszystkim w rodzime rolnictwo i gospodarkę, dlatego trzeba lobbować za ich zniesieniem. Rosja jawi się jako ów Trzeci Rzym, prawdziwie chrześcijański (zwłaszcza po wywiadzie Putina w „Financial Times”), na którym można oprzeć przyszłą geopolitykę.

Rzecz jest o tyle przykra, że kanały propagandy rosyjskiej są w Hiszpanii popularne, ponieważ pokazują wydarzenia, które zwykła cenzurować publiczna TV, zdominowana całkowicie przez ludzi ze skrajnej lewicy. Jeśli więc publiczna TV przemilcza wielotysięczny antyrządowy marsz w Madrycie, a pokazuje go RT, to widzowie zaczynają ufać, że cały przekaz rosyjskich mediów jest równie rzetelny.

PRAWICOWY PROBLEM

Problem tego niepojętego zauroczenia Rosją widoczny jest głównie po stronie

skrajnej prawicy hiszpańskiej, choć wydawałoby się, że pamięć zbrodni Sowieców wspierających Front Ludowy w walce przeciwko Franco i narodowcom powinna być wciąż żywa i prowokować do antyrosyjskich nastrojów. A jednak falangiści są na tyle zaciętrzewieni w swojej nienawiści do europejskiego modelu demokracji liberalnej, że przed wyborami na cel swoich ataków biorą nie komunistów z Podemos czy socjalistów z PSOE, lecz liberalno-konserwatywną formację VOX, którą uważają za „sprzedawczyków” neokonserwatystów amerykańskich, syjonistów i zepsutych liberałów. Partie skrajnej prawicy to przede wszystkim te nacjonalistyczne, ale z odcieniem neofaszystowskim: España 2000 (i jej pochodne: Respeto i Hacer Nacion), Democracia Nacional (DN), ADÑ. Lider pierwszej z nich Rafael Ripoll ma nawet fotografię z Władimirem Żyrinowskim podpisaną „Z osobistym przyjacielem”, a w programie partii zapisano wyjście z NATO i przywrócenie Rosji należnej roli, ponieważ „jest kluczowym elementem odbudowy obrony kontynentu wobec dominacji USA”.

To na szczęście małe partie, bez miejsca w kongresie, ale zachwyt nad filozofią Dugina, geostratega Kremla, widać właśnie w tym. Przoduje w tym zwłaszcza katalońskie stowarzyszenie Somatemp, które tłumaczy i kolportuje pisma Dugina. O rzadkiej naiwności tych „użytecznych idiotów” świadczą też rozpowszechniane czasem filmy, na których choć prezydent FR rozprawia o sukcesach imperialnej Rosji, lektor hiszpański czyta w rytm przemówienia słowa o konieczności walki z wszechpotężną agendą LGBT. Powstają także efemeryczne portale, na których pojawiają się treści prorosyjskie. Takie jak np. strona Instytutu José de Ribas, którego patronem był Hiszpan, założyciel Odessy, a przede wszystkim wierny żołnierz i kochanek carcy Katarzyny. Przez parę lat można było czytać tam propagandowe artykuły garstki Hiszpanów na temat polityki Kremla, a w szczególności jego jakże chwalebnej misji w Syrii.

Rozmach dezinformacji Kremla w Hiszpanii jest imponujący, wzięwszy choćby tylko pierwsze miesiące pandemii: to oczywiście wojska NATO miały przywlec koronawirusa w ramach ćwiczeń DEFENDER-Europe 20. Skoro jednak manewry ograniczono czy zawieszono, natychmiast pojawił się komunikat sugerujący, że Amerykanie pozostawili Europę „samą sobie w starciu ze śmiertelnym wirusem”. Niewiele

później zasypywano mnie z Hiszpanii pytaniami w rodzaju: „Jak to możliwe, że Polska przeszkodziła pomocy humanitarnej z Rosji dla Włoch?”. Ledwie udało się ujawnić kłamstwo, a już wybuchła panika przed wszczepieniem nanochipów, bo przecież możliwe, że COVID-19 stworzono jako broń biologiczną w amerykańskim laboratorium. Zresztą w Polsce także nie brakowało podobnej radosnej twórczości. Oczywiście nacisk położono na zdezwuowanie UE jako zupełnie bezsilnego organu, który w godzinie próby okazuje się całkowitą wydmuszką. Dezinformacja znalazła się jednak pod czujnym okiem Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych, a ta opublikowała wiele analiz, z których wynikało, że celem kampanii jest wywołanie nieufności wobec władz krajowych, zagranicznych, systemów opieki zdrowotnej, a nawet naukowców.

Czasem jednak sprawy przybierają groźniejszy dla nas obrót, tak jak w czerwcu 2018 r., gdy premier Sánchez prawie już mianował Pedro Baños – pułkownika rezerwy hiszpańskich Wojsk Lądowych oraz eksperta ds. geostrategii i terroryzmu – na szefa Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego. Trudno o człowieka bardziej oddanego Kremlowi, który wciąż występuje w mediach propagandy i wcale się nawet nie kryje z niechęcią wobec NATO ani wysiłkami, aby zbliżyć Europę do Moskwy na wszelkie możliwe sposoby. Dzięki głosom sprzeciwu liberalnych partii i interwencji unijnego urzędnika Sánchez nie zdecydował się na kontrowersyjną nominację. Niestety Baños pracowicie pisze książki i występuje w programach, niezmordowanie głosząc pochwały na temat naszego sąsiada.

Można zaryzykować stwierdzenie, że ta nowa zimna wojna różni się od poprzedniej tym, iż żyjemy w zglobalizowanym świecie, przez co media społecznościowe i Internet stają się podstawowym terenem walki i konfliktu. Nie wystarczy szkolić wojska terytorialne, gdy zupełnie przegrywamy na terytorium informacji i sieci społecznościowych. Czas uruchomić inne siły, które nie wymagają wielkich nakładów. Otrzymując od hiszpańskojęzycznych rosyjskich trolli komunikaty w rodzaju: „Polsko, zabieraj pazury z Białorusi”, wiem najlepiej, że komuś bardzo zaczynamy przeszkadzać, a odległość między Lizboną a Władystokiem może zacząć nam się kurczyć nad głową.



Jerzy Dąbrowski

– Waław Felczak był pierwszym Polakiem, którego poznałam w życiu. Drugim był św. Jan Paweł II – wspomina ambasador Węgier Orsolya Zsuzsanna Kovács

Moi rodzice mówili o nim zawsze „Wacusz”. Kilkakrotnie spędziliśmy razem święta Bożego Narodzenia. Jeżeli nie mógł być wtedy z nami, to przyjeżdżał latem na dwa tygodnie. Byliśmy też w jego mieszkaniu w Krakowie. Jako dziecko zapamiętałam, że miał w domu wiele książek. Waław Felczak był pierwszym Polakiem, którego poznałam w życiu. Drugim był św. Jan Paweł II, z którym rozmawiałam w Starym Sączu podczas kanonizacji błogosławionej Kingi w 1999 r. Papież powiedział wtedy, że dla obcokrajowca znajomość języka węgierskiego to połowa drogi do nieba. Waław Felczak znał świetnie nasz język.

Myślę, że teraz nie tylko dlatego, iż znał węgierski, lecz także z powodu swojego prawego życia jest już w niebie. Był człowiekiem bardzo ideowym. Tak dzisiaj też poprzez pryzmat Waława Felczaka postrzegam Polaków.

Odnosił się do mnie i mojego brata Mihálya bardzo ciepło. Rozmawialiśmy po węgiersku, bo wtedy jeszcze nie znałam polskiego. Pamiętam, że uczył nas śpiewać kolędę „Lulajże, Jezuniu”.

PRZYJAŹŃ RODZINNA

Mój ojciec István Kovács poznał go w 1972 r. w Krakowie. Profesor Felczak kilka lat wcześniej właśnie skończył pisać „Historię Węgier”. Ojciec pisał recenzję książki w węgierskim miesięczniku literackim „Taszatáj”.

W tym samym roku ojciec uczestniczył w seminarium dla tłumaczy literatury polskiej. Musiał jeszcze przedłużyć swój pobyt w Krakowie i poprosił Felczaka o załatwienie mu pokoju w domu studenckim na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie ten właśnie wykładał.

Wtedy Wacusz zaproponował ojcu, aby zatrzymał się u niego w domu. Podczas nocnych rozmów panowie się zaprzyjaźnili. Ta przyjaźń rozszerzyła się na całą naszą rodzinę i dzięki niej Waław Felczak



FOT. ARCHIWUM ORSOLY ZSUSZANNY KOVÁCS

Polak-Węgier...

został moim ojcem chrzestnym. Przyjechał w 1981 r. specjalnie do budapeszteńskiego Gimnazjum Pijarów gdzie odbyła się ceremonia mojego chrztu świętego.

Mam dwie córki: Annę i Rékę, które chodzą do publicznej szkoły w Warszawie. Jeździmy z nimi po Polsce. Staramy się pokazać im waszą kulturę i tradycję. Ostatnio byliśmy z naszymi dziećmi w Częstochowie i Gdańsku. To nasze zainteresowanie Polską wzięło się z relacji, jaką mieliśmy z Waławem Felczakiem.

Wacusz nie miał własnej rodziny. Kiedy byłam już nastolatką, zrozumiałam, dlaczego to, co robił w czasie wojny i po niej, nie pozwoliło mu ożenić się i cieszyć się z posiadania własnych dzieci. Myślę, że byliśmy taką jego zastępczą rodziną.

Pamiętam, że kiedy jechaliśmy autobusem do naszego domu, to on dokładnie znał drogę i wiedział, ile będzie serpentyn. My do tego go przywiązywaliśmy wagi,

ale on, były kurier polskiego podziemia i zastępca dowódcy bazy kurierskiej w Budapeszcie, miał już taki nawyk.

STUDIA I WOJNA

Waław Felczak po raz pierwszy był na Węgrzech w połowie lat 30. Brał wtedy udział w kursie języka węgierskiego na letnim uniwersytecie w Debreczynie. W 1938 r. jako świeżo upieczony magister historii uzyskał stypendium rządu węgierskiego i wyjechał na roczne studia do Budapesztu. Jego pasją była nauka.

W czasie pierwszych miesięcy studiów na Węgrzech Felczak zamieszkał w „Dzienniku Bydgoskim” i „Kurierze Poznańskim” korespondencje polityczne z Budapesztu.

Bał się ówczesnej polityki rządu węgierskiego i krytykował ją zaacieśniające się stosunki i współpracę Węgier z hitlerowskimi Niemcami.

Jednak kontakty rządu węgierskiego z III Rzeszą nie zburzyły odwiecznej przyjaźni mojego narodu z Polakami. Po wybuchu wojny premier Pál Teleki nie zgodził się na przemarsz oddziałów Wehrmachtu mających napaść na Polskę z terenu północno-wschodnich Węgier w kierunku Lwowa.

Wojna zastała Felczaka w Polsce, gdzie przyjechał na urlop do rodzinnych Gołbic. Wkrótce miejscowość ta została włączona przez Niemców do Rzeszy, co poskutkowało wysiedleniem z domu jego rodziny w 1940 r. Z poszukiwanym przez gestapo bratem Zygmuntem w kwietniu 1940 r. Wacław znalazł się w Warszawie, gdzie spotkał się z przywódcą organizacji Stronnictwa Pracy Franciszkiem Kwiecińskim, a także z Ryszardem Świętochowskim, przyjacielem gen. Sikorskiego. Panowie zaproponowali mu zorganizowanie w Budapeszcie placówki łączności między krajem a rządem Sikorskiego. Felczak rwał się do walki z okupantem. W maju 1940 r., akurat w dniu swych urodzin, przedostał się na Węgry.

Patriotyzm i poświęcenie dla Polski odziedziczył po swoich rodzicach. Jego matka pochodziła ze zubożałej rodziny szlacheckiej, której męscy członkowie zostali zesłani na Syberię za udział w powstaniach listopadowym i styczniowym. Ojciec był znanym i cenionym wiejskim działaczem społecznym.

PSEUDONIM LECH

Wielokrotnie jako kurier polskiej placówki „W”, a potem zastępca szefa bazy kurierskiej Armii Krajowej w Budapeszcie Wacław Felczak posługujący się pseudonimem Lech nieraz brawurowo przemierzał granice, przedostając się do okupowanej Polski. Zdarzyło się, że przenosił kilkadziesiąt tysięcy dolarów dla podziemnych organizacji od rządu na obczyźnie. Będąc w Warszawie w czerwcu 1941 r., przygotowywał też raport dla rządu londyńskiego na temat podziałów i sojuszy głównych ugrupowań politycznych w kraju oraz tworzenia organizacji zbrojnych i sytuacji społeczno-gospodarczej w kraju pod okupacją niemiecką. Kurierzy placówki „W” w ramach planu pod kryptonimem Ewa przeprowadzali na Węgry setki Polaków, którzy chcieli wstąpić do Armii Polskiej na Zachodzie.

W styczniu 1943 r. zakończyła się powodzeniem zaplanowana przez Felczaka akcja wywiezienia z kraju syna premiera Mikołajczyka. Podobną operację prze-

prowadzano również w celu wydostania z kraju Tadeusza Chciuka, „Celta”, zrzuconego do Polski emisariusza rządu gen. Sikorskiego, który po wykonaniu zadania wracał do Londynu przez Budapeszt. Po powrocie do Anglii Chciuk wystawił Felczakowi świetną opinię: „W czasie długich miesięcy wspólnego życia poznałem tego człowieka na wylot i zaprzyjaźniłem się z nim bardzo. To gorący patriota, człowiek pracy i czynu, gotowy zawsze do złożenia z siebie całopalnej ofiary na ołtarzu Ojczyzny”.

Felczak stawał się coraz bardziej rozpoznawalny w kręgach polskiego Państwa Podziemnego i Rządu Londyńskiego. W wyśmienitej książce Wojciecha Frazika „Emisariusz Wolnej Polski” znalazłam taki cytat, znajomej Felczaka, Antoniny Spandowskiej: „Był jak powiew wielkiego świata. A my przy nim wszyscy jak te biedne mrówki, przydeptane butem okupanta, podczas gdy on – człowiek wolny, bohater, przechodzi nocą w śniegu przez wysokie Tatry jako nosiciel bardzo ważnych misji”. Felczak, tak jak jego koledzy z konspiracji: Bronisław Czech czy Stanisław Marusarz, był nie tylko wytrzymały fizycznie na trudy pokonywania zielonej granicy w górach, lecz także musiał być przygotowany na ewentualną wpadkę z materiałami, które miał przy sobie. 24 września 1941 r. „Lech” został aresztowany przez węgierski kontrwywiad w Budapeszcie, jednak dzięki wpływom węgierskich naukowców został zwolniony.

Nie każdy nadawał się do tej roboty. O tym, kto przeżyje, wielokrotnie decydowały łut szczęścia, młodzieńcza fantazja i własny spryt. Większość kurierów pochodziła z rodzin góralskich. Byli to często sportowcy narciarze znający doskonale Tatry. Potrafili pokonywać najtrudniejsze przejścia o każdej porze roku. Na początku 1942 r. Felczak podzielił trasę z Warszawy do Budapesztu na pięć odcinków zwanych sztafetą łącznościową, w których poruszali się zaznajomieni z drogą kurierzy, przekazujący sobie regularnie zaszyfrowaną pocztę. W tej pracy brały też udział kobiety. Zofia Marusarz i Stefania Kula za swoje poświęcenie zapłaciły najwyższą cenę. Zostały złapane przez gestapo i rozstrzelane. Więzi, które wtedy zawiązały się pomiędzy kurierami, przetrwały do końca ich życia. Wspomnienie takiej wiecznej przyjaźni, która trwała przez lata pomiędzy Marusarzem i Felczakiem, zawsze wywołuje u mnie głębokie poruszenie.

Wiele lat później, w czasie pogrzebu Wacława Felczaka na Pęksowym Brzyzku, 29 października 1993 r., podczas wygłaszania mowy pożegnalnej, Stanisław Marusarz zmarł na zawał serca. Pochowano go cztery dni później obok jego siostry Heleny, 23-letniej kurierki i przedwojennej siedmiokrotnej mistrzyni Polski w narciarstwie alpejskim, rozstrzelanej przez hitlerowców.

W nocy z 18 na 19 marca 1944 r. oddziały niemieckie wkroczyły na Węgry w celu zapobieżenia próbom rządu premiera Kállaya przejścia na stronę aliantów. Ta gwałtowna zmiana sytuacji spowodowała natychmiastowe aresztowania zamieszkałych na Węgrzech Polaków, którzy nie zdążyli się ukryć. Placówka „W” przestała istnieć, a kierownicy polskich organizacji zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych i tam straceni. Felczak się ukrywał. Figurował od dawna w kartotekach gestapo.

Wreszcie zdecydował się na wyjazd z Budapesztu. 14 lipca został aresztowany w pociągu zmierzającym w stronę Słowacji. Udało mu się jednak uciec z posterunku policji w nadgranicznej Rożniawie i dostać się do Bratysławy. Tuż przed zakończeniem wojny zaciągnął się do oddziału partyzanckiego pchor. Mikołaja Nowickiego walczącego w rejonie Czarnego Dunajca.

W RĘKACH BRYSTYGIEROWEJ

Po zakończeniu wojny nadal przechodził przez zieloną granicę jako emisariusz rządu RP w Londynie, utrzymując konspiracyjny kontakt z krajem. Posługiwał się zmienionym nazwiskiem Vaclav Kaztur lub Wacław Lechicki. Po powrocie do Londynu zdawał sprawozdanie premierowi Arciszewskiemu z zastanej sytuacji w kraju. Opisywał poglądy przywódców podziemia, z którymi rozmawiał, oraz skale sowieckiego terroru i związane z tym zaskoczenie rodaków.

Miał jak najgorsze zdanie o nowej władzy w Polsce. Był jednak przeciwny walce z bronią w ręku z władzą komunistyczną i NKWD, widząc przeważającą siłę wroga. Proponował wygaszenie WiN i oddziałów partyzanckich oraz przeznaczenie pomocy materialnej dla opozycji i więźniów politycznych, ponadto kupno książek do bibliotek i uniwersytetów. Po wojnie siedem razy przechodził nielegalnie granicę z Polską.

Jesienią 1948 r. przeprowadzał przez zieloną granicę zagrożonych aresztowaniem przyjaciół z czasów wojny: Tade-

usza Chciuka z żoną i małą córeczką oraz kilku byłych żołnierzy AK.

Na prośbę premiera Stanisława Mikołajczyka przeprowadzał też zagrożonych aresztowaniem działaczy PSL.

22 grudnia 1948 r. został aresztowany w Ostrawie Morawskiej na granicy czesko-polskiej.

Przekazany przez czeski UB władzom Polski Ludowej stał się ofiarą najświerszych komunistycznych oprawców: płk. Julii Brystygierowej, Józefa Różańskiego i Adama Hummera.

W więzieniu Felczak poddawany był różnym wymyślnym torturom, które miały zmusić go do przyznania się do pracy szpiegowskiej na rzecz mocarstw zachodnich. W celu wymuszenia zeznań przez wiele godzin musiał stać rozebrany na baczność przy otwartym oknie. Tortury te w lecie nazywano „plażą”, a w zimie „Zakopaniem”. Kiedy mdlał, strażnicy polewali go wodą i zmuszali do wstania. Nie golono go i nie strzyżono tylko po to, aby w trakcie przesłuchania wyrwać kępki włosów z głowy i brody. Klawisze urządzali liczne rewizje w celi. Wyrzucano wtedy słomę z jego siennika i wlewano wodę do pomieszczenia. Do tego dochodził chroniczny głód spowodowany małymi racjami podłej żywności, którą dostawali więźniowie. Przez kilka lat trzymano go w izolacie.

Jak opowiadał Felczak mojemu ojcu, tylko głęboka wiara w Boga nie pozwalała mu na popełnienie samobójstwa. Bardzo się bał, żeby szykany oprawców nie dosięgły również jego rodziny.

W przeprowadzonej rozprawie w jego celi więziennej na Mokotowie 6 kwietnia 1951 r. został skazany na dożywocie. Prokurator żądał kary śmierci. W obecności więźnia pokłócił się z sędzią, który również słynął z okrucieństwa, ale w tym wypadku chciał oszczędzić Felczaka. Waćław nie starał się o łagodniejszy wyrok. Czasami takie próby prowadziły do zaostrzenia werdyktu, co w tym przypadku mogło spowodować karę śmierci. O ułaskawienie wystąpiła jednak jego matka, która pisała do sądu: „Pragnę moje ostatnie siły poświęcić synowi, ostatniemu, jaki mi pozostał”. Wkrótce potem zmarła, a Waćław Felczak przez kilka miesięcy nie miał o tym pojęcia.

WRÓC WŁADZY LUDOWEJ

11 lutego 1950 r. przeniesiono go z Mokotowa do więzienia w Rawiczu, gdzie zakwalifikowano go do „najbardziej zagorzałych wrogów władzy ludowej”.



2 marca 1956 r. osadzono go we Wronkach. Z powodu choroby wrzodowej opuszcza dwunastnicy udzielono mu 12-miesięcznego urlopu w odbywaniu kary. 30 października 1956 r. Felczak wyszedł na wolność. Jechał do rodzinnych Gołbic z przesiadką w Poznaniu. W pobliżu dworca głównego zobaczył tłum ludzi z węgierskimi flagami skandujący hasła poparcia dla rewolucji na Węgrzech. Wtedy przeraził się, że jest to jakaś prowokacja, która może skończyć się dla niego zaostrzeniem kary. Z powodu więziennej izolacji nie wiedział, co się działo w Polsce w ciągu ostatnich lat. Nie zdawał sobie też sprawy z tego, że na Węgrzech toczą się walki między powstańcami i armią radziecką.

Do więzienia już nie wrócił. Nie starał się o rehabilitację. Po długich perturbacjach, na fali październikowej odwilży, w nowym procesie, który odbył się w 1957 r. przyznał się do tego, że działał przeciwko stalinowskiemu reżimowi, a nie – jak mu zarzucano – szpiegował na rzecz obcych mocarstw. Sąd zaliczył mu odbyłą karę na poczet nowego wyroku, który skazywał go dożywocie na taki czas więzienia, jaki już odsiedział.

W wieku 41 lat zaczynał życie od nowa. Był chory i wyczerpany. Nie miał środków do życia, ubrania, bielizny ani butów. Jego narzeczona wyszła za mąż, kiedy przebywał w więzieniu. Przyjaciele postarali się o lekarstwa i najpotrzebniejsze rzeczy.

Od września 1958 r. – dzięki prof. Henrykowi Wereszyckiemu, pracownikowi Instytutu Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego – rozpoczął przewód doktorski i doktoryzował się w 1962 r. Habilitację otrzymał w 1968 r. Po latach mówił mojemu ojcu, że wszystko można nadrobić. Wacław zawsze był pełen determinacji i woli walki.

Przez większość późniejszego życia na wolności był inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa.

Ograniczył swoje znajomości w kraju do minimum. Zerwał kontakty z przyjaciółmi mieszkającymi na Zachodzie, które odnowił dopiero w latach 80.

Od 1987 r. Waćław Felczak pracował jako profesor wizytujący w budapeszteńskim Eötvös Collegium, którego był studentem w roku akademickim 1938/1939. Był uwielbiany przez wspólnotę uniwersytecką w Polsce i na Węgrzech.

Podczas wykładów na temat polskiej Solidarności podszedł do niego młody prawnik Wiktor Orbán. Zapytał Felczaka, jaki kierunek powinna obrać węgierska opozycja. Profesor poradził naszemu przyszłemu premierowi, żeby on i jego przyjaciele założyli partię polityczną. Powiedział wówczas Orbánowi: „Najprawdopodobniej zamkną was za to, ale wszystko wskazuje na to, że długo tam nie posiedzicie”.

W końcu marca 1988 r. powstała partia Fidesz, a Waćław Felczak został jej honorowym członkiem.

Władze komunistyczne blokowały od 1975 r. wniosek Uniwersytetu Jagiellońskiego o nadanie Felczakowi stanowiska profesora zwyczajnego. Dopiero po 18 latach, 4 października 1993 r., otrzymał nominację profesorską z rąk prezydenta RP Lecha Wałęsy.

Był już wtedy bardzo chory. Mieszkał u nas w domu w Warszawie. Mój ojciec pracował w tym czasie jako attaché kulturalny w ambasadzie Węgier.

6 października 1993 r. Felczaka zabrała karetka pogotowia do szpitala dla dyplomatów, gdzie miejsce załatwił mu nasz ówczesny ambasador Ákos Engelmayr. Waćław zmarł 23 października, w rocznicę wybuchu rewolucji węgierskiej 1956 r.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

RMF FM

Numer 1

wśród opiniotwórczych
stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Mądry, rozumny Polak nie będzie robił barykad teraz i mówił o barykadach w stolicy, kiedy walczymy o zdrowie i życie.

prof. Marian Zembala

Na wotum nieufności dla Zbigniewa Ziobry zawsze jest dobry czas - ponieważ jego proces niszczenia systemu sprawiedliwości w Polsce jest nieustający.

Katarzyna Lubnauer

Poglądy, które ma pan poseł Czarnek odpowiadają temu, co nasze środowisko polityczne głosi. Nie ma miejsca w Polsce, nie ma miejsca w edukacji na narzucanie ideologii.

Jacek Sasin



**Robert Mazurek
zapraszam o 8:02**

2 615 000
słuchaczy

**Poranna
Rozmowa
RMF**

1 201 000
słuchaczy
Gość Radia Zet



421 000
słuchaczy
Salon Polityczny
Trójki



281 000
słuchaczy
Gość Poranka
(Tok FM 7:45)



Źródło:
Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wojna na morzu

Druga wojna światowa, jak wiadomo, toczyła się na morzu, w powietrzu i na lądzie. Ale który z tych obszarów okazał się rozstrzygający? Czy o zwycięstwie aliantów nad państwami Osi przesądziło lotnictwo, marynarka wojenna czy też może wielkie bitwy pancerne i ofensywy lądowe – Stalingrad, Łuk Kurski i Ardeny.

Dowódcy i żołnierze poszczególnych rodzajów sił zbrojnych oczywiście przypisywali tę zasługę sobie. Amerykańscy i brytyjscy lotnicy przekonywali, że bez wielkich bombardowań i walk powietrznych wojny wygrać by się nie udało. Piechurzy uważali, że zmagania rozstrzygnęły się na lądzie, a marynarze byli zdania, że na morzu.

Craig Symonds postanowił sprawdzić tę ostatnią teorię. Jego książka to nie tylko pasjonująca, wartka opowieść o bojach Kriegsmarine i Japońskiej Cesarskiej Marynarki wojennej z siłami morskimi Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. To również próba odpowiedzi na pytanie, jaki wpływ miały one na ostateczny wynik drugiej wojny światowej.

Nie chcę państwu zdradzać zbyt wiele. Napiszę więc tylko tyle, że według amerykańskiego historyka walki na morzu były jednym z trzech rozstrzygających czyn-

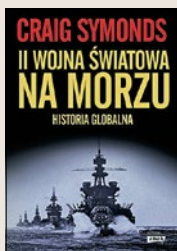
ników ostatniego światowego konfliktu.

„II wojna światowa na morzu” to historia wielkich, zapierających dech w piersiach bitew morskich, podwodnej walki U-Bootów i epopei atlantyckich konwojów. Szalonego wyścigu technologicznego, a także losów najwybitniejszych admirałów kierujących ścierającymi się flotami.

Wojna morska była jednym z czynników rozstrzygających losy drugiej wojny

Symonds wojnę morską ukazuje jednak nie tylko z perspektywy admirałów. Możemy na nią spojrzeć również oczami innych ludzi morza. „Oficerów, dowódców, pilotów, artylerzystów, mechaników, podoficerów, marynarzy z załóg okrętów podwodnych, kryptologów, radiooperatorów i operatorów radarów, stoczniovców, marynarzy ze statków transportowych oraz tysięcy innych”.

Część z tej kolosalnej rzeszy ludzi po zakończeniu drugiej wojny światowej wróciła do domów i zaczęła życie od nowa. Tysiące jednak nie wróciły nigdy. A ich szczątki do dziś spoczywają na dnie mórz i oceanów całego świata. Od mroźnej Norwegii do tropikalnych atoli na Pacyfiku. Cześć ich pamięci! ©



★★★★★
CRAIG SYMONDS
„II WOJNA ŚWIATOWA NA MORZU”
ZNAK HORYZONT



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Przypadek Marka Grechuty

Nie można sobie wyobrazić piosenki poetyckiej bez twórczości tego artysty. Niewiele osób jednak zdawało sobie sprawę z faktu, że Grechuta przez wiele lat walczył z zaburzeniami psychicznymi i walkę tę ostatecznie przegrał.

Artysta przez wiele lat cierpiał na cyklofrenię, cyklicznie pojawiały się u niego stany depresyjne, nad którymi nie potrafił zapanować. Utrudniało to w znacznym stopniu karierę, podobnie jak silne środki farmakologiczne, które regularnie zażywał. Potrafił przerwać występ lub próbę bez słowa wyjaśnienia, co często brano za objawy alkoholizmu. Faktycznie jednak w takich chwilach zachowywał się w sposób trudny do racjonalnego wyjaśnienia.

Cyklofrenia bywa chorobą dziedziczną, pierwsze jej objawy mogą też pojawić się pod wpływem silnych przeżyć emocjonalnych. Negatywny wpływ na stan zdrowia artysty miały trasy koncertowe. Chociaż na scenie był przez ponad 30 lat (debiut na festiwalu w Krakowie 23 października 1967 r.), to preferował mniejsze sale. Występ w amfiteatrze, przed wielotysięczną publicznością, stanowił dla niego poważne ryzyko.

Z upływem czasu stawał się też coraz bardziej wrażliwy na krytykę. Chociaż nawroty choroby czasami faktycznie dezorganizowały jego życie artystyczne, to

nie potrafił zrozumieć osób wygłaszających negatywne opinie. Często zresztą przetrząsał się z jednej skrajności w drugą: albo uważał się za wielkiego artystę, albo dyskredytował swoją twórczość.

Na domiar złego pod koniec lat 90. przeżył załamanie nerwowe związane z zaginięciem jedynego syna, Łukasza. Absolwent krakowskiej ASP, podobnie wrażliwy jak ojciec, nie chciał się pogodzić z rolą „syna sławnego ojca”. W marcu 1999 r. wyszedł z domu i ślad po nim zaginął. Nie pomagały rozpaczliwe apele rodziców w mediach, Łukasz odnalazł się dopiero po dwóch latach. Okazało się, że pieszko (bez paszportu!!!) powędrował do Santiago de Compostela, a pielgrzymkę zakończył na mszy papieskiej w Rzymie. Przez ten czas nie dał żadnego śladu życia, pozostawiając rodziców w rozpaczliwej niepewności.

Marek Grechuta już nigdy nie powrócił do zdrowia. Wprawdzie nie zrezygnował z występów, ale coraz bardziej oddalał się od realnego świata. Koncertował jednak niemal do końca, chociaż wiele osób uważało, że nie powinien już wychodzić na scenę. Podobnie zresztą było z nagraniami – jego ostatnia płyta („Niezwyczajne miejsca”) była pod względem muzycznym i tekstowym znakomita, ale wokalnie był to już tylko dowód postępującej choroby. Artysta zmarł w październiku 2006 r. w Krakowie. ©

Już 26 października w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



**MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI**
www.ms.gov.pl



**FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI**



Dominika Ćosić z Brukseli

Katarina Barley jeszcze jako niemiecka minister sprawiedliwości miała tendencję do mocnych wypowiedzi. Jako europosłanka najwyraźniej zrozumiała, że jeśli idąc śladem Fransa Timmermansa z atakowania Polski i Węgier zrobi swój znak firmowy, to zyska większą rozpoznawalność

Urodzona w 1968 r. w Kolonii Katarina Barley jest córką niemieckiej lekarki i brytyjskiego dziennikarza, pracującego dla „Deutsche Welle”. – Co prawda pochodzi z mieszanej rodziny, ale, jak to często bywa w takich przypadkach, jest bardziej niemiecka od tzw. stu procentowych Niemców – mówi jeden z jej kolegów z Parlamentu Europejskiego. Wątek brytyjski pojawił się także w jej politycznej aktywności, oczywiście w przypadku brexitu. Wygrane przez zwolenników odłączenia się Wielkiej Brytanii od Unii Europejskiej referendum uznała za wielki błąd. Jej zdaniem obywatele brytyjscy dali się zwieść populistycznej demagogii Nigel Farage’a i nie wiedzieli, na co głosują. – Wydawało im się, że po brexicie Wielką Brytanię i Unię połączą podobne relacje jak te pomiędzy UE a Szwajcarią czy Norwegią – mówiła w jednym z wywiadów prasowych. Według niej najlepszym rozwiązaniem byłoby zorganizowanie ponownego referendum w tej samej sprawie, poprzedzonego kampanią informacyjną.

PO SZCZEBŁACH KARIERY

Początkowo chciała być tylko prawnikiem, ukończyła prawo (specjalizacja prawo francuskie) na uniwersytecie w Münster, gdzie później obroniła także doktorat. Przez kilka lat pracowała jako adwokat, potem jako sędzia. Przez jakiś czas pracowała w administracji parlamentu Nadrenii-Palatynatu. Była także asystentką związanej z SPD Renate Jäger, sędzi federalnego Trybunału Konstytucyjnego, i to była jej furtka do kariery politycznej, którą zaczęła w połowie lat 90., od samego początku wiążąc się z SPD. Przeszła kolejne szczeble: od radnej dzielnicowej, przez radną miejską, aż wreszcie w 2013 r. po raz pierwszy została wybrana do Bundestagu.

Następczyni Timmermansa

Bardzo szybko dała się poznać jako polityk o wyrazistych, lewicowych i liberalnych poglądach, bardzo chętnie udzielający się w mediach. Za jej patrona politycznego uchodził przez długi czas Martin Schulz, były przewodniczący PE, ale w pewnym momencie także kandydat na potencjalnego następcę Angeli Merkel. Po Schulzu Barley przejęła mocny język także wobec innych krajów. To Schulz nazwał ówczesnego premiera Włoch Silvio Berlusconi mafiosem, za co z kolei Berlusconi zaproponował mu zagranie roli kapo w filmie o Auschwitz. Schulz był także jednym z pierwszych polityków, którzy rozpoczęli serię ataków pod adresem rządów na Węgrzech i w Polsce.

Barley z jego poparciem została sekretarzem generalnym SPD. Punktem przełomowym były przetasowania polityczne w ramach koalicji rządowej w 2017 r. – zaczęło się od ustąpienia ze stanowiska z powodów zdrowotnych premiera Meklemburgii, Erwina Selleringa. Jego miejsce zajęła dotychczasowa minister ds. rodziny, kobiet, młodzieży i osób starszych, Manuela Schwesig. Dzięki temu zbiegowi okoliczności Barley została ministrem w rządzie federalnym, biorąc tękę ds. rodziny. Jednym z jej głównych postulatów i idei było forsowanie jeszcze silniejszych parytetów dla kobiet, a także mniejszości

seksualnych. Tymczasem zbliżały się kolejne wybory do niemieckiego parlamentu. Katarina Barley znów zasłynęła w mediach z ataków na Angelę Merkel. „Ludzie, nawet ci z otoczenia Merkel, mają jej już dosyć, są nią zmęczeni, jej stylem pracy i brakiem wizji. A Angeli Merkel wydaje się, że wystarczy, iż będzie mówić »znacie mnie, głosujcie na mnie«. Nie, to nie wystarczy, by wygrać wybory, i nie zastąpi wizji politycznej i poglądów, których brak kanclerz” – mówiła w wywiadach dla gazet.

Jednocześnie chwaliła dwóch innych polityków, którzy jej zdaniem stanowili nowe twarze Europy: Martina Schulza oraz kandydującego dopiero wówczas na prezydenta Francji i jeszcze niemającego wielkiej rozpoznawalności Emanuela Macrona. „Macron to prawdziwy Europejczyk, który nie ma nadętego ego i nie jest niepotrzebnie agresywny” – mówiła. Popierała deklarację Schulza, który twierdził, że silne Niemcy są w interesie Europy, a wzmocnienie UE i jej instytucji jest natomiast w interesie Niemiec. Przypominają się w tym momencie słowa Konrada Adenauera, który powtarzał, że woli, by Niemcy były europejskie, niż Europa miałaby być niemiecka. Niby te deklaracje brzmią podobnie, widać jednak zmianę akcentu.

Jednak to Merkel, a nie Schulz ponownie została kanclerzem Niemiec. I ponownie

FOT. BENOIT BOUDRETS/EUROPEAN UNION/EP

ostała się koalicja CDU-SPD. W nowym rządzie, w 2018 r., Barley przypadło stanowisko ministra sprawiedliwości i cyfryzacji, zastąpiła na tej funkcji Haiko Maasa, który został ministrem spraw zagranicznych. Miała pole do popisu, zwłaszcza w dziedzinie cyfryzacji – wytoczyła wojnę koncernom amerykańskim, Google i Facebooka nazwała monopolistami i zadeklarowała, że nie korzysta z ich usług, nie ma nawet WhatsAppa. Znów jej poglądy wpisały się w główny nurt polityki europejskiej, niechętniej wobec amerykańskich potentatów.

Kiedy w Niemczech wybuchła afera związana z piłkarzem tureckiego pochodzenia, Mesutem Özilem, minister sprawiedliwości zabrała głos. Grający w niemieckiej kadrze narodowej Özil, swego czasu podawany jako przykład modelowej integracji, po tym, jak sobie zrobił zdjęcie z tureckim prezydentem Erdoğanem i publicznie wyraził poparcie dla jego poglądów, wywołał w Niemczech polityczną burzę. Zdjęcie z Erdoğanem skrytykował rzecznik kanclerz Merkel, a politycy AfD oskarżyli Özila o podlizywanie się Erdoğanowi i wezwali do bojkotowania piłkarskiej gwiazdy. W efekcie Özil rozstał się z niemiecką kadrą narodową. Barley stanęła po stronie piłkarza, pisząc, że „niepokojące jest, że tak dobry niemiecki zawodnik nie czuje się teraz dobrze widziany w swoim kraju z powodu rasistowskich ataków na niego”, i przy okazji oskarżyła niemiecką pravicę o agresywny nacjonalizm.

Sporym zaskoczeniem dla niektórych obserwatorów sceny politycznej był jej start w wyborach do PE w 2019 r. Wiele krajów, nie tylko Polska, lecz także Francja czy Hiszpania, na listach umieściło najbardziej znanych polityków, często urzędujących ministrów. Barley poprowadziła listę SPD. Ten wybór zachwalał Martin Schulz, twierdząc, że to bardzo dobra nominacja, bo Barley jest oddaną Europejką. Sama Barley potwierdziła, że kilkakrotnie prosiła ją o start i zdecydowała się po pewnych wahaniach z jednego zasadniczego powodu – strachu przed nacjonalizmem. – Startuję, bo niepokoi mnie rosnący nacjonalizm w różnych krajach europejskich i na forum PE chcę walczyć z tym zjawiskiem – zadeklarowała. Plotkowano wówczas, że może przy odpowiednich układach politycznych będzie niemiecką kandydatką na komisarza. Zresztą przyznanie jej zadania prowadzenia listy do PE było przez niektórych odbierane jako element lansowania kobiet w polityce. – W Niemczech parytety są już od dawna i kobiety są coraz bardziej

forowane w polityce. Dawanie kobietom wiodących funkcji i miejsc na listach jest nie tylko dobrze widziane, lecz także niemal wymuszone – mówi jeden z niemieckich dziennikarzy.

ZAGŁODZIĆ ORBÁNA

Szyki Barley popsuła jednak nominacja Manfreda Webera jako kandydata EPP na szefa KE. Gdyby został przewodniczącym, nie miałaby szans na zostanie komisarzem, bo tylko jeden polityk z Niemiec mógł się znaleźć w tej układance. Swoją drogą badania przeprowadzane w Niemczech wykazały, że Barley cieszy się tam o wiele większą rozpoznawalnością od Webera. Szefową Komisji została jednak po burzliwym ubiegłorocznym unijnym szczycie Ursula von der Leyen. Katarina Barley musiała się zadowolić funkcją wiceprzewodniczącej PE.

Wiceprzewodniczącą europarlamentu jest 14, zatem by dać się zauważyć mediom i innym politykom, trzeba wyrazić kontrowersyjności. Kolejne wypowiedzi Barley faktycznie przykuwały uwagę. Jak na przykład ta o przyszłej armii europejskiej. Podczas gdy jej koledzy partyjni w Niemczech chcieli wprowadzić zakaz wstępu do szkół dla żołnierzy, bo to ich zdaniem „propaganda militarna”, pani Barley opowiedziała się zdecydowanie za pomysłem stworzenia armii europejskiej z prawdziwego zdarzenia, nad którą władzę (w sensie wydawania np. dyspozycji i kontrolowania) miałyby... Parlament Europejski. W domyśle taka armia miałaby także być alternatywą dla NATO, czyli w dalszej perspektywie osłabiać relacje Unii z USA.

Jednak najlepsze pole do popisu stanowi dla Barley praca w ramach komisji LIBE, czyli tej zajmującej się kwestiami związanymi z praworządnością. Wypowiedzi Barley wielokrotnie były krytykowane przez polskich europosłów jako mało merytoryczne, a za to bardzo agresywne. W kwietniu domagała się od Komisji Europejskiej zdecydowanych działań – w tym interwencji w TSUE w związku z podjętymi w ramach walki z pandemią decyzjami rządów w Polsce i na Węgrzech. Oskarżała te rządy o wykorzystywanie pandemii do ograniczania swobód. Jej uwadze umknęło to, że tak lubiany przez nią prezydent Macron na mocy dekretu wydułżył we Francji areszt tymczasowy z trzech miesięcy do sześciu, pod pretekstem wyjątkowej pandemicznej sytuacji. Jednak, parafrazując Jeana-Claude’a Junckera – „to Francja”. Wielokrotnie także krytykowała reformę

systemu sprawiedliwości, nie stroniąc przy tym od błędów faktograficznych, oraz stawiała w obronie – jej zdaniem – represjonowanych środowisk LGBT.

Dopiero jednak słowa o finansowym załodzeniu premiera Orbána wywołały burzę. Najbardziej oburzyły polskich i węgierskich polityków związanych z opcjami rządzącymi. Domagają się oni ustąpienia Barley ze stanowiska. Czy jednak oburzenie i oskarżenia pod adresem Barley, która de facto powiedziała otwarcie to, co wielu polityków chce forsować po cichu, czyli za pomocą sankcji wpływać na zmianę władzy, przyniosą oczekiwany efekt? Zdaniem niektórych zagranicznych posłów Polacy i Węgrzy nie powinni iść śladem Barley i muszą precyzyjnie dobierać słowa. – Ostre, odnoszące się do skojarzeń historycznych ataki z Warszawy i Budapesztu są jej na rękę, bo będzie się mogła przedstawić jako hejtowana ofiara „agresywnej prawicy” i zapunktować w swoim środowisku politycznym – mówi jeden z europosłów.

Coraz bardziej widoczna jest analogia między nią a Fransem Timmermansem, który z atakowania Polski i Węgier stworzył sobie trampolinę polityczną i zapewnił drugą kadencję w PE. I im mniej wybrednie i bardziej personalnie atakowany był z kolei Timmermans, tym bardziej rosła jego pozycja. Jakie jest rozwiązanie? Wytykać błędy, podkreślać skandaliczność porównania, ale zachować umiar. Warto zauważyć, że wypowiedzi Barley skrytykowali niektórzy niemieccy politycy związani z CDU i CSU, w tym sekretarz generalny CDU Paul Ziemiak i Michael Kretschmer, premier Saksonii. Sama Barley nie wycofała się ze swoich słów, tylko oskarżyła Orbána o korupcję. Jednak podczas niedawnej debaty na temat praworządności w Bułgarii oskarżyła także całą EPP o hipokryzję. Jej zdaniem ta frakcja tak długo broni zasad, jak długo dotyczą one kogoś spoza grupy. – Najpierw bronili Orbána, teraz to samo robią z Borisowem – mówiła w PE.

Pewne jest jedno, o Katarinie Barley jeszcze nieraz usłyszymy. Jak mówią europosłowie, jest bardzo ambitna, żądna władzy i rozgłosu, ale też przekonana o słuszności swoich lewicowych poglądów. Pytanie, na ile przemawia przez nią pryncypialne doktrynerstwo, a na ile jest to cyniczne wykorzystanie modnych tematów i dyżurnych chłopców do bicia do wysokości się po politycznych schodach.



Niemiecka lekcja

FOT. F. BOILLY / SAMPOD-ROTHGARTEN / VOLLSTEN BILD / GETTY IMAGES



Grzegorz Kucharczyk

Czy Polska powtórzy scenariusz niemiecki, gdzie społeczeństwo zatraciło konserwatywne chrześcijańskie dziedzictwo?

Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna (CDU) powstała 70 lat temu. Za początek CDU w skali całych Niemiec Zachodnich (RFN) uznaje się zjazd chrześcijańskich demokratów w Goslarze w 1950 r. Co prawda już w pierwszych miesiącach po zakończeniu drugiej wojny światowej w poszczególnych zachodnich strefach okupacyjnych oraz w podzielonym Berlinie zaczęły powstawać lokalne oddziały chadeckiej Unii. Stąd niekiedy mówi się o 75. rocznicy powstania CDU.

Przez pierwsze 20 lat istnienia RFN partia Konrada Adenauera sprawowała rządy (samodzielnie lub w koalicji) w Bonn, w decydujący sposób wpływając na kierunek polityki zagranicznej (opcja proatlantycka, członkostwo w NATO i EWG) i wewnętrzną („cud gospodarczy” lat 50. i społeczna gospodarka rynkowa) państwa zachodnioniemieckiego. To za rządów CDU doszło do zjednoczenia Niemiec w 1990 r. („kanclerz zjednoczenia” Helmut Kohl). Od 2005 r.

w różnych konfiguracjach koalicyjnych CDU Angeli Merkel rządzi Bundesrepubliką.

Po ostatnich wyborach parlamentarnych (2017) wydawało się, że CDU nieuchronnie dryfuje ku utracie władzy, płacąc cenę za „bezalternatywność” tzw. wielkiej koalicji z SPD. Wszystko zmieniła pandemia. O ile jeszcze w lutym 2020 r. sondaże wskazywały na poparcie dla CDU rządu 29 proc. (stan katastrofalnie niski), o tyle już latem tego roku niemal 40 proc. respondentów wyrażało gotowość głosowania na chadeków (w tym na bawarską CSU). Ten trend potwierdzają wyniki niedawnych wyborów lokalnych w najludniejszym kraju związkowym, Nadrenii Północnej-Westfalii, które 13 września wygrała CDU.

Jedno wszakże się nie zmienia. W ciągu siedmiu dekad swojego istnienia CDU systematycznie traciła literkę „C” w swojej nazwie, dzieląc w ten sposób los wszystkich zachodnioeuropejskich chadecji – partii „chrześcijaństwa bezobjawowego”.

GŁOSY Z ZAGINIONEGO ŚWIATA

A przecież początki były bardzo obiecujące. To w kręgach chadeckich Niemiec Zachodnich w pierwszych latach po 1945 r. rzucono hasło zakotwiczenia powojennych Niemiec we wspólnocie cywilizacyjnej „chrześcijańskiego Zachodu”. Politycy i publicyści tworzący wtedy CDU podkreślali w związku z tym koniecz-

ność „rechrystianizacji” swojej ojczyzny, wskazując, że narodowy socjalizm był produktem sekularyzmu i materializmu, zjawisk podmywających spoistość całej zachodniej cywilizacji (w ten sposób zdejmowano z Niemców odium wyłącznej winy za nazizm, skoro ulegli oni złu, które nie było dowodem jakiegś ich szczególnie złowrogiej „wyjątkowej drogi”). Odejście od tych destrukcyjnych dla całego „chrześcijańskiego Zachodu” trendów było – jak podkreślali chadecy – warunkiem sine qua non budowania Niemiec demokratycznych i „zakotwiczonych” w zachodnich strukturach politycznych, ekonomicznych i obronnych.

W czerwcu 1945 r. program chrześcijańskich demokratów z Kolonii (miasto Konrada Adenauera) deklarował dobowanie wierności „Bogu żywemu” i „Jego przykazaniom” jako „podstawom ładu społecznego i wspólnoty [narodowej]”. W uchwalonym niewiele później programie chadeków z Düsseldorfu deklarowano, że państwo „czerpie wewnętrzny kierunek i siłę z chrześcijańskich wartości”. Z kolei przyjęte we wrześniu 1945 r. „Zasady Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii” w Nadrenii i Westfalii wskazywały, że powodzenie niemieckiego odrodzenia narodowego zależy od „skuteczności sił chrześcijańskich w narodzie [niemieckim]”.

W uchwalonym w marcu 1946 r. programie Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej w brytyjskiej strefie okupacyjnej podkreślano, że „tylko chrześcijański światopogląd gwarantuje sprawiedliwość, ład i umiar, godność i wolność jednostki i dzięki temu prawdziwą demokrację [...]. Uważamy, że waga, którą chrześcijaństwo przywiązuje do każdej ludzkiej osoby, jest fundamentem i najwyższą zasadą naszej aktywności w politycznym, ekonomicznym i kulturalnym życiu naszego narodu”.

Podobnie kwestię chrześcijaństwa dla budowy demokratycznych i prozachodnich Niemiec widział Konrad Adenauer – pierwszy przewodniczący CDU i kanclerz RFN w latach 1949–1963. 7 kwietnia 1946 r., przemawiając w Bonn, deklarował w imieniu swojego środowiska politycznego: „Jesteśmy chrześcijańskimi demokratami, ponieważ jesteśmy głęboko przekonani, że tylko demokracja zakorzeniona w chrześcijańskim zachodnim światopoglądzie, w chrześcijańskim prawie naturalnym i w zasadach chrześcijańskiej etyki może spełnić wielką misję

edukacyjną wobec narodu niemieckiego i rozpocząć jego odrodzenie”.

CDU – KATOLICCY FUNDAMENTALISCI?

Dzisiaj te słowa brzmią jak głosy z zaginionego świata albo jak opinie wygłaszane przez zapiekłych „katolickich fundamentalistów”. Co prawda CDU od początku powstawała w odróżnieniu od dawnej partii Centrum z czasów Rzeszy wilhelmińskiej i Republiki Weimarskiej, jako partia bikonfesyjna (katolicka i protestancka), jednak protestanckie skrzydło CDU było o wiele mniej wstrzeżliwe w akcentowaniu konieczności oparcia powojennych Niemiec na chrześcijańskim systemie wartości.

Dodatkowo swoją rolę odgrywał w tych kręgach odziedziczony z czasów kulturkampfu antykatolicyzm. Symptomatyczne pod tym względem były słowa wypowiedziane w grudniu 1949 r. przez Martina Niemöllera – jedną z najbardziej prominentnych postaci ewangelickiego milieau w RFN: „Obecny zachodnioniemiecki rząd został poczęty w Watykanie i urodzony w Waszyngtonie. Dalsze trwanie zachodnioniemieckiego państwa

oznacza śmierć kontynentalnego protestantyzmu”.

Warto dodać, że tego typu retoryka popularna była na początku lat 50. ubiegłego wieku w SPD, która pod przewodnictwem Kurta Schumachera sprzeciwiała się integracji RFN z Zachodem w ramach NATO i EWG. Dla przewodniczącego SPD integracja europejska była „katolickim i klerykalnym projektem”, co było wystarczającym powodem do jej odrzucenia.

Znamienne było, że aż do początku lat 70. większość wyborców głosujących na CDU stanowili katolicy. W 1949 r. wśród głosów oddanych na partię Adenauera jedynie 25 proc. należało do protestanckich wyborców, w 1953 – odsetek ten wynosił 31 proc., a w 1957 – 42 proc.

KONSEKWENCJE KRYZYSU

Jak to się stało, że partia tak mocno akcentująca literę „C” w swoim programie stała się partią „chrześcijaństwa bezobjawowego”? Wszystko zaczęło się w latach 60. XX w., uznawanych za „drugi początek RFN” (M. Ruff). Na progu kolejnej dekady popularny (nie tylko w Niemczech) teolog z Towarzystwa Jezusowego

napisał o Niemczech Zachodnich: „Kraj pogański o chrześcijańskiej przeszłości z pozostałościami chrześcijaństwa”.

Autorem tych słów był Karl Rahner, ponoszący zresztą w dużym stopniu odpowiedzialność za proces, który wpłynął w decydujący sposób na początek erozji litery „C” w programie i działaniu CDU. Mam tu na myśli duchowy i intelektualny kryzys Kościoła niemieckiego, który ze szczególną mocą objawił się w szóstej dekadzie XX w. i za sprawą Renu wpływającego od czasów Vaticanum II wartką strugą do Tybru, oddziaływał na cały Kościół powszechny. Stara prawidłowość mówi, że kondycja naszej (zachodniej) cywilizacji jest warunkowana kondycją, w jakiej znajduje się jej twórca, czyli Kościół. Jeśli przeżywa on duchowy oraz intelektualny rozkwit, to i nasza cywilizacja ma się dobrze. Jeśli Kościół jest w kryzysie, to i cywilizacja, która wyrosła jako uboczny produkt ewangelizacyjnej pracy Kościoła (F. Wilhelmsen), ma się źle.

Tę regułę można tym bardziej odnieść do CDU, która w ciągu pierwszych 20 lat swojego istnienia była postrzegana przede wszystkim jako partia katolików, co przejawiało się – jak widzieliśmy

REKLAMA

WSPOMNIENIA TEJ, KTÓRA CUDEM PRZETRWAŁA

Po raz pierwszy dostępne dla czytelników

Osobiste doświadczenie Holokaustu spisane w latach 70. XX wieku o tysiącach ludzi, którzy umierali pobić, zagłodzeni, zamrażani, rozstrzelani, zagazowani...



www.rm.com.pl

Patronat medialny:



Ludowa Historia Polski NOWA SERIA KSIĄŻEK



Już w księgarniach



Zapowiedź

Polecają:



– w zachowaniach wyborców. Kryzys Kościoła w Niemczech, którego szczególnie jaskrawym przejawem był bunt wobec encykliki „Humanae vitae” Pawła VI z 1968 r., oznaczał, że wyborcy katoliccy stawali się katolikami tylko z nazwy. To zaś nie tylko miało konsekwencje dla ich osobistego rozwoju duchowego, lecz także przekładało się na wypukiwanie literki „C” z programu partii, na którą głosowali i w której sprawowali ważne funkcje. Co z tego, że na początku lat 70. ubiegłego stulecia połowa głosów oddanych na CDU pochodziła od katolickich wyborców, skoro ci wyborcy uformowani byli w duchu „lojalnego sprzeciwu” wobec tradycyjnej doktryny katolickiej (zwłaszcza w odniesieniu do sfery seksualnej).

UTRATA WIARY PRZEZ NAJWIERNIEJSZYCH

Warto w tym kontekście przyjrzeć się zmianom mentalnościowym zachodzącym w gronie kobiet głosujących na CDU. I to nie tylko dlatego, że od 20 lat partia ta kierowana jest przez kobiety (od 2000 r. przez Merkel, a od 2018 r. przez Kramp-Karrenbauer). Zmiany kulturowe zachodzące wśród tych, które miały być „strażniczkami ogniska domowego”, zawsze rzutowały na całe społeczeństwo. A cóż powiedzieć o partii, która przez kolejne dekady uważana była za „partię kobiet”? Aż do lat 80. XX w. większość kobiet biorących udział w wyborach oddawała swoje głosy na CDU (rekordowy pod tym względem był rok 1957, gdy na CDU zagłosowało 53,5 proc. kobiet).

W tej sytuacji rdzeniem „żelaznego elektoratu” CDU były katolickie, które w latach 60. stały się jednak awangardą „lojalnego sprzeciwu” wobec tradycyjnego katolickiego nauczania, do czego zachęcali swoim własnym nieposłuszeństwem wobec Magisterium sami biskupi i tak wpływowi teologowie jak Rahner. W 1967 r. Marianne Dirks, szefowa Centralnego Związku Katolickich Kobiet i Matek, oświadczyła: „Dzisiaj wiemy, że wiele z tego, co wydawało się należeć do istoty kobiecości – większa zdolność do ofiary i mniejsza zdolność do abstrakcji – jest historycznie zdeterminowana na podstawie koniecznych przystosowań i konwencjonalnych definicji i może podlegać zmianom w różnych kulturach”. Kierowany przez Dirks Związek dołączył do frontu oporu przeciw „Humanae vitae”.

Radykalne zmiany w mentalności zachodnioniemieckich katolicek ujawniały również statystyki. Badania przeprowadzone w 1985 r. przez renomowany Instytut Allensbacha wśród katolicek w RFN ujawniły, że w grupie wiekowej poniżej 30. roku życia zaledwie 22 proc. identyfikowało się z nauczaniem Kościoła. W 1968 r. odsetek ten wynosił 50 proc. W 1985 r. jedynie 38 proc. młodych katolicek w RFN uważało, że Kościół może być pomocny w rozwiązywaniu problemów natury moralnej. Badania przeprowadzone w 1993 r. ujawniły z kolei, że aż dwie trzecie niemieckich katolicek nie akceptowało nauczania Kościoła w sprawie niedopuszczalności antykoncepcji, aborcji i rozwodów.

Reszta była tylko konsekwencją. Na przykład stanowisko CDU w sprawie zakazu aborcji. Na mocy obowiązującego w Niemczech od 1995 r. prawa aborcja jest czynem karalnym, ale odstępuje się od jego stosowania, gdy jest wykonana po przepisanych w ustawie konsultacjach w odpowiednich poradniach i przeprowadzana jest w pierwszym trymestrze życia dziecka. Szacuje się, że obecnie w Niemczech uśmierca się ok. 100 tys. dzieci rocznie, głównie z przyczyn eugenicznych.

Prawo to zostało uchwalone w czasie rządów koalicji chadecko-liberalnej (CDU/CSU-FDP), ale poprzedzone zostało znamiennej ewolucją w tej kwestii w samej CDU. Gdy w 1983 r. grupa posłów CDU do Bundestagu wystąpiła z inicjatywą zakazu finansowania z budżetu federalnego „społecznie uzasadnionych” aborcji, jako pierwsze zaprotestowały posłanki z tzw. Unii Kobięcej (Frauen Union) działającej z ramach CDU.

„ANONIMOWI CHRZEŚCIJANIE” W AKCJI

W kolejnych latach model dyfuzji kryzysu (najpierw Kościół, potem życie społeczne, w tym życie polityczne) oznaczał coraz energiczniejsze wymazywanie literki „C” z programu i działania CDU. Skoro na początku XXI w. Kościół w Niemczech przystąpił do etapu „oswajania” problemu „równouprawnienia par jednopłciowych” (logiczna konsekwencja odrzucenia „Humanae vitae”), to dlaczego ten proces miałyby ominąć CDU? Ostatecznie skończyło się tym, że na krótko przed wyborami parlamentarnymi w 2017 r. posłowie CDU zagłosowali „z własnym sumieniem” – jak zachęcała

kanclerz A. Merkel – za projektem „małżeństwo dla wszystkich”, legalizującym w Niemczech tzw. małżeństwa jednopłciowe (sama pani kanclerz głosowała przeciw).

Na początku tego roku Jens Spahn, delegowany przez CDU minister zdrowia (zadeklarowany homoseksualista), przeprowadził przez Bundestag ustawę zakazującą prowadzenia, a nawet reklamowania adresowanej do osób małoletnich „terapii konwersyjnej”, czyli leczenia zaburzeń tożsamości płciowej. Ten sam minister rok wcześniej patronował przyjęciu przez parlament niemiecki nowelizacji prawa aborcyjnego, która przewiduje odejście od zakazu ogłaszania przez lekarzy prowadzenia „usług aborcyjnych” (odtąd to ministerstwo zdrowia ma publikować na swojej stronie internetowej listę „usługodawców”).

W programie wyborczym CDU przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi (2017) z fragmentu dotyczącego wspierania polityki prorodzinnej zniknęła definicja rodziny jako trwałego związku mężczyzny i kobiety. Dzisiaj na zjazdach partii Adenauera wzmianka o literze „C” pojawia się tylko w kontekście śpiewania kolęd bożonarodzeniowych (co bardzo przed paroma laty interesowało kanclerz Merkel). Jeśli o jakiejś religii jest mowa, to raczej o islamie, który zgodnie z deklaracją szefowej niemieckiego rządu „należy do Niemiec”.

W największym skrócie można powiedzieć, że prawdziwym ojcem duchowym współczesnej CDU jest Karl Rahner, autor koncepcji „anonimowych chrześcijan”, którzy dzisiaj przeważają w szeregach tej partii. Gdyby jednak wcześniej wizji tej nie zaakceptował Kościół niemiecki, degrengolada niemieckiej chadecji nie nastąpiłaby tak szybko.

A w Polsce? Czy plan budowy „nowoczesnej centroprawicy” na wzór CDU, co zapowiadał niemal 30 lat temu Jarosław Kaczyński, skończy się spowolnioną, ale jednak dechrystianizacją Polski? Po ostatniej „futerkowej” ofensywie prezesa PiS te obawy mogą być bardzo uzasadnione. Podobnie jak w Niemczech decydująca będzie jednak kondycja duchowa i intelektualna Kościoła. Jeśli polscy biskupi będą „nastawać w porę i nie w porę”, jeśli oczyszczą Kościół w Polsce ze zboczeńców seksualnych i doktrynalnych, to niemiecki scenariusz nie powtórzy się nad Wisłą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAF

AZYL PO NORWESKU

Założyciel Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych Rafał Gaweł został w Polsce skazany za wyłudzenie ponad 300 tys. zł. Po ogłoszeniu wyroku sądu apelacyjnego (obniżył mu karę z czterech lat więzienia do dwóch) zabrał rodzinę i uciekł z Polski do Norwegii. Tam starał się o azyl polityczny. Ten mu w końcu – po skardze na pierwotną odmowę – przyznano. Norwegia uznała więc, że skazanie za wyłudzenia w Polsce to... prześladowanie.

STANY NA SMYCZY

Izraelskie media z nadzieją patrzą na projekt ustawy, który trafił do Izby Reprezentantów w USA. Prawo pozwalałoby na weto Izraela w sprawie sprzedaży broni przez Stany Zjednoczone na Bliski Wschód. Prezydent USA, zanim sprzeda tam komuś myśliwce, rakiety czy bomby, musiałby najpierw obowiązkowo odbyć konsultacje z rządem izraelskim. Projekt to reakcja Izraela m.in. na negocjacje USA w sprawie sprzedaży F-35 Zjednoczonym Emiratom Arabskim.

POLITYKA KONTRA KOSZYKÓWKA

W przypadku sportu łączenie go z polityką nie wychodzi na dobre. Przynajmniej w USA. Przekonują się o tym powoli ludzie związani z koszykarską ligą NBA. Menedżer Houston Rockets wsparł np. na Twitterze mieszkańców Hongkongu. A potem szybko wiadomość usunął, bo chińskie pieniądze odpłynęły ze sponsoringu. Dodajmy do tego pokazówki w trakcie rozgrywek związane z ruchem Black Lives Matter i mamy piękny przepis na katastrofę. Kibice się wkurzyli do tego stopnia, że finały NBA ogląda o połowę widzów mniej niż rok temu.

KURS NA INNY KOLOR ZARZĄDU

Microsoft zadeklarował, że do 2025 r. podwoi liczbę czarnoskórych menedżerów wyższego szczebla. Tym razem jednak pomysł na „zwiększanie różnorodności” w kadrze firm trafił na opór amerykańskiego resortu pracy. Urzędnicy wszczęli bowiem postępowanie przeciw informatycznemu gigantowi – zdaniem rządu planowane przez firmę praktyki mogą bowiem być przejawem rasizmu. Firma z Redmond ma czas, by obalić te zarzuty do 29 października.

KRADZIONE NIE TUCZY

Brytyjskie media opisały historię skruszenia pewnej Kanadyjki. Przysłała ona paczkę do biura podróży we włoskim regionie Kampania – kawałki mozaiki, ceramiki oraz fragmenty antycznej amfory. Te przedmioty skradła i wywiozła 15 lat temu. Teraz – jak wytłumaczyła w liście – postanowiła je zwrócić, bo od momentu kradzieży jej rodzinę dosięgła seria nieszczęśliwych przygód. Kobieta uważa, że ściągnęła na siebie przekleństwo. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump zdradził wyborców?

Georgette Mosbacher – kosmetyczka, bywalczyni salonów/filantropka i wieoletni aparatczyk Partii Republikańskiej. Tak w skrócie ambasadorkę USA w Polsce przedstawił na swych łamach wpływowy amerykański magazyn „The American Conservative”.

Declan Leary, autor artykułu pt. „USA umieszczają nad Polską tęczową flagę”, zauważył, że już w momencie nominacji nazwisko Mosbacher budziło kontrowersje choćby ze względu na jej wypowiedź na temat rzekomego „antysemityzmu” w Polsce. Kontrowersje przy wyznaczaniu ambasadora

USA w Polsce przez Trumpa były jedynie zwiastunem „szerszej, głębszej ignorancji w sprawach polskiej kultury, polityki i wartości”. Na dowód Leary przywołuje wywiad dla WP, w którym Mosbacher stwierdziła, że choć w pełni szanuje to, iż Polska jest krajem katolickim, to Polacy, nie popierając ideologii LGBT, znajdują się „po złej stronie historii”. „Gdyby pani Mosbacher rzeczywiście szanowała fakt, że Polska jest państwem katolickim, i miała choć podstawowe pojęcie tego, co to znaczy, to nie powinna była kończyć tego zdania. Niestety, je skończyła” – pisze autor „The American Conservative”, magazynu

uznawanego za jedną z podstawowych lektur ekipy w Białym Domu. Declan Leary ocenia, że stwierdzenie, które padło z ust dyplomatk, to „zniewaga zarezerwowana dla ludzi, których poglądy uważa się za naganne i nie do obrony”.

Leary słusznie pyta, dlaczego dyplomaci milczą w sprawie Arabii Saudyjskiej, gdzie gejów każe się śmiercią. Ciekawe też, ile głosów w najbliższych wyborach straciłby Trump, gdyby jego wyborcy dowiedzieli się, jaką agendę poza granicami forsuja mianowani przez niego dyplomaci. „Czy my też jesteśmy po złej stronie historii?” – pyta Leary. ©



Rosyjska działaczka pro-life. Napis na koszulce: „Ruch Za! Zakaz aborcji” FOT. ANTON VERGUN/TASS/FOURUM

Sto lat legalnej rzezi



Piotr Włoczyk

W październiku 1920 r. bolszewicka Rosja stała się pierwszym krajem na świecie, który zalegalizował aborcję. Dzisiejsza Rosja wciąż zмага się z tragicznymi skutkami, jakie decyzja ta niosła dla tamtejszego społeczeństwa

Podstawą prawną dla tej rewolucyjnej zmiany był „Dekret o ochronie zdrowia kobiet”. Bolszewicy przedstawiali to jako gigantyczny krok naprzód w po-

równaniu z czasami Rosji carskiej, gdy aborcja była przestępstwem. Już sto lat temu legalna aborcja reklamowana była przede wszystkim jako ratunek dla kobiet, które dzięki temu nie będą musiały uciekać się do wizyt u tzw. babek – znachorek, które wiedziały zarówno to, jak przyjąć poród, jak i to jak zabić dziecko. W 1921 r. legalizacja aborcji, darmowo przeprowadzanej w szpitalach, została rozszerzona na inne republiki sowieckie.

Zapowiadane od dawna przez Lenina zalegalizowanie „sztucznego poronienia” było niezbędnym warunkiem powodzenia wielkiej rewolucji seksualnej, która miała pomóc bolszewikom zabić tradycyjną Rosję. Efektem „uwalniania” ludzkiej seksualności było – de facto – niewolnictwo seksualne. Młode kobiety

były traktowane zupełnie wprost jak maszyny do zaspokajania potrzeb komsomolców. Miały się rejestrować i wypełniać odgórnie narzucone normy seksualne. Najgorszy los spotykał jednak młode dziewczyny z dobrych domów, które były brutalnie gwałcone, do czego zachęcała młodych komunistów sama partia. W ten sposób bolszewicy chcieli ukształtować zupełnie nowy typ człowieka, który z politowaniem patrzyłby na surowe normy społeczne przedrewolucyjnej Rosji.

Rewolucję w tej sferze nadzorowała Aleksandra Kołłontaj, najbardziej wpływowa kobieta w bolszewickich władzach, która w 1919 r. utworzyła Żenotdieł, nazywany „Ministerstwem Kobiet”. To właśnie Kołłontaj oświadczyła rosyjskiemu społeczeństwu, że seks ma być dla niego jak wypicie szklanki wody. Żenotdieł promował błyskawiczne rozwody, przygodne kontakty seksualne, a także aborcję, która miała zaradzić oczywistym skutkom kierowanej z Kremla ogólnonarodowej orgii.

Partia dosyć szybko zorientowała się jednak, że sprawy zaszły za daleko i należy przyhamować rewolucję seksualną. Stało się jasne, że tak daleko idące rozprężenie społeczne okazuje się problematyczne nawet dla chcących wyrwać świat do góry nogami bolszewików. Lenin stwierdził wówczas, że doskonałe rozumie, iż człowiek może być spragniony, ale to nie znaczy, że od razu ma się kłaść w rynsztoku i chleptać z kałuży. A do tego w gruncie rzeczy sprowadzała się bolszewicka rewolucja seksualna.

Kreml przestał zachęcać do niczym nieskrępowanego korzystania z ciał współobywateli, ale aborcja była coraz większym problemem. Raz obalone tabu w tej kwestii sprawiło, że „sztuczne poronienie” stało się dla sowieckich kobiet najzwyczajszą metodą antykoncepcji. Władze sowieckie widziały w tym coraz bardziej palący problem, ponieważ Kreml liczył na gwałtowny wzrost populacji kraju.

DO KOŃCA CIĄŻY

W końcu w 1936 r. Stalin zdecydował się na drastyczne rozwiązanie. Skoro nie dawało się przekonać społeczeństwa, że aborcje to tak naprawdę odbieranie ZSRS potencjału wielkości, to należy je zdelegalizować. „Musimy w końcu zrozumieć, że spośród wszystkich kapitałów na świecie najcenniejszym i najbardziej kłucowym jest kapitał ludzki” – powiedział

Stalin podczas spotkania z przedstawicielami ruchu stachanowskiego.

Chociaż trudno tu o dokładne dane, to szacuje się, że delegalizacja niewiele zmieniła. Służby niezbyt gorliwie ściagały podziemie aborcyjne i dotarcie do „pomocnych” lekarzy nie było większym problemem.

Po śmierci Stalina Chruszczow postanowił wrócić w tej kwestii do czasów leninowskich i znów zalegalizować aborcję. Lata 50. i 60. to pod tym względem rzeź na nieprawdopodobną skalę.

W połowie lat 60. przeprowadzano co roku w całym Związku Sowieckim 7 mln aborcji. Oznaczało to, że stosunek aborcji do porodów wynosił 3:1. Średnio więc spośród czworga poczętych dzieci aż troje padało ofiarą „prawa do wyboru” (nie licząc poronień). Aborcja stała się kołontajowską szklanką wody. Ciążę można było „przerwać” na każdym etapie i nawet bardzo późne aborcje mało kogo dziwiły.

– To była połowa lat 60. Moja babcia została namówiona przez moją prababcię do aborcji. W domu panowała trudna sytuacja, na ojca dziecka nie można było liczyć... Prababcia umówiła więc moją

babcię na wizytę u specjalisty od aborcji – opowiadała w rozmowie ze mną Olga, 31-letnia mieszkanka Moskwy. – Babcia siedziała już w kolejce do pokoju zabiegowego. I nagle, w ostatniej chwili przed wejściem, babcia poczuła kopnięcie. To było pierwsze kopnięcie jej dziecka – mojej mamy. Babcia poczuła się, jakby ją piorun strzelił, wstała i powiedziała, że nie ma mowy, by pozbyła się swojego dziecka – mówiła Olga. Przypomnijmy tylko, że pierwsze ruchy dziecka kobieta wyczuwa w okolicach 20. tygodnia ciąży...

PRIORYTETY PUTINA

O horrorze aborcyjnym z czasów Związku Sowieckiego wiele mówią słowa dr. Pawła Krotina, szefa kliniki aborcyjnej w Sankt Petersburgu, który w wywiadzie z Al-Dżazirą w następujący sposób tłumaczył postęp, jaki dokonał się w tej sprawie od upadku ZSRS: „Dziś już nie ma pacjentek, które miały po kilkadziesiąt aborcji i byłyby z tego powodu wręcz dumne”.

Mimo że brzmi to nieprawdopodobnie, fakty są takie, że w latach 1960–1980 aborcja odpowiadała w ZSRS za śmierć większej liczby ludzi niż pierwsza

wojna światowa, wojna domowa w Rosji i druga wojna światowa razem wzięte.

Wprawdzie dziś dokonuje się w Rosji o wiele mniej aborcji (ok. miliona rocznie) niż w czasach komunizmu i tak jednak kraj ten wciąż jest w czołówce tego potwornego rankingu. Jedynie w Chinach współczynnik aborcji na tysiąc kobiet jest wyższy.

„Demografia to kluczowy temat. Albo będziemy istnieć, albo nas nie będzie” – mówił niedawno Putin, dając do zrozumienia, że stosunek Rosjan do aborcji to jeden z głównych powodów zapaści demograficznej społeczeństwa. Z jednej strony na Kreml naciska Rosyjski Kościół Prawosławny, żądający wprost delegalizacji aborcji, z drugiej strony Putin doskonale rozumie, jak wyglądają nastroje społeczne Rosjan, będące spuścizną po ZSRS – blisko trzy czwarte Rosjan nie życzy sobie, by władze zaostrzyły w tej kwestii przepisy. Chociaż Kreml wprowadza tu pewne zmiany (zakaz reklamowania aborcji i znaczne ograniczenie prawa do aborcji po 12. tygodniu ciąży), to bardzo trudno wyobrazić sobie Rosję bez tej „zdobyczy” komisarz Kołontaj.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

JAK CHOROBY I EPIDEMIE WPŁYWAŁY NA DZIEJE CYWILIZACJI?

Niewidzialni wrogowie potrafią obalać imperia, dziesiątkować zwycięskie armie, odsyłać całe dynastie w mrok zapomnienia. Nie biorą jeńców.

Mikroby, bakterie i wirusy.

PATRONATY
MEDIALNE:

DO
RZECZY

ISTORYKON.PL

KSIAŻKA
DO KUPIENIA W:
WWW.XLM.PL



JAKUB WOZINSKI: Jest rok 2023. Po wyborach ministrem finansów zostaje Sławomir Mentzen. Jakie byłyby pierwsze trzy rzeczy, które zrobiłby pan, objąwszy tę funkcję?

DR SŁAWOMIR MENTZEN: Rzeczy, które trzeba zrobić, jest bardzo dużo, a poza tym naprawdę nie mam pojęcia, jak będzie wyglądał świat w 2023 r. i z jakimi wyzwaniem gospodarczymi będziemy się wtedy mierzyli. Mamy czas olbrzymiej niepewności. Przypominam, że jeszcze rok temu rząd twierdził, że w roku 2020 budżet będzie bez deficytu, a teraz już wiemy, że ten deficyt łącznie z zadłużeniem PFR przekroczy ponad 200 mld zł. Tak więc nie ośmielałem się stawiać prognoz na rok 2023. Na pewno zmierzałbym w kierunku uproszczenia prawa podatkowego. W drugiej kolejności można myśleć o obniżaniu podatków w połączeniu z redukcją wydatków.

W zeszłym roku pisał pan na Twitterze: „Żeby w Polsce było lepiej, trzeba zlikwidować PIT, CIT, ZUS, PIS, PO, SLD i PSL”.
I TVP.

Skupiając się na samej podatkowej części tego wpisu, czy to oznacza, że zostawiłby pan tylko VAT? Na jakich podatkach oparłby pan budżet?

Z VAT zrezygnować nie jesteśmy w stanie, ponieważ wymusza to na nas Unia Europejska. Podstawowa stawka VAT nie może spaść poniżej 15 proc. Natomiast pytanie o to, na jakich podatkach oparłbym budżet, jest pochodną pytania o to, jakie mamy wydatki, jakie mamy zobowiązania obecne czy też prawa nabyte. Nie możemy w tym momencie przestać wypłacać emerytur ludziom, którzy całe życie płacili składki. Nie możemy też przestać oferowania dostępu do lekarza ludziom, którzy również całe życie płacili składki zdrowotne. Takich bardzo dużych zobowiązań, które państwo polskie zaciągnęło, jest mnóstwo, co niestety nie pozwala nam na radykalne obniżenie podatków. Obecnie, niestety, ZUS jest w jakiejś formie koniecznością, VAT również, podobnie jak akcyza wymuszona przez Unię Europejską. Rozmawiać możemy w sumie tylko o znaczącym obniżeniu CIT i PIT. Mamy chociażby CIT paraestoński, który można by rozciągnąć, tak jak w Estonii, na wszystkie spółki kapitałowe, a nie tylko na te, które spełniają niektóre wyśrubowane parametry. Należy także zastanowić się, co zrobić z podatkiem dochodowym od osób fizycznych. Oczywiście bardzo chciałbym

go od razu zlikwidować, ale być może trzeba najpierw w jakimś okresie przejściowym najpierw go albo obniżyć, albo zamienić na podatek od funduszu płac.

Pole manewru, jak widać, niewielkie.

Liczyłem to kiedyś, bodajże w 2016 r., na jakich sensownych podatkach można by oprzeć budżet. Niestety w roku 2019 byliśmy już w zupełnie innej rzeczywistości. W międzyczasie wymyślono 13. emeryturę, „500+” na pierwsze dziecko i wszystkie moje obliczenia zrobiły się



Z dr. Sławomirem Mentzenem, politykiem Konfederacji rozmawia Jakub Wozinski

Nie jestem zwolennikiem wielkich państwowych firm

nieaktualne. W związku z tym nie mam aktualnych obliczeń na 2023 r., bo nie mam pojęcia, jak wtedy będzie wyglądała rzeczywistość gospodarcza. Zresztą, na co zwracali uwagę eksperci Klubu Jagiellońskiego, Ministerstwo Finansów nie udostępnia informacji, które są niezbędne do tego, żeby fachowo zaplanować jakiegokolwiek istotne reformy finansów publicznych. Nie mamy po prostu danych o strukturze wpływów od poszczególnych podmiotów i możemy jedynie domniemywać, jakie konsekwencje po stronie przychodów miałyby obniżenie poszczególnych podatków.

Konfederacja chce m.in. podniesienia progu wejścia na VAT do 400 tys. zł oraz uproszczenia stawek i przepisów z naliczaniem VAT. To uła-

twiłoby życie przedsiębiorcom. Jednak co zrobić z wyłudzeniami VAT? Czy da się z nimi walczyć bez dodatkowych form kontroli, biurokracji?

Nie da się wyłudzeń zlikwidować bez likwidacji systemu zerowego VAT w obrocie wewnątrznijnym lub bez wprowadzenia jakiejś centralnej izby rozliczeniowej, takiego unijnego superministerstwa finansów pomiędzy wszystkimi państwami członkowskimi. To zresztą Brytyjczycy badali już kilkanaście lat temu w słynnym raporcie Izby Lordów. Stwierdzili wtedy, że nie da się

powstrzymać wyłudzeń bez gruntownej reformy systemu VAT na poziomie Unii Europejskiej. Co możemy robić na poziomie krajowym? Na pewno należałoby przede wszystkim obniżyć stawki VAT, tj. wprowadzić jedną liniową stawkę VAT, np. 16, 17 lub może 18 proc., tak żeby nie było problemów z zastanawianiem się, jaki towar i jaka usługa jest na jakiej stawce VAT. Kilka miesięcy temu doszło do pewnego kroku w dobrą stronę, weszła w życie tzw. nowa matryca VAT, która trochę uprościła system, ale nadal dochodzi do sytuacji, w których nie wiemy, jaka obowiązuje stawka VAT na konkretny towar lub usługę. To jest krok pierwszy.

A co dalej?



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Krok drugi to podniesienie progu wejścia na VAT do 400 tys. zł. Wielu najmniejszych przedsiębiorców niepotrzebnie poświęca czas i pieniądze na rozliczenie podatku VAT. Już dawno temu zaobserwowano, że rozszerzenie bazy podatników VAT, czyli zapisanie przymusowe na VAT kolejnych podatników, wcale nie zwiększa dochodów z tego podatku. Osoby, które świadczą usługi na rzecz osób fizycznych, robią wszystko, żeby się na VAT nie dostać. Zakładają kolejne spółki z o.o. czy też cywilne po to, żeby znaleźć się poniżej progu. A ci, którzy wchodzi na VAT, robią to dlatego, że dzięki temu mogą go sobie odliczyć od części wydatków prywatnych (na telefon, samochód, paliwo). W związku z tym budżet państwa tylko na tym traci. Należy więc iść w zupełnie innym kierunku niż dziś i ograniczyć liczbę podatników VAT tylko do większych firm.

I wreszcie krok trzeci. Polski rząd wytoczył wojnę wyłudzeniom VAT i doprowadził do uszczelnienia luki, ale kosztem uczciwych przedsiębiorców. Wprowadzono mnóstwo ograniczeń, w wyniku których polski system VAT jest najbardziej skomplikowany w całej Unii Europejskiej. Rozliczenie VAT zajmuje polskiemu przedsiębiorcy trzy razy więcej niż średnia unijna. Nie trzy razy więcej niż w Estonii czy Anglii, gdzie VAT jest najprostszyszy, ale trzy razy więcej niż średnio w całej Unii. To jest wynik tragiczny. Wprowadzono białe listy, JPK, split payment. W ostatnim roku kolejna zmiana VAT wchodziła co dwa miesiące. W efekcie przedsiębiorcy coraz więcej pieniędzy zużywają na rozliczenia VAT.

We wspomnianym przeze mnie raporcie Brytyjczycy doszli do wniosku, że można oczywiście trochę bardziej uszczelnić system, ale koszty dla uczciwych podatników będą wyższe niż korzyści z uszczelnienia systemu. W związku z tym pogodzono się z rzeczywistością i wprowadzono punktową walkę z konkretnymi wyłudzeniami po to, żeby nie niszczyć uczciwych podatników. Niestety polski rząd ma inną optykę i nie interesują go koszty ponoszone przez przedsiębiorców.

Centralny Port Komunikacyjny, przekop Mierzei Wiślanej – czy to dobre pomysły dla polskiej gospodarki?

One mogą być dobre, tylko pytanie, czy nas na nie stać i czy jesteśmy w stanie w ogóle je wykonać. Śledzę już od

■ kilku lat budowę lotniska pod Berlinem i są tam już ogromne opóźnienia, a koszty znacząco wzrosły. Bardzo się obawiam, chociażby patrząc na tempo prac przy polskiej elektrowni jądrowej, czy my jesteśmy w stanie w ogóle to lotnisko zbudować. Mam wielką obawę, że CPK nie będzie drugą Gdynią, tylko kolejnym przykładem wielkiej państwowej inwestycji, która pochłonie olbrzymie fundusze i nie zostanie w ogóle zrealizowana. Zresztą eksperci są podzieleni co do tego, czy jest to dobra inwestycja. Wszystko tak naprawdę opiera się na prognozach ruchu lotniczego. Jeszcze rok temu można było zakładać, że ten ruch gwałtownie wzrośnie, ale na koniec 2020 r. jest to trochę mniej prawdopodobne.

A czy Konfederacja ma własne pomysły na jakieś inne projekty infrastrukturalne, które mogłyby być kołem zamachowym dla całej gospodarki?

Unikamy tego typu tematów, gdyż wymaga to dokonania naprawdę fachowych analiz. Ani nie mamy takiego budżetu, ani nie ma takiej nadziei, że w krótkim terminie będziemy mogli proponować tego typu inwestycje. Na pewno chciałbym, żeby doszło wreszcie do budowy polskiej elektrowni jądrowej. Powinniśmy swoją energetykę oprzeć na atomie. Poza tym dokończenie sieci autostrad i dróg ekspresowych. Czy jakieś inne wielkie projekty są potrzebne, nie jestem w tej chwili w stanie powiedzieć.

Często przekonuje pan, że PiS realizuje program partii Razem. O ile w przypadku płacy minimalnej czy programu budowy mieszkań komunalnych można się w tej kwestii zgodzić, o tyle partia Kaczyńskiego nie opowiada się przecież choćby za podatkiem rządu 75 proc. dla najbogatszych. Czy to nie przesada?

Oczywiście, że nie. W wielu sprawach PiS poszedł nawet bardziej na lewo od Razem. Jakiś czas temu pisałem nawet o postulatach partii Razem, które zostały zrealizowane przez PiS. Były to wprowadzenie niezapowiedzianych kontroli dla przedsiębiorców, walka z umowami-zleceniami i o dzieło, zwiększenie uprawnień Państwowej Inspekcji Pracy, podwyższenie płacy minimalnej, zmiana umów o unikaniu podwójnego opodatkowania, dodatkowe podatki dla dużych firm, budownictwo mieszkalne, zwiększenie wydatków na zasiłki, państwowe inwestycje w tzw. nowoczesny przemysł, a ostatnio także tzw. piątka dla zwierząt i opodatkowanie CIT-em spółek koman-

dytowych. Tych punktów jest naprawdę wiele i uważam, że pod względem gospodarczym PiS nie różni się wiele od Razem. Zwłaszcza że Razem wycofało się niedawno z podatku w wysokości 75 proc. dla najbogatszych.

A jak pan skomentuje często ostatnio spotykaną opinię, że powinniśmy się bardzo mocno zadłużyć i nie zwracać uwagi na konstytucyjny limit?

Od wielu dekad trwa walka pomiędzy zwolennikami ekonomii popytowej i podażowej. Część ekonomistów twierdzi, że żeby walczyć z kryzysem, trzeba pomóc rozwinąć się podaży, ponieważ zgodnie z prawem Saya to podaż tworzy popyt, a druga strona twierdzi, że trzeba stymulować popyt, a dzięki temu w drugim kroku podniesie się podaż. Jestem przekonany, że gospodarka jest podażowa, to znaczy, że musimy po prostu pozwolić jak najsprawniej działać przedsiębiorcom i ułatwić im dostosowanie się do nowej rzeczywistości, nie krępować ich podatkami i regulacjami tak, żeby mogli jak najszybciej zareagować na zmianę struktury popytu.

Przechodząc do kwestii zadłużenia, zajmowałem się tym tematem naukowo, napisałem nawet doktorat z wpływu długu publicznego na wzrost gospodarczy. Z badań, które sam przeprowadziłem i które opisywałem, wynika, że dla państwa takiego jak Polska dług publiczny w wysokości 40, 50, 60, a nawet 70 proc. PKB jest w miarę bezpieczny i nie ma wielkiego wpływu na wzrost gospodarczy. Wpływ długu publicznego na wzrost gospodarczy jest istotny, ale też nieliniowy, tzn. w momencie, gdy ten dług rośnie, ten wpływ się drastycznie zwiększa. Dla krajów takich jak Polska naprawdę niebezpiecznym poziomem długu jest 90 proc. Można wprawdzie argumentować, że przecież nic się nie wydarzy, gdy usuniemy limit zadłużenia z konstytucji, ale niestety mam głębokie przekonanie, że za dwa czy cztery lata obudzimy się już z długiem w wysokości 90 proc. i wtedy zacznie to już mieć negatywny wpływ na gospodarkę. Nie będziemy mieli już żadnej poduszki przed kolejnym kryzysem.

Konfederacja chce zostawić więcej pieniędzy w kieszeniach Polaków, ale czy to wystarczy, żeby zbudować polskie marki o znaczeniu międzynarodowym, które ciągnęłyby całą gospodarkę?

Ja wiem, że nasz rząd z wielkim utęsknieniem patrzy na Koreę Południową i tamtejsze czebole. Niestety, jeśli

spojrzymy na to, czym to było okupione, to ciężko zgodzić mi się z taką wizją. Znacznie bliżej jest mi do Singapuru, Hongkongu czy nawet Tajwanu. Są to państwa, w których ludzie są naprawdę bardzo bogaci, gdzie mamy bardzo niski poziom opodatkowania, wysoki poziom wolności gospodarczej. I są to państwa, które nie słyną z wielkich firm światowych, które podbijają rynki zagraniczne, natomiast posiadają dużo firm, które są duże. Nie jestem zwolennikiem wielkich państwowych firm. Zwracam uwagę na to, że w trakcie ostatniej kampanii Jacek Sasin mówił, iż polski kapitał to jest kapitał państwowy, a nie prywatny, że w Polsce prywatni właściciele kapitału to są ludzie, którzy go ukradli albo uzyskali go w wyniku uwłaszczenia się na mieniu PRL. Widzę w tym wielką pogardę dla polskich przedsiębiorców ze strony polskiego rządu. I bardzo się boję coraz bardziej postępującego upaństwowienia gospodarki. Już od kilku lat obserwujemy coraz większy wpływ polityków na system bankowy. Mamy tzw. repolonizację, która faktycznie jest renacjonalizacją. Jeżeli politycy będą zarządzać bankami, to te banki będą później udzielać kredytów tylko lubianym przez nich firmom.

Czy na głoszeniu wolnorynkowych haseł można dojść do władzy? Wyborcy w Polsce cenią sobie przecież bardziej propozycje socjalne.

Jako Konfederacja nie musimy wcale uzyskać 60 proc. głosów w wyborach, żeby mieć istotny wpływ na polską politykę. Wystarczy, że zdobędziemy 15 proc. i doprowadzimy do sytuacji, w której bez nas nie da się sformować rządu. Sądzę, że da nam to istotny wpływ na życie gospodarcze. Zwracam uwagę, że w swoich wypowiedziach nie odnoszę się do tego, że wolny rynek powinien być absolutny i żeby państwo w ogóle nie kontrolowało światowych koncernów, zwłaszcza tych zagranicznych. Bardzo dużo mówię o uwolnieniu polskiej drobnej, rodzinnej przedsiębiorczości, o przepisach, które utrudniają życie najmniejszym firmom, które utrudniają im stanie się firmami o średniej wielkości. Sądzę, że te postulaty powinny trafiać do zdecydowanej większości polskich przedsiębiorców, których jest ponad 2 mln. Jeżeli dodamy do tego osoby, które nie są przedsiębiorcami, ale które rozumieją tę argumentację, to naprawdę nie powinno być problemów ze zdobyciem 15 proc. głosów.

© 2020 Wszelkie prawa zastrzeżone

Co to jest prawdziwy estoński CIT?

Ministerstwo Finansów chwali się, że od przyszłego roku w Polsce będzie obowiązywał estoński CIT. Dlaczego akurat estoński, a nie grecki, czeski czy hiszpański? Ano dlatego, że Estonia ma chyba najlepszy system podatkowy na świecie. Państwo to przed dwiema

chodzi o to, że spółka płaci daninę od zysku w momencie wypłaty go swoim wspólnikom. Do tego momentu nie powstaje obowiązek podatkowy, pod warunkiem wszakże, że zatrzymane w spółce środki są przeznaczone na inwestycje. Jeśli zatem firma się rozwija i zwiększa nakłady np. na

preferencji musi mieć wśród swoich wspólników wyłącznie osoby fizyczne oraz nie może posiadać udziałów w innych podmiotach. Tych udziałów nie mogą też posiadać jej wspólnicy. W praktyce podmiotów spełniających te wymagania jest niewiele. Może kilkanaście tysięcy spośród kilkuset tysięcy firm objętych podatkiem dochodowym od osób prawnych. To bardzo mało, zważywszy na wcześniejsze zapowiedzi Ministerstwa Finansów.

W Estonii dodatkowo nie ma podwójnego opodatkowania spółek, wspólnicy będący rezydentami w tym kraju nie muszą płacić podatku od dywidendy. W najbardziej korzystnym wariantcie stawka CIT wynosi tam 14 proc. W Polsce spółka, która zdecyduje się skorzystać z nowego rozwiązania, będzie musiała zapłacić w zależności od wielkości przychodu od 15 do 25 proc. podatku. Plus 19 proc. od dywidendy fiskusowi będzie musiał oddać wspólnik. Widzą państwo różnicę? Każdy, kto umie liczyć, ją widzi.

W tej całej sytuacji warto mimo wszystko docenić determinację Ministerstwa Finansów, mogło się ono zwyczajnie z projektu zmian w CIT wycofać, powołując się na obecną sytuację pandemiczną. Tego jednak nie zrobiono. I to należy jednak zauważyć i policzyć na plus. Niemniej twierdzenie, że w Polsce będzie obowiązywał estoński CIT, jest – mówiąc najdelikatniej – dużą przesadą.

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl



Kamil Goral, ekspert Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

dekadami przeprowadziło gruntowną podatkową reformę i teraz zbiera tego plony. Nie ma praktycznie międzynarodowego rankingu konkurencyjności biznesowej, w którym ten nadbałtycki kraj nie byłby doceniany za wprowadzone rozwiązanie podatkowe.

Jest się zatem od kogo uczyć. Wzorowanie się na pomysłach z Estonii to bardzo dobry kierunek, pod warunkiem wszakże, że faktycznie naśladujemy ten wzorzec. W tej estońskiej wersji podatku dochodowego od osób prawnych

maszyny, to podatek jej nie dotyczy. To oczywiście skrótowe przedstawienie sprawy, oddaje jednak istotę projektowanych rozwiązań.

W przypadku estońskiego CIT w Polsce mamy niestety do czynienia z namiastką tego, co wprowadzono w Estonii. Przede wszystkim dlatego, że planowane regulacje znacznie ograniczają zasięg firm, które będą mogły skorzystać na zmianach. Warunków jest tyle, że nawet nie ma sensu wszystkich wymieniać. Wystarczy wskazać, że spółka chcąc skorzystać z tej

Chińska roszcza



HUAWEI



Jacek Przybylski

Giganci z Chin, którzy w ciągu zaledwie dekady weszli do czołówki globalnych producentów smartfonów, próbują powtórzyć ten sukces na rynku telewizorów, komputerów stacjonarnych czy monitorów. Dla Huawei, cierpiącego z powodu sankcji USA, może to być jednocześnie szansa na przetrwanie

Kiedy niecałą dekadę temu chińskie Huawei oficjalnie wchodziło na rynek smartfonów, mało kto wróżył firmie z Shenzhen globalny sukces. I trudno się dziwić: początkowo Chińczycy dostarczali głównie tanie i niezbyt dopracowane modele. Brak wielkiego doświadczenia w produkcji nowoczesnych telefonów oraz początkowe problemy z zachodnim podejściem do obsługi klienta tylko potwierdzały pesymistyczne tezy. Chińczycy szybko zaczęli jednak uzupełniać portfolio o urządzenia ze średniej i wyższej półki cenowej. Już w 2018 r. szefowie Huawei ogłosili zaś ambitny cel: do 2020 r. stać się największym producentem smartfonów nie tylko w Chinach (gdzie producent ma ponad 45-procentowy udział w rynku), lecz także na całym świecie.

Aby osiągnąć tak wielki sukces, chińscy menedżerowie musieli zmierzyć się z wyjątkowo silną konkurencją w postaci tak rozpoznawalnych marek jak Samsung czy Apple. Mimo wielu przeciwności losu, w tym trwającej od niemal dwóch lat wojny handlowej między Chinami a Stanami Zjednoczonymi, w połowie 2020 r. analitycy Canalys ogłosili, że Huawei wyprzedził Samsunga i stał się liderem w produkcji smartfonów.

W drugim kwartale 2020 r. Huawei sprzedał na całym świecie 55,8 mln smartfonów (o 5 proc. mniej niż w tym samym okresie 2019 r.). Samsung sprzedał zaś 53,7 mln sztuk (spadek o 30 proc. w stosunku do ubiegłego roku). I chociaż niektóre źródła podają, że smartfonowy

pojedynek o włos, ale jednak wciąż wygrywają Koreańczycy, to wiele wskazuje na to, że pierwszy raz od dekady na najwyższym stopniu podium pojawiła się inna firma niż Samsung czy Apple. – To niesamowity rezultat, który jeszcze rok temu byłby wyjątkowo trudny do przewidzenia – zauważył Ben Stanton, analityk w firmie Canalys, cytowany przez portal Business Insider.

Pewne jest zaś, że Azjaci nie pozostawiają większych nadziei na zwycięstwo rozgoryczonym Amerykanom, których smartfony nadal są popularne i rewelacyjnie promowane pod względem marketingowym, ale coraz częściej nie dorównują możliwościami technicznymi flagowym produktom producentów z Chin czy Korei Południowej.

ŻYCIE POZA GOOGLE?

Obecnie według serwisu Visual Capitalist globalny rynek smartfonów podzielony jest na Samsunga (20 proc.), Huawei (20 proc.), Apple (14 proc.), Xiaomi (10 proc.), Oppo (9 proc.), Vivo (8 proc.), Lenovo (3 proc.) i pozostałe marki (16 proc.). Na rynku inteligentnych zegarków prym wiedzie amerykański Apple (ma 30 proc. rynku), za nim są Huawei (14 proc.), Samsung (7 proc.), iMOO (7 proc.) oraz pozostałe marki (42 proc.).

W takiej sytuacji łatwiej zrozumieć decyzje gospodarza Białego Domu, który robi wiele, aby utrudnić działalność chińskiemu gigantowi technologicznemu. Podczas gospodarczej wojny amerykańsko-chińskiej administracja

Donalda Trumpa wprost wzięła na cel firmę Huawei, odcinając jej smartfony od dostępu do usług Google, w tym mocno ograniczając chińskiej firmie możliwość korzystania z najpopularniejszego systemu operacyjnego, czyli Androida. Aby pokazać skalę problemu, który Biały Dom zgotował Chińczykom, wystarczy zauważyć, że system Google ma 70-procentowy udział w rynku systemów mobilnych, a jego główny konkurent – iOS firmy Apple – 28-procentowy. W najnowszych smartfonach Huawei brakuje też popularnych aplikacji, takich jak mapy, Gmail czy YouTube, a także dostępu do sklepu z aplikacjami na Androida.

Ruch Amerykanów miał za założenia doprowadzić do błyskawicznego załamania sprzedaży chińskiego producenta. W czasach koronawirusa Huawei okazał się jednak bardziej odporny niż inni giganci, sprzedając ponad 72 proc. swoich telefonów na ojczystym rynku. Można więc bez obaw postawić tezę, że gdyby nie wybuchła pandemia COVID-19, zdetronizowanie głównego rywala byłoby dla Chińczyków o wiele trudniejsze.

Co będzie dalej? Utrzymanie się Chińczyków na smartfonowym tronie wydaje się mało prawdopodobne. Bo chociaż chińskim konsumentom kompletnie nie przeszkadza brak nieco przereklamowanych usług Google, to już dla użytkowników w Europie czy w Stanach Zjednoczonych brak dostępu do Androida i wielu popularnych aplikacji stanowi poważną wadę.

REKLAMA

Pałkiewicz

– pogromca
Atlantyku i Amazonki
powraca!



Jacek Pałkiewicz^{III}

Żyłem bez granic i nieraz myślałem, że moje istnienie można zaliczyć do arcydzieła sztuki, które stawia mnie w szeregu obłędnie uprzywilejowanych. Niczego nie dostałem w spadku,

palkiewicz.com

byłem menedżerem własnego sukcesu, osobiście kreśliłem scenariusz mojej egzystencji. Twierdząc, że życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć, a ja nie zamierzam zrezygnować z niczego, co mi się należy.

Świat Książki

Książka dostępna na  swiatksiazki.pl oraz w salonach  KSIĘGARNIE  Świat Książki

Huawei nie poddaje się jednak i dynamicznie rozwija zarówno własny ekosystem Huawei Mobile Services (HMS), jak i sklep z aplikacjami AppGallery. Trzeba przyznać, że sklep Huawei sukcesywnie zapewnia się najbardziej popularnymi aplikacjami znanymi z Androida i iOS, a do tego chiński producent oferuje wiele promocji na aplikacje (np. darmową AutoMapę), które mogą pomóc w zatrzymaniu przy tej marce choć części klientów.

DECYDUJĄCE STARCIE

Główni partnerzy dystrybucyjni na Zachodzie zamawiają więc mniej

W zeszłym tygodniu światowe media poinformowały więc, że Huawei zamierza za 3,7 mld dol. (równowartość 14,4 mld zł) sprzedać swoją markę Honor, pod którą Chińczycy produkują smartfony, tablety i różnego rodzaju urządzenia ubieralne stworzone z myślą o młodszych klientach. Według nieoficjalnych informacji podanych m.in. przez Reutersa nabywcą mogłaby być Digital China Group. Potencjalnie kupnem marki Honor zainteresowani są też ponoć przedstawiciele Xiaomi oraz TCL.

Na problemach chińskiego giganta zyskają najbardziej jego najwięksi

oraz Apple, a za nimi znajdują się takie firmy jak Oppo, Vivo (jeszcze tej jesieni marka ta ma zadebiutować w Europie) oraz Xiaomi. Huawei czeka zaś – według prognoz Digitimes – spadek aż na siódme miejsce.

To niejedyna tak pesymistyczna prognoza. Już pod koniec sierpnia Jeff Pu, analityk GF Securities, prognozował w rozmowie z serwisem Nikkei Asian Review, że sprzedaż smartfonów Huawei w roku 2021 spadnie do zaledwie 50 mln, czyli w porównaniu z rokiem obecnym zmniejszy się aż o ok. 75 proc.

W Polsce chińskie smartfony sprzedają się świetnie, bo tradycyjnie okropnie drogie iPhone'y w naszym kraju są jeszcze droższe niż w wielu innych krajach Europy – nie wiadomo, dlaczego amerykański koncern akurat Polakom każe płacić dużo więcej, niż wymaga za te same modele choćby od Brytyjczyków (o Amerykanach nie wspominając).

Według pesymistycznych prognoz przez chińsko-amerykańską wojnę w przyszłym roku Huawei czeka spadek z podium aż na siódme miejsce wśród globalnych producentów smartfonów. Sprzedaż chińskiego giganta ma zaś spaść aż o 75 proc.

urządzeń, bo spodziewają się potężnych spadków i nie chcą brać na siebie ryzyka braku możliwości wyprzedzaży zapasów. To, że ruch amerykańskich władz skutecznie zniechęcił do chińskiego giganta wielu konsumentów, widać choćby w Polsce. Nad Wisłą – gdzie urządzenia Huawei reklamuje dzielnie Robert Lewandowski – w czwartym kwartale 2019 r. chiński gigant był na najniższym stopniu podium (z udziałem w rynku wynoszącym według IDC 20,6 proc.). Na pierwszym miejscu w ostatnim kwartale ubiegłego roku był w Polsce Samsung (32,3 proc.), a na drugim również chińskie Xiaomi (22,9 proc.). Pierwszą piątkę zamykały Apple (9,9 proc) oraz Motorola (3,7 proc.). W pierwszym kwartale obecnego roku według IDC królem w Polsce zostało Xiaomi (31,6 proc.), drugie miejsce zajął Huawei (26,8 proc.), a trzecie Samsung (22,3 proc.). Z kolei według GfK pierwsze miejsce w pierwszym kwartale 2020 r. przypadło Samsungowi, drugie Xiaomi, a trzecie Huawei. W kolejnych miesiącach sprzedaż smartfonów Huawei nad Wisłą mogła jednak spaść nawet o kilkadziesiąt procent.

Menedżerowie giganta z Shenzhen zdają sobie sprawę z nadchodzących trudności ze sprzedażą produkowanych przez siebie smartfonów w Europie czy Stanach Zjednoczonych.

konkurenci: Samsung oraz Apple, który wreszcie oprócz koszmarnie drogich telefonów wprowadził do oferty modele z niższych półek cenowych i w USA oferuje telefony od 399 do 999 dol. za sztukę, oraz chińscy konkurenci Huawei.

O klientach nie tylko w Azji, lecz także w Europie czy Ameryce walczy już kilka dużych chińskich marek. Poza Huawei nieźle radzą sobie też Xiaomi, Oppo czy OnePlus. Ta ostatnia firma – według danych portalu 91mobiles – ma najbardziej lojalnych użytkowników. Aż 67 proc. posiadaczy telefonów OnePlus jako kolejny telefon wybrałoby również tę markę. Produkt Apple wybrałoby ponownie 62 proc., a Samsunga – 59 proc. Smartfona chińskiej firmy Xiaomi kupiłoby raz jeszcze 51 proc. badanych. Huawei w tym przypadku wypadł słabo, zdobywając jedynie 35 proc.

Według najnowszej prognozy dotyczącej rynku smartfonów w roku 2021 – ogłoszonej przez wpływowy portal Digitimes – mimo spodziewanego wzrostu globalnej sprzedaży tego typu urządzeń o 150 mln sztuk rynek czeka prawdziwa rewolucja związana z wymianą smartfonów na takie, które potrafią już obsługiwać standard 5G. Eksperti Digitimes oczekują jednocześnie, że pierwsze dwa miejsca na podium największych producentów smartfonów zajmują Samsung

CEL: NOWY SEGMENT RYNKU

Huawei nie zamierza jednak składać broni. Przeciwnie: szykuje się do ataku na zupełnie nowy segment i – jak donosi Digitimes – chce powtórzyć smartfonowy sukces, przypuszczając szturm na rynek laptopów, komputerów stacjonarnych oraz monitorów (zarówno klasycznych, jak i tych z zakrzywionym ekranem).

W Polsce dostępne są już zarówno telewizory, jak i najnowsze modele laptopów Huawei – MateBook X i MateBook 14 – a także inteligentne monitory IdeaHub. Według niepotwierdzonych wiadomości Huawei, chcąc wreszcie wyjść z wielomiesięcznego „trybu przetrwania”, zamówił już wyprodukowanie ponad 1 mln sztuk monitorów. Gdyby to była prawda, chiński koncern mógłby błyskawicznie zdobyć nawet 8 proc. rynku nowoczesnych zakrzywionych monitorów.

Agresywne wejście na nowe segmenty rynku może pozwolić Huawei zniwelować straty na rynku smartfonów. Los Chińczyków w dużej mierze zależy również od tego, kto wygra listopadowe wybory w Stanach Zjednoczonych. Jeśli będzie to Trump, to raczej USA nie odpuszcza, ale jeśli wygralby Biden, to może chcieć nowego otwarcia na linii Waszyngton-Pekin. Czy zyska na tym Huawei? Przekonamy się już za kilka tygodni.



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Hurra! Zapłacimy rekompensaty!

Rządzący – jak to rządzący – z kopyta wzięli się do rozwiązywania kolejnego problemu, do którego powstania sami z uporem doprowadzają (bo jeszcze nie udało się im doprowadzić). Tym razem chodzi o forsowaną przez nich likwidację branż hodowców zwierząt na futra i na mięso z uboju rytualnego. A branże to niemałe – w przypadku hodowli zwierząt na futra Polska jest jednym z liderów nie tylko w skali Europy, zaś w przypadku produkcji mięsa na ubój rytualny mięso to stanowi aż jedną trzecią całej eksportowanej przez Polskę wołowiny i ponad połowę eksportowanego drobiu.

I otóż rządzący, zamiast rakiem wycofać się z całego swego – delikatnie mówiąc – kontrowersyjnego pomysłu, odstąpili jedynie od likwidacji hodowli drobiu na ubój rytualny. I wpadli na inny, mało odkrywczy pomysł. Taki oto, że wszystkim rolnikom, którzy stracą na zlikwidowaniu ich hodowli, zostaną wypłacone rekompensaty.

Rzecz jasna, na ich wypłatę nie złożą się wyłącznie ci posłowie i senatorowie, którzy forsują likwidację obu branż polskiego rolnictwa – co to, to nie! Rządzący zamierzają – jak zawsze w takich przypadkach – sięgnąć do swych sprawdzonych metod i zmusić wszystkich, Bogu ducha winnych, podatników do zrzucenia się na rekompensaty dla rolników, którym rządzący zlikwidują hodowle. A w grę wchodzi naprawdę niemałe pieniądze. Oczywiście nie ma pewności, ani czy będą

to rekompensaty jednorazowe czy wieloletnie, ani w jaki sposób zostanie oszacowana ich wysokość. Dość, że chodzi o – powtarzam – zawrotne sumy, idące w ciężkie miliardy złotych rocznie.

Nadto wnet może się okazać, że owe rekompensaty wypłacić/wypłacać będziemy musieli nie tylko dziś dobrze sobie radzącym hodowcom zwierząt na futra i na mięso z uboju rytualnego, lecz po prostu wszystkim hodowcom zwierząt na mięso. Dlaczego? Albowiem – co przecież nie trudno przewidzieć – w rezultacie likwidacji hodowli zwierząt na mięso z uboju rytualnego, które trafia w znacznej części na eksport, dużo więcej pojawi się go na rynku krajowym, a więc jego ceny spadną o kilka złotych na kilogramie i straty poniosą wszyscy rolnicy.

Wszelako, i to nie ostatnia „dobra” wiadomość dla polskich podatników, bez pardonu zmuszanych do finansowania to tego, to owego. Otóż rządzący (tym razem działając nie z własnej inicjatywy, lecz wskutek brutalnej presji Brukseli) wynegocjowali niedawno z górnictwymi związkami zawodowymi – i, a jakże, ogłosili to jako swój wielki sukces – porozumienie, na mocy którego polskie górnictwo do 2049 r. zostanie zlikwidowane. Rzecz jasna, kosztem idących w miliardy złotych dotacji wypłacanych górnictwu – przez te niemal 30 lat – przez podatników.

Ale kto bogatym zabroni? Kto zabroni bogatym rządzącym – bogatym pieniędzmi podatników? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

UOKiK jako trzyliterówka

Gdy publika zajęta jest sprawami bardzo dla niej emocjonującymi, warto przyglądać się temu, co się dzieje na drugim planie. To trochę jak w sztuczkach prestidigitatorów: najważniejsze, żeby jakimiś efekciarskimi gestami odwrócić uwagę publiczności od tego, że wyciąga się dodatkowe karty z rękawa.

Coś takiego dzieje się właśnie w kwestii Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Elementem tej

premiera Tomasz Chróstny. Zamiar likwidacji Rzecznika Finansowego zgrał się z powstaniem planu potężnego wzmocnienia UOKiK. Wzmocnienia już niepokojącego. Pierwszym tego sygnałem była zapowiedź, że UOKiK miałby prawo blokowania niektórych stron internetowych. Natomiast projekt, który obecnie jest w procedowaniu, upodabnia UOKiK do trzyliterowych służb. Jego urzędnicy mieliby np. prawo do posługiwania się podrabianymi przez służby dokumentami – fałszywymi dowodami osobistymi czy paszportami; w niedalekiej przyszłości ma również istnieć możliwość posługiwania się innymi sfałszowanymi dokumentami, umożliwiającymi dokonywanie pozorowanych transakcji zakupu. W przypadku takich kontroli przedsiębiorcy nie są ustawowo chronieni. Jakby tego było mało, UOKiK miałby też prawo do stworzenia własnego niejawnego funduszu, pozostającego poza wszelkim nadzorem (jak to jest w służbach specjalnych).

Trudno nie skojarzyć tych planów z gigantyczną – a zapewne niemożliwą do wyegzekwowania – karą nałożoną przez urząd na Gazprom. To wygląda jak próba przekonania sceptyków, że wzmocnienie UOKiK ponad miarę jest zasadne.

Tak, UOKiK jest potrzebny – nie ma wątpliwości. Ale jest potrzebny w dotychczasowej postaci, a nie jako kolejna trzyliterowa służba. Nawet jeśli litererek będzie wciąż pięć. ©©

Pracownicy UOKiK mieliby prawo do posługiwania się podrabianymi przez służby dokumentami

układanki jest plan likwidacji urzędu Rzecznika Finansowego – pomagającego indywidualnym osobom w sporach z ubezpieczycielami czy bankami – i przekazania jego kompetencji UOKiK, forsowany przez Ministerstwo Finansów, a krytykowany przez wszystkie możliwe inne urzędy i twory polityczne: od Solidarnej Polski i Ministerstwa Sprawiedliwości, poprzez Rzecznika Praw Obywatelskich, do organizacji konsumenckich.

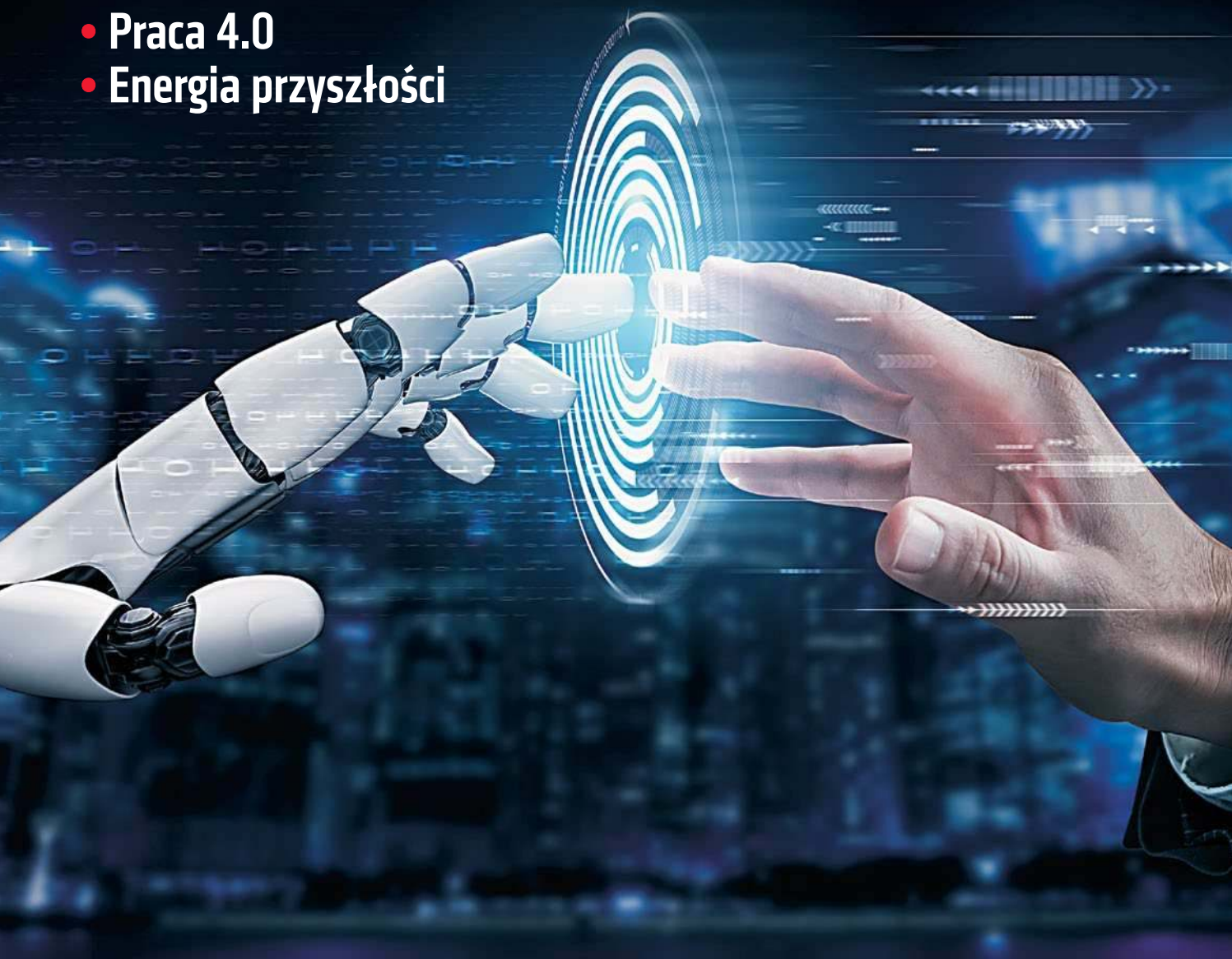
Zaczęło się w grudniu 2019 r., gdy dotychczasowy szef UOKiK Marek Niechciał dostał pracę w Ubezpieczeniowym Funduszu Gwarancyjnym, a jego miejsce zajął wytypowany przez

Dodatek specjalny

POLSKA 2030

5. edycja Kongresu 590

- Praca 4.0
- Energia przyszłości



Partnerzy dodatku:

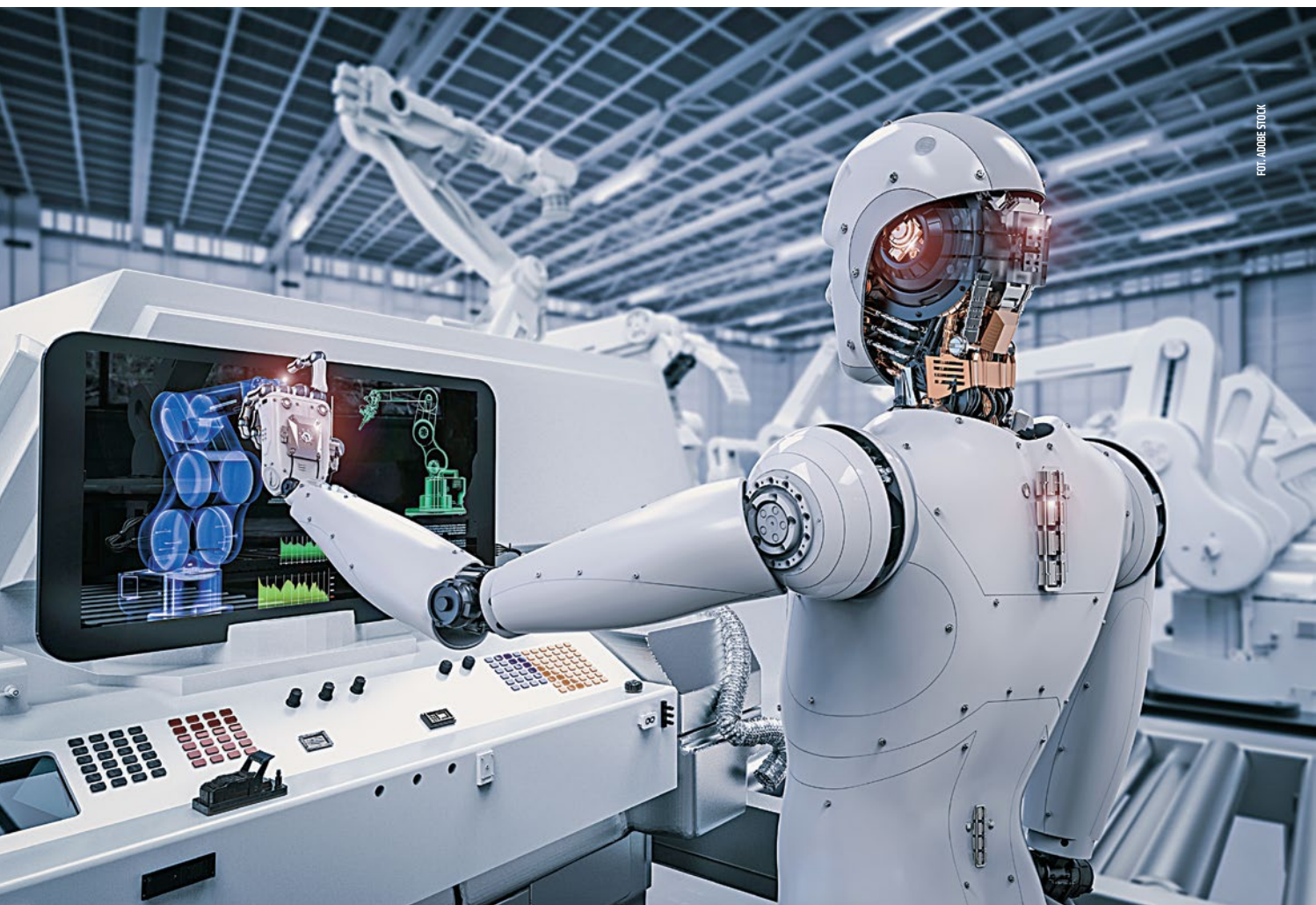


Polska Grupa
Energetyczna



Lasy Państwowe





FOT. ADRIAN STICK

Praca 4.0

Epidemia koronawirusa znacząco przyspieszyła ogromne zmiany na rynku pracy. Wiele firm już na stałe przeszło na pracę zdalną.

Wirus zachęcił też menedżerów do inwestycji w automatyzację

Pandemia COVID-19 spowodowała nagłe przejście z pracy w biurach na model pracy zdalnej. Początkowo większość firm planowała, że będzie to zmiana tymczasowa, a gdy ludzkość zacznie wreszcie wygrywać walkę z wirusem, powróci do tradycyjnego modelu zatrudnienia. Po sześciu miesiącach od wybuchu pandemii większość europejskich pracodawców planuje utrzymać model pracy zdalnej, co ma nie tylko

zapewnić większą produktywność, lecz także zmniejszyć koszty (w tym koszty zapewnienia pracownikom bezpieczeństwa w czasach koronawirusa) oraz umożliwić zamknięcie niepotrzebnych biur.

Rosnąca szybkość łączności internetowej oraz cyfrowy charakter coraz większej liczby wskazują na to, że przyszłość pracy to praca zdalna. Nie przez jeden dzień w tygodniu, lecz także w ogóle. Z roku na rok na świecie rośnie bowiem odsetek firm, które zatrudniają wyłącznie pracowników zdalnych.

W czasach wywołanego przez pandemię koronawirusa kryzysu gospodarczego wielu właścicieli firm zwiększyło również inwestycje w automatyzację i robotyzację, co może sprawić, że gdy gospodarka wyjdzie w końcu z recesji, wielu przedstawicieli prostych zawo-

dów nie odzyska już swych dawnych miejsc pracy.

OD COOLHUNTERA DO TRENDSETTERA

Robotów od lat używają już branże: motoryzacyjna, elektroniczna, meblarska, magazynowa etc. Za sprawą automatyzacji i cyfryzacji w ciągu najbliższej dekady zniknąć może nawet ponad połowa istniejących obecnie zawodów. Na naszych oczach znikają kasjerzy (zastępowani przez kasy samoobsługowe, inteligentne wózki etc.), pracownicy centrów obsługi klienta (ich miejsce zajmują odpowiednie zaprogramowane komputerowe boty) oraz kierowcy i maszyniści (przybywa miejsc, w których na krótkich trasach pasażerów i ładunki przewożą autobusy, ciężarówki lub pociągi sterowane przez komputer).

Przypominające człowieka „robotki” zastępują już recepcjonistki. Roboty zaczynają też wypierać z rynku pracy niektórych ochroniarzy, a nawet policjantów notujących zeznania poszkodowanych i przyjmujących wpłaty za mandaty.

W czasach pandemii COVID-19 szpitale w wielu krajach świata inwestują w mechaniczne pielęgniarki, a więc roboty, które niemal 24 godziny na dobę mogą podawać chorym leki, mierzyć temperaturę, roznosić posiłki, dezynfekować sale, a przy tym nie brać ani dnia urlopu i nie ryzykować zarażenia.

Na liście zawodów do zastąpienia w ciągu najbliższej dekady są także: kucharze, prawnicy, księgowi, doradcy finansowi oraz dziennikarze. W połowie roku Microsoft zastąpił redaktorów edytujących materiały publikowane w serwisie newsowym MSN oraz przeglądarkę automatycznym systemem wykorzystującym sztuczną inteligencję (AI). Pierwsze roboty zaczynają zabierać też pracę aktorom. W czerwcu Erica – humanoidalna robotka obdarzona sztuczną inteligencją – dostała rolę w hollywoodzkim filmie science fiction.

Według opublikowanego w tym roku raportu firmy doradczej McKinsey & Company do końca roku 2030 maszyny przejmą niemal jedną czwartą czynności wykonywanych obecnie przez ludzi, co oznacza, że zlikwidowanych może zostać 51 mln stanowisk pracy. Według ekspertów tej firmy ponad 90 mln pracowników (40 proc. całkowitej siły roboczej) w ciągu najbliższej dekady będzie zaś musiało znacząco podnieść kwalifikacje, aby utrzymać obecne stanowisko. Również z badania „Barometr robotyzacji małych i średnich przedsiębiorstw” wynika, że ponad jedna trzecia polskich MŚP planuje w ciągu trzech lat dokonać robotyzacji produkcji. Na całym świecie – według różnych szacunków – roboty w ciągu dekady mogą odebrać pracę nawet 800 mln osób.

Według raportu PwC „Will robots really steal our jobs?” w Polsce odsetek miejsc pracy o potencjalnie wysokim ryzyku automatyzacji wynosi w fazie do wczesnych lat 20. XXI w. 2 proc., do późnych lat 20. już 18 proc., a do połowy lat 30. aż 33 proc. Według tego samego raportu do połowy lat 30. zagrożonych automatyzacją będzie aż 44 proc. miejsc pracy na Słowacji i zaledwie 22 proc. w Finlandii i Korei Południowej.

Na szczęście według ekspertów rynku pracy i futurologów do roku 2030 powsta-

nie też wiele nowych zawodów. Już dziś pracodawcy szukają kandydatów na takie stanowiska jak: coolhunter (czyli osoba badająca nastroje konsumenckie w odniesieniu do konkretnego produktu oraz analiza trendów rynkowych), garbage designer (osoba szukająca możliwości nowych zastosowań dla zużytych przedmiotów i materiałów), kurator cyfrowej pamięci (dbający o cyfrową pamięć o zmarłych i usuwający z Internetu wszelkie treści, które mogłyby godzić w ich dobre imię), nostalgista (połączenie dekoratora wnętrz z historykiem i psychologiem, czyli osoba, która rosnącej rzeszy seniorów potrafi zaprojektować wnętrza tak, aby przypominały domy z wybranej dekady), trendsetter (czyli prekursor, który różni się jednak od wspomnianego wyżej coolhuntera i od influencera – trendsetter to bowiem ambasador danej marki, który otrzymuje dany produkt i korzystając z niego, wprawia w ruch maszynę o nazwie marketing rekomendacji) czy traffic manager (specjalista śledzący ruch na stronie internetowej, monitorujący liczbę odwiedzin, popularność poszczególnych treści i piszący mnóstwo raportów).

BRANŻE PRZYSZŁOŚCI

A kogo będą szukać headhunterzy końca lat 20. XX w.? Zapewne potrzeba będzie bardzo wielu specjalistów ds. pracy hybrydowej, a więc współpracujących z człowiekiem, co – według raportu IFR – zwiększa produktywność nawet o 85 proc. Pracodawcy będą więc zapewne stawiać właśnie na hybrydową siłę roboczą, łączącą zalety błyskawicznie adaptujących się do nowych warunków ludzi oraz tanich i solidnych robotów.

Można więc będzie liczyć na to, że choć maszyny nie przejmą zbyt szybko całego rynku pracy, to trzeba będzie się przyzwyczaić do tego, iż biurko obok „siedzieć” będzie się z robotem lub tzw. cobotem (czyli robotem współpracującym).

Miłośnicy technicznych nowinek mogą też rozwijać umiejętności latania bezzałogowymi statkami powietrznymi – do 2030 r. rynek dronów ma bowiem osiągnąć wartość aż 32 mld dol. Już dziś są one wykorzystywane przez różnego rodzaju służby, a w niedalekiej przyszłości znacząco powinna zwiększyć się możliwość ich zastosowania w przedsiębiorstwach komercyjnych.

Szybki rzut oka na zmiany demograficzne w Europie pokazuje także, że

nazwa Stary Kontynent brzmi coraz bardziej dosłownie. Według prognoz Polska będzie zaś jednym z najszybciej starzejących się państw. Już teraz na polskim rynku pracy zrównała się liczba osób w wieku 60–64 lata oraz 15–24 lata.

Osoby chcące mieć pewność zatrudnienia mogą więc postawić na branżę medyczną lub zawód związany z opieką nad osobami starszymi. Wszystko wskazuje na to, że popyt na lekarzy, pielęgniarki, fizjoterapeutów czy dietetyków będzie bardzo szybko rósł, co przyniesie także dalszy wzrost ich pensji.

Duże pieniądze powinny czekać także na osoby, które są specjalistami od „złota XXI w.”, a więc od przetwarzania i analizowania ogromnych ilości danych. Tak zwani liderzy danych czy specjaliści data science, którzy będą potrafili odkrywać ukryte wzorce i sygnały z rynku, będą z pewnością pilnie poszukiwani przez fowców głów w wielu krajach świata.

Na spore zainteresowanie ze strony pracodawców liczyć też mogą inżynierowie specjalizujący się w odnawialnych źródłach energii – od fotowoltaiki poczynając, a na energii wiatrowej kończąc.

Na zarobki powyżej średniej krajowej przez kolejną dekadę powinni móc również liczyć specjaliści z branży informatycznej, choć aby dobrze zarabiać, trzeba cały czas podnosić kwalifikacje i uczyć się nowych języków programowania.

Próba dokładnego prognozowania, jak będzie wyglądał rynek pracy w roku 2030, jest wyjątkowo trudna. Zmiany na nim zachodzące często bowiem zaskakują. A według ekspertów World Economic Forum aż 65 proc. obecnych uczniów szkoły podstawowej będzie pracowało w zawodzie, który jeszcze nawet nie powstał. Z pewnością nie tylko trafią na rynek nowe produkty, lecz także potrzebne zaczną być też nowe usługi.

Pewne wydaje się więc tylko jedno: pracownicy powinni nauczyć się elastycznego podejścia, krytycznego myślenia, kreatywności, negocjacji oraz wyrobić sobie nawyk ciągłego dokształcania się. Szczególnie doceniane przez pracodawców w 2030 r. mogą być też tzw. umiejętności miękkie, bo w obszarze inteligencji emocjonalnej roboty wciąż są daleko za człowiekiem. Nowe potrzeby konsumentów oraz nowe technologie mogą zaś wymagać nie tylko nowych umiejętności, lecz także zupełnie nowego podejścia do pracy zawodowej.



Energia przyszłości

Ograniczanie udziału węgla i więcej energii z odnawialnych źródeł – to kierunki transformacji energetycznej, którą w najbliższych dekadach musi przejść Polska. Co będzie zasilало nasze domy, firmy, samochody, gdy fedrowanie w kopalniach ustanie?

W ciągu najbliższych dwóch dekad w Polsce zostanie zbudowany niemal nowy system elektroenergetyczny, który opierać się będzie na źródłach niskoemisyjnych. Do 2030 r. nasza transformacja energetyczna może pochłoniąć ok. 200 mld zł ze środków unijnych i krajowych. Założenia długoterminowe polityki klimatyczno-energetycznej Unii Europejskiej, zakładające neutralność klimatyczną UE w 2050 r., i kolejne etapy na drodze do osiągnięcia

tego celu to dla Polski duże wyzwania, bo nasza zależność od paliw węglowych jest wysoka.

Plany są ambitne. Do 2030 r. udział OZE w końcowym zużyciu energii brutto ma wynieść 23 proc., co przełoży się na 32 proc. udziału OZE w produkcji energii elektrycznej netto, 28 proc. w ciepłownictwie oraz 14 proc. w transporcie. Zaktualizowany projekt „Polityki energetycznej Polski do 2040 r.” zakłada, że za 10 lat udział węgla w wytwarzaniu energii elektrycznej nie będzie przekraczał

56 proc. Odsetek ten może być wyraźnie niższy, jeśli podwyższone zostaną ceny uprawnień emisji CO₂.

WIATR OD MORZA

„Zieloną energię” elektryczną mają dostarczać w Polsce przede wszystkim wiatr i słońce. Znaczenie strategiczne będzie miała morska energetyka wiatrowa. Wiatr na Bałtyku osiąga stosunkowo duże prędkości, a przy tym nie natrafia na przeszkody terenowe. Stąd elektrownie wiatrowe na morzu cechują się wyższą produktywnością od tych zlokalizowanych na lądzie. Energia z pierwszych farm wiatrowych na Bałtyku popłynąć ma w 2025 r., moc zainstalowana energetyki wiatrowej na morzu osiągnie w 2030 r. 5,9 GW, a w roku 2040 –

21-23 Października 2020

5 EDYCJA
KONGRES
590
www.kongres590.pl

TYGODNIK LISKIEGO

**DO
RZECZY**

22 PAŹDZIERNIKA
(CZWARTEK)

W RAMACH ŚCIEŻKI 2.
KONGRESU 590
POŚWIĘCONEJ
KLIMATOWI

REDAKCJA TYGODNIKA
"DO RZECZY"
ZAPRASZA NA DEBATĘ:

WYZWANIA STOJĄCE PRZED POLSKIMI LASAMI I LEŚNICTWEM

PARTNEREM DEBATY SĄ



Lasy Państwowe

RELACJA Z DEBATY
UKAŻE SIĘ NA
DORZECZY.PL

■ 8–11 GW (w przypadku fotowoltaiki będzie to 5–7 GW w 2030 r. i 10–16 GW w 2040 r.).

Żeby osiągnąć taką moc, na Bałtyku stanąć musi wiele farm wiatrowych. Wiceminister aktywów państwowych Zbigniew Gryglas podczas rozmowy w Radiu Gdańsk ocenił, że docelowo może to być około tysiąca wiatraków, a koszt całego przedsięwzięcia szacował na ok. 120 mld zł. Dlatego jest to nie tylko projekt energetyczny, lecz także impuls dla całej gospodarki. – Chcemy, aby polskie firmy były w te projekty mocno zaangażowane – mówił Zbigniew Gryglas. – Żniwa zaczną się od 2024 r. Spodziewamy się wtedy dużych zamówień, kierowanych do polskich stoczn. [...] Mamy wielkie szanse ku temu, aby ruszyć od początku z procesem budowy farm wiatrowych z dużym udziałem produkcji krajowej. Chcemy zacząć od 40–50 proc. udziału polskich firm w tych projektach, a skończyć na nawet 80 proc. – dodawał.

Szacuje się, że projekt może wygenerować nawet 80 tys. miejsc pracy dla osób zaangażowanych w tworzenie i obsługę farm wiatrowych. Znajdą oni zatrudnienie m.in. w terminalu, który powstanie w Gdyni specjalnie do obsługi farm na morzu. Do ich obsługi zaangażowane będą też inne porty, skorzystają również stocznie. Ręce do pracy będą też potrzebne przy modernizacji sieci przesyłowej.

Od zagranicznych dostawców trzeba będzie zamawiać pierwsze turbiny do elektrowni wiatrowych, bo w Polsce po prostu się ich nie produkuje. – Producenti światowi deklarują jednak ulokowanie produkcji w Polsce, z zaangażowaniem polskich firm jako podwykonawców. Wierzę, że w ciągu kilku lat polska turbina powstanie. Tysiąc turbin to olbrzymie zamówienie, ale do tego dochodzą jeszcze zamówienia z krajów ościennych, np. państwa bałtyckie pracują nad programem morskiej energetyki wiatrowej – mówił Zbigniew Gryglas.

Minister klimatu Michał Kurtyka podkreślał w rozmowie z PAP, że „morska energetyka wiatrowa rozwijana na Morzu Bałtyckim ma szansę odegrać istotną rolę w odbudowie gospodarczej po koronawirusie i w zazielenieniu gospodarek unijnych, w dążeniu do budowy zeroemisyjnego systemu energetycznego”.

Oprócz farm morskich istotne dla osiągnięcia zakładanego celu udziału

energii z OZE będą lądowe farmy wiatrowe oraz fotowoltaika. W zaktualizowanym projekcie „Polityki energetycznej Polski do 2040 r.” czytamy: „Rozwijać się będzie także energetyka rozproszona oparta na wytwarzaniu energii z OZE, sprzedaży, magazynowaniu lub uczestnictwie w programach DSR przez podmioty indywidualne (np. aktywnych odbiorców, prosumentów energii odnawialnej i innych) i społeczności energetyczne (np. klastry energii, spółdzielnie energetyczne). Przewiduje się do 2030 r. ok. 5-krotny wzrost liczby prosumentów i zwiększenie do 300 liczby obszarów zrównoważonych energetycznie na poziomie lokalnym”.

WODÓR ZAMIAST PRĄDU

Jak zapowiedział wiceminister klimatu Ireneusz Zyska, jeszcze w tym roku gotowy ma być projekt strategii wodorowej. Ministerstwo Klimatu współpracuje w tym zakresie z państwowymi gigantami – Orlenem i Lotosem – oraz prywatnymi firmami. Zyska dodał, że Polska chce osiągnąć poważną pozycję na europejskich i światowych rynkach. Już dziś jako producent wodoru technicznego zajmujemy trzecie miejsce w Europie i piąte na świecie. Orlen produkuje w Płocku 25 ton wodoru na godzinę. – Problemem nie jest więc produkcja wodoru, problemem jest to, aby stworzyć łańcuch wartości, żebyśmy mieli autobusy na wodór, żeby stworzyć system dopłat do tych autobusów – mówił podczas ubiegłotygodniowej konferencji w Rzeszowie „Bezpieczeństwo energetyczne – filary i perspektywa rozwoju” wiceprezes PKN Orlen Józef Węgrecki.

Koncern buduje trzy stacje wodorowe w Czechach, podobne mogłyby powstać w Polsce, gdyby tylko postawiono na wodór w transporcie publicznym. Ze stacji przeznaczonych głównie dla miejskich autobusów mogłyby też w przyszłości korzystać samochody osobowe. Technologia wodorowa mogłaby być wykorzystywana także przez kolej. Pierwsza lokomotywa wodorowa ma powstać już na wiosnę przyszłego roku. Co dalej? Józef Węgrecki opowiadał w Rzeszowie, że Orlen chciałby wykorzystywać do produkcji wodoru swoje źródła OZE. Podkreślał, że tak produkowany wodór to prawdziwe paliwo przyszłości, to rozwiązanie lepsze dla środowiska od aut elektrycznych, które

dziś tylko wyprowadzają emisję CO₂ w miejsca, gdzie wytwarzana jest energia elektryczna.

ELEKTROWNIA JĄDROWA W 2033 ROKU

Projekt „Polityki energetycznej Polski do 2040 r.” zakłada uruchomienie w Polsce elektrowni jądrowej. W roku 2033 r. uruchomiony ma zostać pierwszy blok o mocy 1–1,6 GW. Kolejne powstawać mają w odstępie dwóch–trzech lat. Docelowo do 2043 r. powstanie sześć bloków o łącznej mocy 6–9 GW.

Jak podkreśla Ministerstwo Klimatu, „wdrożenie energetyki jądrowej wymaga wcześniejszych zmian prawnych, usprawniających realizację programu, a także zakończenia prac nad modelem finansowania”. Wciąż nie jest znana lokalizacja dla pierwszego bloku elektrowni jądrowej i kolejnych, a także składowiska nisko- i średnioaktywnych odpadów. Kwestią otwartą pozostaje wybór technologii.

JAK PRZECHOWYWAĆ ENERGIĘ

Zakładane cele udziału OZE w produkcji energii elektrycznej trudno byłoby osiągnąć bez rozwoju technologii magazynowania wyprodukowanej energii. Obecnie magazynowanie jest słabo rozwinięte, co powinno się zmienić zwłaszcza przy rosnącym udziale produkcji energii z odnawialnych, niesterowalnych źródeł. Istotną rolę w lepszym wykorzystaniu energii z OZE odegrać może rozwój elektromobilności. Badania nad coraz bardziej wydajnymi bateriami poprawiającymi zasięg aut elektrycznych przyczynią się do rozwoju technologii magazynowania energii. Także samochody mogłyby w przyszłości pełnić funkcję mobilnych magazynów energii. Technologia V2G (ang. vehicle to grid) umożliwia dwukierunkowy przepływ energii elektrycznej, auta elektryczne mogłyby ją oddawać z powrotem do sieci, by poprawić jej stabilność w czasie szczytowych poborów mocy.

Nadwyżki z OZE można przekształcać w paliwo, które da się łatwo zmagazynować. I tu wracamy do wodoru, który charakteryzuje się wysoką gęstością energii i który można stosunkowo długo przechowywać. Wreszcie – który daje możliwość szybkich reakcji na potrzeby systemu.

Jak zmieniają się **LASY PAŃSTWOWE?**

2009 — 2019

porównanie wyników I cyklu (2005-2009) i III cyklu (2015-2019)
Wielkoobszarowej Inwentaryzacji Stanu Lasów



wzrost powierzchni lasów o 50,2 tys. ha = do **7,15 mln ha**



wzrost zasobów drewna
o 216,3 mln m³ = do **2065,7 mln m³**

wzrost średniej zasobności
262 m³/ha → **290 m³/ha**



W ostatnich 10 latach w Lasach Państwowych co roku na każdym hektarze

- przyrastało średnio **9,19 m³ drewna**,
- z tego pozyskiwano **5,66 m³**,
- reszta przyrostu, czyli **3,53 m³ drewna** odkładała się i **powiększała zasoby**.



wzrost średniego wieku lasów

57 lat → **60 lat**

wzrost udziału drzew w wieku ponad 100 lat w powierzchni lasów

11,2% → **14%**



wzrost ilości martwego drewna

37 mln m³ (średnio 5,2 m³/ha) → **56,8 mln m³** (średnio 8 m³/ha)



wzrost udziału drzew gatunków liściastych w powierzchni lasów

27,8% → **29,9%**



Dla PGE neutralność klimatyczna to priorytet

Jak wielokrotnie Pan informował, firma będzie zmieniać miks energetyczny. Jakie będą filary zielonej transformacji PGE?

Osiągnięcie neutralności klimatycznej to priorytet dla Grupy PGE. Już teraz PGE jest liderem w krajowej energetyce odnawialnej. Podstawą ogłoszonej neutralności klimatycznej Grupy PGE w 2050 r. będzie efektywna energetyka odnawialna. Źródła gazowe, dzięki elastyczności wytwarzania, będą wspierać ich funkcjonowanie w perspektywie najbliższych 20–30 lat.

Realizowane w ramach Grupy PGE zielone inwestycje obejmą przede wszystkim morską energetykę wiatrową, która jako najbardziej wydajna technologia odnawialna stanie się fundamentem portfela wytwórczego na naszej drodze do neutralności klimatycznej.

Inwestycje PGE w odnawialne źródła to również wiatrowa energetyka lądowa i w tym obszarze posiadamy projekty, do których mamy nadzieję wrócić wraz ze złagodzeniem ustawy odległościowej. Nie wykluczamy również akwizycji, o czym świadczy pozyskanie farmy Skoczylody w lipcu tego roku.

Planujemy również kolejne inwestycje fotowoltaiczne. Program PV Grupy PGE do 2030 r. przewiduje co najmniej 2,5 GW instalacji fotowoltaicznych w naszym portfolio.

Inwestycjom w tym obszarze będzie towarzyszyć program budowy wielkoskalowych magazynów energii, dzięki czemu zwiększymy elastyczność pracy systemu



Wywiad z prezesem zarządu PGE Wojciechem Dąbrowskim

elektroenergetycznego.

Nasze działania w kierunku rozwijania ciepłownictwa systemowego przyczyniają się do poprawy jakości powietrza w Polsce. W obszarze ciepłownictwa obecnie stawiamy na odchodzenie od węgla w kierunku paliw gazowych, lecz w dłuższym horyzoncie będą to musiały być źródła całkowicie zeroemisyjne.

PGE inwestuje w energetykę offshore i chce wybudować trzy farmy wiatrowe na Bałtyku: Baltica-1, Baltica-2 i Baltica-3 o mocy do 3,5 GW. Na jakim etapie są inwestycje? Z kim PGE współpracuje w tych projektach?

Morze Bałtyckie posiada ogromny potencjał energetyczny. Aby jak najlepiej go wykorzystać, chcemy współ-

pracować z najlepszymi, budując tym samym nasze doświadczenie i kompetencje. Wszystkie działania w ramach Programu Offshore Grupy PGE są realizowane zgodnie z przyjętym harmonogramem.

Przy realizacji tego projektu będziemy maksymalnie aktywizować polskich przedsiębiorców. Zależy nam, żeby nowy sektor krajowej gospodarki, jakim będzie offshore, przyczynił się do rozwoju potencjału polskich firm.

Jak PGE rozwiąże problem nadmiaru energii z OZE, której nie można w danej chwili wykorzystać? Czy ta energia będzie magazynowana? Czy inwestycjom PGE w morską energetykę wiatrową będzie towarzyszyć program budowy magazynów energii?

Magazyny energii odgrywają bardzo ważną rolę w transformacji energetycznej opartej o niestabilne źródła odnawialne. Nadmiar energii z OZE, której nie możemy w danej chwili spożytkować, powinien być magazynowany i wykorzystany, kiedy jest taka potrzeba. W Grupie PGE prowadzimy magazynowe projekty badawczo-rozwojowe oraz planujemy i analizujemy inwestycje w tym obszarze. Inwestycjom PGE w rozwój źródeł odnawialnych będzie towarzyszył komplementarny projekt, jakim jest program budowy wielkoskalowych magazynów energii. To dziś niezmiernie ważny element transformacji, o którym nie należy zapominać.

Jakie miejsce w energetycznej transformacji firmy zajmuje fotowoltaika?

Plan na 2020 to uruchomienie czterech farm fotowoltaicznych. Liczymy na to, że w nadchodzącej aukcji w grudniu uda nam się zabezpieczyć realizację kolejnych projektów.

To jednak dopiero początek wielkich inwestycji PGE w energetykę słoneczną. Tak jak wspominałem, cel to co najmniej 2,5 GW w ciągu dekady. W planie mamy zarówno projekty jednomegawatowe, jak i nawet ponad stumegawatowe przedsięwzięcia realizowane na gruntach własnych Grupy, jak również na gruntach dzierżawionych od podmiotów prywatnych, a także na terenach należących do innych spółek z udziałem Skarbu Państwa. Już dziś Grupa PGE ma zabezpieczonych ponad 1,6 tys. ha gruntów, na których będzie można zbudować farmy słoneczne o mocy przekraczającej 1000 MW.



*Polska Grupa
Energetyczna*

www.gkpge.pl

PGNiG w Europejskim Sojuszu na rzecz Czystego Wodoru



Jerzy Kwieciński. Prezes PGNiG: To ważny krok PGNiG w kierunku realizacji naszych strategicznych planów związanych z wodorem i kolejny przykład zaangażowania w rozwój rynku wodorowego

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo ogłosiło właśnie przystąpienie do powołanego przez Komisję Europejską w lipcu br. Europejskiego Sojuszu na rzecz Czystego Wodoru, który wspiera realizację inwestycji i tworzenie gospodarki wodorowej w Unii Europejskiej

Sojusz European Clean Hydrogen Alliance (ECH2A) ma wspierać tworzenie gospodarki opartej na czystym wodrze. To platforma szerokiej współpracy przy tworzeniu całego wodorowego łańcucha wartości, która w ciągu trzech dekad ma pozwolić na zbudowanie wodorowego ekosystemu w Europie. Według przedstawicieli Komisji Europejskiej wódor jest paliwem, które przybliży Wspólnotę do osiągnięcia neutralności klimatycznej. Natomiast dla PGNiG, które chce zbudować cały łańcuch kompetencji związanych z produkcją i wykorzystaniem wodoru, oznacza to nowe możliwości rozwoju technologii związanych z zielonym wodorem i bezpośredni wpływ na unijne regulacje w tym zakresie.

– To ważny krok PGNiG w kierunku realizacji naszych strategicznych planów związanych z wodorem i kolejny przykład zaangażowania w rozwój rynku

wodorowego. Przyłączenie się do sojuszu stworzonego przez Komisję Europejską pozwoli nam czerpać z wiedzy i doświadczenia obecnych w nim partnerów, realizujących już działania związane z czystym wodorem. Aktywny udział w sojuszu pozwoli nam także na realny wpływ na tworzenie unijnych regulacji związanych z rozwojem technologii wodorowych, na włączenie się w proces transformacji sektora energetycznego na poziomie europejskim – skomentował Jerzy Kwieciński, prezes zarządu PGNiG. Jak przypominał, już w lipcu br., wraz z ministrem klimatu Michałem Kurtyką i wiceministrem Ireneuszem Zyską oraz największymi polskimi firmami z branż energetycznej i transportowej, PGNiG podpisało list intencyjny o ustanowieniu partnerstwa na rzecz budowy gospodarki wodorowej i zawarcia sektorowego porozumienia wodorowego. Natomiast we wrześniu gazowy gigant przystąpił do stowarzyszenia Hydrogen

Europe, które daje wiele możliwości wsparcia działań badawczo-rozwojowych związanych z wodorem.

PGNiG STAWIA NA WODÓR

Sojusz ECH2A ma odegrać kluczową rolę we wsparciu działań inwestycyjnych, obejmujących produkcję, transport, magazynowanie oraz wykorzystanie wodoru w poszczególnych sektorach gospodarki, takich jak transport, przemysł, energetyka, ciepłownictwo. Przystąpiło do niego już ponad 250 przedsiębiorstw, wśród nich są zarówno największe światowe koncerny energetyczne, jak i przedsiębiorstwa z wielu innych branż, np. instytucje rządowe i samorządowe, naukowe, finansowe, a także organizacje pozarządowe.

Przypomnijmy, że PGNiG ogłosiło w maju badawczy program wodorowy „Wódor – czyste paliwo dla przyszłości” (Hydrogen – Clean Fuel for the Future). Tworzy go kilka projektów – od produkcji „zielonego wodoru” przez jego magazynowanie i dystrybucję do wykorzystania w energetyce przemysłowej. W ciągu czterech najbliższych lat na prace badawcze związane z nowym programem PGNiG planuje wydać ponad 31 mln zł.

Najbardziej zaawansowany jest wodorowy projekt Hydra Tank, czyli stacja badawcza tankowania pojazdów napędzanych wodorem, która powstanie przy ul. Prądzyńskiego na warszawskiej Woli. PGNiG rozpoczęło też badania nad możliwością magazynowania i transportu wodoru przy wykorzystaniu sieci gazu ziemnego. W ramach projektu o nazwie InGrid – Power to Gas w oddziale spółki w Odolanowie powstanie instalacja, w której w 2022 r. ma się rozpocząć produkcja „zielonego wodoru”. PGNiG chce w tym celu wykorzystać energię elektryczną wytwarzaną przez panele fotowoltaiczne.

Z kolei Centralne Laboratorium Pomiarowo-Badawcze PGNiG rozbuduje swoją działalność analityczną, by stać się pierwszym w Polsce i jednym z niewielu w Europie laboratorium badającym czystość wodoru.



Studio 590

21-23 Października 2020

5 EDYCJA KONGRES 590

POLSKA 2030

NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIE GOSPODARCZE JESIENI

KONGRES W FORMULE HYBRYDOWEJ

KUP BILET | DOŁĄCZ DO NAS ON-LINE | WWW.KONGRES590.PL

WSPÓLGOSPODARZ



PARTNERZY STRATEGICZNI



VENUE PARTNER



PARTNERZY GŁÓWNI



GŁÓWNI PARTNERZY MEDIALNI



Potęga umysłu



Iga Świątek z pucharem za zwycięstwo Roland Garros FOT. CHARLES PLATIAU/REUTERS/FORUM



Jan Krzysztof Duda, mistrz świata w szachach błyskawicznych FOT. ANNA KACZMARZ/POLSKA PRESS/EAST NEWS



Łukasz Zboralski

Pierwsza Polka w historii wygrała jeden z czterech najważniejszych turniejów tenisowych na świecie. A młody Polak po raz kolejny ograł szachowego mistrza świata. Obie wygrane, wbrew pozorom, łączą bardzo wiele

Iga Świątek ma wszystko to, co powinna mieć tenisistka światowej klasy. Ma też czas, by ten potencjał wykorzystać – napisałem w „Do Rzeczy” w kwietniu ubiegłego roku („Dziewczyna z Raszyna”). Okazało się, że Iga postanowiła wykorzystać swój czas bardzo szybko. Osiągnęła szczyt na ostatnim turnieju Roland Garros. 19-letnia Polka przeszła całą turniejową drabinę jak burza, rozgniatając wszystkie przeciwniczki bez straty seta. A po drodze w czwartej rundzie miała przeciw sobie Rumunkę Simonę Halep (obecnie numer 2 w tenisie kobiet) i ją też właściwie zmiołła z kortu (6:1, 6:2).

Nie inaczej wyglądały spotkania w ćwierćfinale z Włoszką Martiną Trevisan (83. w rankingu) i półfinale z Argentynką Nadią Podoroską (48. w rankingu). I – co było dla polskich kibiców prawdziwym szczęściem – Iga tak samo dobrze poradziła sobie w finale z Amerykanką Sofią Kenin (4. wśród kobiet w rankingu).

Młoda tenisistka z Raszyna wywróciła tym zwycięstwem polski tenisowy świat do góry nogami. Bo jedynymi, największymi sukcesami Polaków do tej pory były występy w finałach. To dlatego prawie od 100 lat za każdym razem wspominano wspaniałą przedwojenną gwiazdę Jadwigę Jędrzejowską, która dotarła do trzech finałów wielkiego szlenu – US Open w 1937 r., Wimbledon w 1937 r. oraz Roland Garros w 1939 r. Być może byłaby i triumfatorką jakiegoś następnego turnieju, ale wybuchła druga wojna światowa, która odebrała jej najlepsze lata na start (Jędrzejowska nie skorzystała z pomocy króla Szwecji Gustawa V, który znał ją z kortów i uzyskał u Niemców zgodę na jej wyjazd z okupowanej Polski, została w kraju).

Dopiero po dekadach błysnął na kortach Wojciech Fibak. Ale on – nie odbierając niczego grze podwójnej – wygrał jedynie wielkiego szlenu w deblu (Australian Open 1978). W singlowej grze docierał zaledwie do ćwierćfinałów (Roland Garros – 1977, 1980; Wimbledon – 1980; US Open – 1980). Był jednak naszym jedynym zawodnikiem z sukcesem, do którego przez kolejne lata się odwoływaliśmy.

Zmieniła to dopiero Agnieszka Radwańska, jako druga w tenisowej erze open wdarła się do pierwszej dziesiątki w światowym rankingu. Ale i ona nie zdobyła nigdy jednego z czterech najważniejszych trofeów. Szczytem było dotarcie do finału Wimbledonu w 2012 r. Chociaż należy też oddać Radwańskiej, że w rankingu ATP była w tamtym roku wiceliderką.

Iga Świątek awansowała w rankingu kobiet z 54. miejsca na 17.

Gdzieś w tle polskiego najważniejszego zwycięstwa tenisowego w historii przemknął mniej zauważony tym razem 22-letni szachista z Wieliczki Jan Krzysztof Duda. Podczas turnieju szachowego Altborg Norway Chess w Stavanger Polak ograł po raz drugi już w swojej karierze szachowego mistrza świata 29-letniego Magnusa Carlsena.

Trzeba by poświęcić wiele miejsca, by opisać osiągnięcia – także międzynarodowe – Dudy od czasów juniorskich. Szachowego arcymistrza Carlsena gonił już od 2018 r. Wówczas w turnieju World Blitz Chess Championship w Sankt Petersburgu przegrał z nim zaledwie o pół punktu i sięgnął po wicemistrzostwo. W ubiegłym roku w maju Duda stał się szachową sensacją, bo w szachach szybkich pokonał norweskiego arcymistrza. Obecna, październikowa powtórna wygrana z Carlsenem przerwała Norwegowi serię 125 klasycznych partii szachów bez porażki.

Jana Krzysztofa Dudę z Igą Świątek łączy jednak coś więcej niż to, że oboje są młodymi graczami z Polski i oboje odnoszą fantastyczne sukcesy. W szachach sprawa treningu umysłowego jest oczywista. W tenisie nie jest to dla wszystkich tak oczywiste. Chociaż sama Świątek dawała do zrozumienia, jak ważna jest dla niej praca psychologiczna. Po przyjeździe do kraju wspominała na konferencji i w wywiadach w mediach, że jedną z trudniejszych rzeczy jest zapanowanie nad własną głową. W tym roku miewała już bowiem poczucie, że jest w stanie sięgać po najwyższe trofea, a jednocześnie czuła, że jej gra trochę się

rozpada. Trzeba więc było wciąż skupiać się na poprawianiu własnej techniki. Najtrudniejsze chwile z tym związane mają miejsce podczas samych meczów. Zwłaszcza gdy w turnieju zawodniczka pnie się w górę po drabince. Na szczęście w sztabie młodej Polki oprócz trenera tenisowego Piotra Sierzputowskiego jest też specjalistka od spraw psychologii.

– W pewien sposób przygotowaliśmy się na wynik, który może przyjść – mówiła podczas konferencji psycholog Igi Daria Abramowicz. – Po to trenujemy i w związku z tym w naszej pracy ten wątek pojawiał się wcześniej – tłumaczyła. I dodawała: – Jeżeli chodzi o schemat, to on zawsze wyglądał tak, że poza treningiem mentalnym absolutnie dużą przestrzeń zajmowała też praca związana z psychoedukacją i z oddziaływaniami terapeutycznymi krótkoterminowymi. Tu się nic nie zmienia, także w tym zakresie.

Tę pracę było widać podczas Roland Garrosa. Polka nie tylko grała technicznie mocno i dokładnie – w przeciwieństwie do Radwańskiej jest zawodniczką grającą ostro, ofensywnie, co dziś, jak widać, jest jedyną drogą prowadzącą do

zwycięstwa także w tenisie kobiet – lecz także zachowywała niezwykle spokojną. Nawet zepsute zagrania, utraty gemów nie wyprowadzały jej z równowagi. Była jak walec nie tylko fizyczny, lecz także psychiczny. Procentowała właśnie praca psychologiczna. – Cały czas z tyłu głowy miałam to, że mogę grać na naprawdę wysokim poziomie i wygrać z każdym, ale za każdym razem, jak uzmysłowiłam sobie, że to ma cienką granicę związaną z oczekiwaniami, to mimo wszystko wracałam do tych podstaw, żeby mnie to za bardzo nie zestresowało – opowiadała Iga Świątek. – Więc koncentrowaliśmy się na samej pracy, nie na wyniku, bo wynik jest tylko jej efektem. Na samym korcie po prostu myślałam o technice i taktyce, o najprostszych rzeczach, takich jak to, żeby ugiąć nogi. Bo świadomość, że mogłabym wygrać turniej wielkoszlemowy, naprawdę może przytłoczyć, dlatego stosowałam narzędzia, które pokazała mi Daria, i moje oczekiwania pozostawiałam na niskim poziomie.

W prasie na świecie też to zauważono. „New York Times” zwrócił uwagę, że zarówno Świątek, jak i Rafael Nadal (który triumfował wśród mężczyzn i po raz 13.

został mistrzem na Roland Garros) wielką wagę przykładają do wzmacniania aspektów psychologicznych. Chociaż treningi w tym zakresie mają zupełnie różne. Wiadomo np., że Świątek używa różnych technik, by wyciszyć nerwy na korcie – czasem prowadzi wewnętrzny cichy dialog sama z sobą, czasem wizualizuje sobie to, co ma zrobić, a czasem skupia się na technice oddychania. W ten sposób umiała poradzić sobie m.in. ze znanym na kortach psychologicznym zjawiskiem strachu przed wygraną. Moment, w którym zawodnik zaczyna rozumieć, że od triumfu dzieli go naprawdę niewiele, bywa dla niego destrukcyjny mentalnie.

Tenis z szachami łączy jeszcze jedna rzecz – już bardziej praktyczna, którą Iga Świątek z pewnością zapewnia trener Sierzputowski. Dobry tenisista tak jak szachista musi myśleć o kilku kolejnych zagraniach. Podchodząc do serwu, musi już właściwie rozegrać w głowie resztę po odpowiedzi rywala, do której sam go zmusi.

Siła psychiczna Igi Świątek teraz może być jej jeszcze bardziej potrzebna. Jako triumfatorka będzie startować z większą presją niż do tej pory.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PROMASTER ALTICHRON

Wśród tegorocznych nowości CITIZEN daje się zauważyć model wyjątkowy, nietypowy. Jest to specjalna edycja zegarka z kolekcji PROMASTER ALTICHRON, czyli kolejna odsłona kultowego zegarka „do zadań specjalnych” wyposażonego w wysokościomierz. Mierzy wysokość do 10 000 m. n.p.m. Sprawdza się w najsurowszych warunkach, funkcjonując w niskich temperaturach nawet ok. minus 20°C. Dzięki zasilaniu światłem (moduł Eco-Drive) można liczyć na jego niezawodność w każdej sytuacji. Wyposażony jest w szkło mineralne, a wodoszczelność ma na poziomie 200 m, co zaspokoi najbardziej wymagających. Wyróżnia go również funkcja kompasu, co również przyda się w ekstremalnych okolicznościach. Posiada wyraźne i luminescencyjne wskazówki na bardzo czytelnej tarczy z cyframi arabskimi, osadzonej w kopercie o średnicy 46 mm.

BN4049-11E

Sugerowana cena detaliczna: 1 980 PLN

citizen.pl



PROMASTER



FOT. ADRIAN STOK

aTTP. Liczy się każda godzina



Katarzyna Pinkosz

W okresie epidemii COVID-19 najbardziej zagrożone są osoby z chorobami rzadkimi. Zwłaszcza takimi, które wymagają natychmiastowego specjalistycznego leczenia. Niewłaściwe rozpoznanie, błędna decyzja i brak leczenia mogą zaważyć na życiu

Nie wiadomo, ile osób w Polsce cierpi na TTP. Pod tą nazwą kryje się rzadka choroba: zakrzepowa plamica małopłytkowa (TTP z ang. thrombotic thrombocytopenic purpura). Nazwa wiele mówi o tej chorobie: „plamica” (na skórze pojawiają się wybroczyny i siniaki), „małopłytkowa” (w obrazie krwi widać małą liczbę płytek krwi odpowiadających za proces krzepnięcia), „zakrzepowa” (w naczyniach krwionośnych tworzą się zakrzepy). TTP występuje średnio u 1 osoby na 100 tys., czyli w Polsce (szacunkowo) jest ok. 350–400 chorych. – Wiele osób przy łżejszych objawach może pozostać niezdiagnozowanych, są też osoby, które umierają, bo nie miały postawionej

właściwej diagnozy i wdrożonego leczenia – mówi prof. Grzegorz Basak, kierownik Katedry i Kliniki Hematologii, Transplantologii i Chorób Wewnętrznych Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Objawy choroby mogą pojawić się nagle i szybko się rozwinąć. Niezdiagnozowana i nieleczona ostra postać TTP nawet w 90 proc. kończy się zgonem.

MIKROZAKRZEPY, KTÓRE NISZCZĄ ORGANIZM

U 27-letniej Sylwii pierwsze niepokojące objawy pojawiły się latem dwa lata temu: gdy była nad morzem, zauważyła na skórze małe czerwone plamki. Po-

czątkowo sądziła, że to z powodu słońca. Plamki zniknęły, jednak kilka tygodni później na nogach zaczęły pojawiać się siniaki, mimo że się nie uderzyła.

– Było ich kilkanaście. Czułam bardzo silne zmęczenie, na nic nie miałam siły. Zaniepokoiło mnie też zażółcenie białkówki oczu i nieprzyjemny zapach moczu – opowiada Sylwia. Lekarz zalecił wykonanie morfologii. Niepokojąca była mała liczba płytek krwi (trombocytów) – zaledwie ok. 22 tys./mm³, gdy norma wynosi 150–300 tys./mm³. W szpitalu szybko postawiono diagnozę: TTP. Dla Sylwii to był szok. Do tej pory była zdrową, aktywną fizycznie osobą, niedawno zaczęła pracę jako fizjoterapeutka.

TTP to choroba układu krzepnięcia. W drobnych naczyniach krwionośnych w organizmie gromadzą się zlepy płytek krwi odpowiedzialne za krzepnięcie krwi. – Zatykają one drobne naczynka, upośledzają przepływ krwi lub całkowicie go blokują. Pojawiają się wybroczyny, siniaki, jednak najbardziej niebezpieczne jest to, że przez tworzące się mikrozakrzepy może dojść do niedokrwienia narządów: m.in. mózgu, płuc, serca, ale też przewodu pokarmowego, nerek. Mogą pojawić się objawy neurologiczne, także przypominające udar mózgu, utrata świadomości – mówi prof. Grzegorz Basak.

Objawy niedotlenienia i uszkodzenia (będącego skutkiem upośledzenia krążenia w naczyniach włosowatych) mogą dotyczyć każdego narządu. Mogą pojawić się też: gorączka, żółtaczka, powiększenie śledziony i wątroby, niewydolność wielonarządowa.

Postawienie diagnozy nie jest łatwe. – Pacjent mający zaburzenia układu nerwowego jest diagnozowany pod kątem udaru, jednak w obrazie tomografii komputerowej nie widać typowych cech udaru. Szuka się więc innych chorób, które mogą dawać podobne objawy, jednak nic się potwierdza, a stan pacjenta się pogarsza. Jeśli choroba nie zostanie prawidłowo rozpoznana, to pacjent może umrzeć nawet w ciągu kilku godzin – dodaje prof. Basak.

U Sylwii pierwszy atak choroby nie był aż tak dramatyczny, jednak od tego czasu choroba już dwa razy wracała. – U co trzeciego pacjenta choroba nawraca. Czasem nawrót następuje już w ciągu miesiąca, czasem po kilku miesiącach lub po roku czy dwóch latach. Nie zawsze przebiega dramatycznie, jednak

nikt nie zagwarantuje, że kolejny atak choroby nie będzie groźniejszy – mówi prof. Basak.

BRAKUJĄCY ENZYM

Dlaczego płytki krwi zaczynają się zlepiać i dochodzi do zakrzepów? W przypadku TTP przyczyną jest brak lub niedobór enzymu ADAMTS13.

– W organizmie cały czas dochodzi do mikrouszkodzeń. Płytki krwi je zlepiają, przylegając do czynnika von Willebranda. Jest on produkowany przez śródbłonek ściany naczyń w postaci tzw. multimetrów, czyli takich jakby „zgrzewek”. Muszą one być potem rozcięte na pojedyncze monomery za pomocą enzymu ADAMTS13, który znajduje się w osoczu krwi. Jeśli tego enzymu nie ma lub jest go za mało, to polimery czynnika von Willebranda nie są rozcinane, a wtedy ich ogromne „zgrzewki” zalegają w drobnych naczyniach krwionośnych. Przylegają do nich płytki krwi i tak tworzą się zatory – tłumaczy prof. Basak.

19 września obchodzony był Międzynarodowy Dzień Zakrzepowej Plamicy Małopłytkowej. Ma on zwracać uwagę na problemy osób zmagających się z tą rzadką chorobą. Tego dnia ruszyła także ogólnopolska kampania „aTTP. Liczy się każda godzina”

TTP może być chorobą wrodzoną (cTTP) – przyczyną jest mutacja genetyczna – lub nabytą (aTTP), która jest chorobą autoimmunologiczną. W tym przypadku pojawia się nagle, z niewiadomych przyczyn, podobnie jak inne choroby autoimmunologiczne. Czynnikiem wywołującym może być, podobnie jak w przypadku innych chorób z autoagresji, np. infekcja wirusowa, cięża, silny stres. Najczęściej jednak przyczyną, dlaczego organizm zaczyna produkować przeciwciała zwalczające enzym ADAMTS13, pozostaje nieznana.

Ponieważ ADAMTS13 znajduje się w osoczu, leczenie pierwszego rzutu polega na podawaniu osocza osoby zdro-

wej. – W procesie plazmaferezy wymienia się osocze chorego na osocze osoby zdrowej. Codziennie trzeba wymienić przynajmniej jedną objętość osocza, a czasem 1,5 objętości. Czasem pacjent ma zabiegi dwa razy dziennie. Jednemu choremu wystarczy łącznie 7–8 wymian osocza, a inny potrzebuje ich 20 na taki atak choroby – mówi prof. Basak.

Sama wymiana osocza to jednak za mało, gdyż układ immunologiczny chorego cały czas produkuje przeciwciała niszczące brakujący enzym. Dlatego konieczne jest też podawanie leków, które osłabiają układ odpornościowy – zwykle są to sterydy. – Niestety, sterydy mają wiele skutków ubocznych, m.in. osłabiają odporność. A ja wiem, że muszę starać się wystrzegać infekcji, gdyż mogą one nasilić TTP – mówi Sylwia. Doskonale zdaje sobie sprawę, jak groźna może być ta choroba. – Staram się normalnie żyć, przyjmuję leki, jestem aktywna zawodowo. Próbuje nie dopuszczać do siebie myśli, jakie poważne mogą być konsekwencje TTP, zakrzep może dotrzeć do płuc, serca, mózgu – mówi Sylwia. Uważa na siebie, żeby w razie wystąpienia objawów jak najszybciej kontaktować się ze szpitalem lub z poradnią hematologiczną. – Mam obawy, żeby wyjechać gdzieś dalej, gdyż nie wiadomo, kiedy choroba może wrócić. Trzeba wtedy jak najszybciej zgłosić się na oddział hematologiczny, by jak najszybciej przeprowadzić plazmaferezę – mówi Sylwia.

Zmianą w życiu chorych na TTP może być lek, o którym wiadomo, że zmniejsza liczbę przeciwciał skierowanych przeciwko enzymowi ADAMTS13 i zwiększa jego aktywność. Dzięki temu może nie dopuścić do pojawienia się mikrozatorów w małych naczyniach krwionośnych. – Udostępnienie tego leku w ramach programu lekowego bez wątpienia przyczyniłoby się do poprawy wyników leczenia tej niezwykle ciężkiej choroby – zaznacza prof. Basak.

Ogromnym wyzwaniem na dziś jest też lepsze diagnozowanie TTP. – Ważne jest to, żeby również lekarze na Szpitalnych Oddziałach Ratunkowych brali pod uwagę tę rzadką chorobę, jeśli pacjent ma takie objawy jak małopłytkowość, niedokrwistość hemolityczną oraz cechy niedokrwienia narządów, i kierowali go na dodatkowe badania lub kontaktowali się z ośrodkiem hematologicznym – dodaje prof. Basak.

TEST „DO RZECZY”: WZMACNIACZ SYGNAŁU FRITZ! REPEATER 2400

Możliwość łatwego zwiększenia zasięgu sieci bezprzewodowej dla wszystkich urządzeń, bardzo szybka transmisja danych z WLAN AC oraz bajecznie prosta instalacja – to największe zalety wzmacniacza sygnału znanej niemieckiej firmy AVM.

Urządzenie zostało zaprojektowane dla sieci mesh, dzięki czemu pozwala na bardzo łatwą integrację z siecią domową i umożliwia szybkie zwiększenie zasięgu bezprzewodowego Internetu w domach czy w dużych mieszkaniach.

Niewielki, ważący zaledwie 150 g gadżet – z białą obudową i zestawem zielonych diod sygnalizujących jakość połączenia z routerem – jest wyjątkowo prosty w obsłudze. Wystarczy podpiąć wzmacniacz sygnału do gniazdka elektrycznego i nacisnąć przycisk WPS na repeaterze oraz na routerze (producent zapewnia, że urządzenie współpracuje ze wszystkimi popularnymi routerami – my przetestowaliśmy je na urządzeniach dwóch różnych firm i rzeczywiście działał bez problemu). Cała konfiguracja powinna więc zająć nie więcej niż kilkadziesiąt sekund.

W idealnym świecie wzmacniacz sygnału powinien znaleźć się w połowie drogi między routerem a smartfonami, laptopami i innymi urządzeniami, na których chce się korzystać z bezprzewodowego Internetu. Fritz! Repeater 2400 automatycznie zapamiętuje wprowadzone

ustawienia – można więc bez obaw odłączyć go od gniazdka i podłączyć w innym miejscu, by sprawdzić, czy dzięki takiej przeprowadzce uda się jeszcze zwiększyć moc i zasięg domowego bezprzewodowego Internetu. Plusem korzystania z tego typu wzmacniacza jest to, że cała sieć ma tylko jedno hasło, a urządzenia przełączają się między repeaterem a routerem automatycznie, w ogóle nie angażując użytkownika w proces szukania lepszego zasięgu.

Aby znaleźć optymalne miejsce dla podłączenia wzmacniacza sygnału, można posłużyć się aplikacją Fritz!App WLAN. Wzmacniacz sygnału został wyposażony w cztery anteny oraz dwa układy radiowe – 5 GHz i 2,4 GHz. W paśmie 5 GHz Fritz! Repeater 2400 potrafi osiągnąć prędkość do 1733 Mbps, a w 2,4 GHz dodatkowo jeszcze 600 Mbps. Łączna prędkość sieci Dual-WLAN AC+N wynosi więc 2333 Mbps. Wybór pasma odbywa się automatycznie, dzięki czemu wzmacniacz sygnału powinien zawsze wybierać

najbardziej efektywny sposób połączenia. Za bezpieczeństwo danych odpowiada z kolei szyfrowanie WPA2.



Plusem testowanego gadżetu jest też to, że alternatywnie repeater może pracować w trybie mostka LAN. Fajnie sprawdza się też opcja udostępnienia gościom internetowego hotspota, bez możliwości dostępu do całej domowej sieci. Gadżet można też tak skonfigurować, aby w nocy od Wi-Fi odłączane były wszystkie urządzenia.

Wady? Szkoda, że do dyspozycji użytkowników jest tylko jeden port Gigabit Ethernet. Czasem przydałyby się co najmniej dwa, gdy w domu znajduje się więcej urządzeń, które nie są wyposażone w bezprzewodową kartę sieciową. W czasach, gdy cała rodzina siedzi w domu, wzmacniacz sygnału Fritz! Repeater 2400 to bardzo przydatny gadżet, który ułatwia streaming gier, a także szybki bezprzewodowy dostęp do filmów, muzyki czy zdjęć z dowolnego miejsca domu czy mieszkania. Cena: 359 zł. © ©

Jacek Przybylski

NIEZALEŻNA KAMERA MONITORUJĄCA

Pro 4 Wire-Free Spotlight to najnowszy model bezprzewodowej kamery do zdalnego monitoringu marki Arlo. Nowy gadżet oferuje nagrywanie obrazu w jakości 2K i wsparcie dla technologii HDR. Kąt widzenia kamery wynosi 160 stopni. Sprzęt ma też wbudowaną syrenę alarmową oraz możliwość dwukierunkowej komunikacji z zaproszonymi i niezaproszonymi gośćmi. Z oceanu podobnych urządzeń dostępnych na rynku Arlo Pro 4 wyróżniają dwie cechy. Po pierwsze, aby działać, nie potrzebuje dostępu do prądu. Producent zapewnia, że dzięki



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wydanemu akumulatorowi kamera na jednym ładowaniu ma bowiem działać nawet pół roku. Odciecie zasilania przez złodziei nic więc im nie da. Po drugie gadżet łączy się bezpośrednio z Wi-Fi, więc do funkcjonowania nie potrzebuje żadnego inteligentnego centrum domowego. Gadżet kosztuje 199,99 dol. (niecałe 800 zł). Premiera: październik 2020 r.

BIEGIEM DO WIRTUALNEJ RZECZYWISTOŚCI

Firma Virtuix zaprezentowała nowy model bieżni wykorzystywanej do gier i aplikacji wirtualnej rzeczywistości (VR). Tym razem producent znany z profesjonalnego modelu Omni Pro zaprezentował produkt, który ma trafić pod strzechy. Omni One to kompaktowa wersja bieżni 360 stopni, która ma zmieścić się niemal w każdym salonie. Gracz musi najpierw założyć specjalną kamizelkę i przypiąć się do drążka. Dzięki śliskiej nawierzchni i specjalnym butom na bieżni można bez problemu nie tylko chodzić, biegać czy skakać po wirtualnym świecie, lecz także skradać się, robić przysiady czy kłękać (co przydaje się choćby w różnego rodzaju strzelankach). Bieżnię zaprojektowano tak, aby w realnym świecie można było szybko schować ją pod łóżko lub za szafę. Gadżet ma kosztować 1995 dol. (7,7 tys. zł). Premiera w 2021 r. © ©

Jacek Przybylski



Salonik
POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

zaprasza
Rafał Ziemkiewicz



POLITYCZNA
kawa

zaprasza
Tomasz Sakiewicz



niedziela
11:00 | 12:00

oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tatarskie szlaki

Tatarzy napadali na Rzeczpospolitą kilkoma trasami, które już w XVI w. zwano „szlakami”. Nie były to w żadnym sensie drogi ani trakty, ale po prostu obszary dogodne do szybkiego przemieszczania się ruchliwej jazdy. Przejęcia między wododziałami wielkich rzek, górami, błotami i trzęsawiskami, którymi można było wtargnąć niespodziewanie w głąb Korony, a potem zbiec, uprawiając w koszu tłumy jasyru. Każdy z tych szlaków omijał przeprawy przez rzeki i ich dopływy, aby nie spawalniały krymskich wojowników w pędzie.

Patrząc od zachodu na wschód, pierwszym szlakiem tatarskim był wołoski, prowadzący od Perekopu wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego aż do Dniepru, który przekraczał na zachód od Oczakowa – starej twierdzy strzegącej ujścia ogromnej rzeki. Następnie szedł znowu na zachód wzdłuż wybrzeża, aż wreszcie przekraczał kolejną rzekę – Dniestr na południe od dzisiejszych Bender. Dalej szedł wzdłuż granicy Rzeczypospolitej prawym, południowym jej brzegiem, który był lepszy do przejścia, gdyż od północy, z terenów Podola i Ukrainy wpadają do Dniestru liczne rzeczki, a przeprawy przez nie opóźniają marsz. Szlak kierował się na Chocim, skąd można było – przebywszy znowu Dniestr – przeskoczyć łatwo na kolejny szlak łupiesko-handlowy.

Ten drugi, zwany kuczmańskim, biegł przez pewien czas podobnie jak wołoski, wychodząc od Prekopu, przez Dniestr do Oczakowa, jednak zaraz za nim odbijał na północ, idąc pomiędzy wspomnianą rzeką a Dniestrem, jednak w sporej odległości od tego ostatniego – aby ominąć źródła wspomnianych już, płynących na południe rzek. Kierował się na Bar, by następnie skręcić prosto na zachód, omijając od



północy Kamieniec Podolski, iść na Lwów i nawet dalej – pod Przemyśl i Jarosław, do Medyki, która była częstym miejscem zakładania kosza tatarskiego. Wyprawy idące tą trasą zagrażały ziemi przemyskiej, sanockiej i Lubelszczyźnie położonym w granicach dzisiejszej Polski.

Nazwa szlaku, o ile wierzyć „Słownikowi geograficznemu Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, pochodziła od kuczmy – czapki używanej w Turcji, także przez ordynków, ponieważ już z dala „postrzegano na nim tatarskie zawoje i czapki”.

Kolejnym szlakiem wypraw był czarny – brał swój początek na uroczyskach rzeki Inguł w tzw. Czarnym Lesie, potem przekraczał Dniestr na wyspie Tawań, kierował się na północny zachód, a koło Korsunia rozchodził się na dwie odnogi – jedna podążała w stronę Wołynia i Polesia, a druga prosto na Kijów, między zlewiskami rzek. Swoją nazwę brał od częstych najazdów tatarskich, po których pozostawały tylko czarne pogorzeliska, albo od tego, że przechodziły nim czarne nieszczęścia – najazdy, choroby i kataklizmy. Być

może zwał się tak dlatego, że konie tatarskie pozostawiały tutaj na tłustym, ukraińskim czarnoziemie łatwo zauważalne ślady. Tatarzy wpadający na tereny Rzeczypospolitej potrafili zresztą wejść jednym szlakiem, a wyjść z jasyrem drugim. Porzucić wołoski, aby nagle przeskoczyć na kuczmański.

Szlak czarny na Ukrainie w XVIII w. często zwany był także szpakowym, od sławnego hajdamaki, Szpaka, jak podaje słownik: „Umiejącego doskonale prowadzić czumackie karawany po przeszlizniętych dolinach i w bliskości wody, nie czepiając wsi i nie wystawiając na niebezpieczeństwo czumaków w dzikiej pustyni”. Na tureckich mapach zwał się on zresztą „karawanową drogą”, co pokazuje, że jednak używany był przede wszystkim do handlu.

Przez tereny wschodniej Ukrainy przechodził jeszcze kolejny szlak – murawski – który idąc wschodnią stroną Dniepru, zakręcał na Niżu i walił prosto jak strzelił na tereny Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Ogólnie rzecz biorąc, trakty te nie służyły tylko do rabunków, lecz także do handlu. Kiedy nie groził najazd, poruszały się wtedy karawany handlowe, podążali kozacy czumacy z wozami ciągniętymi przez woły, jechali kupcy z Krymu, Karaimi, Ormianie, Rusini, Polacy i Żydzi. Traktem czarnym jeździły całe karawany po sól do Krymu, po suszoną rybę na Zaporozże albo ze zbożem i towarami do Oczakowa. Podobnie było na pozostałych szlakach.

Tatarskie szlaki straciły na znaczeniu po wcieleniu Chanatu Krymskiego do Moskwy w 1783 r. Później powstały nowe miasta i osiedla na Ukrainie, zasiedlono Dzikie Pola, a stare trakty zarosły trawą i tylko w dumach i legendach gnali wtedy dzicy wojownicy z Krymu. ©

FOT. JAKUB KAJA/WIKIPEDIA

MATTEO BRUNETTI I POLSKO-WŁOSKIE INSPIRACJE

Moja kuchnia to naturalne przenikanie się tradycji kulinarnych: włoskich, bo urodziłem się w Rzymie, oraz polskich, bo moja Mama jest Polką. Stąd bardzo często żongluję smakami i teksturami, łącząc to, czego nauczyła mnie włoska nonna (babcia), z tym, czego nauczyła mnie Mama, która jest absolutną mistrzynią tradycyjnych polskich dań. Taka mieszanka daje mi bardzo szerokie możliwości serwowania potraw, które jako bazę mają włoską pastę, ale są podrasowane składnikami, które znam z polskiej kuchni.

Przyszła jesień, zrobiło się zimno, zatem musimy dostarczyć organizmowi coś pożywnego i kalorycznego, jednak z mocną włoską nutą. Dlatego postanowiłem zaproponować penne z boczkem, kurkami oraz kwiatem cukinii. Oczywiście składniki można zawsze modyfikować, bo jeśli nie uda nam się znaleźć kwiatów cukinii, to możemy zastąpić je drobno pokrojoną cukinią. Ważne, abyśmy znaleźli przyjemność zarówno w gotowaniu, jak i poczęstowaniu najbliższych przygotowaną przez nas potrawą. To we Włoszech tak samo istotny moment jak samo przygotowywanie dań. Wszyscy siadają wspólnie przy stole i w trakcie jedzenia rozmawiają ze sobą. To piękny moment, kiedy jesteśmy ze sobą i dla siebie. I tego państwu życzę!

Składniki (dla 2 osób):

- 250 g makaronu (rekomenduję penne)
- 150 g boczku
- 200 g kurek
- kilka kwiatów cukinii
- 50 g parmezanu
- sól, pieprz, oliwa

Przygotowanie:

Makaron wrzucamy do gotującej się wody i czekamy, aż będzie al dente. Podczas odcieczania pamiętajmy, aby odlać trochę wody ze skrobią z ugotowanego makaronu do szklanki. Jest idealny do sosu. W międzyczasie obsmażamy boczek (pokrojony w kostkę lub wąskie paski) na patelni z odrobiną oliwy.

Umyte i odsączone kurki dodajemy do smażącego się boczku i potem dusimy wszystko razem. Nie zapominajmy o doprawieniu pieprzem i solą do smaku. Kiedy boczek będzie już pięknie zrumieniony, a kurki zmiękną, dolewamy jedną trzecią szklanki wody z makaronu. Energicznie mieszamy i na finał dodajemy odsączony, ugotowany makaron. Mieszamy wszystkie składniki, aby się połączyły, dodajemy parmezan i kwiaty cukinii pokrojone na długość.

Serwujemy na głębokim talerzu udekorowane kwiatami cukinii i kilkoma kroplami oliwy. Buon appetito! ☺☺

oprac. raw

Matteo Brunetti jest kucharzem, prezenterem TV Kuchnia+, finalistą 6. edycji programu „MasterChef”.



FOT. JESSICA CHINICIA



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Matcha z suspensem

Wino ma sommelierów, kawa baristów. A herbata? Herbata nie ma krzewiocieli ani ekspertów. Staromodna, pospolita, trochę niemodna. Jeśli już ktoś nie może pić wina lub kawy, to ostatecznie napije się herbaty. Z torebki, znaczy szczyra, bo wygodnie. Już nawet nie mówi się: wpadnijcie na herbatę, tylko: na kawę...

Ogarnia mnie smutek. „Ach, po co, po co, po co nam żyć, kiedy nie będzie nam wolno już pić herbatki...” – śpiewali Starsi Panowie. A ostatecznej deprecjacji tego napoju dokonało rozpowszechnione od jakichś dwóch dekad picie go z kubków. Herbata z grubasnego kubasa (import z amerykańskich filmów i Starbucks) to zniewaga. Z obrządku wschodniego, czyli strefy wpływów rosyjskich (szklanka), przeszliśmy pod jurysdykcję zachodnią. W tym przypadku bardzo zły transfer.

Jednak ostatni Mohikanie jeszcze są. Mam w rodzinie przedstawicieli niktnej grupy wyznawców herbacianej kultury. Otóż jeden z nich sprowadził ze znanego tylko sobie źródła (w regionie Uji w Japonii, 6 tys. zł za kilogram) herbatę matchę i zaprosił na ceremonię degustacji.

Z nabożeństwem otwarta została mała puszczyca, zamieszano, za pomocą chasenu, czyli bambusowej miotełki, aby otrzymać na powierzchni żądaną piankę, po czym napój rozlano do maleńkich szklaneczek. Teraz suspens...

Matcha to jeden z flagowych produktów Japonii,



FOT. ADRIAN STOK

którymi szczyści się ona dla zdrowia i dla smaku. Jest jej niewiele, bo musi rosnąć w zacienionych miejscach. Głównie w regionie Uji. Zachód, który w XXI w. ogarnęła obsesja zdrowych produktów, odkrył ten ostro zielony skarb stosunkowo niedawno. I nie bez powodu. Matcha zawiera mnóstwo przeciwutleniaczy (na wieczną młodość), ale może też służyć jako napój energetyzujący – nawet lepiej niż kawa, bo z przedłużonym działaniem. Można ją kupić w koneserskich sklepach, a także w sklepach Biedronki, a nawet w puszkach, jako zimny napój. Obrosła oprzyrządowaniem: miotełki, miseczki, łyżeczki...

Zakończmy historię. Po wypiciu mulistego naparu na twarzach uczestników seansu dał się zauważyć tłumiony wyraz rozczarowania...

– No i co? – dowiadywał się zawiedziony autor seansu oczekujący entuzjazmu dla swego skarbu.

Ano nic. – To nie jest dobre – orzekła zgodnie grupa degustujących. – Poprosimy o zwykłą herbatę assam. Czarną, świeżo naparzoną w porcelanowym czajniczku i w filiżankach, ewentualnie w szklankach.

No cóż, przyzwyczajenie (kulinarne) jest drugą naturą człowieka. ☺☺



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Jak (nie) zostałem celebrytą

Każda epoka ma swój klucz do sławy. W średniowieczu popularność można było zyskać, dokonując brawurowej egzegezy św. Augustyna, w wieku XIX wypadało pisać wielotomowe powieści lub śpiewać w operze, w wieku XX świetnie mieli się aktorzy. Teraz ludzie są znani nie bardzo wiadomo dlaczego.

Otóż miałem niesamowitą okazję dołączyć do tej zacnej grupy. Na przełomie sierpnia i września chorowałem na COVID, o czym ośmieliłem się napisać tutaj oraz opowiedzieć w jeszcze innym medium. Okazało się, że idealnie trafiłem w okienko. Ludzie przeczuwali już, że nadchodzi druga, zapewne silniejsza, fala koronawirusa i nagle zapragnęli się dowiedzieć, co się właściwie dzieje podczas tej choroby. Media z właściwym sobie instynktem wyczuły ten trend i chciały dać publiczności to, czego oczekiwała. Jednak na tym etapie chorych nie było znowu tak wielu, a chorych, którzy potrafią opowiedzieć o swoich przeżyciach, jeszcze mniej. Nieskromnie zaliczam się do tej ostatniej kategorii, a moja pycha jest uzasadniona, ponieważ nagle rozdzwonił się mój telefon.

Co tu dużo gadać. Wszyscy chcieli mnie mieć. Radia, telewizje, portale, tygodniki, gazety. Każdy chciał, żebym opowiedział, jak to jest, kiedy się złapie koronę. Miałem niesamowitą okazję wskoczyć na etat COVID-owego celebryty. Bo może zauważyliście, że w mediach istnieją takie nieformalne

etaty dla specjalistów (lub pseudospecjalistów) z różnych dziedzin. Jak potrzeba gdzieś antyterrorysty, to się zaprasza Dziewulskiego. Jak ma być detektyw, to musi być Rutkowski. Jak dyrektor szkoły, to zaprasza się takiego łyszego gostka z podstawówki w Warszawie, do której chodził kiedyś mój syn, i wiem, że to bardzo zła szkoła, więc absolutnie tego gostka nie należy o nic pytać. Chyba że o to, jak zabijać w dzieciach pasję i pewność siebie.

Miałem więc szansę złapać ten COVID-owy etat. Zostać takim Rutkowskim koronawirusa i dociągnąć na tym przynajmniej do końca pandemii, może i dłużej: jako weteran mógłbym snuć wirusowe wspomnienia. Niestety dla ludzkości i stety dla mnie zazwyczaj odmawiałem. To znaczy parę razy po znajomości się wypowiedziałem, ale zasadniczo byłem stanowczy i nieprzejednany jak Andriej Gromyko, do którego przyłgał przydomek Mister Niet. Ale i tak wspomniano o mnie w Plejadzie, w artykule o „znanych Polakach, którzy zachorowali na koronawirusa”. I tego już mi nikt nie odbierze.

Na więcej jednak liczyć już nie mogę. Przegapiłem swój moment bezpowrotnie. „Znanych Polaków”, którzy złapali to świństwo, jest coraz więcej, więc będzie kto miał opowiadać. Nawet dla znajomych przestałem być już atrakcyjny. Jeszcze niedawno byłem jedyną osobą z ich świata, która zachorowała. A teraz... ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Na obiedzie u Arniego

Zprzeróżnych złych tekstów, które przez lata napisano na temat relacji polsko-niemieckich oraz drugiej wojny światowej, trudno byłoby wybrać najgorszy. Kandydatów jest tak wielu, że bez problemu można z nich ułożyć antologię. A jednak czasami zdarzają się perełki, takie jak felieton pt. „Niemcy przezwyciężyły swoją historię. Dlaczego Polska nie może?”, opublikowany na portalu Politico.eu. Jego autor, William Echikson, dyrektor biura UE na rzecz Postępowego Judaizmu w Brukseli, z gracją połączył wszystkie złote standardy gatunku: paternalizm, protekcjonalny ton, półprawdy i dwójmyślenie. Może właśnie dlatego jego tekst bez cienia polemiki opublikowano, a w pewnych kręgach dziennikarsko-publicystycznych przyjęto ze zrozumieniem jako tzw. gorzką prawdę.

Proszę zamknąć oczy, zrelaksować się i wyobrazić, że przenosimy się w słoneczne popołudnie do stolicy Francji. „Ponad trzy dekady temu spotkałem w Paryżu młodego niemieckiego dyplomate. Nazywał się w trudny do wymówienia sposób: Arndt Freytag von Loringhoven. Dla mnie był to po prostu Arnio: łagodny z usposobienia, choć wielkiej postury, poliglota, kulturalny ojciec dwóch wspaniałych chłopców, który wraz z żoną Barbarą, dziennikarką, urządził miłe, stymulujące i pyszne kolacje” – pisze Echikson. Panowie się polubili, podjadali smakołyki i rozmawiali o życiu. Aż tu nagle, co się okazuje? „Dopiero później dowiedziałem się,

że ojciec Arniego, Bernd, był oficerem Wehrmachtu, który przygotowywał notki informacyjne w bunkrze Hitlera” – relacjonuje dyplomata. Na szczęście szokujące odkrycie, które „zaskoczyło urodzonego w Ameryce Żyda”, „nie zniszczyło ich przyjaźni”. Niestety, zdaniem autora – ponieważ Arnio to obecny ambasador Niemiec w Polsce – ze względu na początkowe obiekcje Warszawy popsuło przyjaźń między naszymi państwami.

A przecież nie powinno, ponieważ choć „Polacy ucierpieli niezmiennie podczas drugiej wojny światowej”, to jednak „powinni przestać dążyć do wykorzystywania swojej bolesnej przeszłości i zniekształcania teraźniejszości”. W końcu, co było złego, już minęło, a „nowoczesne demokratyczne Niemcy są przyjacielem” Polski, gdzie dzięki Unii „półki sklepowe są pełne”. Niestety ktoś wkłada kij w szprychy postępu, „upierając się, że w czasie drugiej wojny Polacy ucierpieli tak samo jak Żydzi” oraz „zabraniając dyskusji o współudziale w Holokauście polskich organizacji państwowych i wojskowych”. W ten sposób nasz kraj ma „zatrwać stosunki z Niemcami”, jednocześnie żądając reparacji. A przecież wystarczy zapamiętać, w końcu „ojciec Arniego był zawodowym oficerem armii i nie został oskarżony o żadne zbrodnie wojenne”. Zapomnieć, nie epatować wiktymizacją, nie porównywać się do innych. A teraz proszę sobie wyobrazić, że słowo „Polska” zastępujemy w tym tekście słowem „Izrael”. Aż strach, prawda? ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czarne chmury?

Trzysta pięćdziesiąt lat temu, w listopadzie 1670 r., agenci brandenburscy porwali z Warszawy przywódcę szlacheckiej opozycji wobec rządów Pruskim, pułkownika wojsk koronnych Christiana von Kalcksteina. To historyczne wydarzenie stało się kanwą dla twórców serialu fabularnego „Czarne chmury”. Filmowy płk Dowgird miał jednak więcej szczęścia niż jego historyczny pierwowzór. Kalckstein po przewiezieniu do Księstwa Pruskiego na rozkaz elektora Fryderyka Wilhelma Hohenzollerna został osadzony w twierdzy w Kłajpedzie. Tam go poddano torturom, a na koniec ścięto jako zdrajcę.

cała para poszła w gwizdek. Rzucono gromy na Hohenzollerna, ale sejm został zerwany i skończyło się na niczym. Potem przyszedł nawała turecka (1672), utrata Kamieńca Podolskiego, hańbiący traktat w Buczaczu. Rzeczpospolita miała większe zmartwienia na głowie i nikt już nie pamiętał o skandalu porwania pułkownika wojsk polskich spod królewskiego boku.

Warto przypomnieć dramatyczne losy Kalcksteina z paru powodów. Po pierwsze, pokazują one coś, o czym pruska i niemiecka historiografia oraz berlińska „polityka historyczna” (do dzisiaj) najchętniej by zapomniały, tj. atrakcyjność kulturową Polski dla sporej części poddanych elektora brandenburskiego jako księcia pruskiego. Przecież zarówno Kalckstein – przywódca szlacheckiej opozycji, jak i Hieronim Roth – przywódca opozycji mieszczańskiej z Królewca byli w sensie etnicznym Niemcami, podobnie jak wielu innych uczestników stanowej opozycji nad Pregolą. Wszyscy oni podziwiali kulturę polityczną Rzeczypospolitej, kraju stanowych swobód. Tęsknili do czasów sprzed 1657 r., gdy Księstwo Pruskie było lennem Korony Polskiej.

Przywódcy stanowej opozycji świadomie też nawiązywali do roku 1454, gdy poddani państwa zakonu krzyżackiego dobrowolnie oddali się pod panowanie króla Polski. Jeszcze na początku XVIII w. urzędnicy brandenburscy przysyłali do Księstwa Pruskiego raportowali o utrzymujących się tam propolskich sympatiach.

Ta realnie istniejąca polska „soft power” została przez Rzeczpospolitą całkowicie zmarnowana.

I to jest kolejna lekcja płynąca ze sprawy Kalcksteina. Nie tylko bowiem zmieniająca się na naszą niekorzyść koniunktura międzynarodowa (wojna z Turcją) była temu winna. Kluczową rolę w paraliżowaniu w samym zarodku jakichkolwiek prób aktywnej polskiej polityki na „pruskim odcinku” odgrywały całe pokolenia brandenburskich jurgieltników. W tym samym czasie, gdy Hohenzollern krwawo rozprawiał się ze stanową opozycją w Księstwie Pruskim, jego agenci wpływu ulokowani po sejmikach i w sejmie całej Rzeczypospolitej działali – zgodnie z instrukcjami odebranymi z Berlina – jako obrońcy „polskich wolności i praw Rzeczypospolitej”. Aż chciałoby się rzec, że obrona polskiej „praworządności” powiązana z pozyskiwaniem „funduszy pomocowych” ma naprawdę bardzo długą historię.

Ostatnia lekcja ze sprawy Kalcksteina dotyczy chwili obecnej. Polska polityka historyczna w relacjach z naszym zachodnim sąsiadem nie może być tylko reaktywna, tj. ożywiać się pod dyktando wypowiedzi takiego czy innego polityka niemieckiego, takiego czy innego niemieckiego filmu. Musi być długofalowa i przemyślana. Aby tak było, nie tylko należy przypominać o niemieckich zbrodniach, o niemieckim Kulturtregerstwie i antypolskich stereotypach (polnische Wirtschaft), lecz także o atrakcyjności Polski – przez stulecia! – dla wielu Niemców. To przecież nie tylko antybrandenburska opozycja w Księstwie Pruskim, lecz także polonizujący się Niemcy, którzy w XIX w. przybywali na nasze ziemie, by umacniać na nich władzę państw zaborczych. Jeden jednak warunek: należy zahamować obumieranie w Polsce historycznych studiów niemcoznawczych. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



W Rzeczypospolitej „sprawa Kalcksteina” poruszyła naród szlachecki. Na sejmikach domagano się przykładowego ukarania wykonawców i organizatorów (czytaj: Hohenzollerna, do 1657 r. lennika Korony jako władcy Prus Książęcych). Wtedy elektor uruchomił swoją agenturę wpływu, czyli jurgieltników regularnie pobierających fundusze pomocowe z Berlina. Oni zadbali o to, by na kolejnym sejmie

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Na rancho obok buduje się jakiś Nowy. Nie widzę go, bo to za daleko, ale słyszę czasami, gdy wiatr wieje z tamtej strony. Niekiedy w oddali błysnie jakaś żółta koparka.

Kim jest ten nowy, nikt nie wie, ale krążą plotki, że uciekinier z Kalifornii. Tych z Kalifornii tu się nie lubi ani nie ceni. Kalifornia to inny świat, nie nasz. Punktowo, i to w wielu miejscach, Kalifornia jest bardzo piękna, godna podziwu, zachwycająca; wielka w najlepszym znaczeniu tego słowa. Ale ogólne, standardowe i statystyczne nasze podejście do Kaliforniaków przypomina podejście do Ruskich w Polsce.

Nie chcemy ich tu i na zawsze pozostają obcy. Jak ciernie na tyłku prerii, która jest dumna ze swojego tyłka, ze swojego „zacofania”, ze swojego bycia zadupiem świata. Nie chcemy, by ktoś nam tu zajeżdżał z nowoczesnością i ze swoimi zmianami świata na lepsze.

Mentalność prerii przypomina mentalność lodowca lub moreny czołowej – zmiany nadchodzą falami, gdy coś ważnego napiera ze świata, jakieś duże wydarzenie typu druga wojna światowa, która wymaga poświęceń, wymaga wyjścia z prerii na front, lub jakieś istotne zjawisko typu Internet albo wynalezienie samochodu. Takie rzeczy nacierają na nas silną falą, a potem się lekko cofają. Po lodowcu zostają głązy narzutowe, ale reszta lodowca odchodzi. Po wynalezieniu w USA samochodów trochę ich przyjęliśmy, ale nie wszystkie i nie tyle, ile gdzie indziej – na prerii głazami narzutowymi lodowca motoryzacji są głównie pikapy i sporadycznie jakaś koparka



FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. KRZYZDOWSKI

PRAWO BUDOWLANE NA PRERII

lub spychacz – rzeczy potrzebne na rancho. Nie mamy po trzech samochodów osobowych na rodzinę, Internet też mamy raczej punktowo, tam, gdzie konieczny i PRZYDATNY, faxów nie mieliśmy w zasadzie nigdy – przeczekaliśmy ten czas, gdy były modne, i doczekaliśmy bez nich czasu, gdy zniknęły. I wciąż mamy tu lekarzy, którzy chętnie przyjadą odebrać poród w domu. Niektórzy nawet rozliczają się w cieletach, a nie w dolarach.

Na prerii wciąż mniej jest smartfonów niż tych starszych telefonów z klawiszami, w które się puka palcem, zamiast miziać. Mizianie jest takie niemęskie. I nie pasuje do kowbojskiego palucha, który często umazany jest

czymś, co pochodzi z krowy lub z ludzkiego nosa, lub z puszki farby do malowania stodoły.

Dlatego ten Nowy (Kaliforniak), który się tu buduje, jest nadal nieznany nikomu, a sam chyba zdaje sobie sprawę z tego, że nie powinien do nas startować. To dobrze o nim świadczy – wie, że powinien zaczekać. Tak jak warszawiak, który kupił mieszkanie w Krakowie, też powinien zaczekać, zanim zostanie krakusem. (Z tego, co wiem o Krakowie, powinien zaczekać jakieś dwieście lat i bardzo się starać, żeby to było tylko dwieście).

Ktoś powie, że przecież skoro Nowy się buduje, to moglibyśmy podjechać do takiej żółtej tablicy, na której wypię-

sano, kto jest inwestorem, co stawia, kto nadzoruje budowę, i z tej tablicy dowiemy się wszystkiego o nim.

Tu nie ma takich tablic, bo tu panuje wolność. Nikomu nic do tego, co na mojej ziemi stawiam, kto u mnie pracuje i kto zainwestował. Te żółte tablice w Polsce przypominają kenkartę lub opaskę z symbolem gwiazdy – naprawdę źle się kojarzą. Podobnie jak źle się kojarzy całe prawo budowlane.

– Jest pan za samowolką?

– W zasadzie tak, lecz

„samowolka” to brzydkie słowo z tego samego komunistycznego słownika co „kułak” lub „badylarz”, lub „cinkciarz”. Jestem więc za wolnością, swobodą, samodzielnością i niewtrącaniem się urzędów w moje sprawy. Za wolnością gospodarczą, budowlaną i tak dalej. Moja ziemia, moje cegły i nikomu nic do tego, czy zbuduję sobie dom, który mi się potem zawali na głowę. Moja głowa. A gdyby się zawalił na głowę sąsiada, to od tego są sądy, a nie prewencyjne prawo budowlane. Urzędas ze starostwa, na pensji wynoszącej 3800, decyduje o mojej inwestycji za 300 000, w którą wkładam oszczędności całego życia lub kredyt na lat 30? Granda. Zniewolenie. Tyrania.

Gdyby obecnie obowiązujące prawo budowlane zastosować do zamku w Malborku, to trzeba go wyburzyć – klątki schodowe w wieżach niezgodne z przepisami pożarowymi i ten kibel zawieszony dziesięć pięter nad fosą... Rynek krakowski cały do wyburzenia, bo kamienice stoją zbyt ciasno – bez ustawowego odstępu. A gdyby w dawnych czasach istniał naczelný urbanista lub konserwator zabytków, nigdy nie wyszlibyśmy ze stylu romańskiego w gotyk – bo „te wysokie okna w projekcie katedry nie zgadzają się z romańskim planem zagospodarowania przestrzeni”. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl 3106c3c9f1

Weź udział

w unikatowym Programie dla
Akcjonariuszy Indywidualnych
PKN ORLEN

OSZCZĘDZISZ NA PALIWIE
AŻ DO 540 ZŁ ROCZNIE

KUPISZ TANIEJ
NA STACJACH PKN ORLEN

**ZYSKASZ WIEDZĘ O RYNKACH
FINANSOWYCH** W AKADEMII
INWESTOWANIA

OTRZYMASZ CERTYFIKAT
SYGNOWANY PRZEZ
CFA SOCIETY POLAND

31 Pułapki

podatkowego ryczałtu

24 Nowy sposób

na bezpieczną inwestycję

40 Piątka piwowarów,

czyli jak odbudować biznes

Konserwatywny magazyn ekonomiczno-społeczny



Forum Polskiej gospodarki

Nr 5 (5) październik 2020

0,874 €

13

Raport:

Inwestycje
w zieloną energię

30

Technologia

modułowa
przyszłością
budownictwa

26

Dlaczego rząd
likwiduje ulgę
abolicyjną?

34

Piotr Skarga

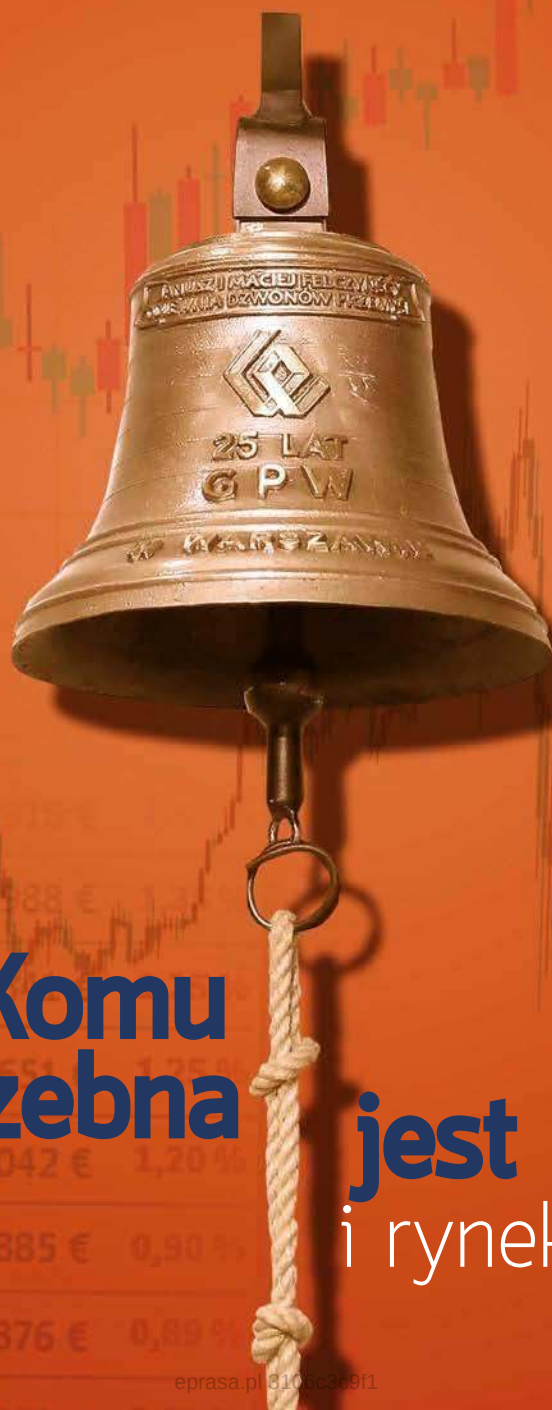
prekursor
bankowości
i czarna legenda
o pochowaniu
żywem

Felietony:

Gniadek SVD
Palutkiewicz
Hofman

6 Komu
potrzebna

jest giełda
i rynek kapitałowy



FPG24.PL

Zawsze w stronę **przedsiębiorcy...**



Konserwatywny serwis ekonomiczno-społeczny



06



26



30

06. CZY POLSKA GOSPODARKA POTRZEBUJE RYNKU KAPITAŁOWEGO?

Plan dla polskiej giełdy jest. Plan traktowany poważnie. Istnieje więc realna szansa na jego wdrożenie. To dobre wieści, bo potrzebujemy rynku kapitałowego.

11. BIOMETAN JEDNYM Z FILARÓW TRANSFORMACJI ENERGETYCZNEJ

Chcemy, by za 10 lat płynęło w naszych sieciach co najmniej 10 proc. paliwa powstałego z odnawialnych źródeł energii – przyznaje prezes PGNiG Jerzy Kwieciński.

13. RAPORT: INWESTYCJE W ZIELONĄ ENERGIĘ

Jak przedstawiają się ambitne plany polskich spółek związanych z inwestycjami w odnawialne źródła energii?

22. FISKUS ŻĄDA OD NAS CORAZ WIĘCEJ INFORMACJI

Duże firmy opodatkowane CIT będą miały od 1 stycznia obowiązek sporządzania i publikowania na stronie internetowej sprawozdania z realizacji strategii podatkowej za każdy kolejny rok podatkowy.

24. NOWY SPOSÓB NA BEZPIECZNĄ INWESTYCJĘ

Na rynku nieruchomości pojawił nowy produkt, który cieszy się coraz większą popularnością wśród Polaków. To apartamenty wakacyjne o charakterze inwestycyjnym.

26. DLACZEGO RZĄD LIKWIDUJE ULGĘ ABOLICYJNĄ?

Kurczące się wpływy podatkowe, a z drugiej strony rosnące wydatki budżetowe powodują, że rząd szuka coraz to nowszych źródeł uzupełnienia braków fiskalnych.

30. PUŁAPKI PODATKOWEGO RYCZAŁTU

Od nowego roku więcej podatników będzie mogło płacić podatek dochodowy w formie ryczałtu. Wzrośnie także limit przychodów uprawniających do ryczałtu.

34. PREKURSOR BANKOWOŚCI I FAŁSZYWA LEGENDA O POCHOWANIU ŻYWCEM

Lata mijają, a wersja o pogrzebaniu żywcem księdza Piotra Skargi żyje swoim życiem, przysparzając kaznodziei wątpliwej sławy.

39. TECHNOLOGIA MODUŁOWA PRZYSZŁOŚCIĄ BUDOWNICTWA

Niskobudżetowe kompleksy modułowe tworzone jako obiekty tymczasowe przechodzą do przeszłości. W ich miejscu pojawiły się nowoczesne budynki modułowe powstałe z prefabrykowanych materiałów.



Forum Polskiej
g o s p o d a r k i

Wydawca:

Forum Polskiej
Gospodarki Sp. z o.o.
ul. Srebrna 16 lok. 18
00-810 Warszawa
REGON: 386-226-015
NIP: 527-292-86-29
KRS: 0000844719

Redaktor zarządzający:

Krzysztof Budka

Zespół redakcyjny:

Robert Azembski,
Tomasz Cukiernik, Kamil
Gorał, Marek Kutarba,
Jarosław Mańka

Felietoniści:

ks. Jacek Gniadek SVD
Piotr Palutkiewicz
(Związek
Przedsiębiorców
i Pracodawców)
Piotr Hofman

Skład i opracowanie graficzne:

Przemysław Banasiewicz

Korekta:

Anna Zakrzewska

Reklama:

reklama@fpg24.pl

Redakcja Forum Polskiej
Gospodarki nie ponosi
odpowiedzialności za treść
reklam i ogłoszeń.



Przedsiębiorcy i ich realny wpływ na prawodawstwo

Myślą przewodnią tegorocznej edycji Kongresu 590 ma być wizja Polski roku 2030. Odważnie, można by rzec półzartem, biorąc pod uwagę fakt, iż politykom zarzuca się, zresztą słusznie, że często myślą w perspektywie roku albo co najwyżej najbliższych wyborów. Dekada to czasowa perspektywa, do której mało kto dociera. Natomiast to i tak najkrótszy okres, w którym powinno się myśleć, jaki kraj przeżyjemy następnemu pokoleniu. Dobrze więc, że organizatorzy Kongresu 590 chcą rozmawiać o tym, jak Polska ma wyglądać za 10 lat, jaki wpływ na jej gospodarkę i poziom życia obywateli będą miały regulacje wprowadzane dzisiaj przez obecny rząd. Odczytuję to hasło jako sygnał skierowany do wszystkich rządzących, by przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji kierowali się nie sondażami i emocjami społecznymi towarzyszącymi różnym kwestiom, ale rozsądkiem i próbą przewidzenia, jaki skutek te decyzje będą miały za rok, za pięć lat, ale i za dwie dekady.

„Forum Polskiej Gospodarki” będzie jednym z partnerów medialnych tegorocznego Kongresu 590. Piszemy o tym nie bez przyczyny, bo „Pięćset Dziewięćdziesiątka” od samego początku kojarzy się i jest „skrojona” przede wszystkim pod polskie firmy i polskich przedsiębiorców. Dużo w niej miejsca zawsze poświęca się temu, jak stymulować rozwój sektora MŚP poprzez otoczenie prawne i podatkowe. A że temat to niezwykle ważny i cały czas aktualny, chyba nie trzeba nikogo przekonywać. Nie od dziś wiadomo, że to właśnie małe i średnie firmy są podmiotami najbardziej

wrażliwymi na zmiany prawa i nowe rozwiązania podatkowe. A zapowiedzi tych zmian przybywa i prawdę mówiąc większość z nich to nie są zmiany na lepsze. Ewentualne dodatkowe ciężary związane z obsługą prawno-podatkową mogą przesądzić o opłacalności biznesu. Zresztą praktyka pokazuje, że złe prawo i niewłaściwe stosowanie obowiązujących regulacji może doprowadzić do bankructwa nawet prężnie działające przedsiębiorstwa. Nie dziwi więc, że wielu polskich przedsiębiorców właśnie otoczenie regulacyjne uważa za jedną z kluczowych barier dla rozwoju swojej działalności. Krótko mówiąc, po raz kolejny na Kongresie 590 warto rozmawiać o tym, jak powinno (a nawet musi) zmieniać się państwo, by mógł rosnąć i rozwijać się polski biznes. Szczególnie że sytuacja jest teraz nieco inna, bo COVID-19 całkowicie przemeblował świat, jaki znamy. Włącznie z gospodarką.

Organizatorzy tegorocznej edycji zapowiadają, że chcą poszukać nowej definicji nowoczesnego patriotyzmu gospodarczego, który już dawno wykroczył poza proste hasło „kupuj polskie produkty”. „W oparciu o te cele damy impuls do integracji społeczności polskich przedsiębiorców i budowania ich realnego wpływu na prawodawstwo i kierunki zmian” – zapowiadają. To też się świetnie składa, bo od samego początku naszej działalności podkreślamy, że polscy przedsiębiorcy z sektora MŚP, który tworzy krwioobieg gospodarki, powinni mieć realny wpływ na prawodawstwo. Szczególnie prawodawstwo podatkowe.

Krzysztof Budka

Łap smak i w drogę

Polecam
Bartosz Zmarzlik

MISTRZ ŚWIATA NA ŻŹŁU

wygodny

poręczny

pyszny



GO Burger
**IDEALNY
W PODRÓŻY**

stop
cafe

reklama



Osiedle

**Słoneczne
Dębki**

**BUDOWA
ROZPOCZĘTA**

**DZIEŃ OTWARTY
14. 11. 2020**



SPRZEDAŻ-KONTAKT

602 613 934
664 417 443
604 934 288



eprasa.pl 31060

**MIESZKANIA 3 POKOJOWE
54 - 61 m² z ogródkami
800 m DO MORZA**



www.slonecznedebki.pl

ZAMIESZKAJ LATEM 2021



Czy polska gospodarka potrzebuje rynku kapitałowego?

Giełda, notowania, potężne korporacje i wielkie transakcje – to chyba pierwsze skojarzenia na hasło „rynek kapitałowy”. Tak najpewniej widzi go przeciętny odbiorca wydarzeń gospodarczych. Tyle że te skojarzenia raczej nie dotyczą Polski. Jeśli już, to podobne obrazy pojawić się mogą w związku ze słynną Wall Street, a nie z ulicą Książęcą w Warszawie. Czemu tak jest? Dobre pytanie, na które postaramy się poszukać odpowiedzi.

Kamil Goral

Dla jasności zaznaczamy, że w tekście określeń giełda i rynek kapitałowy używamy zamiennie. Podręcznikowo nie są to pojęcia tożsame, nie piszemy jednak rozdziału w książce naukowej. Lojalnie więc uprzedzamy, że jeśli nie będzie to wyraźnie zaznaczone, GPW i rynek kapitałowy oznaczać będą to samo, czyli po prostu warszawską giełdę.

Filmy, GetBack i OFE

Przeciętny zjadacz chleba w naszym kraju o giełdzie mógł w ostatnich latach usłyszeć przy kilku okazjach. Pierwsza to hollywoodzkie produkcje takie jak „Wilk z Wall Street” czy oscarowy „Big short”. Te filmy ukazywały rynek jako miejsce, w którym kosmiczne pieniądze „robią” nikczemnicy pozbawieni zasad, za wszelką cenę goniący za zyskiem. Postać Jordana Belforda, genialnie zagrana przez Leonardo DiCaprio, weszła już do kanonów pop kultury. To człowiek, który potrafi sprzedać wszystko i przy okazji nieźle na tym zarobić, oczywiście ze stratą dla swoich klientów. Zgodnie z zasadą – po trupach do celu. Drugi film pokazuje podobne postawy, brak etyki i zupełne nie liczenie się z innymi ludźmi. Pieniądz przede wszystkim.

Kolejna okazja to afery GetBack. Ten wrocławski windykator, którego problemy w 2018 r. doprowadziły do strat dla inwestorów szacowanych na około 2 mld zł, przyczynił się także do potężnego uderzenia w wizerunek rodzimego rynku kapitałowego. Zanim na jaw wyszła prawdziwa sytuacja spółki, GetBack przedstawiany był jako zna-



komicie zarządzany podmiot, mający przed sobą świetlaną przyszłość w rosnącej branży. Tyle teoria. W praktyce okazało się, że wyniki finansowe raportowane przez spółkę miały niewiele wspólnego z prawdą, a ludzie, którzy kupili jej ob-

ligacje, najpewniej nigdy nie zobaczą zdecydowanej większości swoich pieniędzy. W rezultacie zaczęły pojawiać się, skądinąd zupełnie słuszne, pytania o ochronę indywidualnych inwestorów, wiarygodność sprawozdań finansowych i badających je audytorów oraz etyczne standardy niektórych banków, które oferowały swoim klientom toksyczne papiery. Wątki te doczekały się nie tylko oceny moralnej, ale także postępowań sądowych, zarówno cywilnych, jak i karnych.

Last but not least okazji, aby usłyszeć o polskim rynku kapitałowym, było wygaszanie otwartych funduszy emerytalnych. Co te fundusze mają wspólnego z giełdą? Ano to, że przez lata znaczna część składki emerytalnej ubezpieczonych trafiała właśnie do

Przeciętny zjadacz chleba w naszym kraju o giełdzie mógł w ostatnich latach usłyszeć przy kilku okazjach.



OFE, te zaś kupowały za to obligacje skarbowe lub akcje notowanych na warszawskim parkiecie spółek. Rozpoczęta pod koniec XX w. reforma zapewnić miała otrzymanie świadczenia w jesieni życia i przy okazji rozkręcić polską giełdę. Efekt był taki, że faktycznie na GPW coś się działo, OFE generowały popyt i zapewniały płynność obrotu. Tyle że robiły to za publiczne pieniądze w ramach państwowego systemu emerytalnego. Z faktycznym rozwojem rynku kapitałowego w Polsce nie miało to wiele wspólnego. Kiedy zatem jeszcze za rządów PO-PSL rozpoczął się proces wygaszania funduszy, na naszą giełdę padł błąd strach. Zorientowani wiedzieli, że sielanka dobiega końca i po zmianach okaże się, jak to z polskim rynkiem jest naprawdę, bez wspomagaczy pod nazwą OFE.

Marazm

Zanik OFE i afera GetBack to były ciężkie ciosy dla GPW. W efekcie na warszawskim parkiecie od lat dzieje się raczej niewiele. A świadczy o tym dramatycznie niska liczba debiutów. Jeszcze w 2007 r., tuż przed wybuchem globalnego kryzysu finansowego, przy Książęcej pojawiło się aż 81 nowych spółek. Rosły aktywa funduszy inwestycyjnych lokujących środki w akcje, OFE działały bez przeszkód, a o ich likwidacji nikt nie myślał. Ludzie wierzyli, że giełda może dać im bogactwo. Ten czas nie trwał jednak zbyt długo.

Rok później upadł bank Lehman Brothers, indeksy leciały na łeb na szyję, a inwestorzy przestali patrzeć na giełdę w ten sam sposób co przedtem.

Kolejne lata dla GPW to już równia pochyła. Debiutów było coraz mniej, na głów-

nym parkiecie w 2018 r. pojawiło się tylko siedem firm, rok później wynik ten został powtórzony. Tak słabo nie było od 15 lat. Dodatkowo coraz więcej spółek decydowało się na opuszczenie głównego rynku. W 2018 r. tzw. delistingów było aż 25, o 18 więcej niż debiutów. W 2019 r. sytuacja wyglądała podobnie. Lata 2018–2019 to także wyraźny spadek obrotów akcjami.

Powiew ożywienia przynieść miały Pracownicze Plany Kapitałowe. W odróżnieniu od OFE udział w nich nie jest obowiązkowy, jednak aby zrezygnować z członkostwa w planach, należy złożyć pracodawcy stosowną deklarację. PPK wystartowały w lipcu ubiegłego roku i początkowo objęły największe firmy zatrudniające powyżej 250 osób. Podane na początku 2020 r. przez Polski Fundusz Rozwoju staty-

fot. PAP/Rafał Guz

W październiku zeszłego roku Rada Ministrów przyjęła strategię rozwoju rynku kapitałowego na lata 2019–2023.

styki dotyczące partycypacji w planach nie okazały się najlepsze. Niemal dwóch na trzech pracowników największych przedsiębiorstw zrezygnowało z uczestnictwa w PPK. Od stycznia planami są objęte także mniejsze podmioty, jednak w związku z pandemią harmonogram uruchomienia tego etapu kapitałowego oszczędzania na emeryturę został przesunięty o pół roku, z marca na końcówkę października.

Biorąc pod uwagę staby start w dużych firmach, trudno oczekiwać, że plany zasadniczo poprawią losy polskiego rynku kapitałowego. A warto pamiętać, że były uruchamiane w innej rzeczywistości gospodarczej, z 5-procentowym bezrobociem i szybko rosnącymi pensjami. Obecnie sytuacja na rynku pracy nie wygląda już tak różowo, wiele osób obawia się utraty zatrudnienia i dużo skrupulatniej liczy każdy grosz. W tym kontekście trudno oczekiwać wielkiego zainteresowania PPK.

Jest strategia

W październiku zeszłego roku Rada Ministrów przyjęła strategię rozwoju rynku kapitałowego na lata 2019–2023. We

wstępie do tego dokumentu czytamy „Jednym z najważniejszych gospodarczych wyzwań, przed jakimi stoją współczesne rządy, jest konieczność zapewnienia krajowym przedsiębiorstwom możliwie szerokiego dostępu do finansowania ich działalności, co pozwoliłoby im pozyskiwać środki na inwestycje, zwiększyć zatrudnienie i tym samym przyczynić się do wzrostu gospodarczego. Ze względu na postępujący proces starzenia się społeczeństw konieczne jest również wypracowanie rozwiązań zapewniających godziwe emerytury obywatelom. Dobrze rozwi-

nięty i efektywny rynek kapitałowy może być istotnym wsparciem w podejmowaniu się obu tych wyzwań”.

I trudno się z tym stwierdzeniem nie zgodzić. Co zatem oferuje strategia? Dokument liczy prawie 80 stron i zawiera wiele ważnych propozycji.

W SRRK zaproponowano m.in. ciekawe rozwiązania podatkowe, mające zachęcić inwestorów do zainwestowania oszczędności na giełdzie, a inwestorów do tego, aby się na niej pojawili. Są wśród nich:

- „ukosztownienie” nakładów na IPO do wysokości 125 proc. poniesionych wydatków,
- zwolnienie z podatku u źródła odsetek od euroobligacji dopuszczonych do obrotu na rynku państwa członkowskiego Unii Europejskiej,
- preferencje w zakresie opodatkowania zaproponowanych przez SRRK obligacji rozwojowych,
- możliwość kompensaty strat i zysków kapitałowych dla inwestorów,
- obniżenie opodatkowania dywidend nawet do 9 proc.

Oczywiście powyższe hasła wymagają rozwinięcia i uszczegółowienia. Czuwać ma nad tym m.in. pełnomocnik ministra finansów ds. strategii Antoni Repa. W wywiadzie dla portalu fpg24.pl w kontekście strategii minister Repa wskazał na inne kluczowe obszary dla realizacji założeń zawartych w tym dokumencie: – Głównym celem Strategii Rozwoju Rynku Kapitałowego jest zapewnienie polskim przedsiębiorstwom, w tym szczególnie z sektora



OD 10 LAT WSPIERAMY PIŁKĘ RĘCZNĄ



GRAMY Z WAMI OD LAT

PGNiG od 2010 roku jest Sponsorem Strategicznym Polskiej Piłki Ręcznej. Nieprzerwanie już kolejny rok wspiera seniorskie Reprezentacje Polski Kobiet i Mężczyzn, Reprezentacje Młodzieżowe, a także jest sponsorem tytularnym Superligi oraz Pucharu Polski Kobiet i Mężczyzn.



MŚP, lepszego dostępu do różnych źródeł finansowania. Strategia przewiduje pakiet konkretnych działań, dokładnie 90, o charakterze strukturalnym, w tym: poprawiających ład korporacyjny, z zakresu nadzoru i regulacji, innowacji (Fintech szczególnie), których celem jest zachęcenie do inwestowania w Polsce. W obecnej sytuacji niektóre z zadań nabierają bardziej pilnego charakteru i prace nad nimi przyśpieszamy. Ministerstwo będzie jednocześnie wykazywało dużą wrażliwość we wdrażaniu poszczególnych rozwiązań SRRK, wsłuchując się w głos uczestników rynku – stwierdził.

Z kolei prezes GPW Marek Dietl jeszcze pod koniec zeszłego roku tak mówił o strategii na fpg24.pl:

– Wierzę, że SRRK będzie realizowana. Jej powstanie to duży sukces rynku kapitałowego, który zabiegał wiele lat o przyjęcie tego dokumentu. Propozycjami o największym ciężarze gatunkowym są zapisy dotyczące Sądu Rynku Kapitałowego oraz Obligacji Rozwojowych. SRRK zakłada, że miałyby one stałą stopę procentową. Mogłyby je emitować zarówno firmy prywatne, jak i powiązane z państwem spółki specjalnego przeznaczenia, np. CPK. Gdyby te obligacje mogły być używane w transakcjach warunkowych z bankiem centralnym, to banki chętnie lokowałyby w nie swoją nadmiarową płynność. Pozwoliłoby to część wydatków inwestycyjnych dotychczas finansowanych z budżetu państwa pokryć bez zwiększania deficytu i długu publicznego.

Czytając te wypowiedzi, odnosi się wrażenie, że plan dla polskiej giełdy jest, że jest on traktowany poważnie i jest realna szansa na jego wdrożenie. I to dobre wieści, bo odpowiedź na postawione w tytule tekstu pytanie jest pozytywna. Tak, potrzebujemy rynku kapitałowego, w tym także silnej giełdy. Szczególnie teraz, kiedy rośnie zapotrzebowanie na kapitał z wyższą tolerancją dla ryzyka niż na przykład to, jakie akceptują banki.

Z giełdy płyną też obiecujące informacje, jak chociażby ta o planach przejęcia parkietu w Erywanii. Na korzyść GPW działa także środowisko niskich stóp procentowych, które skłaniać może część oszczędzających do lokowania środków w akcje i inne aktywa kapitałowe.

Biometan jednym z filarów transformacji energetycznej

Chcemy, by za 10 lat płynęło w naszych sieciach co najmniej 10 proc. paliwa powstałego z odnawialnych źródeł energii – stwierdził podczas VI Kongresu Energetycznego DISE Jerzy Kwieciński, prezes Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa.

fot. PGNiG SA

Wrocławski kongres odbywał się pod hasłem „Zielony Europejski Ład w Polsce”. Jednym z gości honorowych wydarzenia był minister klimatu Michał Kurtyka, który przypomniał założenia Polityki Energetycznej Polski. – Oparta jest ona na trzech filarach. Pierwszy to sprawiedliwa transformacja, czyli stanowisko i przekonanie do tego stanowiska naszych partnerów z Unii Europejskiej, że Polska potrzebuje więcej solidarności w drodze do osiągnięcia neutralności klimatycznej. Drugi filar to rewolucja paradygmatu energetycznego – od centralnie sterowanego do oddolnego. Wreszcie trzeci filar to wyzwanie dotyczące radykalnego podniesienia jakości powietrza, jakim oddychamy – zaznaczył minister Kurtyka.

Unijna polityka klimatyczna to wyzwanie nie tylko dla rządu, ale przede wszystkim dla polskich spółek energetycznych.

– Nasi koledzy z Orle-
nu już we wrześniu ogłosili, że do 2050 r. ich koncern osiągnie neutralność klimatyczną. Niedługo mają zaprezentować

szczegółową strategię dojścia do tego celu. My też niebawem zaprezentujemy aktualizację własnej strategii. A skoro będziemy łączyli siły, każdy bez problemu może się domyślać, co będzie naszym celem – przyznał prezes PGNiG Jerzy Kwieciński.

Zwolennicy „łączenia sił” Grupy LOTOS oraz PGNiG z PKN ORLEN podkreślają, że ta konsolidacja pozwoli zbudować jeden, silny koncern multienergetyczny, który wzmocni pozycję Polski w regionie i na świecie.

W cele nowej polityki klimatycznej polskich spółek energetycznych wpisuje się m.in. program biometanowy, jaki realizuje PGNiG. – Gaz ziemny traktujemy jako paliwo przejściowe. Zużycie tego gazu będzie rosło nie tylko w Polsce, ale również w całym regionie. W dłuższej perspektywie czasowej na rynek gazu będziemy jednak patrzyli nieco inaczej. Celowo nazywałbym go właśnie rynkiem gazu, a nie rynkiem gazu ziemnego. Dlatego że gaz ziemny będziemy systematycznie zastępować paliwami alternatywnymi – zaznaczył prezes PGNiG. – Takim paliwem

odnawialnym jest m.in. biometan. W tej chwili nie płynie on jeszcze w naszych sieciach, ale mam nadzieję, że na przełomie roku uda się nam podłączyć pierwszą taką instalację – dodał Jerzy Kwieciński.

Prezes PGNiG przypomniał, że plan spółki jest taki, by w ciągu dekady produkować w Polsce cztery miliardy metrów sześciennych biometanu. A to oznacza wybudowanie nawet dwóch tysięcy biometanowni.

– Założenie jest takie, by za 10 lat płynęło w naszych sieciach co najmniej 10 proc. biometanu. Warto jednak dodać, że ten gaz będzie wykorzystywany nie tylko w sieciach gazowych, ale również w transporcie, sektorze chemicznym, a także przy produkcji czystego wodoru, który nie bez przyczyny nazywany jest paliwem przyszłości. Dlatego w ciągu najbliższych czterech lat na realizację działań badawczych w ramach programu wodorowego nasz koncern przeznaczy najmniej 31 mln zł – przyznał prezes PGNiG.

**MATERIAŁ PRZYGOTOWANY
WE WSPÓŁPRACY Z PGNiG SA**



Jacek **Gniadek** SVD

Co widać i czego nie widać

To tytuł książki Frédérica Bastiata. Ten XIX-wieczny francuski wolnorynkowy ekonomista pisał, że dobry ekonomista to taki, który potrafi dostrzec długofalowe skutki swoich decyzji. To samo dotyczy lekarzy. Prof. Ryszard Rutkowski z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku twierdzi, że epidemia koronawirusa jest wyolbrzymiona. Nie wynika to z braku wystarczającej wiedzy na temat nowego wirusa. Przyczyną jest sam system.

Dr Paweł Basiukiewicz, kardiolog i internista, trafnie za-uważył, dlaczego lekarze w prywatnych gabinetach nie udzielają teleporad i przyjmują pacjentów osobiście. Odpowiedź jest bardzo prosta. Nikt za taką usługę by im nie zapłacił. W przychodni państwowej lekarze rodzinni nie muszą spotykać się z chorymi, ponieważ mają płacone ryczałtem. To nie tylko wina lekarzy. Większość Polaków od lat głosuje za państwem opiekuńczym. Ostrzegał przed tym św. Jan Paweł II w encyklice „Centesimus annus”, pisząc, że w takim państwie „dominuje logika biurokratyczna,

aniżeli troska o to, by służyć korzystającym z nich ludziom”.

O zdrowiu publicznym nie możemy mówić bez uwzględnienia kosztów alternatywnych zamknięcia gospodarki i szkół oraz zakazu wyjścia z domu. W nagtówku artykułu mainstreamowego BBC przeczytałem, że prawie milion kobiet w Wielkiej Brytanii mogło nie zrobić badań przesiewowych w kierunku raka piersi, ponieważ służba zdrowia była zajęta walką z koronawirusem, a ludzie żyli w panicznym strachu. Kosztem alternatywnym tej decyzji za kilka miesięcy będzie prawdopodobnie większa liczba zgonów wśród kobiet.

Resort zdrowia opublikował projekt rozporządzenia w sprawie dodatków finansowych, z którego wynika, że pracownicy sanepidu wykonujący kontrole w czasie pandemii dostaną więcej pieniędzy. To może wywołać tzw. efekt kobry. Termin w ekonomii pojawił się za sprawą Brytyjczyków, którzy w czasach kolonialnych rządów w prowincji Delhi wprowadzili nagrodę pieniężną za każdą odciętą głowę kobry.

Mieli dobre intencje. Chcieli zwalczyć plagę jadowitych węży, które stanowiły śmiertelne zagrożenie dla mieszkańców. Początkowo przynosiło to dobry skutek i populacja kobr zaczynała spadać, ale przedsiębiorczy Hindusi wpadli na pomysł, by te koby hodować. Efekt był przeciwny od zakładanego. Na ulicach miast pojawiły się znowu jadowite węże i to w jeszcze większej liczbie. Podobny efekt mogą mieć dzisiaj premie dla pracowników tych służb, którym walka z koronawirusem przynosi dodatkowe dochody.

Problemem jest nie tylko odpersonalizowana ekonomia i służba zdrowia. Dziś większość ludzi żyje w strachu, ponieważ słucha publikowanych codziennie przez rząd komunikatów o liczbie nowych zarażeń koronawirusem. W strachu żyją także politycy. Koniec epidemii ogłoszą dopiero wtedy, kiedy ta decyzja nie będzie miała wpływu na spadek poparcia.

Na własne żądanie znaleźliśmy się w sytuacji, z której nie widać wyjścia. „To nie kryzys, to rezultat” – jak mawiał śp. Stefan Kisielewski.

Raport

INWESTYCJE W ZIELONĄ ENERGIĘ

PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PKN ORLEN jako pierwsza firma paliwowa w Europie Środkowej zapowiedział osiągnięcie neutralności emisyjnej do 2050 r. Taka strategia ma realne i mocne podstawy. Łącznie na inwestycje w tym obszarze koncern planuje przeznaczyć ok. 25 miliardów złotych. W perspektywie 10 lat da to możliwość zrealizowania ponad 60 projektów zwiększających jego efektywność energetyczną.

Do 2030 r. koncern zamierza zredukować o 20 proc. emisje CO₂ z obecnych aktywów rafineryjnych i petrochemicznych oraz o 33 proc. CO₂/MWh z produkcji energii elektrycznej. Strategię dążenia do neutralności emisyjnej PKN ORLEN oparł na czterech filarach: efektywności energetycznej produkcji, zeroemisyjnej energetyce, paliwach przyszłości oraz na zielonym finansowaniu. **Przede wszystkim będą to inwestycje zwiększające efektywność emisyjności obecnych segmentów biznesowych, ale również rozwój nowych obszarów w zakresie paliw alternatywnych.**

Odważna strategia

Ekspert są przekonani, że przyniesie to nie tylko wymierne oszczędności i korzyści samej Grupie ORLEN, pozwalając jej stać się regionalnym w liderem zmian w zakresie upowszechniania zielonej energii, ale także środowisku naturalnemu i całej polskiej gospodarce.

– *Plany PKN ORLEN są nie tylko bardzo ambitne, ale też jak najbardziej realne. Mając na uwadze, jak dynamicznie w ostatnich latach rozwija się ten koncern i jak dobre wyniki finansowe prezentuje, można bez sceptycyzmu patrzeć na jego strategiczne cele w dochodzeniu do neutralności emisyjnej* – komentuje Maria Cholewińska, prezes Fundacji Instytut im. Kazimierza Promyka.

Prezes PKN ORLEN Daniel Obajtek już we wrześniu podczas Forum Ekonomicznego 2020 oświadczył, że jako największa firma w regionie PKN ORLEN chce jeszcze mocniej zaangażować się w proces osiągania neutralności klimatycznej i ma ku temu silne podstawy. Podkreślił, że realizacja planowanych





przez PKN ORLEN przejęć pozwoli w pełni wykorzystać nowe możliwości, jakie niosą ze sobą globalne trendy w energetyce i konsekwentnie budować wartość koncernu w długiej perspektywie.

– Jestem przekonany, że PKN ORLEN ma równe szanse w rywalizacji z innymi narodowymi koncernami, jeśli chodzi o skuteczną realizację zielonej strategii – mówi Andrzej Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha. – Ponieważ jednak perspektywa roku 2050 jest dość odległa, a ciągle dokonuje się postęp technologiczny, warto, by firma uszczegółowiła swoją strategię, czyli by wyznaczała cele odcinkowe i sposoby ich realizacji, a potem oceniała efekty działań na poszczególnych etapach – radzi ekspert.

Inwestycje w biopaliwa

PKN ORLEN już teraz zajmuje pozycję lidera w regionie w obszarze biopaliw, którą jeszcze

wzmocni, realizując pięć znaczących inwestycji – w HVO, co-HVO, UCOME, bioetanol lignocelulozowy i biometan. Dzięki temu do 2030 r. będzie zwiększał produkcję biopaliwa o ok. 500 tys. ton rocznie.

Cały czas koncern prowadzi prace w zakresie rozwoju technologii pozyskiwania biopaliw z surowców celulozowych, olejów roślinnych, a także produkcji biogazu. Inspiruje się przy tym doświadczeniami innych krajów, przede wszystkim technologii tzw. współwodornienia olejów roślinnych na skalę przemysłową. W zakładzie w Płocku będzie implementowana nowoczesna technologia uwodornienia olejów roślinnych (HVO-Hydrotreated Vegetable Oil) i zużytych tłuszczów (UCO – Used Cooking Oil). Ta inwestycja wesprze przemysł i rolnictwo, pomagając wyprodukować w odpowiednich ilościach oczekiwany przez UE zielony olej napę-



fol. PKN ORLEN

dowy. Nowa instalacja HVO ułatwi także spełnienie przez koncern i Polskę wymogów unijnych dotyczących **zwiększenia udziału biokomponentów w produkcji paliw**. Trwają analizy pozwalające ocenić **możliwość produkcji bioetanolu** z surowców celulozowych oraz pozyskanie biokomponentów zaawansowanych z innych źródeł.

– Cieszy fakt, że nasz lider na rynku paliwowym wyznacza trendy i wskazuje kierunek rozwoju dla pozostałych koncernów działających w Polsce. Należy również pamiętać, że obecnie mamy ogromny postęp w zakresie rozwoju i zwiększenia dostępności OZE, zwłaszcza energetyki wiatrowej, fotowoltaiki czy wykorzystania wodoru. Powstaje coraz więcej inwestycji związanych z tymi źródłami energii, a PKN ORLEN, an-

gażując się w transformację energetyczną, również będzie dążył do ich rozwoju – dodaje Marta Cholewińska z Fundacji Instytut im. Kazimierza Promyka.

Energia z wodoru

Grupa ORLEN będzie rozwijała **technologie wodorowe oraz rozbudowywała sieć dystrybucji paliw alternatywnych**. Dziś wytwarza ok. 45 ton wodoru na godzinę, z czego większość zużywana jest na potrzeby procesów produkcyjnych. Grupa przystąpiła do realizacji hubu wodorowego we Wrocławku o mocy 600 kg/h, dzięki któremu zajmie **wiodącą pozycję na polskim rynku paliw wodorowych wykorzystywanych w transporcie**. Podobny hub powstanie w biorafinerii w Trzebini, a w kolejnym etapie

w Płocku. Koncern chce zarówno **magazynować, jak i sprzedawać wodór** nie tylko do autobusów, ale również do statków i promów, a nawet lokomotyw.

Moc z wiatru...

Realizacja planów rozwoju morskiej farmy wiatrowej jest kluczowa nie tylko w kontekście strategii PKN ORLEN, zakładającej rozwój nisko- i zeroemisyjnych źródeł wytwarzania, ale także w procesie transformacji całej polskiej energetyki. Blisko 1,2 GW mocy zainstalowanej na Bałtyku, wraz z planowanymi **inwestycjami w aktywa gazowe**, mogłyby trwale zmienić miks energetyczny w Polsce, zapewniając stabilność do-
staw, przy znaczącej redukcji emisji.

...i ze słońca

Do kluczowych inwestycji PKN ORLEN należy też **budowa elektrowni fotowoltaicznej**, wraz z infrastrukturą techniczną, zlokalizowanej na gruncie o powierzchni około 5 ha we Włocławku. Powstanie farma o mocy około 2,5 MW, wytwarzająca w skali roku 2,5 GWh energii elektrycznej. Koncern **inwestuje także w zeroemisyjne mikroinstalacje fotowoltaiczne**, na razie przede wszystkim na swoje potrzeby. Pilotażowo zamontował m.in. panele fotowoltaiczne o łącznej mocy ok. 180 kWh na dachach i wiatlach 11 wybranych stacji paliw w Polsce.

W stronę koncernu multienergetycznego

Eksperti podkreślają, że choć zielony zwrot w energii związany jest z wysiłkiem i kosztami, jakie trzeba będzie podjąć, to nie wolno zapominać, że to przede wszystkim szansa na powstanie nowych gałęzi przemysłu, a co za tym idzie – setek tysięcy nowych miejsc pracy. To wreszcie szansa na bardzo duży skok jakościowy dla polskiej gospodarki i jej dynamiczny rozwój.

– Nie wszystkie nowe trendy są złe. Warto zwrócić uwagę na to, że epoka kamienia łupanego nie skończyła się dlatego, że skończyły się kamienie. Nadal mamy kamienie, ale epoki tamtej już od dawna nie ma. Tak samo jest z transformacją energetyczną. Musimy skorzystać z postępu technologicznego. Bardzo dobrym hasłem jest „Zielony konserwatyzm”. W oparciu o to hasło powinniśmy budować nowe gałęzie gospodarki. Trzeba zdawać sobie sprawę, że jest to pewna niewiadoma. Porównałbym to do skoku do basenu, który nie jest jeszcze do końca wypełniony wodą. I tutaj upatrywałbym gigantycznej szansy dla wszystkich polskich spółek energetycznych, by znalazły w tym basenie niszę dla siebie. Niszę, która stanie się ogromnym, rozwojowym impulsem – uważa Marcin Roszkowski, prezes Instytutu Jagiellońskiego.

Na ważny, ogólny aspekt zamierzeń inwestycyjnych wpisujących się w strategię osiągnięcia neutralności klimatycznej, na koniec zwraca uwagę Andrzej Sadowski. – Warto, by PKN ORLEN traktował wszystkie technologie wytwarzania zielonej energii komplementarne i by rozwijał je synchronicznie. Do dobrej synchronizacji działań potrzebne są w Polsce także duże magazyny energii. Również w tym aspekcie PKN ORLEN ma szansę stać się nie tylko koncernem multienergetycznym, ale i technologicznym. Przy tym upowszechniającym technologie zeroemisyjne także w instytucjach i obiektach należących do samorządów terytorialnych – konkluduje prezydent Centrum im. Adama Smitha.

Materiał przygotowany we współpracy z PKN ORLEN



fol. PKN ORLEN

Inwestycje PGNiG w zieloną energię

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo dokonuje zielonego zwrotu, stawiając na rozwiązania spełniające wymogi neutralności klimatycznej. Włącza się tym samym w powszechny europejski trend. Firmy Starego Kontynentu szeroko inwestują w badania i rozwiązania pozwalające pozyskać energię ze źródeł odnawialnych i przyjazne dla środowiska paliwa alternatywne. Działania koncernu w doskonały sposób wpisują się w realizację idei zrównoważonego rozwoju Polski.

PGNiG dotychczas kojarzyło się głównie z produkcją i importem gazu ziemnego. Obecnie, stając się firmą zieloną, wchodzi w nowy obszar, którym są OZE. – Pozwoli nam to nie tylko na budowanie wartości spółki, na wzrost i stabilizację jej przychodów, ale także na intensywniejsze włączenie się w transformację w kierunku gospodarki nisko i zeroemisyjnej – mówi prezes Jerzy Kwieciński. Oznacza to dla koncernu produkcję znacznie większej ilości paliw pochodzących ze źródeł odnawialnych oraz solidne wsparcie udziału naszego kraju w Europejskim Zielonym Ładzie, w którym Polska chce mieć znaczącą pozycję.

Odnawialna energia

PGNiG zamierza zainwestować do 4 mld zł w OZE. Celem jest osiągnięcie mocy 900 MW. Stanie się więc jednym z największych producentów energii z tych źródeł. Nadwyżki wytworzonej energii elektrycznej będzie można wykorzystać przy produkcji wodoru, ale także jako instalacje uzupełniające przy biometanowniach.

Kluczowymi projektami realizowanymi w ramach budowy obszaru OZE będą:

- przejęcia projektów oraz stopniowe budowanie własnych kompetencji deweloperskich w obszarze energetyki wiatrowej i fotowoltaiki,
- opracowanie modelu franczyzowego dla inwestycji w obszarze biometanu,

- przedsięwzięcia o charakterze badawczo-rozwojowym i innowacyjnym w obszarze wodoru i magazynowania energii.

Nowy program wodorowy

O wodorze powszechnie mówi się jako o paliwie przyszłości. Nie tylko bowiem LNG i CNG, ale też wodór może być wykorzystywany w transporcie. Da się go także użyć w procesie produkcji energii w sektorze energetycznym. PGNiG postrzega go przede wszystkim jako szansę swojego rozwoju.

– Poprzez realizację zaplanowanych projektów wodorowych włączymy się w rozwój rynku paliw alternatywnych, a tym samym przyczynimy się do wypełnienia przez Polskę celów polityki klimatycznej UE – informuje prezes Jerzy Kwieciński.

Koncern zamierza na związane z tym prace badawcze wydać najmniej 31 mln zł w ciągu czterech kolejnych lat. W ramach stworzonego przez siebie programu wodorowego będzie realizować projekty specjalne:

- **InGrid – Power to Gas** zapewni produkcję „zielonego wodoru”. Będzie on wytwarzany z gazu ziemnego przy wykorzystaniu energii słonecznej i wiatrowej i dostarczany do firmowej stacji w Warszawie. Podjęte zostaną też próby włączania mieszanki gazu i wodoru do sztucznej sieci gazowej oraz testy dotyczące magazynowania wodoru
- **HydraTank** to plan budowy specjalnej stacji badawczej, gdzie można będzie tankować samochody i autobusy zasilane tym rodzajem paliwa. Ma to się przysłużyć rozwojowi gazomobilności w Polsce
- **New Fuel Lab** to projekt dotyczący rozbudowy laboratorium badającego wodór oraz jego mieszanki. Będzie to pierwsza w Polsce taka placówka badawcza

Europejski sojusz

W październiku PGNiG przystąpiło do Europejskiego Sojuszu na rzecz Czystego Wodoru (ECH2A). So-



foto PGNiG SA.



jusz ten został stworzony przez Komisję Europejską w lipcu br. Ma wspierać tworzenie gospodarki opartej o czysty wodór. To platforma szerokiej współpracy przy tworzeniu całego wodorowego łańcucha wartości, która ma umożliwić zbudowanie w ciągu trzech dekad wodorowego ekosystemu w Europie.

– To ważny krok PGNiG w kierunku realizacji naszych strategicznych planów związanych z wodorem i kolejny przykład zaangażowania w rozwój rynku wodorowego. Przyłączenie się do sojuszu stworzonego przez Komisję Europejską pozwoli nam czerpać z wiedzy i doświadczenia obecnych w nim partnerów, realizujących już działania związane z czystym wodorem. Aktywny udział w sojuszu pozwoli nam także na realny wpływ na tworzenie unijnych regulacji związanych z rozwojem technologii wodorowych, na włączenie się w proces transformacji sektora energetycznego na poziomie europejskim – komentuje prezes Kwieciński.

Do sojuszu ECH2A przystąpiło już ponad 250 przedsiębiorstw, wśród nich największe światowe koncerny energetyczne, ale także przedsiębiorstwa z wielu innych branż. Wśród członków są także instytucje rządowe i samorządowe, naukowe, finansowe, a także organizacje pozarządowe.

Biometan w polskich domach

PGNiG ma w planach produkcję 4 mld metrów sześciennych biometanu w ciągu najbliższych 10 lat. Będzie on wykorzystywany w sieci gazowej i transporcie. Koncern ocenia, że w Polsce jest olbrzymi potencjał rozwoju tego segmentu rynku. Produkcja biogazu może nawet dorównać rocznemu wydobyciu gazu ziemnego w naszym kraju. Biometanownie powstają tam, gdzie jest biomasa. Towarzyszyć im będą farmy słoneczne i wiatrowe. Zakład powstanie praktycznie w każdej gminie, bo koncern chce pozyskiwać bioma-

se z rolniczych i miejskich źródeł.

Zdaniem wiceprezesa Zarządu PGNiG SA Jarosława Wróbla, inwestycje w biometan to konieczność. – Jeżeli nie zapewnimy głównym gałęziom polskiego przemysłu sposobu funkcjonowania na bazie biometanu, czy ogólnie biokomponentów, to te gałęzie z czasem będą musiały się zamknąć. Nie dlatego, że technologicznie sobie nie poradzą, ale dlatego, że nie będą miały rynków zbytu. Po prostu nie ulokują produkcji – uważa wiceprezes Wróbel.

PGNiG w pierwszym kwartale przyszłego roku przedstawi konkretny model ekonomiczny z uwzględnieniem franczyzy umożliwiający stworzenie rynku biometanu w Polsce. – Chcemy to robić z uwzględnieniem współpracy z lokalnymi biznesmenami, a jako PGNiG specjalizować się głównie w organizacji rynku i dystrybucji biometanu w sieciach, ponieważ na tym znamy się najlepiej – informuje wiceprezes PGNiG.

Współpraca z Orlenem

Na początku września PKN ORLEN i PGNiG podpisały list intencyjny w sprawie wspólnych inwestycji w energetykę gazową i biogaz. Zawarty w tym liście zakres wspólnych projektów obejmuje budowę elektrowni gazowej w Ostrołęce o mocy ok. 750 MW do końca 2024 r. Zaangażowanie PGNiG i PKN ORLEN w tę inwestycję miałyby charakter wspólnego przedsięwzięcia (joint venture). Projekt rozwoju biogazowni natomiast obejmuje prowadzenie analiz i prac rozwojowych, w tym akwizycje i rozbudowę testowych biogazowni oraz uruchomienie pilotażowej produkcji. Budowa bazy technologicznej, naukowej, prawnej i ekonomicznej ma pozwolić na stworzenie do końca 2025 r. ogólnopolskiej sieci biogazowni.

Materiał przygotowany we współpracy z PGNiG SA



Zielony Zwrot polskiej energetyki

Transformacja polskiej energetyki stała się w ostatnich miesiącach, obok pandemii koronawirusa, głównym tematem gospodarczym. O jej tempie, rozmachu, nakładach finansowych, kosztach społecznych i potencjalnych zyskach napisano i powiedziano bardzo wiele. Warto jednak w perspektywie transformacji przyjrzeć się krajowym koncernom energetycznym, bo to one odpowiadają za systemową przebudowę sektora i codzienne bezpieczeństwo energetyczne Polaków. Przykładem może być TAURON, realizujący strategię Zielonego Zwrotu.

Zielony Zwrot to nowe podejście do przyszłości i rozwoju firm energetycznych, które zakłada, że to odnawialne źródła energii, jej dostarczanie i nowoczesna sprzedaż powiązana z różnymi usługami będą podstawą wartości koncernów energetycznych w najbliższej przyszłości. TAURON, który ma ponad 5,5 mln klientów na południu Polski, założył, że w ciągu 10 lat obniży emisję CO₂ o połowę, zwiększając przy tym udział OZE w wytwarzaniu energii do ponad 65 proc. Cyfry te i tempo planowanej transformacji robią wrażenie, nawet kiedy

zestawi się je z transformacją europejskich gigantów energetycznych.

– Zakładamy, że do 2030 roku będziemy produkować 3 TWh energii z OZE i zmniejszymy emisję CO₂ w sposób skokowy o 50 procent. Zresztą nie możemy wykluczyć scenariusza, w którym będzie to jeszcze więcej – mówi Wojciech Ignacok, prezes TAURONA.

Do 2025 r. katowicki koncern nakreślił konkretne plany inwestycyjne. Do tego czasu firma chce zainwestować w elektrownie wiatrowe i słoneczne o mocy 1200 MW. To

więcej niż najnowocześniejsze w Polsce bloki węglowe budowane w ostatnich latach w Opolu czy Kozienicach.

Zmieniająca się energetyka

Zmiany toczą się szybko, dzisiaj koncern jest właścicielem dziewięciu farm wiatrowych i 34 elektrowni wodnych. Firma już w ubiegłym roku podwoiła moc w wietrze, repolonizując pięć farm wiatrowych w północnej Polsce.

W Jaworznie, na terenie dawnej elektrowni węglowej, przed kilkoma miesiącami rozpoczęła się budowa farmy fotowoltaicznej. Na działce ma

stanąć ponad 12 tysięcy paneli fotowoltaicznych, a ich powierzchnia wyniesie ok. 22 tys. m², co odpowiada powierzchni 3 boisk do piłki nożnej. To pierwsza elektrownia powstająca w ramach programu zakładającego uruchomienie pięciu farm fotowoltaicznych o łącznej mocy ponad 100 MW.

– Farmy te powstaną na terenach poprzemysłowych należących do TAURONA. Budowa elektrowni słonecznej na terenach poprzemysłowych to najkorzystniejsze ze środowiskowego punktu widzenia rozwiązanie, dzięki któremu obszary przez lata niezagospodarowane, zyskują nowe życie – tłumaczy prezes Ignacok.

W tym samym czasie koncern ogłosił też rozbudowę przemysłowej elektrowni PV Choszczno, która urośnie z sześciu do dziesięciu farm z perspektywą dalszej rozbudowy.

Z biznesowego punktu widzenia inwestycje w nowe elektrownie słoneczne czy wiatrowe powinny być strzałem w dziesiątkę. Już dziś widać, że wielki biznes zainteresowany jest energią pochodząca ze źródeł odnawialnych. To „zielen” prądu przyciągnęły do oferty TAURONA takich klientów jak Wedel, Alstom czy Santander. Tylko pierwsza z tych firm ma w ciągu trzech lat odebrać od producenta 51 GWh energii elektrycznej pochodzącej z bezemisyjnych źródeł. Gospodarstwom domowym firma oferuje z kolei bezpłatny kredyt ratalny na zakup instalacji fotowoltaicznych. Klient korzystający z oferty nie płaci ani odsetek, ani prowizji, bo koszty te bierze na siebie spółka.

Finansowanie zielonej rewolucji

Zielony Zwrot to jednak także olbrzymie przedsięwzięcie finansowe. W ostatnim czasie firma podjęła wiele działań, które mają umożliwić finansowanie zielonego zwrotu. To przede wszystkim porozumienie z Polskim Funduszem Rozwoju, dzięki któremu pojawiła się możliwość finansowania projektów w obszarze energetyki wiatrowej.

Dodatkowo w marcu TAURON i Polski Fundusz Rozwoju zainicjowali wspólne działania w zakresie inwestycji w odnawialne źródła energii. Według wstępnych założeń nowo budowane farmy wiatrowe i farmy fotowoltaiczne będą współfinansowane w ramach programu PFR Green Hub. Co więcej, kolejne inwestycje TAURONA w odnawialne źródła energii będą mogły uzyskać finansowanie od PFR w kwocie co najmniej 50 mln zł każda. Niedawno firma podpisała także porozumienie z Europejskim Bankiem Odbudowy i Rozwoju. To pierwsza taka umowa w historii katowickiego koncernu. Umożliwia ona finansowanie Grupy przez EBOiR, które jest restrykcyjnie obwarowane transformacją w kierunku zielonej energetyki. TAURON w porozumieniu z bankiem wyjdzie więc do

instytucji finansowych z propozycją objęcia obligacji. Jak wskazują ekonomiści, tego typu porozumienie ma istotne znaczenie, gdyż uwiarygadnia firmę wobec innych instytucji finansowych.

Transformacja energetyki i finansowanie koncernów są ze sobą wzajemnie powiązane. Nie ma bowiem praktycznie możliwości, by firma energetyczna uzyskała finansowanie na europejskim rynku bez wpisanych twardo ograniczeń. Restrykcje dotyczą przede wszystkim finansowania energetyki opartej na węglu.

Zielona zmiana postaw

W ramach Zielonego Zwrotu TAURON realizuje projekty promujące proekologiczne postawy. Firma pomaga jeźm i bocianom znaleźć wygodne i bezpieczne domostwa. Latający podopieczni mogą liczyć ze strony firmy na solidną konstrukcję, na której zbudują swój dom. Jeże w prezencie od firmy otrzymują natomiast ciepłe domki i fachowe wsparcie. Dodatkowo jedna ze spółek Grupy TAURON prowadzi zakrojony na szeroką skalę projekt edukacyjny pt. „Bezpieczniki TAURONA”.

O transformacji energetyki, jej celach, kosztach i korzyściach dla polskiej gospodarki podczas debaty **Polski miks energetyczny i nowa polityka energetyczna Polski** podczas Kongresu 590 dyskutować m.in. będą przedstawiciele Ministerstwa Klimatu i Ministerstwa Aktywów Państwowych, największych firm energetycznych i naukowcy.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z TAURON POLSKA ENERGIA SA

Zielony Zwrot to olbrzymie przedsięwzięcie finansowe.



Fiskus żąda od nas coraz więcej informacji

Duże firmy opodatkowane CIT będą miały od 1 stycznia 2021 roku obowiązek sporządzania i publikowania na stronie internetowej sprawozdania z realizacji strategii podatkowej za każdy kolejny rok podatkowy. Niezastosowanie się do nowych przepisów będzie groziło karą nawet 1 mln zł.

Marek Kutarba

Nowym obowiązkiem będzie dotyczyć podatkowych grup kapitałowych (bez względu na wielkość osiągniętych przychodów) oraz tych podatników niebędących grupami kapitałowymi, u których wartość przychodu uzyskana w roku podatkowym przekroczyła równowartość 50 mln euro, przeliczonych na złote według średniego kursu euro ogłaszanego przez Narodowy Bank Polski w ostatnim dniu roboczym roku kalendarzowego, poprzedzającego rok podania indywidualnych danych podatników do publicznej wiadomości.

Te same dane

Zgodnie z planowanymi przepisami sprawozdanie z realizacji strategii podatkowej powinno uwzględniać charakter, rodzaj i rozmiar prowadzonej działalności. Musi też w szczególności zawierać opis podejścia podatnika do procesów oraz procedur dotyczących zarządzania

wykonywaniem obowiązków wynikających z przepisów prawa podatkowego i zapewnianych ich prawidłowe wykonanie oraz dobrowolnych form współpracy z organami KAS. Co więcej, w sprawozdaniu będzie musiał się znaleźć także opis podejścia podatnika do realizacji obowiązków podatkowych na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej wraz z informacją o liczbie przekazanych szefowi KAS informacjach o schematach podatkowych z podziałem na podatki, których dotyczą.

Sprawozdanie będzie obejmowało także informację o złożonych przez podatnika wnioskach o wydanie ogólnej interpretacji podatkowej, indywidualnej interpretacji przepisów prawa podatkowego, wiążącej informacji stawkowej (WIS) oraz wiążącej informacji akcyzowej (WIA). Konieczne będzie także podanie informacji dotyczących dokonywania rozliczeń podatkowych podatnika

w krajach stosujących szkodliwą konkurencję podatkową, wskazanych w aktach wykonawczych wydanych na podstawie przepisów o podatku dochodowym od osób fizycznych oraz przepisów o podatku dochodowym od osób prawnych oraz w obwieszczeniu ministra finansów.

W sprawozdaniu muszą znaleźć się ponadto informacje o transakcjach z podmiotami powiązanymi, których wartość przekracza 5 proc. sumy bilansowej aktywów w rozumieniu przepisów o rachunkowości, ustalonych na podstawie ostatniego zatwierdzonego sprawozdania finansowego (w tym podatników niebędących polskimi rezydentami podatkowymi). Kolejnym elementem, który będzie musiał znaleźć się w opisie strategii, są planowane lub podejmowane przez podatnika działania restrukturyzacyjne, mogące mieć wpływ na wysokość zobowiązań podatkowych podatnika lub podmiotów powiązanych.

Nowe sprawozdanie ma zatem zawierać cały szereg informacji opisujących działania podatnika, związane z jego rozliczeniami podatkowymi. Zbiera przy tym w jednym miejscu szereg informacji, którymi fiskus i tak już dysponuje.

Kierunek samokontrola

W tym kontekście warto zauważyć, że Ministerstwo Finansów od dłuższego czasu prowadzi politykę zmierzającą do tego, aby jak najwięcej czynności, które dotychczas obciążały organy podatkowe w ramach prowadzonych kontroli, przerzucić na po-

datnika. Elementem tej polityki oraz narzuconej przez państwo samokontroli są już w obszarze podatkowym przepisy dotyczące raportowania tzw. schematów podatkowych (MDR). Schematy podatkowe to w pewnym uproszczeniu forma informacji przekazywanej do szefa KAS o planowanych działaniach, które mogą przyczynić się do unikania opodatkowania.

Innym przykładem dowodzącym tego trendu jest nowelizacja przepisów o praniu brudnych pieniędzy i zmiany dotyczące Centralnego Rejestru Beneficjentów Rzeczywistych (CRBR). Teraz to instytucje zobowiązane (w tym m.in. banki, ubezpieczyciele, pośrednicy nieruchomości, brokerzy, kantory, notariusze) będą musiały weryfikować rzetelność przekazanych przez klienta informacji o beneficjentach rzeczywistych w zestawieniu z rejestrem, a w przypadku zidentyfikowania rozbieżności zgłosić je fiskusowi.

Co więcej, nowym rozwiązaniom towarzyszą wysokie kary. Za niedopełnienie obowiązków związanych ze sprawozdaniem z realizacji strate-

gii podatkowej ma grozić kara do 1 mln zł. Taka sama kara ma grozić też za brak aktualizacji danych w CRBR.

W interesie państwa

Jak widać, rząd prowadzi w tym obszarze przemyślaną politykę. Wysokie kary mają zniechęcać do niewłaściwego (niepełnego) informowania o działaniach przedsiębiorców. Coraz bardziej szczegółowe informacje mają ułatwiać z kolei fiskusowi śledzenie rozwiązań, które prowadzą do obniżania należności podatkowych i dają mu możliwość odpowiedniego reagowania na nie, czy to przez inicjowanie zmiany przepisów, czy też interpretacji, tak by maksymalnie ograniczyć możliwości legalnego obniżania wysokości płaconych danin. Ten trend nie dotyczy zresztą tylko dużych firm. Wystarczy uważnie przyjrzeć się strukturze nowego JPK_VAT, który ma obecnie dostarczać automatycznie fiskusowi te informacje, które poprzednio wymagały prowadzenia kontroli podatkowych.

Ta tendencja, niestety, będzie się w najbliższych latach utrzymywała. Podatników czeka zaś konieczność przekazywania coraz większej ilości informacji na swój temat. Wszystko to oczywiście pod hasłem walki z luką podatkową oraz wprowadzeniem uproszczeń dla podatników. W istocie zaś decydujące znaczenie ma wyłącznie element fiskalny, czyli dążenie do maksymalizowania wpływów budżetowych bez konieczności sięgania do politycznie niepopularnych decyzji związanych z podnoszeniem stawek podatków.

Podatników czeka konieczność przekazywania coraz większej ilości informacji na swój temat.

Nowy sposób na bezpieczną inwestycję



Mamy najniższe stopy procentowe w historii, co oznacza tańszy dostęp do kapitału. Lokaty bankowe przestały być atrakcyjnym miejscem do oszczędzania. Środki z nich systematycznie przesuwają się w stronę konkretnych inwestycji i w większości trafiają na rynek nieruchomości. Nic więc dziwnego, że Polacy rozpoczęli poszukiwania nowych inwestycji, dzięki którym będą mogli nie tylko zachować wartość posiadanych oszczędności, ale również bezpiecznie i w rodzinnym gronie spędzić wakacje czy kilkudniowy urlop.

Krzysztof **Budka**

Poranny spacer nad morzem, powrót do biura na czas pracy, a po niej przyjemny wieczór na plaży w towarzystwie zachodzącego słońca. Kuszące, nieprawdaz? I wcale nie takie nierealne...

Wytrawny obserwator rynku nieruchomości z pewnością dostrzeż systematyczny wzrost w ostatnich latach ofert proponujących najem apartamentów na pobyty krótkoterminowe.

Wygląda jednak na to, że nie wyczerpują one w całości oczekiwań polskich klientów. Pojawił się bowiem nowy produkt, który cieszy się coraz większą popularnością. To apartamenty wakacyjne o charakterze inwestycyjnym.

Wakacje w kraju

Lipiec, sierpień i wyjątkowo piękny tego roku wrzesień potwierdziły to, czego w zasa-

dzie spodziewaliśmy się już wiosną. Ogromna część Polaków wybrała wakacje w kraju. I śmiało możemy założyć, że w kolejnych latach też tak będzie. Obserwując statystyki dotyczące polskiej branży turystycznej, łatwo zauważyć, że sezon wakacyjny był dla niej wyjątkowo udany. Dzięki licznym turystom kierunki takie jak Wybrzeże, Mazury, Tarty czy Bieszczady cieszyły się

dużą popularnością, porównywalną praktycznie z ubiegłorocznym sezonem. Dlatego coraz więcej osób zastanawia się, czy warto zainwestować w nieruchomości wakacyjne w Polsce. Podpowiadamy, że jak najbardziej warto. Zresztą takie nieruchomości to ostatnio trend, który z przytupem zaczął podbijać cały rynek.

Zalet jest wiele. Pierwsza i chyba najważniejsza z nich to oczywiście bezpieczny wypoczynek. Inwestując chociażby w prywatne nadmorskie mieszkanie, mamy pewność, że jest to inwestycja tylko i wyłącznie nasza. Dlatego coraz popularniejsze stają się inwestycje rodzinne, nabywane do spółki z dziadkami czy rodzeństwem. Taki zabieg daje nabywcom nie tylko możliwość zakupu wymarzonej nieruchomości na korzystnych warunkach finansowych, lecz także przede wszystkim spędzania czasu wolnego w rodzinnym gronie lub dzielenia się terminami pobytów z rodziną, gdzie każdy z jej członków może korzystać z nieruchomości we własnym zakresie. To jest zresztą jeden z wielu atutów takiej nieruchomości – jest ona nie tylko naszą własnością, którą możemy zarządzać według własnego uznania i potrzeb, korzystając z niej w dowolnym czasie – lecz możemy również przeznaczyć ją na wynajem, zarabiając na zadowalającym obłożeniu, które zagwarantuje nam atrakcyjna oferta nieruchomości, a także jej lokalizacja.

Model mile widziany

Kolejna zaleta to wygoda. Warto zwrócić uwagę na błyskawiczne zmiany, jakie zachodzą na rynku pracy. Wiele firm zmieniło sposób działa-

nia i wdrożyło system home office. Model pracy zdalnej stał się tym samym nie tylko popularniejszy, lecz także coraz bardziej doceniany, a nawet zalecany. Wiele osób przestało być uzależnionych od miejsca wykonywania swoich zadań i pracować może praktycznie z każdego miejsca. Poranny jogging nad morzem, szybki prysznic, śniadanie, potem praca w nadmorskim biurze, a po niej lunch i przyjemny wieczór na plaży w towarzystwie zachodzącego słońca. Coraz więcej Polaków tak właśnie widziałaby swój dzień powszedni. Bez korków, stresów, wielkomiejskiego zgiełku i ciągłego życia w pośpiechu. Apartamenty wakacyjne o charakterze inwestycyjnym są doskonałą odpowiedzią na to zapotrzebowanie. Kto wie, może za chwilę przestaniemy zazdrościć pod tym względem Włochom, Grekom, Hiszpanom czy Chorwatom...

Mamy najniższe stopy procentowe w historii. Klienci dzięki tym niskim stopom procentowym mają dostęp do tańszych kredytów. Zresztą doskonale wiadać, że lokaty bankowe przestały być atrakcyjnym narzędziem oszczędzania. Środki te systematycznie przesuwają się więc w stronę konkretnych inwestycji. W większości trafią zapewne na rynek nieruchomości. Co do tego zgodni są analitycy finansowi i eksperci ekonomiczni.

Nic więc dziwnego, że pojawiają się nowe oferty dla potencjalnych klientów. Takie właśnie jak apartamenty wakacyjne o charakterze inwestycyjnym. Jeden z naszych rozmówców, pan Zbigniew, nie ukrywa, że rozważa zakup takiego apartamentu w nadmorskich Dęb-

kach, gdzie jeszcze jako dziecko jeździł na wczasy z rodzicami. – Obecnie Dębki też stanowią cel moich wakacyjnych podróży. Po pierwsze, czuję do tej miejscowości ogromny sentyment. Po drugie, zawsze spotykam tam kogoś znajomego. Po trzecie wreszcie, jest tam najpiękniejsza plaża w Europie – tłumaczy.

Czego oczekują klienci

Akurat w Dębkach nie ma wiele inwestycji z nieruchomościami na sprzedaż. Ci, którzy budują, natychmiast wynajmują, bo to się tu najbardziej opłaca. Na jednym z najpopularniejszych portali sprzedażowych znaleźliśmy zaledwie kilkanaście ofert z tej miejscowości. Ceny wahają się w nich od 10 do 20 tys. zł/m². Są też dwie kameralne inwestycje, w których sprzedawane są apartamenty wakacyjne. Najdroższe, z wykończeniem pod klucz, za ok. 20 tys. zł/m². I tańsze – Słoneczne Dębki, osiedle zlokalizowane w bliskim sąsiedztwie, ale nie przy głównej drodze. Tutaj cena to od ok. 9 tys. zł brutto / m² za mieszkanie wykończone pod klucz. Inwestycja została już rozpoczęta i ma być gotowa na lato 2021 r. Z tego, co udało nam się ustalić, część mieszkań już znalazła swoich nabywców.

Takich miejscowości jak Dębki jest w Polsce naprawdę wiele. I w większości z nich już powstają albo za chwilę zaczną powstawać typowe apartamenty wakacyjne o charakterze inwestycyjnym. Bezpieczeństwo, atrakcyjna lokalizacja, maksymalna wygoda i jak najkorzystniejsze warunki finansowe. Tego oczekują klienci. Tego typu inwestycje stanowią kuszącą odpowiedź na te oczekiwania.

Dlaczego rząd likwiduje ulgę abolicyjną?

Kurczące się wpływy podatkowe, a z drugiej strony rosnące wydatki budżetowe powodują, że rząd szuka coraz to nowszych źródeł uzupełnienia braków fiskalnych. Wśród dodatkowego opodatkowania spółek komandytowych, rozszerzenia podatku od deszczu, pełnego oskładkowania umów cywilnoprawnych, a przede wszystkim nieprzywrócenia niższych stawek podatku VAT i kilku innych równie uderzających w przedsiębiorców pomysłów jest też de facto likwidacja tzw. ulgi abolicyjnej.

Tomasz Cukiernik

O co chodzi w uldze abolicyjnej? Polska z różnymi państwami podpisuje umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania. By nie wdawać się w nadmierne szczegóły, dla uproszczenia, są to dwa typy umów. Pierwszy rodzaj to umowy, które gwarantują, że osoba mieszkająca w kraju, a za granicą pracująca lub prowadząca działalność gospodarczą, nie zapłaci drugi raz podatku dochodowego w Polsce. Takie umowy Polska podpisała z większością krajów Unii Europejskiej oraz m.in. z Islandią, Szwajcarią, Ukrainą, Białorusią, Turcją, Meksykiem, RPA,

Marokiem, Tunezją, Chinami, Tajlandią, Indonezją oraz Filipinami. Pracujących tam Polaków problem nie dotyczy.

Drugi typ umów o unikaniu podwójnego opodatkowania zobowiązuje do zapłacenia podatku po raz drugi. Problem dotyczy prawie wszystkich pozostałych krajów świata (także tych, z którymi Polska w ogóle nie podpisała umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania), jak USA, Australia, Japonia, Indie, Rosja, Wielka Brytania, Irlandia, Holandia, Austria, Słowacja, Finlandia czy Litwa, a od 2021 r. także Norwegia, Dania, Belgia, Portugalia i Kanada. Aby jednak podatku po raz drugi nie trzeba było płacić, w 2008 r. wprowadzono właśnie ulgę abolicyjną, która teraz ma zostać tak mocno ograniczona, że de facto będzie zlikwidowana. W efekcie wielu Polaków osiągających dochód w krajach, gdzie podatki dla podobnych zarobków są niższe niż w Polsce, będzie musiało polskiemu fiskusowi dopłacić różnicę między naliczonym podatkiem, a tym zapłaconym za granicą. Przy czym te „niższe podatki” wynikają z innych progów podatkowych czy z wyższych kwot wolnych od podatku, która przykładowo w Wielkiej Brytanii wynosi ok. 62 tys. zł rocznie, w Finlandii – ok. 72 tys. zł, a na Słowacji – niemal 20 tys. zł. W Polsce najwięcej podatników obejmuje kwota wolna w wysokości... 3091 zł.

Napędzanie emigracji

Chociaż zgodnie z projektem Ministerstwa Finansów, który został opublikowany w Biuletynie Informacji Publicznej 4 września br., ulga abolicyj-

na ma nie zostać zlikwidowana, to jej zastosowanie ma być ograniczone do wysokości kwoty zmniejszającej podatek, tj. aktualnie do 1360 zł. Oznacza to, że efekt będzie niemal taki, jakby tej ulgi w ogóle nie było. Z wyliczeń resortu finansów wynika, że ok. 67 tys. osób korzysta z ulgi abolicyjnej. Z tej grupy niemal 41 tys. osób osiąga dochody poniżej ustalonego progu i będą się rozliczać na dotychczasowych zasadach. Pozostałe 26 tys. osób osiąga dochody wyższe i straci na likwidacji ulgi. Ale czy na pewno problem będzie dotyczył tak niewielkiej grupy osób? Bo według GUS poza

Polską przebywa czasowo ok. 2,5 mln Polaków.

Ministerstwo Finansów dowodzi, że „obecny skutek zastosowania ulgi abolicyjnej w pełnej wysokości nie realizuje polityki podatkowej w zakresie eliminowania podwójnego opodatkowania, a także nie zachęca do osiągnięcia przychodów w Polsce. W związku z tym, proponuje się ograniczenie stosowania odliczenia z tytułu ulgi abolicyjnej”.

Ponadto zdaniem resortu „ulga abolicyjna stanowi zachętę do podejmowania aktywności ekonomicznej poza terytorium Rzeczypospoli-



tej Polskiej, co często stanowi pierwszy etap procesu stałej relokacji miejsca zamieszkania za granicę. (...) Wyżej wymienione skutki dodatkowo pogłębia okoliczność, że duży odsetek emigrantów stanowią wysoko wykwalifikowane osoby fizyczne, których obecność w kraju ponadprzeciętnie przyczyniłaby się do dynamicznego rozwoju gospodarczego naszego państwa”.

Projektodawcy twierdzą, że likwidacja ulgi będzie zachętą do powrotu obywateli do kraju. W rzeczywistości może być dokładnie odwrotnie. To właśnie likwidacja tej ulgi doprowadzi do trwałej ucieczki tych ludzi z Polski! Już teraz pojawiają się głosy Polaków pracujących za granicą, że jeśli będzie trzeba, to są gotowi nawet zrzec się polskiego obywatelstwa, byle nie płacić drugiego haraczu za to samo. W związku z tym należy spodziewać się bardzo niekorzystnego zjawiska stałej emigracji wysoko wykwalifikowanych pracowników. Zresztą nie tylko ich.

Szkodliwe przepisy

Projektodawcy argumentują też, że dochodzi do optymalizacji podatkowej nie tylko ze strony osób fizycznych, ale i firm poprzez płacenie podatków w tzw. wewnątrzunijnych rajach podatkowych, jak Holandia, Luksemburg czy Cypr. Podatnicy wolą płacić tam, bo tamtejszy fiskus zabiera mniej. Dlaczego w takim razie zamiast obniżenia w Polsce podatków do poziomu holenderskiego czy cypryjskiego, albo jeszcze niżej, by ci podatnicy chętniej płacili podatki w Polsce (a może i dodatkowo inni?), polskie wła-



Wewnątrzunijne rajy podatkowe to Holandia, Luksemburg i Cypr

dze wolą dolożyć im domiar podatkowy? Gdzie tu logika?

Resort finansów zastania się ponadto, że likwidacji ulgi abolicyjnej wymaga od Polski OECD, co – zdaniem ekspertów – nie jest zgodne z prawdą, gdyż polskie przepisy wypełniają obowiązki wynikające ze współpracy z OECD w tym zakresie. Jednak jeśli wymagania OECD rzeczywiście są dla Polaków niekorzystne, to należy je podważyć, z opcją opuszczenia działającej na niekorzyść naszego kraju organizacji, a nie wdrażać pośpiesznie wszystkie szkodliwe przepisy, których żąda za granicą. Analogiczna sytuacja jest z Unią Europejską. Polskie władze niejednokrotnie (słusznie i niesłusznie) zrzucają winę za szkodliwe regulacje na Brukselę, ale skoro tak jest, to zamiast narzekać, należy wycofać się z tej czy innej polityki unijnej.

Czy zyska budżet?

Likwidacja ulgi spowoduje też, że podatników obejmą dodatkowe formalności. Będą musieli co miesiąc wyliczać (co nie będzie prostą sprawą) i wpła-

cać zaliczki na podatek dochodowy w wysokości 17 proc. Konfederacja Lewiatan dodaje, że „w okresie obowiązywania ulgi abolicyjnej podatnicy nie musieli sobie zaprzętać głowy dogłębnym zrozumieniem zawitości poszczególnych metod – wystarczyło, iż wiedzieli oni, że uzyskując dochody z pracy poza Polską i płacąc podatki za granicą, co do zasady nie będą oni zobowiązani do dokonywania dodatkowych dopłat do podatków w Polsce. Zniesienie ulgi abolicyjnej doprowadzi do konieczności zagłębienia się w ten temat, a mając na uwadze problemy, jakie mieli podatnicy przed 2008 r. (od tego roku obowiązuje ulga), to więcej niż prawdopodobne wydaje się, że nastąpi powrót do stanu właśnie z tego okresu, kiedy to uznano, że wprowadzenie takiej ulgi było niezbędne”.

Rząd oczywiście zarzeka się, że tu nie chodzi o kwestie podatkowego docięcia Polaków mimo coraz trudniejszej sytuacji budżetowej, ale trudno w to wierzyć.

– Powyżej proponowane zmiany, wbrew stanowiskom wyrażanym przez Minister-

stwo Finansów, należy po-
czytywać jako skrajny przejaw
profiskalnej polityki Skarbu
Państwa – ocenia radca praw-
ny Mateusz Romowicz. „Ogra-
niczenie stosowania ulgi ma
wymiar czysto fiskalny i rząd
upatruje w tym dodatkowych
wpływów budżetowych, któ-
re można osiągnąć, nie pod-
wyższając obecnych oraz nie
wprowadzając nowych podat-
ków” – zauważa Konfederacja
Lewiatan.

Wiceminister finansów Jan
Sarnowski poinformował, iż
na zmianie budżet może zy-
skać 210 mln zł rocznie. Ale
rządzący mogą się przeli-
czyć, ponieważ jeśli podatnicy
uciekną spod oddziaływania
polskiego reżimu fiskalne-
go, to te kalkulacje pozostą-
ną wyłącznie na papierze. Nie
ma też mowy o tym, że – jak

*Rząd planuje
bardzo krótkie
vacatio legis tej
ustawy. Zmiany
mają wejść w życie
już 1 stycznia
2021 roku.*

zgodnie z twardą logiką zwraca uwagę jeden z postów – jeżeli ktoś będzie pracował w państwie, gdzie podatki są wyższe niż w Polsce, to rząd polski będzie zwracał tę różnicę. Czyż – uczciwie rzecz biorąc – nie tak to powinno wyglądać?

Bardzo krótkie vacatio legis

Absolutnym skandalem jest także sposób procedowania tej podwyżki podatków. Rząd planuje bardzo krótkie vacatio legis tej ustawy. Zmiany mają wejść w życie już 1 stycznia 2021 roku, a jak słusznie tłumaczy poseł Dobromir Sośnierz z Konfederacji, ludzie wyjeżdżając do pracy za granicę czy planując otwierać za granicą biznes takie decyzje podejmują ze znacznie większym wyprzedzeniem, co oznacza, że taka nagła zmiana podatkowa będzie dla nich sporym kłopotem. A podejmując decyzję o wyjeździe, ludzie zwracają uwagę także na przepisy podatkowe. – Rząd, zmieniając przepisy na ostatnią chwilę, zachowuje się nieuczciwie wobec własnych obywateli – komentuje poseł Sośnierz.

r e k l a m a

Nasza energia rozwija miasta



Pułapki

podatkowego ryczałtu

Od 1 stycznia 2021 roku więcej podatników będzie mogło płacić podatek dochodowy w formie ryczałtu. Dotyczy to m.in. prawników, doradców podatkowych, audytorów, agentów ubezpieczeniowych, tłumaczy czy psychologów. Wzrośnie także limit przychodów uprawniających do ryczałtu.

Marek Kutarba

Pod koniec września rząd przyjął projekt budżetu państwa i dwie ważne nowelizacje podatkowe. Jedną dotyczy tzw. estońskiego CIT-u, druga zmienia przepisy o podatkach dochodowych i (poza wprowadzeniem m.in. opodatkowania CIT-em spółek komandytowych i niektórych spółek jawnych) przynosi także ważne zmiany w opodatkowaniu ryczałtem od przychodów ewidencjonowanych.

Niższe stawki, wyższe limity

W przeciwieństwie do zmian planowanych w obszarze CIT i PIT zmiany te wydają się korzystne. Przede wszystkim z 250 tys. do 2 mln euro ma od 1 stycznia 2021 r. wzrosnąć limit przychodów uprawniający do płacenia podatku dochodowego w formie ryczałtu (prawo do niego traci się po przekroczeniu limitu). Równocześnie obniżone zostaną wszystkie stawki tego

podatku. Zmieni się także zakres usług opodatkowanych poszczególnymi stawkami.

Obecnie obowiązuje aż siedem stawek ryczałtu: 20, 17, 12,5, 8,5, 5,5, 3 i 2 proc. Od 1 stycznia przyszłego roku stawka 20 proc. ma być obniżona do 17 proc., a stawka 17 proc. do 15 proc. Nowa stawka 10 proc. obejmie usługi w obszarze kupna i sprzedaży nieruchomości na własny rachunek (obecnie nie można płacić w tym przypadku ryczałtu). Dla najmu pozostaną stawki 8,5 proc. do 100 tys. zł przychodu i 12,5 proc. od nadwyżki ponad ten limit. Nie zmieni się stawka 8,5 proc., ale więcej usług będzie można nią opodatkować. Nic się nie zmieni natomiast w zakresie stawek 5,5, 3 i 2 proc. Ważna zmiana dotyczy także definicji wolnych zawodów.

Dotychczas z opodatkowania ryczałtem mogą korzystać tylko nieliczne wolne zawody, czyli lekarze, stomatolodzy, weterynarze, technicy dentystyczni, felczerzy, położ-

ne, pielęgniarki, tłumacze oraz nauczyciele w zakresie świadczenia usług edukacyjnych polegających na udzielaniu lekcji na godziny. A i to tylko wtedy, gdy swoje usługi świadczyli wyłącznie na rzecz osób fizycznych. Działalność musi też być wykonywana osobiście. Stawka ryczałtu wynosi dla nich 20 proc. od uzyskanych przychodów.

Od nowego roku grupa wolnych zawodów, które mają prawo do opodatkowania ryczałtem, miałyby powiększyć się o: psychologów, fizjoterapeutów, tłumaczy, adwokatów, notariuszy, radców prawnych, architektów, inżynierów budownictwa, rzeczoznawców budowlanych, biegłych rewidentów, księgowych, agentów ubezpieczeniowych, agentów oferujących ubezpieczenia uzupełniające, brokerów reasekuracyjnych, brokerów ubezpieczeniowych, doradców podatkowych, doradców restrukturyzacyjnych, maklerów papierów wartościowych, doradców inwestycyjnych, agentów firm inwestycyjnych i rzeczników patentowych.

Z nowej definicji ma przy tym wynikać, że za osobiste wykonywanie wolnego zawodu uważa się wykonywanie działalności bez zatrudniania na podstawie umów o pracę, umów zlecenia, umów o dzieło oraz innych umów o podobnym charakterze osób, które wykonują czynności związane z istotą danego zawodu. Doradca podatkowy nie będzie zatem mógł zatrudnić innego doradcy, ale już zatrudnienie sekretarki, recepcjonistki czy sprzątaczkę do biur prawa do ryczałtu go nie pozbawi. Co więcej, nowelizowane przepisy zakładają obniżenie stawki

Jedyną zaletą ryczałtu pozostaje uproszczona księgowość.

ryczałtu dla wolnych zawodów z 20 do 17 proc.

Ważne są koszty

Czy to się jednak opłaca? Wszystko zależy od indywidualnych warunków, na których prowadzona jest działalność. A ściślej od tego, jak wysokie koszty ponosi taki przedsiębiorca. Załóżmy, że prawnik zarabia około 10 tys. zł miesięcznie, a jego koszty to około 20 proc. przychodu. W takim przypadku do opodatkowania zostaje kwota 8 tys. zł, co przy podatku liniowym (19 proc.) daje 1520 zł podatku. Korzystając z ryczałtu ten sam podatnik musiałby zapłacić 17 proc. podatku od 10 tys. zł, czyli 1700 zł. A zatem zapłaciłby o 180 zł miesięcznie (2160 zł rocznie) więcej niż korzystając z podatku liniowego. Dla uproszczenia w przykładzie tym pomijam oczywiście składki ZUS i zdrowotną, które dla obydwu form opodatkowania są identyczne.

Zauważmy, że aby stopień opodatkowania podatkiem liniowym i ryczałtem był w przypadku takiego podatnika podobny, ponoszone przez niego koszty powinny być nie wyższe niż 1053 zł miesięcznie, czyli wynosić nieco ponad 10 proc. W takim przypadku podatek liniowy wyniesie bowiem 1700 zł. Tyle co ryczałt.

Każdy, kto prowadzi własną działalność i leasinguje np. samochód, wie jednak, że uzbieranie 1000 zł kosztów nie jest specjalnie trudne. Oczywiście im większe koszty, tym różnica robi się większa na niekorzyść ryczałtu. Ale równocześnie im wyższe przychody, tym ponoszone koszty mogą stanowić mniejszy procent uzyskiwanego wynagrodzenia. Gdyby bowiem ten sam podatnik zarabiał 20 tys. zł, a koszty miał nadal na poziomie 2 tys. zł, to podatek liniowy wynosiłby 3420 zł, a ryczałt 3400 zł. Ryczałt jest zatem najbardziej opłacalny przy dużych zarobkach i niskich kosztach.

Skorzysta fiskus

W takiej sytuacji jedyną zaletą ryczałtu pozostaje uproszczona księgowość. Nie trzeba bowiem zbierać faktur kosztowych i wyliczać dochodu, a wystarczy jedynie prosta ewidencja przychodów. Nie zmienia to jednak faktu, że dla wielu osób ryczałt nie jest opłacalną formą opodatkowania i taką nadal pozostanie.

Wiele osób kieruje się jednak nie rachunkiem ekonomicznym, ale chęcią uproszczenia swoich rozliczeń z fiskusem, w tym perspektywą uniknięcia w ten sposób sporów z urzędnikami m.in. o to, czy dany wydatek został słusznie zaliczony do kosztów podatkowych. I na to pewnie liczy resort finansów. Im więcej bowiem przedstawicieli wolnych zawodów wybierze ryczałt z pozornie niższym opodatkowaniem, bo opartym na niższej stawce, tym większe środki trafią do budżetu. A ryczałt jest tanim i wygodnym rozwiązaniem dla fiskusa. Łatwiej go chociażby skontrolować.



Piotr **Palutkiewicz**

Obywatelski plan walki z epidemią

Przy utrzymaniu dynamiki przyrostu zakażeń koronawirusem z pierwszej połowy października w ciągu najbliższych tygodni zajęte zostaną wszystkie respiratory, jakimi dysponuje nasza służba zdrowia. Oznaczałoby to gwałtowny wzrost umieralności na COVID-19 w Polsce, a opinię publiczną załapałaby fala informacji o osobach, które nie otrzymały stosownej pomocy. W tym miejscu można by napisać felieton o latach zaniedbań w polskiej służbie zdrowia i braku odważnych reform. Dziś jednak musimy się skupić na powstrzymaniu wzrostu liczby zakażeń. Wymaga to pilnej zmiany dotychczasowej, rządowej strategii ograniczania epidemii.

Tutaj pojawia się jednak ogromne wyzwanie. Ograniczenia funkcjonujące w wakacyjnym kwartale wydają się być niewystarczające. Proste obostrzenia, jak np. nakaz noszenia maseczek w przestrzeniach zamkniętych, znajdują w społeczeństwie głośnych buntowników. Nie mówiąc o dale idących rozwiązaniach, jak ograniczenie spędzania czasu w przestrzeniach rekreacyjnych.

Kolejny lockdown jest z kolei wykluczony. Po pierwsze, gospodarka tego już nie udźwignie. Fala zwolnień i ograniczenia poziomu wzrostu dochodu doprowadziłyby do wysokiego poziomu niezadowolenia społecznego i zapewne wpłynęłyby na zmiany polityczne. Po drugie, kolejnego lockdownu nie udźwignie także budżet państwa. Ogromna dziura w finansach publicznych powstała już po wiosennym zamknięciu. Nawet wprowadzanie lokalnych lockdownów spowoduje, że po odszkodowaniu wystąpią rzesze przedsiębiorców. Rządu na to nie stać.

Trzeba więc szukać innego rozwiązania. Historia uczy, że z każdego kryzysu wyprowadzają nas nie tyle pomysły rządów, ile organiczne działania obywateli. To my musimy walczyć z epidemią. Z najniższymi kosztami społecznymi i gospodarczymi wiąże się odpowiedzialne postępowanie każdego z nas. Noszenie maseczek, zachowanie dystansu społecznego i częsta dezynfekcja choć brzmią banalnie, są dziś najważniejszą drogą. To najtańszy możliwy sposób na zmniejszanie

ryzyka epidemicznego przy znikomym koszcie dla realnej gospodarki.

Choć maseczki znajdują swoich krytyków także w środowiskach medycznych, badania pokazują, że osoby w nich chodzące, nawet zakażone, nie dystrybuują wirusa kropelkowo na taką odległość jak ludzie bez masek. Fakt, maseczki są niewygodne i czasami trudno się przez nie oddycha. W dodatku ktoś nam każe je nosić, co dla krnąbrnych Polaków jest dodatkową ujmą. Sam jestem jednym z tych, którzy zakładają je, dopiero gdy trzeba. I to z największym grymasem. Ale lepiej już ponieść przez kilka miesięcy taki koszt swojej niewygody, niż płacić przez wiele kwartałów koszty ekonomiczne i społeczne lockdownu czy drastycznie rozprzestrzeniającej się epidemii. Lepiej to, niż setki osób, które ciężko przecierpią zakażenie, mimo że mogłyby tego uniknąć. Załóżmy te maseczki tam, gdzie to możliwe, i zachowajmy dystans. Tak będzie najtaniej. A na koniec nie dajmy rządowi odebrać sobie naszego sukcesu w walce z epidemią.

LOTOS stawia na wodór

W opinii ekspertów i unijnych urzędników wodór zmieni oblicze europejskiej gospodarki. W Polsce liderem rozwiązań w tym obszarze jest Grupa LOTOS. Spółka wspiera samorządy w wodoryzacji transportu miejskiego oraz realizuje projekt Pure H₂ zakładający m.in. uruchomienie produkcji czystego wodoru.

Chociaż transformacja energetyczna ma charakter międzynarodowy, to jednak inicjatywy lokalne mogą stać się prekursorem zmian. Dostrzega to Grupa LOTOS, która aktywnie angażuje się w działania promujące paliwo przyszłości. Spółka zamierza stymulować wśród samorządów popyt na wodór, jednocześnie gwarantując przy tym odpowiednią infrastrukturę i dostawę surowca.

LOTOS podpisał z Gdynią, Tczewem oraz Wejherowem specjalne listy intencyjne na dostawę wodoru o bardzo wysokiej czystości do pojazdów komunikacji miejskiej. Gdański koncern należy również do Pomorskiej Doliny Wodorowej, w ramach której konsorcjum samorządów z Pomorza otrzymało od Unii Europejskiej pomoc w postaci kompleksowego doradztwa przy wdrażaniu pojazdów wodorowych w komunikacji miejskiej. LOTOS merytorycznie doradzał samorządom w pisaniu konkursowego wniosku.

– Jako lider paliw nowej generacji staramy się wykorzystywać swoje doświadczenie w dziedzinie wytwarzania wodoru, a także promować go jako zeroemisyjne paliwo przyszłości. Wykorzystanie wodoru jako alternatywnego źródła energii przyczyni się do ograniczenia zanieczyszczeń powietrza, szczególnie na terenie aglomeracji miejskich – mówi Paweł Jan Majewski, prezes Zarządu Grupy LOTOS.

Większość produktów Grupy LOTOS powstaje z myślą o motoryzacji. Nie dziwi zatem fakt, że firma współpracuje z Toyotą Motor Poland i wspólnie planuje stworzyć nowoczesne stacje tankowania wodoru dla aut osobowych. Oczywiście auta zasilane ogniwami paliwowymi nie są jeszcze tymi najczęściej wybieranymi przez konsumentów, ale warto głośno mówić o korzyściach płynących z ich zakupu. Choćby o tym, że to, co wydobywa się z ich wydechu, jest czystą wodą. A przecież spaliny i smog tworzą realne zagrożenie dla ludzkiego zdrowia. Zarząd LOTOSU widzi ogromny poten-

cjał w paliwach niekonwencjonalnych i pragnie być częścią Europejskiego Zielonego Ładu. Także w ramach przyszłego połączenia się z Orlenem.

– Nadchodzą nieuniknione zmiany, które wymusza transformacja energetyczna. Razem będziemy na nie lepiej przygotowani. Pracujemy nad produkcją wodoru o czystości 99 proc. Mając większy kapitał intelektualny i inwestycyjny, będziemy mogli działać skuteczniej – podsumuje Paweł Jan Majewski, prezes Zarządu Grupy LOTOS.

Mowa o projekcie Pure H₂, którego koszt szacowany jest na prawie 10 mln euro. Celem przedsięwzięcia jest budowa i uruchomienie infrastruktury do produkcji i sprzedaży czystego wodoru. LOTOS zamierza wytwarzać aż ok. 160 kg czystego wodoru na godzinę – co jest ewenementem w skali Polski. Ponadto w planach stworzenie jest dwóch stacji ładowania tego paliwa, w Gdańsku i Warszawie.

**MATERIAŁ PRZYGOTOWANY
WE WSPÓŁPRACY
Z GRUPĄ LOTOS**



Prekursor bankowości i fałszywa legenda o pochowaniu żywcem

Nieprzenikniona czerń, chłód i rozpacz...
Opowieści o pogrzebanych żywcem
chętnie wykorzystywane są przez pisarzy
i filmowców, bo głęboko zapadają
w pamięć. Podszyte dreszczem grozy
powodują pojawienie się gęsiej skórki
widza lub czytelnika. Czy lubimy się bać?
Niekoniecznie. Lubimy za to wiedzieć, czego
sami nie chcielibyśmy przeżyć i tym chętniej
wysłuchujemy opowieści o tych, którzy mając
niesłychanego pecha, zostali pogrzebani
żywcem.

Jarosław Mańka

WRosji do dziś krąży plotka o pogrzebanym żywcem autorem „Martwych dusz”, Mikołaju Gogolu. Świadczyć o tym miała pozycja, w jakiej znaleziono jego ciało po otwarciu trumny. W Polsce najgłośniejsze było (i jest) o pochowaniu żywcem królewskiego kaznodziei ks. Piotra Skargi. Mimo ogłoszenia – na szczelb diecezji krakowskiej w czerwcu 2016 r. – zakończenia procesu beatyfikacyjnego ks. Skargi, plotka ta nadal pojawia się nawet w ogólnopolskich mediach.

Także niektórzy miejscy przewodnicy, będąc pod kościołem pw. św. Piotra i Pawła w Krakowie (miejscu spoczynku ks. Skargi), nadal napomykają o czarnej legendzie jego śmierci. I tak lata mijają, a wersja o pogrzebaniu żywcem żyje swoim życiem, przysparzając zmarłemu kaznodziei wątpliwej sławy. Z tą czarną legendą można walczyć jedynie przedstawiając fakty, co niniejszym czynimy.

Skargi Bank Pobożny

Ks. Piotr Skarga przeciętnemu Polakowi kojarzy się zazwyczaj jako autor „Kazań sejmowych” i... na tym koniec. Tymczasem, zanim rozprawimy się z czarną legendą, warto przypomnieć, iż był on prekursorem bankowości na ziemiach Rzeczypospolitej. W październiku 1584 r. założył w Krakowie Bractwo Miłosierdzia, którego głównym zadaniem było „wyszukiwanie” nędzarzy wśród mieszkańców Krakowa, którzy dotknięci wypadkami losowymi wstydzieli się zebrać. Widząc ogrom potrzeb, Skarga wkrótce zawnioskował u generała jezuitów utworzenie filii, którą nazwał Komorą Potrzeb-

nych (późniejszy Bank Pobożny). Zadaniem tego Banku Pobożnego było zebranie pewnego kapitału obrotowego do rozpozyczania go ubogim i potrzebującym na zastawy, bez żadnego procentu, czyli niesienie pomocy w nagłej potrzebie i zabezpieczenie przed lichwą.

Mądra organizacja Komory Potrzebnych, opracowana przez Skargę, odpowiadała zadaniu wielkiej doniosłości. Sam prowincjał jezuitów, Campanus, jako pierwszy złożył na ten cel na ręce ks. Skargi złotych 10 (był to rok 1588). Bractwo Miłosierdzia z kolei ofiarowało złotych 200. Jeszcze za życia ks. Skargi Komora Potrzebnych mogła rozpozyczkać na fanty rocznie około 5 tys. zł, co w owych czasach równało się tyłuż dukatom.

Co ciekawe, podczas wojen szwedzkich Kraków ratował się pieniędzmi z tego banku, składając je jako okup nieprzyjacielowi. Pomimo kolejnych okupów na rzecz Szwedów – sponsorowanych podczas kolejnych wojen przez Bank Pobożny – na początku wieku XVIII instytucja założona przez ks. Skargę potrafiła pomnażać kapitał. W 1712 r. Bank Pobożny dysponował kapitałem 89 310 złotych polskich, nadal chroniąc ubogich mieszkańców Krakowa przed wpadnięciem w sidła lichwy.

Inną formą pomocy było założenie przez ks. Skargę funduszu dobroczynnego w ramach Arcybractwa Miłosierdzia pod nazwą Skrzynka Świętego Mikołaja. Celem tego funduszu było udzielanie pomocy w formie posagu ubogim pannom wychodzącym za mąż lub wstępującym do klasztoru. Specjalna komisja rozpatrywa-

ła sprawy przyznania pieniędzy na posagi w dzień św. Mikołaja. To dzieło działa do dziś, pomagając ubogim mieszkańcom Krakowa.

Ostatnie dni kaznodziei

5 kwietnia 1612 r. król Zygmunt III Waza przyjął prośbę 76-letniego już Skargi o zwolnienie go z obowiązków królewskiego kaznodziei. Jezuita długo nosił się z tym zamiarem. Podczas Świąt Wielkanocnych 22 kwietnia 1612 r. Skarga wygłosił ostatnie kazanie do króla, senatu i dworu, a 2 maja, po udzieleniu królewskiej parze komunii, wyruszył do Krakowa. Po drodze zatrzymał się w Grójcu, miejscu swojego urodzenia. Po raz ostatni odwiedził rodzinne miasto, które przez całe życie darzył wielkim sentymentem.

Do Krakowa Skarga przybył 29 maja, zatrzymując się w domu zakonnym przy kościele św. Barbary. Ostatnie dni spędzał na modlitwie, naprawie starych ksiąg, cerowaniu habitów i sporządzaniu przyborów do pisanja dla braci zakonnej. Umiał nawet lać woskowe świece wykorzystywane w świątyniach. Podobno zaczął też pisać traktat o cnotach chrześcijańskich.

Od początku września 1612 r. nie mógł już odprawiać mszy. Odbył więc spowiedź z całego życia. Istnieje przekaz, który mówi, że kilka dni przed śmiercią Piotr Skarga postąpił do jasnogórskiego klasztoru wielką świecę woskową. Miała ona zgasnąć 27 września 1612 r. po niesporach, o czwartej po południu – dokładnie wówczas, kiedy w saskim domu zakonnym u św. Barbary największy kaznodzieja w dziejach Rzeczypospoli-

tej wydawał ostatnie tchnienie.

Drugiego dnia po śmierci Skargi bracia zakonni wynieśli na swoich barkach jego ciało złożone w prostej, drewnianej trumnie – zakonników chowano wyjątkowo skromnie. Konduktowi towarzyszyło wiele znacznych osób; szlachta, mieszczaństwo, ponad stu duchownych oraz przedstawiciele innych wyznań, z których najliczniej reprezentowane było unickie – wszak ks. Skarga był głównym inspiratorem podpisania unii brzeskiej z roku 1596.

Skargę pożegnał inny znany kaznodzieja, jezuita Fabian Birkowski, wzruszającymi słowami: „(...) Oto idzie pod ziemię ozdoba jedyna zakonu tego i Ojczyzny... Godzienieś był dłuższego wieku, Nestorze nasz polski”. Trumnę ze zwłokami Skargi złożono w podziemiach kościoła św. Piotra i Pawła, świątyni, do budowy której naklonił niegdyś ks. Skarga króla Zygmunta III Wazę.

Nimb świętości

Już za życia Skargę otaczał nimb świętości, co przybrało na sile po jego śmierci. Wierni poczęli pielgrzymować do trumny królewskiego kaznodziei, modląc się u jego doczesnych szczątków i... zabierając przy okazji fragmenty szat lub części kostnych. Jak wówczas zapisano: „(...) odwiedzano często te czcigodne zwłoki i wielu pragnąc mieć z nich cokolwiek, uszkadzało je pobożnymi rękoma”.

Po kilkudziesięciu latach trumna była już praktycznie w stanie rozpadu (niewykluczone też, że do jej dewastacji przyczyniły się gryzonie, dla których drewno nie stanowi-



Już za życia Skargę otaczał nimb świętości

ło większej przeszkody). Inny jezuita, ks. Stanisław Bielski, nie mogąc patrzeć na rozpadające się trumienne deski, począł zabiegać o przeniesienie doczesnych szczątków Piotra Skargi do nowej trumny. Zamysł ten ziścił się po znalezieniu przez niego fundatorki nowej trumny. Była nią księżna wojewodzina wileńska, hetmanowa Katarzyna Radziwiłłowa, siostra króla Jana III Sobieskiego. W roku 1695 ufundowała małą ołowianą trumnę.

Nową trumnę ozdobił długą inskrypcją łacińską, zaczynającą się od słów *Archa haec plumbea – Aureum regum Chrysostomum condit – Venerabilem Servum Dei – P. Petrum Skarga S.J.* (całość w tłum. na język polski: „Ta ołowiana trumna przechowuje złotego królów Chryzostoma, Czcigodnego sługę bożego – Ojca Piotra Skargę S.J. Ubolewać wprawdzie należy, że okazalsza trumna nie obejmuje tego, który dwory królewskie apostolskimi cnotami, świat chrześcijański gorliwością, biblioteki uczonych nauką, Towarzystwo sławą, duszą niebo nappełnił. Lecz ten zakonnygo ubóstwa szczególnie czciciel byłby za życia i tej trumny nie przyjął, którą zakonny pierwszego w królestwie kaznodziei wielbiciel Stanisław Bielski S.J.,

kosztem J.O. Katarzyny z Sobieszczyzna Radziwiłłowej, podkanclerzyny i hetmanowej polnej wielkiego Księstwa Litewskiego czci jego poświęcił, Roku Pańskiego 1695”).

Trumna została przez księdza Bielskiego opasana łańcuchem i zamknięta na kłódkę, do której klucz przekazał Arcybractwu Miłosierdzia. Najwyraźniej chciano ukrócić proceder kradzieży szczątków świątobliwego zakonnika przez wiernych. Aż do XIX wieku nikt nie niepokoił doczesnych szczątków jezuitę.

Otwarcie trumny

W tym czasie kościół św. Piotra i Pawła przechodził różne koleje losu. W roku 1802 zaborcy austriaccy wyrzucili z jego podziemi prawie wszystkie trumny i znajdujące się tam kości. Furmankami wywożono je na nowo powstający Cmentarz Rakowicki i grzebano we wspólnej mogile. Po latach, kiedy kościół ponownie odzyskał swoją świetność, w niszach grobowych znaleziono jedynie trzy trumny. Jedna z nich należała do biskupa Trzebieckiego, druga zaś do ks. Skargi. W jaki sposób ocalały? Trudno to dzisiaj wytłumaczyć, gdyż trumien nie dało się nie zauważyć.

W 1844 r. trumnę ze szczątkami Skargi ustawiono na kamiennym podstawie, owinięto łańcuchem, a klucz do kłódki ponownie znalazł się w posiadaniu Arcybractwa Miłosierdzia. Rok później w jej pobliżu ustawiono pomnik grobowy wykonany przez Jana Gallego. Wiadomo też, że po 40 latach kryptę ponownie uporządkowano.

24 września 1912 r. trumna za kaznodziei została otwar-

ta. Wyniesiono ją na górę i komisyjnie, w obecności biskupa przemyskiego (późniejszego świętego) Józefa Pelczara i przedstawicieli duchowieństwa zbadano jej zawartość. Fotograf wykonał zdjęcie, na którym uwiecznił stos kości i okazałych rozmiarów czaszkę. Przebadany szkielet pozwolił określić wzrost Skargi jako średni (około 169 cm), czaszka zaś zawierała niegdyś niezwykle dużych rozmiarów mózg.

W sporządzonym wówczas protokole możemy przeczytać: „Kości znaleziono prawie wszystkie, a w szczególności czaszkę dobrze zachowaną, kości wszystkich czterech odnóg, kości stosu kręgowego i zębra – wszystkie również jak najlepiej zachowane”. Nie ma tam słowa o tym, aby kości Skargi były połamane. Warto ten fragment zapamiętać w kontekście powstałej czarnej legendy i rzekomych dowodów na jej potwierdzenie.

W innym miejscu protokołu czytamy: „Następnie profesor Domański wyjął dwie kości przedramienia (radius) i jeden krąg łędziowy i oddał je Ks. Rektorowi Rothowi, którego do zabrania [...] kości (upoważnił) Najprzewielebniejszy Książe Biskup Adam Stefan Sapieha”. Do dzisiaj jedna z kości ks. Skargi znajduje się w Muzeum Jezuitów w Starej Wsi pod Krosnem.

Kolejne otwarcie trumny nastąpiło 5 października 1918 r. Eksperci z dziedziny medycyny sądowej oraz przedstawiciele duchowieństwa i Arcybractwa Miłosierdzia wnikliwie przebadali zachowane szczątki kostne. Chcieli porównać przedstawiony przez Jana Matejkę na

obrazie wizerunek kaznodziei z autentycznymi częściami szkieletu. Szczątki przetransportowano więc do Zakładu Antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Naukowcy podczas badania stwierdzili nadłamanie kości, zapewne dla zdobycia relikwii. Określono również, że wyjątkowo duży mózg musiał ważyć około 1444 g. Potwierdzono też niewysoki wzrost Skargi – ok. 168 cm. Szczątki Skargi ponownie złożono w trumnie, tę zwyczajowo obwiązano łańcuchem i zamknięto na kłódkę, tradycyjnie już przekazując klucz do niej Arcybractwu Miłosierdzia.

Skarga w swoich listach pisał, że był słabego zdrowia; po kilku dniach postu zdarzały mu się omdlenia, a długie modlitwy doprowadzały do wyczerpania organizmu. Choć prawdopodobnie cierpiał na kamicę nerkową, jednak do końca był niebywale energiczny. Potrafił przezwycięzać słabości ciała niezwy-

kłym hartem ducha, wynikającym z niezachwianej wiary. Do końca swoich dni ustawicznie pisał i kształcił się. Dość wspomnieć, że w wieku 70 lat potrafił biegle opanować język niemiecki!

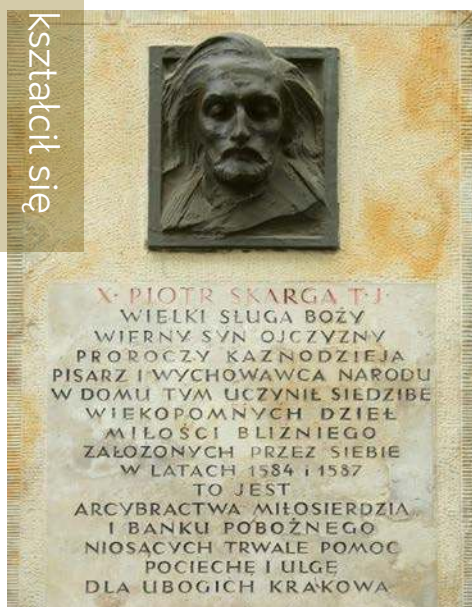
Po raz ostatni trumnę otwarto 30 września 1936 r. Wtedy to kardynał Sapieha wydał zezwolenie Arcybractwu Miłosierdzia, które wystąpiło z prośbą o przełożenie kości Skargi do kolejnej, nowej trumny. Stara była bowiem uszkodzona od częstego podnoszenia. Kości Skargi przełożono do miedzianej trumny, którą także opieczętowano i zabezpieczono. Podczas ceremonii przekładania szczątków obecny był prof. Jan Wachholz, który określił wzrost najbardziej znanego polskiego jezuitę na 169 cm. Od tego czasu już nikt inny sarkofagu Skargi nie otwierał.

Czarna legenda

Kiedy narodziła się czarna legenda o pochowaniu żywcem Piotra Skargi? Dokładnie nie wiadomo. Wielu duchownych i historyków twierdzi, że plotka swoimi korzeniami sięga najwyżej XX w. Faktem jest, że o pochowaniu żywcem zakonnika nie wspominają żadne źródła. W tym miejscu powinniśmy także zadać kolejne pytanie: dlaczego pojawiła się taka plotka?

Warto zwrócić uwagę, że Skarga, postać wyrazista i zatroskana o losy Rzeczypospolitej, już za życia wzbudzał wielkie emocje zarówno u szlachty, której wytykał wady, jak i u protestantów. Już wtedy krążyły o nim kąśliwe plotki i pomówienia. Do szło nawet do czynnej napa-

Do końca swoich dni ustawicznie pisał i kształcił się



ści protestanta Alberta (sługi księcia Radziwiłła) na Skargę, podczas której przypart on jezuicie do muru płazem szabli. Na szczęście zbiegowisko gapiów wystraszyło napastnika, który po wymierzeniu karności solidnego policzka, zbiegł. Winny napaści na duchownego, według ówczesnego prawa, mógł stracić rękę. Wszystko zależało od Skargi, który jednak bez wahania protestantowi przebaczył.

W 1912 r. w Krakowie odbyły się centralne obchody 300. rocznicy śmierci Skargi. Całe miasto udekorowano, a jego katolicycy mieszkańcy zamknęli sklepy i warsztaty. Po mszy w kościele św. Piotra i Pawła 10-tysięczny pochód ruszył pod siedzibę Arcybractwa Miłosierdzia, gdzie uroczyste odstonięto tablicę pamiątkową poświęconą założycielowi. Już wtedy pojawiały się głosy o możliwości wyniesienia Skargi na ołtarze. Niestety, marzenia wielu Polaków o rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego rodaka nie potwierdziły się. Wielu zwolenników beatyfikacji Skargi przyczynę tego stanu rzeczy widziało właśnie w rozprzestrzeniającej się plotce o pochowaniu go w stanie letargu. Według kościelnego prawa osoba podejrzana o pochowanie żywcem mogła w ostatnich swoich chwilach, po przebudzeniu się w trumnie, bluźnić Bogu. Była to podstawowa przeszkoda w formalnej procedurze beatyfikacyjnej. A czarna legenda zaczynała się wtedy rozpowszechniać w bardzo szybkim tempie. Warto zadać pytanie, komu mogło zależeć na tym, aby beatyfikacja Polaka, patrioty, głoszącego miłość Ojczyzny, nie doszła do skutku?



O pochowaniu żywcem zakonnika nie wspominają żadne źródła

Z pewnością jego głośny proces beatyfikacyjny nie był na rękę żadnemu z państw zaborczych. Samo imię Piotra Skargi z miejsca kojarzyło się z „Kazaniami sejmowymi” i czasami potęgi Rzeczypospolitej, a przecież zaborcy przez ponad wiek starali się wymazać nawet samo pojęcie polskiej państwowości.

Proces beatyfikacyjny

Ciekawe, że do ogłoszenia procesu beatyfikacyjnego nie doszło także w roku 1936, kiedy cała II Rzeczpospolita uroczyste świętowała 400. rocznicę urodzin królewskiego kaznodziei.

Imię Skargi rozstawiła swoim piórem znana pisarka Zofia Kossak-Szczucka, pisząc w broszurze „Beatyfikacja Skargi” (1937) o potrzebie wyniesienia na ołtarze skromnego jezuity. Czarna legenda miała się wtedy już całkiem dobrze, można by rzec, że się udomowiła, przysparzając kaznodziei wątpliwej sławy. Jeżeli nawet z okazji kolejnego jubileuszu była szansa na pomyślne zakończenie procesu beatyfikacyjnego, to nadchodząca wojna odwlekła go na długie lata.

Dziesięć lat temu znany polski historyk Janusz Ta-

zbir napisał na ten temat kilka bardzo ważnych zdań, które nie wymagają żadnego komentarza: „Osobiście czuję się odpowiedzialny za upowszechnienie innej legendy, mianowicie o śmierci Skargi w letargu, co miało uniemożliwić jego beatyfikację, postulowaną już w 1936 r. Opartem się zbyt ufnie na ustnej informacji, przekazanej mi w 1979 r. przez bpa Jana Obłaka. Choć nie ma żadnych podstaw do wierzenia w tę osobliwą legendę, niektórzy dziennikarze nadal ją powtarzają”.

Krakowski medyk sądowy, doktor Tomasz Konopka zapytany o możliwość pochowania kogoś w letargu wyjaśnia: „Wprawdzie istnieje pojęcie naukowe vitae minimae, którego przypadki są niezwykle rzadkie, (ja osobiście się z takim przypadkiem nie spotkałem, i z tego co wiem, nikt z mojego zakładu nie miał z nim do czynienia), ale i wtedy – jak wyjaśnia – albo człowiek żyje, albo jest martwy, a proszę mi wierzyć, medyk potrafi taki stan rozpoznać. Legendy o pochowaniu kogoś żywcem biorą się nie raz stąd, że po otwarciu trumny zastaje się zwłoki w dziwnej pozycji, na przykład przekręcone albo odwrócone, a takie rzeczy zdarzają się podczas transportu. Ja osobiście pogłoski o pochowaniu księdza Skargi w stanie letargu zaliczam do tzw. miejskiej legendy”.

21 czerwca 2016 r. w krakowskim kościele pw. św. Piotra i Pawła zakończył się diecezjalny etap procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego ks. Piotra Skargi zmarłego w opinii świętości. Akta procesu diecezjalnego przekazane zostały do Rzymu, gdzie sprawa będzie toczyć się dalej.

Technologia modułowa przyszłością budownictwa

Niskobudżetowe kompleksy modułowe tworzone jako obiekty tymczasowe przechodzą do przeszłości. W ich miejscu pojawiły się nowoczesne budynki modułowe powstałe z prefabrykowanych materiałów. Wszystko po to, by maksymalnie skrócić czas realizacji, zmniejszyć koszty budownictwa, a także otworzyć się na przyszłość.

W ostatnim czasie w Polsce da się zauważyć wzrost zainteresowania wykorzystaniem prefabrykatów z betonu. Dzięki gigantycznemu postępowi w branży wyeliminowane zostały najstarsze strony budownictwa modułowego i prefabrykacji, kojarzonej dotychczas głównie z tzw. wielką płytą, czyli budownictwem mieszkaniowym z czasów PRL. Obecnie metody te uchodzą za najnowocześniejsze i najbardziej ekologiczne. Trwałe złącza, elastyczne systemy, wysokie wymagania estetyczne, możliwość kształtowania brył budynków o zróżnicowanym charakterze – to najważniejsze elementy, które cechują współczesną prefabrykację.

Na polskim rynku pojawił się nowy podmiot, który zaangażuje się w rozpowszechnienie procesu budownictwa modułowego. To ARP Prefabrykacja sp. z o.o. Spółka została powołana przez Agencję Rozwoju Przemysłu SA oraz dewelopera HM Inwest

SA, wchodzącego w skład Grupy Inwest, wraz z należąca do niego spółką HM Factory Sp. z o.o., która zajmuje się produkcją prefabrykatów. Elementy, które będą produkowane przez ARP Prefabrykacja w nowoczesnej fabryce zlokalizowanej w województwie świętokrzyskim, mają być również dostarczane na potrzeby rządowego programu „Mieszkanie+”. Wysoka wydajność i automatyzacja pozwolą na produkcję elementów niezbędnych do budowy około 4 tys. mieszkań rocznie, a linie technologiczne będą jednymi z najnowocześniejszych w całej Europie.

– Prefabrykaty stanowią odpowiedź na wyzwania współczesności: są bardziej ekologiczne od materiałów wykorzystywanych w tradycyjnym budownictwie, a dodatkowo wpływają na prędkość wykonywanych inwestycji. Budownictwo modułowe jest szczególnie popularne w krajach skandynawskich, USA oraz na zachodzie Eu-

ropy. Chcemy, by za kilka lat było równie popularne w Polsce – tłumaczy Mariusz Wał, prezes spółki ARP Prefabrykacja.

Budynki modułowe są wykorzystywane zazwyczaj w miejscach, gdzie dąży się do maksymalnego skrócenia czasu realizacji oraz zminimalizowania uciążliwości dla użytkownika. Duże znaczenie przy wyborze technologii ma wysoka jakość budowanych obiektów, niezależność od warunków atmosferycznych oraz możliwość skrócenia czasu potrzebnego na budowę.

– Rozwój prefabrykacji i budownictwa modułowego to wielka szansa dla polskiej gospodarki. Dają one możliwość realizacji nieskończonej liczby projektów w bardzo krótkim czasie przy nieograniczonych sposobach zastosowania elementów prefabrykowanych – dodaje prezes Mariusz Wał.

**MATERIAŁ PRZYGOTOWANY
WE WSPÓŁPRACY Z ARP
PREFABRYKACJA SP. Z O.O.**



Piątka piwowarów

Jak bez nakładów finansowych ze strony państwa odbudować potencjał branży piwowskiej i powiązanych z nią sektorów?

Pandemia COVID-19 potężnie zachwiała gospodarką. Z dnia na dzień wiele sektorów przestało działać i przynosić dochody do budżetu. Państwo uruchomiło liczne programy pomocowe, mające na celu m.in. ochronę miejsc pracy czy wsparcie funkcjonowania przedsiębiorstw. Statystyki dotyczące zachorowań jasno wskazują, że najgorsze jeszcze nie minęło. I choć rząd w związku z koronawirusem mierzy się z wieloma wyzwaniami, hasło „liczy się gospodarka”, pod którym Bill Clinton wygrał w 1992 r. kampanię prezydencką, ma zarówno w Polsce, jak i na świecie coraz większe znaczenie.

Jak odbudować biznes?

Nawet osoby bez wykształcenia ekonomicznego zdają sobie sprawę z tego, że w obecnych, niepewnych czasach stabilizacja gospodarcza to jedno z kluczowych zadań, w obliczu którego stoją rządzący. Warto, aby szukając nowych rozwiązań, parlamentarzyści pozostawali otwarci na sugestie przedsiębiorców, którzy doskonale wiedzą, co jest im potrzebne w odbudowie biznesu. Przedstawiciele sektorów browarniczego, handlowego, małych i średnich przedsiębiorstw oraz eksperci gospodarczy i podatkowi po zakończeniu pierwszej fali epidemii przeanalizowali swoją sytuację, a wnio-

ski zawarli w upublicznonym właśnie raporcie „Branża piwowarska i sektory powiązane wobec pandemii COVID-19”. W wyniku rozmów eksperci stworzyli tzw. piątkę dla piwa, czyli pięć postulatów skierowanych do rządzących, które pomogą przedsiębiorcom w przetrwaniu i szybkim powrocie na ścieżkę wzrostu gospodarczego:

- powstrzymanie się przez rząd i parlament od zmian legislacyjnych, które mogą wpłynąć negatywnie na sytuację przedsiębiorców,
- utrzymanie bez zmian wysokości stawki oraz sposobu naliczania podatku akcyzowego od piwa,
- wprowadzenie jednolitej 8-proc. stawki VAT dla gastronomii,
- przedłużenie możliwości odliczenia akcyzy od piw przeterminowanych,
- umożliwienie sprzedaży piwa na odległość (przez Internet).

Jak podkreślają, żaden z wymienionych postulatów nie jest związany z uruchamianiem dodatkowych środków z budżetu państwa.

Spokój legislacyjny nade wszystko

Powtarzany od lat przez piwowarów postulat, że warunkiem stabilizacji i dalszego rozwoju branży jest przewidywalność otoczenia prawno-podatkowego, w sytuacji pandemii nabrał szczególnego znaczenia. Branża piwowarska, pomimo destabilizacji na wielu płaszczyznach i utrzymującej się niepewności, zachowała miejsca pracy, cały system dostawców, często małych ro-

dzinnych firm, udzieliła istotnego wsparcia współpracującym z nią przedsiębiorcom i pozostała znaczącym płatnikiem podatków. Nie ukrywa jednak, że ma poważne obawy o przyszłość.

– Z ogromnym niepokojem patrzymy na nadchodzące miesiące. Pandemia się nasila. Obawiamy się, że ważny dla nas partner, jakim jest gastronomia, w najlepszym wypadku będzie mógł działać w bardzo mocno ograniczony sposób. Restrykcje obejmą zapewne ponowne ograniczenia w zakresie zgromadzeń, spotkań towarzyskich czy rodzinnych, a piwo nie jest napojem, który pijemy w samotności – mówi Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Browary Polskie.

Piwowarzy pod presją

Mierzenie się ze skutkami lockdownu oraz rosnące koszty produkcji to nie jedyne ciężary, które ma do udźwignięcia przemysł piwowarski. Na horyzoncie widnieją bowiem nowe obciążenia, wynikające z krajowych aktów prawnych lub wymogów unijnych, jak znówelizowana dyrektywa strukturalna, system rozszerzonej odpowiedzialności producentów (ROP), nowy podatek plastikowy czy tzw. opłata cukrowa, która uderzy w piwa bezalkoholowe.

– Przez wiele lat w otoczeniu prawno-podatkowym branży nie było aż tylu zmian, z którymi mamy do czynienia obecnie. To potężne koszty, szacowane na setki milionów złotych, które piwowarzy będą musieli ponieść i na które spoglądają z rosnącym niepokojem w sytuacji inwestowania w odbicie gospodarcze – podkreśla Bartłomiej

Morzycki. – Firmy piwowarskie w obliczu tak wielu wyzwań w pewnym momencie będą musiały podnieść cenę chmielowego trunku. Piwo w naszym kraju już i tak jest drogie, a za średnie roczne wynagrodzenie Polacy mogą go kupić zdecydowanie mniej niż np. Czesi, nie wspominając o Niemcach – dodaje Morzycki.

Już w 2019 r. sprzedaż piwa spadła. Spadają również nastroje konsumenckie. W porównaniu do lat ubiegłych, z powodu pogorszenia warunków finansowych lub z obawy o przyszłość nie wydajemy tak chętnie pieniędzy, jak jeszcze choćby rok temu. Jak donoszą media, jeśli sięgamy po alkohol, częściej wybieramy napoje wysokoprocentowe, których udział w rynku od początku pandemii rośnie.

Niepewna przyszłość

Przemysł piwowarski wraz z handlem detalicznym, sektorem gastronomii oraz rolnictwem tworzą swoisty ekosystem. Zatrudniają łącznie ponad 150 tys. pracowników i dostawców zaangażowanych w produkcję, dostawę i sprzedaż piwa w Polsce. Obecnie znajdują się w najtrudniejszym momencie od ponad 30 lat. To, że ucierpią z powodu pandemii oraz zachodzących zmian regulacyjnych, jest więcej niż pewne. To, jak duże straty finalnie poniosą, zależy w dużej mierze od tego, czy rządzący wyciągną w ich kierunku pomocną dłoń i spełnią choć część z pięciu wypracowanych wspólnie postulatów.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

Produkcja leków w Polsce to priorytet

Bezpieczeństwo farmaceutyczne kraju to przede wszystkim zapewnienie skutecznych i bezpiecznych leków, które zaspokajają potrzeby zdrowotne społeczeństwa. Szczególną w tym rolę odgrywać powinny krajowe firmy farmaceutyczne.

fot. Polfa Tarchomin SA

Pandemia COVID-19 pokazała, jak ważna jest zdolność kraju do zapewnienia swoim obywatelom bezpieczeństwa farmaceutycznego. W Polsce produkcja wyrobów farmaceutycznych odpowiada za około 4,35 mld zł przychodów budżetowych w postaci podatków i składek na ubezpieczenia społeczne. Przemysł ten generuje też pośrednio 100 tys. miejsc pracy i wdraża najwięcej innowacji. Pod względem działalności innowacyjnej wytwórcy wyrobów farmaceutycznych wyprzedzili producentów komputerów, wyrobów elektronicznych i optycznych. Dlatego produkcja leków w Polsce to priorytet.

W tym kontekście bardzo dobrą wiadomością jest zapowiedź Polfy Tarchomin o budowie nowej fabryki z dwiema liniami produkcyjnymi, która ma być gotowa w 2023 r.

– Nasza inwestycja ma zwiększyć dostępność leków dla polskich pacjentów i to leków waż-

nych, tzw. highly potent, czyli przede wszystkim onkologicznych i immunosupresyjnych. To projekt unikalny na skalę europejską. Dotąd w Polsce nikt nie wytwarza leków z tej grupy. W Europie Środkowo-Wschodniej i na Zachodzie jest zaledwie kilka takich miejsc. To jest dobro rzadkie, bardzo drogie na etapie powstawania, ale też w utrzymaniu, a my będziemy je mieli na nasz krajowy użytek – mówi prezes spółki Jarosław Król.

– Druga linia ma służyć procesowi liofilizacji. Taką metodą uzyskuje się leki do iniekcji, m.in. ratujące życie. I tego w Polsce poza nami także nikt nie wykonuje. Cały projekt opiewa na 308 mln zł. Na nową fabrykę i dwie linie produkcyjne, a także współpracujące z nimi laboratorium, wydamy 256 mln zł, około 30 mln zł przeznaczymy na prace badawczo-rozwojowe, a za resztę sfinansujemy usprawnienia energetyczne – dodaje prezes Jarosław Król.

Polfa Tarchomin to jedna z najstarszych firm farma-

ceutycznych nie tylko Polsce, ale również w Europie. Działa na rynku od 1832 r. Obecnie zatrudnia ponad 950 osób. Specjalizuje się w produkcji leków w czterech podstawowych klasach terapeutycznych: antybiotyki i leki przeciwgruźlicze, insuliny ludzkie, leki psychotropowe i leki dermatologiczne. Firma produkuje również Trisept Max – jeden z najpopularniejszych płynów do dezynfekcji rąk o działaniu wirusobójczym, bakteriobójczym i grzybobójczym. Od października rozpoczęła również produkcję maseczek. Wszystko to oczywiście wpisuje się w działania wspierające walkę z koronawirusem. W tym celu Polfa Tarchomin od początku pandemii przekazała ponad 60 darowizn do szpitali, organizacji społecznych i domów pomocy społecznej.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z POLFĄ TARCHOMIN SA



Piotr **Hofman**

Trójmorze szansą dla mniejszych firm

Mniejsze polskie firmy powinny rosnąć razem z polską gospodarką. Za tym krótkim zdaniem kryje się ważna treść. Po pierwsze, należy mówić i pisać o mniejszych firmach, bo to tam akumulowany jest polski kapitał. Im go więcej, tym lepiej, bo jak wiadomo, kapitał ma narodowość i obowiązkiem polskich władz jest dbać, aby ten nasz miał jak najlepsze warunki do pomnażania. Po drugie, za wzrostem kluczowych wskaźników makroekonomicznych powinny iść coraz lepsze perspektywy dla rodzimego biznesu. Jeśli np. nasze państwo wydaje pieniądze w ramach wielkich programów inwestycyjnych, to zadbać powinno także o to, aby ta pula trafiła do polskich firm i służyła budowie narodowego kapitału.

Tak, wiem, jesteśmy w Unii Europejskiej i zasady gry powinny być równe dla wszystkich podmiotów z państw członkowskich. Tyle że często było tak, iż tu w Polsce to nasze przedsiębiorstwa były faktycznie dyskryminowane, a wielkie zamówienia trafiały głównie do zagranicznych

podmiotów. Przyszedł czas, aby z tym skończyć. Od przyszłego roku w życie wchodzi nowe prawo zamówień publicznych i oby to była okazja do tego, aby szanse wreszcie były równe, a nasi przedsiębiorcy zaczęli realizować największe inwestycje. I to nie tylko w charakterze podwykonawców.

W tym miejscu dochodzimy do inicjatywy Trójmorza. Niemal każdy, kto chociaż trochę interesuje się życiem publicznym, wie, jak ważny to projekt. Ważny także gospodarczo, bo są z nim związane wielkie inwestycje mające służyć rozwojowi naszego regionu. Mówimy to u setkach miliardów euro wydatków i ogromnych planach rozbudowy infrastruktury komunikacyjnej i energetycznej. To taki pakiet stymulacyjny, który może pomóc uczestnikom Trójmorza pokonać obecny kryzys ekonomiczny. Warto już teraz dobrze się do tego przygotować. I chodzi mi tu nie tylko o dobre zaplanowanie tego, na co wydać przewidziane środki. Mam na myśli także to, kto będzie te

projekty realizował. Musimy mieć plan na to, aby to polskie firmy w nich partycypowały, aby je realizowały i aby na nich zarabiały.

Mamy za sobą przykre doświadczenia związane choćby z EURO 2012. To miało być eldorado dla naszych firm budowlanych. Dla wielu z nich skończyło się katastrofą to, co miało przynieść duże dochody. Ta sytuacja nie może się powtórzyć. Trójmorze to coś znacznie więcej niż mistrzostwa w piłce nożnej. Jednak aby z tej szansy skorzystać, konieczne są działania o charakterze regulacyjnym, niezbędny jest plan rozwojowy, w którym za główny cel obrana zostanie budowa silnego sektora polskich przedsiębiorstw. Same drogi, mosty czy rurociągi to za mało, szczególnie kiedy zyski z ich budowy nie zostaną nad Wisłą. Stąd apel o to, aby myśleć o Trójmorzu także jako o szansie dla polskich firm, szansie na wzrost dzięki realizacji wielkich kontraktów, które przewiduje ta inicjatywa. Myśleć, ale też działać, im szybciej, tym lepiej.

Zbudujemy dla Ciebie instalację fotowoltaiczną

Oferta
dla domu
i firmy

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA
**energa.pl/
fotowoltaika**



- ✓ Od projektu do wykonania
- ✓ Bezpłatna wizja lokalna
- ✓ Dofinansowanie do 5000 zł z rządowego programu "Mój Prąd"

Usługa dedykowana jest klientom indywidualnym ENERGA-OBROT S.A. będących właścicielami wolnostojących domów jednorodzinnych lub klientom prowadzącym działalność gospodarczą z tytułem prawnym do obiektu, na którym ma być zamontowana instalacja PV. Montaż instalacji PV realizowany jest przez certyfikowanych partnerów technologicznych ENERGA-OBROT S.A. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.


Energa
Obrót

Zakupiono w NEXTO: 3231622